

Daphne
du Maurier

NIEZŁOMNA

Przełożyła
Anna Bańkowska

Prószyński i S-ka
Warszawa 1999

1

Emmę obudził huk przelatujących nisko samolotów, ale nie ocknęła się do końca. Dźwięk zlewał się ze snem. Ten sen nawiedził ją po raz pierwszy, gdy miała około pięciu lat i odtąd powtarzał się stale, chociaż była już dwudziestoletnią panną; musiał więc mieć jakieś psychologiczne znaczenie. Jakie? To jej nie obchodziło. We śnie ona i Mad trzymały się za ręce, kłaniały się wdzięcznie publiczności, a potem sobie nawzajem. Wśród ogłuszających braw kurtyna kilkakrotnie podnosiła się i opadała, a ludzie nie przestawali klaskać. W dzieciństwie Emma kierowała ufny wzrok na tę, którą uważała za swą protektorkę, ona zaś dodawała dziecku otuchy krzepiącym uśmiechem, popartym uściskiem ręki, jak gdyby mówiła: „Wszystko w porządku, nikt cię nie może skrzywdzić, jestem przy tobie tutaj, teraz i na zawsze”. W latach szkolnych i w okresie dojrzewania sylwetka protektorki się zmniejszyła albo raczej to Emma urosła, teraz zaś ich możliwości się wyrównały, twarze wyglądały niemal identycznie, a brawa przeznaczone były dla nich obu... Oto ostatni zryw oklasków, kurtyna definitywnie opada i nagle okazuje się, że ten hałas to nie żadne brawa, tylko cichnący huk samolotów, które lecą znad morza w głąb łądu, Emma zaś wcale nie jest w teatrze, tylko we własnym łóżku. Rama okienna tłucze o parapet, zasłony falują na wietrze, a do pokoju sący się chłodny i rześki zapach poranka.

Emma zerknęła na budzik - było parę minut po siódmej - i włączyła lokalny program radiowy. Sygnał czasu jednak się nie odezwał, spiker nie czytał wiadomości, a z odbiornika wydoby-

wało się tylko głucho buczenie. Coś się musiało popsuć; kiedy przełączyła odbiornik na program ogólnokrajowy, wcale nie było lepiej. Buczenie nie ustawało, w dodatku pojawiły się jakieś rytmiczne trzaski i prychanie. Och, do diabła z tym! Odsunęła radio i ułożyła się z powrotem na poduszce z rękami pod głową, dopasowując „być albo nie być” Hamleta do krytycznego spojrzenia na własne rozterki życiowe. Wyjechać albo nie wyjechać - oto jest pytanie. Jest li w istocie szlachetniejszą rzeczą siedzieć tu dalej, dzielić z Mad życie, dom, całą egzystencję, czy też zerwać z tym całym reżimem, uwolnić się z więzów, pójść własną drogą?

Dobrze, ale jaką? W tym sęk. Żadnych możliwości dla dziewcząt, bez względu na to, czy pozdawały jakieś egzaminy czy też nie. Agencje sekretarek zawałone podaniami. Mężczyźni, kobiety, chłopcy, dziewczyny - wszyscy rozpychają się łokciami, rozdrapując tych kilka wartych zachodu posad - a odkąd rząd wycofał się rakiem z Europy (jako oficjalny powód podano niesnaski w Dziesiątce, po czym decyzję tę zaakceptowano ogromną większością głosów w narodowym referendum), rzeczy przybrały jeszcze gorszy obrót. Tak przynajmniej uważał Pa, a on powinien znać prawdę, kieruje przecież bankiem handlowym.

- Zwiedzaj świat - powiedział Emmie. - Ja zapłacę.

- Nie potrzebuję jałmużny - odparła. - Skończyłam osiemnaście lat.

I stąd ta nieunikniona, choć nieudana próba wstąpienia na scenę. Wpływ Mad, oczywiście. Ale mimo że sen wciąż wracał, Emma nie zrobiła wielkich postępów. A skoro nie mogła sięgnąć szczytu, popadła w beczynność. Czy ktoś, kto przeżył całe dzieciństwo pod znakiem aplauzu tłumów, ma teraz występować w reklamach albo zostać spikerką w lokalnej stacji? O nie, panie i panowie, piękne dzięki. Lepiej znosić starą biedę niż pakować się w nowe, nieznanne kłopoty.

Emma spróbowała ponownie włączyć radio - z tym samym skutkiem. Znów to przeciągłe buczenie! Wstała z łóżka, poszła korytarzem do łazienki i puściła wodę do wanny. Wyjrawszy z okna, zobaczyła, że zasłony w sypialni maluchów nadal są szczelnie zsunięte. Dzięki Bogu i za to - może jeszcze śpią? Na-

gle trzasnęły drzwi - no tak, to ich na pewno obudzi, nawet jeśli nie dokonał tego huk samolotów. To był Terry; właśnie wyprowadzał rower na podjazd z bocznego holu (gdzie nie wolno mu go trzymać). Terry zasadniczo nie należał do rannych ptaszków, odwrotnie niż Joe, który zawsze wstawał o siódmej, po czym rąbał drewno na opał albo kopał w ogrodzie. Ciekawość wzięła w końcu górę i Emma otworzyła okno.

- Co ty tam robisz?

Oczywiście nie raczył odpowiedzieć. Machnął tylko niedbale ręką, uśmiechnął się do niej przez ramię i poszedł dalej. Już miała zamknąć okno, kiedy zauważyła, że tuż nad pokojem maluchów obluźwana dachówka zaczyna się zsuwać do rynny, a za nią druga i trzecia. Emma wpadła w złość, bo wiedziała, co to znaczy: Andy znów wlaźł na dach po drugiej stronie domu i siedzi w kucki w nieużywanym kominie, swym ulubionym stanowisku szpiegowskim. Musiał jakoś poruszyć te dachówki. Nie mogą i nie będą tego znosić, pomyślała. Świeże wspomnienie snu, tak różnego od rzeczywistości, tak ją rozdrażniło, że musiała natychmiast się wyładować, najlepiej w jakiś bezsensowny sposób. Z premedytacją upuściła na umywalkę szklankę do mycia zębów. Widok okruchów szkła dał jej satysfakcję.

- Dobrze jej tak - mruknęła.

Dobrze - komu? Jej samej czy Mad? Woda na kąpiel była letnia. Grzejnik nurkowy znowu wysiadł. Oto skutki zamieszkiwania w domu wariatów, zasługującym na to miano choćby z racji imienia właścicielki*. Kilka lat temu Mad wycofała się ze sceny, zrobiwszy błyskotliwą karierę, po czym nie mogła wymyślić nic lepszego, jak tylko zaadoptować szóstkę osieroconych, nieprzystosowanych społecznie chłopców i pozwolić im przewrócić własny dom do góry nogami. Miało to w jej mniemaniu usprawiedliwić fakt, że wciąż jeszcze żyła, chociaż przestała grać.

Nie będę jej więcej pomagać, myślała Emma. Musi znaleźć kogoś innego. Nie pozwolę zrujnować sobie życia, jestem na to o wiele za młoda.

**Mad* - szalony, wariat; *madhouse* - dom wariatów (wszystkie przypisy tłumaczki).

Wykapała się i ubrała - ta sama stara tunika, te same znoszone dzinsy, w końcu nikomu tu nie zależy na jej wyglądzie - po czym zeszła do kuchni, gdzie powitał ją odrażający zapach jajek na bekonie. Dottie upierała się, że chłopcy powinni rozpoczynać dzień od solidnego śniadania, bo inaczej opadną z sił, a ponieważ ona gotuje, więc ponosi odpowiedzialność.

Przez czterdzieści lat Dottie pełniła funkcję garderobianej Mad, teraz zaś, kiedy wyrwano ją ze świata teatru, który nauczyła się uważać za własny, została gospodynią, kucharką, sprzątaczką, pielęgniarzką, słowem, osobą gotową na każde skinienie swej uwielbianej chlebobawczyni. Wprost trudno sobie wyobrazić jedną bez drugiej, Emma już dawno to zauważyła. Gdyby pamięć uznać za fotograficzną kliszę - a czasem czuła, że tak właśnie jest - wówczas jej pierwszym wspomnieniem byłaby garderoba Teatru Królewskiego z Mad obracającą się na stołku przed szerokim lustrem. „Kochanie...” - mówiła, wyciągając ręce do trzyletniej Emmy z tym swoim promiennym, cudownym uśmiechem, podczas gdy Dottie uwijała się z tyłu, rozwieszając jakiś nieprawdopodobny kostium. Madam musi mieć to... Madam musi mieć tamto... Madam jest najwspanialsza na świecie... Madam ma swoje humory... I tak jakoś wyszło, że miano „Madam”, którym zwracała się do niej Dottie, przyjęło się w całej hierarchii teatralnej od reżysera, autora i wykonawcę głównej roli aż do gońca i robotników sceny. Nie wiadomo kiedy w ustach dziecka zmieniło się to w „Mad” i tak zostało do dzisiaj. Ale tylko Emmie wolno ją tak nazywać. Gdyby ktoś inny się ośmielił... chyba pękłyby niebiosy.

To zresztą i tak nastąpi lada chwila. Właśnie przeleciała następna eskadra samolotów. Jest ich chyba setka; może to jakieś ćwiczenia i dlatego radio nie działa. Dottie próbowała wcisnąć swą pękatą postać w wąską lukę między zmywarką do naczyń a zlewem, daremnie zadzierając głowę, żeby wyrzeć przez okno.

- Co się właściwie dzieje? Ani minuty spokoju. Dziś rano mogłam się obejść bez budzika. Jeszcze przed szóstą zaczął się ten ciągły łomot; naprawdę mogliby mieć trochę względów dla zwykłych ludzi!

- A według ciebie, kim są ci „oni”? - spytała Emma.

Zaczęła nakrywać stół dla chłopców. Talerze, noże, widelce, miseczki do płatków.

- Cóż, pewnie jakieś tam władze - odparła Dottie, wracając do smażenia. - Nie mają prawa tak postępować... No masz, spaliłam grzanekę. Zdaje się, że to jeden z tych poranków, kiedy wszystko idzie jak po grudzie. Poczta nie nadeszła i musiałam wysłać Terry'ego na rowerze, żeby rozejrzał się za ciężarówką. Jeśli Madam nie dostanie swych listów razem z sokiem pomarańczowym, to w domu zdarzy się morderstwo. Już od pół godziny spodziewam się dzwonka. Pogoń tych chłopaków, Emmo, kochanie, jestem okropnie spóźniona. I powiedz Andy'emu, że zęby zczyści się pastą, a nie mydłem.

Chwila oddechu od buczenia nad głową. Nagła cisza. Powinam, myślała Emma, robić coś naprawdę pożytecznego, na przykład pielęgnować trędowatych staruszków albo karmić tłumy nawiedzone przez głód po powodzi... Och, co za stek bzdur! Oto skutki oglądania telewizji; Mad ma całkowitą rację twierdząc, że człowiek od tego głupieje.

W pokoju chłopców nadal głucha cisza. To chyba niemożliwe, żeby jeszcze spali? Emma otwiera drzwi. Zastony szczelnie zaciągnięte, ale światło się świeci. W drugim końcu pokoju Ben siedzi na odwróconym nocniku jak na stołku. Jest kompletnie goły, tylko na rękach ma rękawiczki, a na głowie stary kapeluszek Mad, oddany kiedyś na sąsiedzką giełdę używanych rzeczy, ale nie sprzedany. Śliczny, czarnoskóry chłopczyk nie wygląda na swoje trzy lata. Mad adoptowała go nie tylko ze względu na kolor, ale dlatego, że - jak jej powiedziano - Ben ma jakieś problemy z językiem i może nigdy nie nauczy się mówić. Kiedy Emma weszła, przewrócił z zachwytem oczami i wystawił dwa palce (gest wyuczony przez Terry'ego), po czym zerknął raz jeszcze w stronę górnego piętra łóżka, które dzielił z Colinem.

Sześcioletni Colin był tak zdecydowanie biały, jak Ben czarnej. Miał niebieskie oczy i złociste włosy - każdy reżyser wybrałby go z miliona kandydatów do roli Dzieciątka Jezus. Po jakimś festiwalu muzycznym znaleziono go w rowie. Jego rodzice przepadli bez wieści. Mad, która czasem miewała snobistyczne ciągoty, zaklinała się, że Colin jest królewskim potomkiem, ale przy

jego poczęciu musiał namieszać diabeł, bo pod anielską powłoką chłopczyzna ukrywał chytrość węża. „Tylko jeden Colin może nauczyć Bena mówić” - zdecydowała Mad i ku przerażeniu Dottie umieściła obu chłopców na jednym piętrowym łóżku. Od tej chwili Colin stał się dla Bena bogiem, chociaż w mowie nadal nie było widać postępów.

- Co wy wyprawiacie? - spytała podejrzliwie Emma.

Colin leżał nieruchomo na górnym łóżku, okryty prześciera-
dłem, z rękami skrzyżowanymi na piersi i z zamkniętymi oczami. Emma podeszła bliżej i szturchnęła go w policzek.

- Idź sobie, Emmo - powiedział, otwierając jedno oko. - Od-
grywam Benowi sztukę. Jestem teraz Madam i umieram. Za
chwilę zacznę sapać i charczeć i na tym sztuka się skończy. Ben
będzie musiał bić brawo, a ja zeskoczę i się uklonię.

- Cóż za koszmarna zabawa - oburzyła się Emma. - W tej
chwili przestańcie! Ubierać mi się, bo za minutę śniadanie.

Colin zrobił zboląłą minę.

- Wcale nie koszmarna, tylko realistyczna. Sama Madam to
wymyśliła, a my urządziliśmy próbę. To znaczy - ja próbowa-
łem, a Ben robił za publiczność.

Emma zostawiła ich i wyszła z pokoju. Cały kłopot w tym -
jak zwykł mawiać Pa (choć Emma nie lubiła przyznawać mu
racji, gdy chodziło o Mad) - że Mad to ostatnia osoba na świe-
cie, której powinno się pozwolić na założenie domu dla nie-
przystosowanych społecznie dzieci. To prawda, są tu szczęśli-
we, ale żyją w nierealnym świecie fantazji. Jak ja, dumiała
Emma, jak ja... Wszyscy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.
Z gliny Mad...

Wąskim korytarzem przeszła do pokoju średniaków. Tak na-
zywano dwunastoletniego Andy'ego i dziewięcioletniego Sama,
dla odróżnienia od „starszych” - dwiętnastolatka Joego i sie-
demnastolatka Terry'ego. Średniacy także sypiali na piętrowym
łóżku, ale ich pokój był większy od norki maluchów i pano-
wał w nim charakterystyczny smrodek. Jego źródło stanowiła
druciana zagródka, w której rezydowała wiekowa szara wie-
wiórka. Sam uznał, że zwierzątko nie da sobie rady na wolnoś-
ci, więc od kilku tygodni mieszkało razem z nim i z Andym.

Na podłodze poniewierały się łupinki od orzechów; Dottie protestowała niemal ze łzami w oczach, twierdząc, że to wbrew wszelkim zasadom higieny.

- Higiena, też coś! - prychała gniewnie Mad. - Sam na pewno zostanie słynnym zoologiem i dostanie Nagrodę Nobla. Nie będę mu rzucać kłód pod nogi!

Kiedy Emma weszła do pokoju, Sam klęczał na podłodze, ale wcale nie zajmował się wiewiórką. Nowy lokator, gołąb, powłóczył skrzydłem, Sam zaś namawiał go czule do dziobania ziarna ze swej wyciągniętej ręki. Na widok Emmy obejrzał się przez ramię i położył palec na ustach.

- Nie podchodź za blisko - szepnął. - Możesz go wystraszyć. Jak już uzna mnie za przyjaciela, to może pozwoli opatrzeć sobie skrzydło.

Może tak, może nie. Sam już przedtem próbował ratować ranne ptaki, ale nie zawsze odnosił sukcesy. Potem były łyzy, ceremonie pogrzebowe w krzakach z udziałem nieodmiennie zafascynowanego śmiercią Colina w roli pastora.

- Jak to się stało? - spytała Emma, także szeptem.

- Spadł z dachu. Coś go przestraszyło.

Sam miał pociągłą, chudą twarz i wrodzonego zęza - znak szczególnie, wprawiający w zakłopotanie tych, którzy chłopca dostatecznie nie znali i nie rozumieli. Może to właśnie zęz zbijał z tropu jego rodziców i czynił ich popędliwymi. Sam był regularnie bity, a kiedy Mad zobaczyła jego siniaki, natychmiast zabrała go do siebie.

- Co go przestraszyło? - indagowała Emma. - Samoloty?

Zezujące oczy wielokrotnie ratowały Sama z opresji. Nigdy nie można było poznać z ich wyrazu, czy chłopiec mówi prawdę.

- Tak - przyznał. - Przynajmniej ja tak uważam.

Otwarte okno oraz nieobecność współlokatora sugerowały coś wręcz przeciwnego, ale Emma miała dość rozsądku, by nie spodziewać się, że Sam wyda Andy'ego.

- No dobrze, nie musisz mi mówić. Wiem, że znów siedzi na dachu. Widziałam obluźowane dachówki.

Przeszła przez pokój i otworzyła szerzej okno. Trzymając je mocno za ramę, wychyliła się tyłem, co wyglądało tak, jakby

miała popełnić samobójstwo. Kwadratowy komin na końcu dachu, zatkany od środka, miał okrągły otwór, przez który kiedyś, w zamierzczłych czasach, wydobywał się dym z ogromnego kuchennego pieca. Teraz ów otwór stanowił świetny punkt obserwacyjny dla małego poszukiwacza przygód. Dobrze zamaskowany, dzięki czuprynie, która z daleka mogła uchodzić za kawcze gniazdo, Andy siedział tam niczym władca całej okolicy, co nie zawsze podobało się tym na dole.

- Złaż - warknęła Emma. - Nie będę dwa razy powtarzać.

Kawcze gniazdo drgnęło. Broń także. Jak, u licha, udało mu się nie tylko wspiąć po stromym dachu, ale wtaszczyć tam łuk, który powinien stać wraz z innymi w głównym holu? Przecież chłopcom zabroniono ich nawet dotykać.

- Dostałam je od marszałka polnego - mawiała Mad. - Pasjonował się toksofilia.

- Wierutne kłamstwo - szeptął Emmie Pa. - Kupiła je najmarku w Battersea.

Prawda to czy nie, strzały, które przynależały do łuków, naprawdę były śmiertcionośne. Z komina wynurzyły się głowa i ramiona Andy'ego. Uśmiechnął się ujmująco do Emmy.

- Tylko drasnąłem tego gołębia - zawołał. - Nie chciałem, próbowałem wystraszyć samoloty, ale były za wysoko. Kilka helikopterów zeszło niżej, żeby tak jeszcze trzydzieści metrów, jak nic trafiłbym w pilota!

- No to masz pecha - fuknęła Emma. - Teraz szybko złaż na dół i odłóż łuk tam, skąd go wzięłeś.

- Ależ on jest mój! - wrzasnął Andy, otwierając szeroko oczy. - Madam mi go dała, nie wiedziałaś?

Emma wzruszyła ramionami i wycofała się ze swego niepewnego stanowiska w oknie. To beznadziejne. Nie ma co marzyć o wdrożeniu jakiegokolwiek rozkazu. Pewnego dnia ktoś zostanie zamordowany i nie będzie to winą ani jej, ani Dottie, ani chłopców. Cała odpowiedzialność spadnie na Mad. A co do Andy'ego, to zdawałoby się, że dziecko, które jako jedyne wyszło cało z katastrofy lotniczej (zginęli w niej zarówno jego rodzice, jak i starsza siostra; sabotaż; bomba wybuchła tuż po starcie), powinno by się wzdragać przed samym pomysłem, by doprowadzić inny

samolot wraz z załogą do twardego lądowania wśród płomieni. Co tylko dowodzi, że... Że co?

- Mówiłam, że to pechowy poranek - zauważyła Dottie, stając półmisek z jajkami na opartym na kozłach stole. - Telefon nie działa. Chciałam zadzwonić do rzeźnika i okazało się, że linia uszkodzona. Nie wiem, co Madam na to powie. Zanieś jej sok pomarańczowy, dobrze, kochanie? Nie sądzę, abym mogła teraz przed nią stanąć. Dosłownie jedno po drugim... O, chyba jest Terry z pocztą.

Nieuchronny trzask roweru ciśniętego na ziemię pod kuchennym oknem. Potem tupot na tylnych schodach i do kuchni wpada Terry z policzkami czerwonymi jak jego koszula. Wygląda jak młody Byron ze swym wyrazistym profilem i rozwichrzonymi kędziorami. Choć ma dopiero siedemnaście lat, przyprawia o przyspieszone bicie serca wszystkie dziewczęta w promieniu kilkunastu kilometrów. Pech chciał, że jego matka narkomanka, która nie potrafiła wymienić nazwiska ojca, w przystępie rozpaczki podcięła sobie żyły, zostawiając Terry'ego na łasce losu. Znalazła go sąsiadka, a potem uciekał z każdego sierocińca, póki nie uratowała go Mad - oczywiście ładnych parę lat temu. Był jej pierwszym odkryciem, toteż nigdy nie pozwalała o tym zapomnieć.

- Nie macie pojęcia, co się dzieje - wołał zdyszany, patrząc to na Dottie, to na Emmę. - Dojechałem raptem do końca tej uliczki. Wszędzie pełno żołnierzy! Na głównej ulicy wzniesli wielką barykadę! Nie pozwolili mi się zbliżyć bardziej niż na dwadzieścia kroków i machali, żebym zawracał! I cały czas te piekielne helikoptery - hałas jak sto diabłów! Okropność, zupełnie jak prawdziwe... Gdzie Joe?

Dobiegający z suterenyjek piły podpowiedział mu, że współlokator jak zwykle szykuje koszyk szczap do kominka Madam. Choćby niebo eksplodowało, a helikoptery wylądowały w ogrodzie, Joe nadal z niezmaconym spokojem troszczyłby się o potrzeby Madam, a zadanie to sam sobie narzucił.

- Barykady, też coś! - prychnęła Dottie. - I co jeszcze wymyśla? A nie widziałeś pocztowej ciężarówki?

Terry wytrzeszczył na nią oczy.

- Zwariowałaś? Jak mogła się przebić przez to wszystko? Zresztą kilku łebków siedzi na słupach telegraficznych i majstruje przy drutach.

Trzasnął kuchennymi drzwiami i zbiegł ze schodów do Joego.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie mogłam się dodzwonić do rzeźnika - westchnęła Dottie. - No, niech no tylko Madam o tym usłyszy! Ale będzie piekło! Masz, to jej sok. - Podała Emmie zgrabnie zastawioną tacę. - Ciekawe, czemu dotąd nie zadzwoniła? Przypomniałaś Andy'emu, żeby wyczyścił zęby?

Emma nie odpowiedziała. Zęby Andy'ego to sprawa drugoplanowa w porównaniu z dziwnymi wydarzeniami, które na pewno fatalnie się odbijają na porannym humorze Mad. Szła powoli po schodach, niezadowolona ze swej misji, gdyż niefortunne wypadki, niepodporządkowane wyraźnie celom seniorki, mogły mieć zgubne konsekwencje dla wszystkich domowników. Na szczycie schodów przystanęła. Tabliczka z napisem: „Nie przeszkadzać”, która zwisała z klamki, obrócona była na drugą stronę. Widniał tam cytat z „Piekła” Dantego: *Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją**; jeden z partnerów scenicznych Mad umieścił go kiedyś na drzwiach jej garderoby jako ostrzeżenie dla ewentualnych intruzów.

Emma kaszlnęła, zapukała i weszła do sypialni swej babki.

* Tłum. Edward Porębowicz.

2

Mad nie leżała w łóżku. Siedziała w fotelu przy otwartym oknie z widokiem na zatokę z lornetką polową przy oczach. Była kompletnie ubrana, jeśli tak można określić jej strój, na który składała się kombinacja kostiumu Robina Hooda i uniformu nieodżałowanego Mao Zedonga. Całkiem praktyczny ubiór jak na wczesny listopad w Kornwalii, jeśli tylko zamierzało się wziąć udział w zawodach łuczniczych albo czyścić lokomotywę. Emma nie sądziła, by babkę czekało dziś któreś z tych zajęć, ale czy człowiek może być do końca pewny, co przyniesie dzień?

- Dottie przeprasza. To jeden z tych pechowych ranków. Mam nadzieję, że nie siedzisz tak od kilku godzin. Te samoloty chyba się powściekały, a Terry powiada, że na szczycie wzgórza przy głównej ulicy są blokady i wszędzie pełno żołnierzy. Jakieś piekielne ćwiczenia czy co? Samochód pocztowy nie może dojechać, telefon nie działa i nawet radio milczy. Proszę, kochanie, oto twój sok.

Postawiła tacę na biureczku pod oknem. Mad się nie odezwała, całkowicie pochłonięta studiowaniem widoku przez lornetkę. Obserwowanie statków, które stały na kotwicy przed wpłynięciem do portu, należało do jej ulubionych zajęć. Lubiła myśleć, że potrafi odróżnić narodowość każdego z nich po kształcie i wyglądzie, niezależnie od bandery, ale dziś miała utrudnione zadanie. Na kotwicy kołysał się nie statek handlowy, czekający na załadunek kaolinu, tylko okręt wojenny nieznanej, bo niewidocznej bandery. Z kształtu czy nadbudowy też niewiele dawało się rozszyfrować. Dla Emmy nawet bez pomocy lornetki było oczywiste, że latające tam i z powrotem helikoptery wysyłane są z bazy na tymże okręcie.

- Nadal nie mogę pojąć - ciągnęła - czemu ćwiczenia marynarki muszą powodować tyle zamieszania na całym wybrzeżu. Zakłócają odbiór radia, psują telefony, nie dopuszczają wozu pocztowego...

Mad opuściła lornetkę i sięgnęła po sok. Emma zastanawiała się, dlaczego nie słyszy normalnych w tych okolicznościach okrzyków zniecierpliwienia czy złości. Przeciwnie, babka jest zamyślona, wręcz smutna. Czysty profil, który w latach jej młodości, a właściwie przez całą karierę teatralną, widniał na pocztówkach całego świata, wydał się nagle surowy, orli. Krótko przycięte siwe włosy, wijące się u nasady karku, nadawały jej wygląd nie słynnej piękności, aktorki, która obchodząc za dwa tygodnie osiemdziesiąte urodziny, będzie skłaniać z wdziękiem głowę i muskać palcami bukiety z Interflory, ale sędziwego rycerza, może rzymskiego legionisty, po długich latach rozleniwienia i pokoju podnoszącego głowę i wietrzącego nadciągającą bitwę.

- To nie są ćwiczenia marynarki - orzekła. - Ani nie manewry połączonych sił. Uprowadzono by nas, gdyby tak było. Jimmy Jollif już dawno by do mnie zadzwonił.

Admirał Jollif był dowódcą w Devonport oraz synem dawnego, nieżyjącego już przyjaciela Mad, wobec czego posyłałi sobie nawzajem kartki na Boże Narodzenie. Kiedyś nawet zjawił się na lunchu. Emma miała wątpliwości, czy rzeczywiście admirał za telefonowałyby do Mad, aby ją ostrzec o ewentualnych kłopotach z dostawą poczty i zakłóceniami w pracy telefonów. Ale kto wie?

- Może te ćwiczenia specjalnie miały być takie realistyczne, żeby wywołać wstrząs. Inaczej traciliby tylko czas. Dobrze, że chłopcy mają przerwę w szkole i nie muszą łapać autobusu - nigdy by nie dotarli w porę na lekcje.

Mad odwróciła się i spojrzała na wnuczkę. Błękitne oczy nagle rozblęły, a twarz rozjaśnił konfidencjonalny uśmiech.

- Powiedz Dottie, żeby dała im podwójne porcje jajek na bekonie. To może być dzisiaj ich jedyny solidny posiłek.

- Och, daj spokój, Mad...

- Ja nie żartuję. I niech siedzą w domu. Nie tylko maluchy, Joe i Terry także. Andy ma się trzymać z daleka od komina. Może pomóc Samowi w sprzątananiu pokoju, ale niech nie płoszy wiewiórki.

- Dziś rano był tam jeszcze gołąb - mruknęła Emma, czując się jak szpicel.

- Ach tak? - Mad zamyśliła się znowu. - To ciekawe. Kto wie, może to gołąb pocztowy? Czy miał liścik pod skrzydłem?

- Skrzydło miał złamane, a w każdym razie niesprawne.

- Hmm... Może to jakiś znak?

Problem w tym, że człowiek nigdy nie wiedział, kiedy Mad grała, a kiedy nie. Jej obecne życie często przekształcało się w wystudiowaną grę pozorów, ale czy chciała w ten sposób pobudzić utajoną wyobraźnię chłopców, czy też zabawiała się, czując, że krew w niej stygnie, tego Emma nie potrafiła rozstrzygnąć. Pa twierdził, że ani jedno, ani drugie; to siła nawyku, jak codzienne czyszczenie zębów. Według niego Mad po prostu musiała dać codziennie dwa przedstawienia dla dawno wymarłej publiczności. To dość okrutne przypuszczenie, ale bankier nie ma czasu na sentymenty.

- Patrz - odezwała się nagle Mad, wskazując zaorane pole za murem ogrodu. - Jacyś ludzie idą z plaży, chyba wylądowali helikopterem czy czymś podobnym. Zapomniałam, jak dziś takich nazywają. Biegnij w tej chwili na dół i powiedz, żeby nikt, powtarzam, nikt, nie opuszczał domu. To rozkaz. Zaraz zejść sama i wszystkiego dopilnuję, tylko najpierw muszę zobaczyć, dokąd oni idą. I pod żadnym pozorem nie wypuszczajcie Folly.

Folly była czternastoletnią dalmatynką, ślepą na jedno oko i głuchawą. Przesiadywała na fotelu w kącie biblioteki i rzadko się stamtąd ruszała poza tym, że dwa razy dziennie musiała przykucnąć na dawno wyłysiałym wskutek jej działań skrawku trawy.

Emma po raz ostatni obejrzała się przez ramię i zastygła w miejscu. Babka miała rację. Rzeczywiście jacyś mężczyźni, żołnierze w hełmach na głowach i tych idiotycznych „kamouflażach”, które wszyscy teraz noszą bez względu na to, do jakiej armii należą, ciągnęli tyralierą przez pole ze strzelbami gotowymi do strzału.

- Już wiem - wykrzyknęła i roześmiała się, bo przecież od razu powinna się domyślić. - To film! Kręcą tu jakiś film, są tu na planie. A ci ludzie na szczycie drogi, którzy gmerają przy drutach telegraficznych to wcale nie żołnierze, tylko operatorzy. Och nie... Jak mogą straszyć psa!

Spry, gospodarski collie, który po mistrzowsku radził sobie z owcami swego pana, ale potwornie bał się wszelkiego huku, począwszy od piorunów, a skończywszy na nisko latających samolotach, najwyraźniej się wymknął ze swego bezpiecznego legowiska w zagrodzie za wzgórzem i pędził teraz co sił w nogach przez pole przed żołnierzami. Jeden z nich przystanął i wziął go na cel, ale nie wystrzelił. Potem, kiedy kolejny helikopter zawarczał tuż nad dachem, Spry w panice zawrócił ku zatoce i żołnierzowi, szczerkając wściekle, jak to miał w zwyczaju, gdy ktoś naruszył jego terytorium. Tym razem żołnierz strzelił.

- A bodaj byś z piekła nie wyrzął! - wrzasnęła Mad.

Spry nie był już stróżem trzody swego pana ani nawet zwykłym psem, ale krwawym strzępkim. Mad odłożyła lornetkę, wstała z fotela i skierowała się do drzwi.

- Film, co? - syknęła do Emmy na odchodnym.

To nieprawda, myślała oszołomiona Emma. To nie może być prawda. Żołnierze nie strzelają do zwierząt, oni je kochają, to są ich maskotki... Jeszcze zanim Mad zdążyła zejść na dół, rozległ się jej ostry głos:

- Sam, do mnie!

Potem skrzywnęły frontowe drzwi i ze szczytu schodów Emma dostrzegła drobną figurkę pędzącą przez trawnik do furtki i dalej przez podjazd i sad na pole. Sam widział, co się stało. Biegł na ratunek swojemu przyjacielowi Spry'owi. Histeria, panika - te obce dotąd uczucia - poraziły w jednej chwili Emmę; skoro strzelają do zwierząt, to mogą także do dzieci!

- Sam! - wrzasnęła, pędząc po schodach na dół. - Sam...

Nagle poczuła w swojej dłoni rękę Mad - nieustępliwą, twarzą, chłodną.

- Nie martw się - powiedziała babka. - Każą mu wracać. Ten, kto zastrzelił Spry'a, nie powtórzy swego błędu. I tak będzie się musiał tłumaczyć plutonowemu czy kto tam dowodzi tym piekielnym oddziałem.

Emmie łyzy ciekły po policzkach. Niespodziewana, straszliwa śmierć psa, którego wszyscy znali i który zalecał się w pewnych okresach do ich Folly, potem Sam pędzący prosto pod ogień karabinów - nie, to już nie jej świat, to jakiś koszmar!

- Jak możesz być taka zimna? - szlochała. - Jak możesz?!

Rzuciła okiem na sad. Sam dotarł do dziury w żywopłocie i właśnie miał przeleźć na drugą stronę, kiedy jeden z mężczyzn szybko wystąpił naprzód i coś do niego powiedział. Położył mu rękę na ramieniu. Sam odwrócił się i wskazał na dom. Mężczyzna jakby się zawahał, potem krzyknął coś do pozostałych żołnierzy, a sam przeszedł przez dziurę i razem z chłopcem podążył wolno przez sad w stronę domu. Reszta posuwała się dalej po zaoranym polu. Część zmierzała do lasku, część do padoku, który prowadził do uliczki i dalej do głównej drogi.

Z kuchni dobiegały podniesione głosy, kłótnie, piskliwe dziecięce pytania. Wreszcie w holu pojawiła się zdenerwowana Dottie, a tuż za nią Terry.

- Co się dzieje, Madam? - spytała trwożnie. - Słyszeliśmy strzał i Sam mówił coś o jakimś psie. To chyba nie Folly, prawda? Sam wyrwał się z domu, nie zdołałam go powstrzymać.

- Przyprawdę go - wtrącił Terry. - Ci faceci są wszędzie, tylko spójrzcie, właśnie idą przez padok. A niech to cholera! Proszę mi to zostawić, Madam, już ja tu zrobię porządek, ja...

- Wybij to sobie z głowy - powiedziała Mad. - Zrobisz, co ci każę. Wrócisz do kuchni i będziesz tam siedział. Ty także, Dottie. Aha, przyslij mi Joego. Ktoś musi uspokoić Sama. Zdarzył się wypadek. Żaden z pozostałych chłopców nie ma prawa wyjść bez mojego pozwolenia.

Terry obrócił się na pięcie, burcząc coś pod nosem. Dottie zawahała się przez chwilę, mruknęła:

- Tak, Madam - po czym się wycofała.

Usta Mad były ułożone jak do gwizdu - oznaka zagrożenia dla wszystkich, którzy ją znali. Sam i żołnierz minęli już sad i wkrótce doszli do furki oddzielającej trawnik od podjazdu. Emma poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. To Joe. Nic nie mówił, tylko patrzył na nią badawczo. Miał teraz dziewiętnaście lat - był najstarszy i najbardziej godny zaufania z całej adoptowanej gromadki. Szczera, otwarta twarz mogłaby uchodzić za przystojną, gdyby nie nieregularne rysy, wywinięta górna warga i blizna pod prawym okiem. Joe nie był ani sierotą, ani nieślubnym dzieckiem. Jedyne dziecko swych rodziców miał tę wadę, że nie mógł nauczyć się

czytać ani pisać. Kiedy zaczął chodzić do szkoły, jego rodzice (oboje nauczyciele) uznali, że sytuacja ich przerasta, i wyemigrowali do Australii, pozostawiając Joego pod opieką dziadka, który wkrótce zmarł. „Gdyby nie Joe, nigdy nie dałabym sobie rady. To jedyna osoba oprócz mnie samej, na której można polegać”, mawiała czasem Mad. Nigdy nie musiała tracić wielu słów - Joe wszystko rozumiał w lot i spełniał każde polecenie.

- Zastrzelili Spry'a - powiedziała. - Sam tego nie zrozumie i będzie zdenerwowany. Zabierz go od razu do jego pokoju, z daleka od innych, i posiedź z nim, póki się nie uspokoi. Pomóż mu z tym gołębkiem, co to ma uszkodzone skrzydło. Facetem ja się zajmę.

Ze stojaka w holu wyjęła laskę i przez jeden straszliwy moment Emma myślała, że jej babka zamierza rzucić się na żołnierza, który szedł już ogrodową ścieżką.

- Bądź ostrożna - wyrwało się jej bezwiednie.

- Nie bój nic - odparła Mad. - Skoro nie strzelają do chłopców, to może nie strzelą i do staruszki... Póki co.

Zeszła do ogrodu z Joem u boku. Emma, w której ciekawość wzięta górę nad strachem, wpatrywała się w mężczyznę. Gdyby nie bojowy ekwipunek i broń, wyglądałby całkiem zwyczajnie, może na trochę spiętego. Sam nie płakał, chyba był w szoku. Joe podszedł do niego wolno, wziął go na ręce i bez słowa zawrócił w stronę domu. Żołnierz się zatrzymał, nawet stanął na baczność i zasalutował. Musi być niezłe wyszkolony, pomyślała Emma, bo przecież nie mógł się spodziewać, że wyjdzie mu na spotkanie starowinka o wyglądzie Mao Zedonga.

- Przykro mi z powodu psiaka, prosz-pani. Błąd w ocenie ze strony jednego z moich ludzi.

Niesamowite! Mówił z amerykańskim akcentem! A więc to naprawdę jakaś wspólna operacja. Emma zerknęła na babkę, która jednak nie okazała cienia emocji.

- To nie mój pies - odrzekła. - Należy do pana Trembatha, tutejszego farmera, i jest, a właściwie był, bardzo cenny.

- Farmer otrzyma odszkodowanie - rzekł żołnierz. - Wszystkie meldunki o szkodach będą załatwiane szybko i kompetentnie. A tymczasem radziłbym aż do odwołania siedzieć w domu. Dziękuję pani.

Zasalutował ponownie, ale - jeśli chodzi o Mad - mógł sobie darować tę kurtuazję. Staruszka postąpiła krok dalej i żołnierz, aby zachować godność, musiał się cofnąć.

- Zechce pan poinformować mnie, o co w tym wszystkim chodzi? - spytała czystym, donośnym głosem, jakby zwracała się do tylnych rzędów galerii.

- Przykro mi, prosz-pani, mogę powiedzieć tylko tyle, że w całym kraju wprowadzono stan wyjątkowy. Proszę słuchać lokalnych stacji radiowych i telewizyjnych, powinny zacząć nadawać w ciągu godziny. Dziękuję.

Trzasnął obcasami, odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą furtkę. Oddalał się rytmicznym krokiem w stronę głównej ulicy. Jego towarzysze bronili udali się w tym samym kierunku.

- Co oznacza „stan wyjątkowy”? - spytała Emma.

- Właśnie to - odparła sucho Mad. - Idź, zrób mi filiżankę kawy, a Dottie niech dopilnuje śniadania. Jest dokładnie 9.35. Jeśli ten człowiek wie, co mówi, o dziesiątej powinno być jakieś oświadczenie. Włącz kuchenne radio tuż przed pełną godziną, ja nastawię telewizor. Jeśli coś się zacznie dziać, zawołam ciebie i chłopców. To dotyczy wszystkich - zarówno dorosłych, jak i dzieci.

Emma straciła apetyt nawet na płatki. Wciąż stał jej przed oczami widok przerażonego psa, który zawraca ku zatoce i nagle staje się... niczym. Pod górę pnie się tyraliera mężczyzn... Zszokowany Sam...

W kuchni trwało śniadanie; atmosfera była napięta. Terry, zły, że Mad utarła mu nosa, siedział z naburmuszoną miną na przystojnej twarzy. Andy, wyrzucony z własnego, choć dzielonego z Samem pokoju bez słowa wyjaśnienia, wyraźnie stracił animusz. Spojrzenie siedzącej u szczytu stołu Dottie także nie wróżyło niczego dobrego. Emma włączyła radio. Nadawali „Ziemię nadziei i chwały”.

- Mad sądzi, że o dziesiątej będą wiadomości - wyjaśniła. - Żołnierz, który przywiódł Sama, radził trzymać radio włączone. Podobno w całym kraju wprowadzono stan wyjątkowy i wszyscy mają siedzieć w domach.

Teraz ja jestem ta spokojna, myślała. Teraz ja tu rządzę. Tak jakbym była zastępczynią Mad, ale nie w zwykły, codzienny sposób. To krzys.

- Stan wyjątkowy? - Dottie opadła szczęką. - To znaczy, że mamy wojnę?

- Nie wiem, żołnierz nam nie powiedział. Nawiasem mówiąc, to Amerykanin.

- Jankes?! - Terry zapomniał o dąsach i zerwał się na nogi. - Chcesz powiedzieć, że ci wszyscy tam, przy barykadzie, to Jankesi? A cóż oni tu robią, u diabła? Na co komu cholerna barykada, jeśli ruscy tu wylądują? Nawet mnie w ten sposób nie powstrzymają, a co dopiero ruskich!

- Owszem, powstrzymają cię, jeśli po drugiej stronie będzie stał Jankes z bronią - wtrącił Andy.

Trafił w dziesiątkę i Terry wydawał się przez chwilę zbity z tropu.

- Dobra, ale dlaczego jakiś cholerny Jankes miałby do mnie strzelać? Przecież nic złego bym nie robił!

- Mógłbyś na przykład uciekać. Jak Spry.

Zapadła cisza. Każdy na swój sposób wspominał poranny incydent. Nawet Colin posmutniał. Joe, idąc z Samem na górę, szepnął mu wprawdzie po drodze, że zdarzył się wypadek i ranniono psa, ale Colin nie wiązał tego z hukiem samolotów i gadaniną podnieconego Terry'ego o żołnierzach.

- Emmie - zaczął wolno - czy to znaczy, że jakiś amerykański żołnierz strzelił do Spry'a?

Andy wyręczył ją w odpowiedzi:

- Owszem, w dodatku zastrzelił go na śmierć.

- To był wypadek - pośpieszyła z wyjaśnieniem Emma. - Żołnierz przyszedł potem z przeprosinami.

- Ciekawe, jak mamy zawiadomić pana Trembatha, skoro telefony nie działają i nie wolno wychodzić z domu? - spytał Terry. - Będzie mu strasznie przykro, zresztą im wszystkim, a zwłaszcza Myrtle. - Myrtle miała piętnaście lat i była aktualną dziewczyną Terry'ego. - Słuchaj, może wymknę się przez pole, dosłownie na pięć minut...

- Nie - odparła Emma. - Nie...

Terry rzucił jej wyzywające spojrzenie, potem włożył ręce do kieszeni dżinsów i kopnął nogę od stołu. Zanim jednak zaczął się wykłócać, w radiu umilkła muzyka i odezwał się głos:

- Za chwilę, po sygnale czasu o godzinie dziesiątej, nadamy ważny komunikat.

- To właśnie to. - Emma złapała tacę z kawą. - Możecie wszyscy przyjść do biblioteki. Mad powiedziała, że to będzie też w telewizji. Andy, zawołaj Joego i Sama.

Wyszła pośpiesznie z kuchni, a za nią Dottie i chłopcy. Babka siedziała na fotelu z lornetką na czubku głowy, gotowa w każdej chwili zsunąć ją na nos. Telewizor był włączony i ukazywał nieznany dotąd obraz: dwie narodowe flagi - brytyjską i amerykańską, złączone u podstawy. Colin z Benem między kolanami usadowił się na stołeczku u stóp Mad.

- Co ma być? Jakiś western? - zapytał.

- Ciii - syknęła Emma.

Wszedł Joe z Samem za rękę i obaj usiedli na podokiennej ławeczce koło Terry'ego i Andy'ego. Dottie, zerknąwszy na Mad, przysunęła sobie twarde krzesło. Emma przysiadła na oparciu sofy. Dwie flagi zniknęły, ustępując miejsca spikerowi, na którego pogodnej zwykle twarzy widać było niepokój i przygnębienie.

- Witam wszystkich widzów na południowym zachodzie - powiedział. - Tu wasza lokalna stacja w Plymouth. Dzisiejsza poranna transmisja nie odbyła się z powodów od nas niezależnych. Przyczynę wyjaśni państwu obecny w naszym studiu kontradmirał sir James Jollif, dowódca floty Okręgu Zachodniego.

Kamera skierowała się na łysęgo admirała, który przysłał Mad kartki świąteczne i raz był u niej na lunchu. W galowym mundurze wydawał się znacznie bardziej nieprzystępny niż dwa lata temu, kiedy nosił szorty z rozciągniętą bawełnianą koszulką i grał z chłopcami w badmingtona na trawniku.

- To ten stary pierdoła, kumpel Madam - wrzasnął z zachwytem Colin, a Ben między jego kolanami zaczął klaskać.

Tym razem to Dottie uciszyła ich syknięciem. Mad siedziała z nieprzeniknioną twarzą, ale zdecydowanym ruchem przesunęła lornetkę na nos.

- Dzień dobry państwu - zaczął admirał Jollif. Ton był poważny, lecz nieprzesadnie, i Dottie wywnioskowała, że nie zbombardowano jeszcze pałacu Buckingham, a drogiej królowej nic nie grozi. - Mam za zadanie poinformować państwa, że od pół-

nocy obowiązuje w naszym kraju stan wyjątkowy. Na całym obszarze Zjednoczonego Królestwa podjęto stosowne środki, konieczne dla zapewnienia wszystkim obywatelom bezpieczeństwa, dopływu energii i niezbędnych usług. Mimo to poczta nie będzie działać, odwołuje się też wszystkie pociągi na okres dwudziestu czterech godzin, a może i dłużej. Połączenia telefoniczne będą realizowane wyłącznie w nagłych wypadkach. Z wyjątkiem osób zaangażowanych do pracy na kluczowych odcinkach, wszyscy mają aż do odwołania pozostać w domach, a jeśli już je opuścili, udając się do pracy lub gdzie indziej, proszeni są o natychmiastowy powrót.

Obawiam się, że nie jestem upoważniony do udzielenia w tej chwili dalszych informacji. Pragnę jednak zapewnić wszystkich państwa, iż nie ma powodu do paniki. Powtarzam z całym naciskiem: Nie ma powodu do paniki. Samoloty, które państwo widzieli i słyszeli dziś rano, mają przyjazne zamiary. Na Kanale Angielskim* znajduje się Amerykańska Szósta Flota. Oddziały, które państwo być może zauważyli dziś w miasteczkach i portach, należą do połączonych sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Przebywają w Zjednoczonym Królestwie za naszą wiedzą i przy pełnej współpracy z naszej strony. Proszę zachować spokój, trzymać włączone radia i telewizory i niech was wszystkich Bóg błogosławi.

Twarz wsiąkła w ekran i z powrotem wynurzyły się dwie flagi. Tym razem zamiast „Ziemi nadziei i chwały” zabrzmiały dźwięki „Gwiazdzistego sztandaru”. Mad wstała, zdjęła lornetkę i wyłączyła telewizor.

- To wszystko? - spytał wyraźnie zawiedziony Colin.

- Na razie tak - odrzekła Mad. - I zupełnie wystarczy.

Wszyscy się podnieśli. Dawało się wyczuć pewne obniżenie nastroju, szczególnie wśród młodszych domowników, tak jak po gwiazdkowym przemówieniu królowej. Ciekawe, co teraz każdy z nas zrobi, zastanawiała się Emma. Sam ukląkł obok starej Folly, która rozparta na jedynym wygodnym fotelu (poza fotelem Mad), oddawała się zdrapywaniu narośli z lewego ucha.

* Angielska nazwa kanału La Manche.

- Nie bój nic, Fol-Fol - przemawiał do niej czule. - Nikt cię nie zastrzeli. Niech tylko jakiś żołnierz spróbuje, to już Andy mu pokaże!

- Bardzo słusznie - powiedziała Mad, składając usta do bezgłośnego gwizdu.

No nie, myślała Emma, tylko niech nikt mi nie mówi, że ona zaczyna popychać chłopców w tym kierunku! Bo jeśli tak, to wszyscy wpadniemy w kłopoty. Bóg wie, co się może zdarzyć. Uniosła brwi, patrząc na Dottie, która wyprowadzała chłopców z pokoju.

- Czy mogę pójść na farmę? Chcę ich zawiadomić o Spry'u - poprosił Terry.

Mad rzuciła mu spojrzenie, które Emmie się nie spodobało. Między babkę a jej pierwszego wychowanka wyraźnie wkradł się cień fałszu.

- Jeszcze nie teraz. Poczekaj, aż dam ci znać.

Emma zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim znów włączy telefony i zanim świat zacznie przynajmniej z grubsza normalnie funkcjonować. Bo kiedy to nastąpi, trzeba będzie przede wszystkim zatelefonować do Londynu, do Pa, i zapytać, co się takiego stało. On będzie wiedział; ma przecież kontakty z tyloma wysoko postawionymi ludźmi, nie tylko bankierami, ale nawet z ministrami. Pa będzie stanowczy wobec Mad, ostrzeże ją przed nierozważnymi krokami. To przerażające, że gdy chodzi o Mad, człowiek nigdy nie wie, czego się spodziewać.

Mały Jezusek, ściskając mocno rączkę swego czarnego braciśzka, zatrzymał się w progu.

- Chcę o coś zapytać. Czy amerykańscy żołnierze to ci „dobrzy” czy ci „źli”?

Pytanie skierowane było do Mad. Nie odpowiedziała od razu, tylko zaczęła pogwizdywać pod nosem. Potem rzuciła Colinowi uśmiech. Nie taki pocztówkowy, który znali wszyscy jej fani, ale przeciągły, chytry uśmiech rzymskiego legionisty.

- Tego właśnie, mój chłopcze, zamierzam się dowiedzieć.

3

Dzień toczył się dalej, ale nie czuło się zwyczajowej rutyny. Domowe obowiązki spełniano byle jak i niechętnie, wszyscy byli podenerwowani. Mad wróciła na swoje stanowisko przy oknie sypialni, nie przejawiała jednak ochoty do rozmowy z kimkolwiek, po prostu siedziała przygnębiona, z lornetką na kolanach. Okręt wojenny nadal stał w zatoce.

- Jak myślisz, co się dzieje? - spytała w końcu Emma.

- Kotku, gdybym wiedziała, to bym powiedziała - burknęła babka. - Nie zadawaj głupich pytań, znajdź sobie coś do roboty.

Jak ona może spokojnie siedzieć, kiedy krwawe szczątki Spry'a wciąż leżą na środku pola? Przecież musi je widzieć za każdym razem, kiedy podnosi do oczu lornetkę!

Starzy ludzie i małe dzieci inaczej niż my reagują na różne sprawy, dumiała Emma. Świadomość budzi się w wieku ośmiu czy dziewięciu lat, jak u Sama, i odtąd prawie do pięćdziesiątki wszystko odczuwasz bardzo boleśnie. Dopiero wtedy człowiek obojętnieje i jest mu łatwiej.

Ale to by znaczyło, że Mad musiała się uodpornić już trzydzieści lat temu, a przecież to nie może być prawda. A Pa, który za rok skończy pięćdziesiąt lat, byłby na krawędzi... Nie, to na pewno zależy od charakteru. Nieczułość jest dziedziczna, tak samo jak skłonność do siwienia tuż po trzydziestce czy do nowotworów - jak u matki, którą Emma ledwie pamięta, bo ciągle przebywała w domach opieki; leżała w łóżku w różowym kaftaniku...

- Czy gdyby żyła, to ja byłabym inna? - pytała Emma babkę.

- Nie, dlaczego?

- Cóż... To kwestia wpływu matki, miłości macierzyńskiej.
- Ja ci to dałam.
- Tak, wiem, ale...

Ta biedna kobieta w różowym kaftaniku z pewnością cieszyła się swym mężem i dzieckiem, a potem wydarto ją z życia jak Emily Bronte...

- Nigdy mi nie mówiłaś, jaka ona była? - dopytywała się kiedyś. - Nie chodzi mi o wygląd, ale tak w ogóle.

A wtedy Mad spojrzała swjej wnuczce w oczy i z przerażającą szczerością, tak bardzo dla niej znamiennej, odpowiedziała:

- Była ślicznym stworzeniem, kotku, ale szczerze mówiąc, okropnie głupim. Nie mam pojęcia, co Pa w niej widział.

Potem już zawsze, kiedy Emma zrobiła łub powiedziała coś głupiego - na przykład stłukła talerz albo zapomniała w porę nabrać benzyny - czuła, że jest podobna do matki i że Mad nią gardzi. To mocno utrudniało jej życie.

Kiedy później weszła do jadalni, żeby posprzątać po lunchu Mad (zwykle jadały razem, ale dziś Emma czuła się w obowiązku dotrzymać towarzystwa Dottie i pomóc jej przy chłopcach), zastała pusty pokój, a na podgrzewaczu półmiski z nietkniętą zawartością. Babka musiała znowu wrócić do sypialni. Emma czym prędzej pobiegła na górę. Gryzło ją sumienie - może babka źle się czuje? Ale w sypialni także nikogo nie było. Wyjrzała przez okno i zobaczyła na zaoranym polu zgarbioną figurkę. Mad miała ze sobą łopatę Joego i kopała zawzięcie. Nie tyle zresztą kopała, co sypała na wierzch ziemię. To, co kiedyś było Spry'em, zniknęło. Kiedy skończyła, oparła się o łopatę i spojrzała na morze. Okręt nadal stał na kotwicy, a kilka helikopterów wróciło do bazy na pokładzie. Na ponurym, listopadowym niebie błysnęło słońce. Bandera na rufie zaprezentowała się w całej okazałości: widniały na niej gwiazdy i paski.

Mad odwróciła się i poszła wolno w stronę sadu. Emma zbiegła na dół. Lepiej nic nie mówić. Lepiej udawać, że niczego nie widziała. Ukrywszy się w toalecie, czekała, aż babka wejdzie do domu i zdejmie buty w szatni. Siedziała tam, póki nie usłyszała, jak Mad w bibliotece woła Folly. Wiedziała, co teraz nastąpi: Mad ukradkiem pokroi swoje jedzenie dla suki, aby Dottie się

nie zorientowała, że jej pani zrezygnowała z lunchu. I rzeczywiście. Kiedy Emma opuściła kryjówkę i weszła do biblioteki, Mad szukała okularów, a Folly się obliżywała.

- Ach, jesteś, kotku! - wykrzyknęła babka. - Rozglądałam się właśnie za tobą.

Kłamczucha! Nieznośna, podstępna, kochana kłamczucha!

- Powiedz Dottie, że stek był przepyszny, ale jarzyny nie zmogłam. Nie mam wielkiego apetytu.

Ja też bym nie miała, pomyślała jej wnuczka, gdybym dopiero co pochowała zakrwawionego psa...

- W wiadomościach o pierwszej nie podano niczego nowego - powiedziała, zmieniając temat. - Powtórzyli tylko oświadczenie admirała, więc przełączyliśmy się na Londyn, ale tam było to samo. Tyle że komunikat wygłosił główny dowódca sił lądowych, generał jakiś tam. Mówił to samo, tylko trochę innymi słowami.

- Wiem, słyszałam.

- W Londynie musi być teraz istny młyn. Jak myślisz, co robi Pa?

- Wydeptuje korytarze władzy. Jeśli jest tam jeszcze jakaś władza.

Emmę zawsze zdumiewało, że babka, która wprost bezgranicznie pobłażała adoptowanym chłopcom, wspierając ich i podpuszczając do różnych psot, do własnego syna odnosiła się często z dezaprobatą. Mawiała, że Pa jest zarozumiały. I absolutnie nie odziedziczył tej cechy ani po niej, ani po swym ojcu dramaturgu, oryginalnym i interesującym mężczyźnie, tylko po pradziadku proboszczu, któremu nie udało się zostać biskupem. Jej syn Victor, upierała się, zawsze trąbi, że wszystkich zna i trzyma palec na pulsie świata, a ludzie ze szczytów władzy proszą go o radę we wszystkich sprawach - od bankowości do polityki.

- Bo może tak jest - broniła Emma ojca.

- Bzdura! Ile razy proszę Vica o radę, zawsze się to źle kończy. Kiedyś namówił mnie do zakupu kilku akcji na giełdzie i natychmiast straciły na wartości. Nigdy go odtąd nie słucham.

- Ależ to było całe wieki temu!

- Wszystko jedno. Jego opinie są do bani.

Weszły razem do pokoju muzycznego. Nazywano go tak z powodu pianina, na którym nikt nie grał, ale było to ulubione miejsce Mad, zawsze pełne kwiatów, choćby tylko zasuszonych główek hortensji. Na ścianach wisiało mnóstwo jej fotografii w różnych rolach, co Emma uważała skrycie za przejaw próżności, ale może człowiek na stare lata lubi sobie przypominać czas młodości i sławy.

- Coś ci powiem - rzekła Mad, wrzucając do kominka jedną ze szczap starannie połupanych przez Joego. - Mam wrażenie, że twój Pa dobrze wiedział, że coś się święci.

- Co przez to rozumiesz?

- Kiedy dzwonił parę dni temu, zachowywał się trochę dziwnie. Miałam ci o tym powiedzieć, ale zapomniałam. Ciągłe powtarzał, że powinniśmy przyjechać na kilka dni do Londynu i zatrzymać się w jego mieszkaniu, bo jest mnóstwo rzeczy do omówienia. Zaproponowałam, żeby raczej on przyjechał tutaj, ale się wykręcał trudnościami i był taki... jakiś czujny. Powiedziałam, że nie ma o czym mówić, nie możemy przecież zostawić Dottie i chłopców, zwłaszcza w czasie przerwy semestralnej, a on na mnie huknął: „Do diabła z Dottie i chłopakami! Mam nadzieję, że nie pożałujesz...” Nie pożałujesz... To dziwne. I odłożyłam słuchawkę.

Emma zastanawiała się przez chwilę.

- No nie wiem - rzekła wolno. - Pa czasem denerwuje się byle głupstwem. Uważa, że się przepracowujesz. A co do chłopców, to zawsze go nudzili, dlatego przyjeżdża tak rzadko.

Helikoptery znowu przelatywały tam i z powrotem. Jeden chyba znacznie niżej od pozostałych, bo jego warkot uniemożliwiał rozmowę.

- Spójrz! - powiedziała, czy raczej krzyknęła Mad. - On zaraz wyląduje!

Maszyna opuściła się nad pole, minęła żywopłot i zawisła nad pastwiskiem przylegającym do ogrodu i podjazdu. Schodziła coraz niżej, opadała jak jastrząb z ogłuszającym rykiem wirującego śmigła, wreszcie wolno, bardzo wolno wylądowała pośrodku łąki. Śmigło obracało się jeszcze przez chwilę, po czym znieruchomiało. Otworzyły się drzwi i wysiadło siedmiu mężczyzn.

- Idą tu - szepnęła Emma.

Dwaj żołnierze odłączyli się od reszty i szli przez pastwisko w stronę podjazdu. Przekroczyli drut i wyraźnie zmierzali do furtki. Emma zerknęła nerwowo na babkę. Dobrze, że przynajmniej nie ma na głowie tej swojej czapki z daszkiem, więc nie przypomina tak bardzo Mao Zedonga. Właściwie z zaczesanymi do tyłu siwymi włosami wygląda zupełnie dobrze. Groźnie, to fakt. Z drugiej strony, może byłoby lepiej, gdyby ubrała się stosowniej do swych prawie osiemdziesięciu lat - na przykład w jakąś sensowną spódnicę, a na ramiona narzuciła miękki bladoniebieski sweterek, zamiast tego kubraka Robina Hooda ze skórzanymi rękawami.

- Co zrobimy? - spytała Emma.

- Pójdziemy na żywioł.

Wyszły razem przed frontowe drzwi i stanęły na schodkach, tak samo jak rano. Żołnierze byli już na ścieżce.

- Oficerowie - mruknęła Mad. - Zawsze ich można poznać.

Żołnierze czy oficerowie, mniejsza o to, zatrzymali się i zaszalutowali. Jeden miał, zdaniem Emmy, typową twarz wojaka - pociągłą, o zapadniętych policzkach i siwiejących włosach, wystających spod służbowej czapki. Drugi był młodszy, o okrągłej twarzy i wesołych niebieskich oczach. Emma uznała za naturalne, że spoglądał raczej na nią niż na jej babkę.

- Pułkownik Cheeseman, łaskawa pani - odezwał się ten starszy. - Piechota morska Stanów Zjednoczonych. To jest porucznik Sherman.

Mad nawet nie próbowała odpowiedzieć na tę uprzejmość. Nie podała swego nazwiska ani nie przedstawiła Emmy, tylko od razu przeszła do rzeczy.

- Czy panowie przyszli przeprosić nas za psa?

Pułkownik Cheeseman wytrzeszczył oczy.

- Za psa? Jakiego psa?

- Dziś rano oddział pańskich ludzi wtargnął na orne pole. Jeden z nich z premedytacją zastrzelił wyjątkowo cennego psa naszych sąsiadów, tylko dlatego, że biedne zwierzę przestraszyło się ryku helikopterów i uciekało co sił w nogach. Widziały to małe dzieci, znajdujące się pod moją opieką. Przeżyły ciężki szok.

Oficer był wyraźnie zaskoczony.

- Poruczniku, proszę sporządzić raport na tę okoliczność. Jest mi niezmiernie przykro, łaskawa pani. Zarządzę stosowne śledztwo, a o jego wynikach zostanie pani poinformowana. Ja przychodzę w zupełnie innej sprawie.

- Tak?

- Słyszała pani komunikat radiowy?

- Nie, tylko telewizyjny. Dobrze znam admirała Jollifa. Kilka razy gościłam go na lunchu.

- Ach tak? Doskonale, to tylko ułatwia moją prośbę. Ma pani w swej posiadłości pustą stajnię, prawda?

- Owszem.

- Chcielibyśmy, za pani pozwoleniem, zająć budynek na dwadzieścia cztery godziny, może trochę dłużej, w zależności od tego, kiedy sytuacja się unormuje. Niewątpliwie nastąpi to już wkrótce.

Pułkownik mówił uprzejmie i z szacunkiem, a jednak stanowczo.

- Rozumiem, że chce go pan zarekwirować - odparła Mad. - Jako właścicielka nie mam tu nic do powiedzenia, prawda?

Pułkownik kaszlnął.

- Mówiąc bez ogródek, tak. Ale nie sprawimy kłopotu pani ani domownikom. To kwestia łączności. Zamierzam ustanowić w tym budynku tymczasowy posterunek pod dowództwem obecnego tu porucznika Shermana.

- Rozumiem.

Pułkownik wyraźnie nie mógł liczyć na zachętę. Młodszy oficer rzucił przeproszające spojrzenie Emmie, która uśmiechnęła się nerwowo.

- W stajni nie ma telefonu i jest tylko jedna żarówka - powiedziała Mad. - W garażu obok trzymamy samochód. Jeśli pańscy ludzie mają tam spać, muszą uważać na nawóz ogrodniczy, który tam magazynujemy. Nie sądzę, aby im było zbyt wygodnie.

Emmie stanęły nagle przed oczami hordy amerykańskich żołdaków, szturmujących boczne drzwi z żądaniami kąpieli czy nawet domagających się, by Dottie prała ich rzeczy.

- Nie ma problemu, łaskawa pani. Mamy własny ekwipunek.

- Rozumiem - powtórzyła Mad.

- Jestem pani ogromnie zobowiązany - ciągnął pułkownik, podejmując pierwszą ryzykowną próbę uśmiechu, który jednak bardziej przypominał grymas. - Pani przyjaciel admirał Jollif na pewno podzieli moje uczucia, kiedy usłyszysz o naszej współpracy.

- Admirał Jollif, jak mniemam, musi robić, co mu każą. Ja także.

Pułkownik zeszytywniał. Tym razem, myślała Emma, Mad posunęła się za daleko. Zrobi się nieprzyjemnie, ten człowiek za-rekwiruje dom, a my wylądujemy w stajni.

- To wspólne przedsięwzięcie, łaskawa pani. Nasze siły działają razem, jak zapewne słyszała pani w telewizji. Stan wyjątkowy nie potrwa ani minuty dłużej niż to konieczne, aby zapewnić bezpieczeństwo pani i jej rodakom. Nie będę już pani zatrzymywał. Życzę miłego dnia.

Zasalutował, podobnie jak jego towarzysz, ale kiedy odwrócili się, by odejść, Mad zrobiła coś strasznego. Nawiasem mówiąc, zawsze tak się zachowywała wobec sklepikarzy, łowców autografów czy w ogóle ludzi, którzy ją nudzili czy w jakikolwiek sposób jej uchybili, zanim znaleźli się poza zasięgiem głosu. Powiedziała - stanowczo za głośno i za wyraźnie:

- Nadęty osioł.

Emma poczerwieniała i uciekła do holu, natomiast jej babka dalej stała przed drzwiami, póki oficerowie nie zamknęli za sobą furtki. Dopiero potem wróciła do domu.

- Zawołaj Joego, kotku. Niech wyprowadzi samochód z garażu i ukryje go w kącie pod kuchennym oknem.

Joe nadal ze spokojem rąbał drewno w suterenie. Na wezwanie Emmy pojawił się na schodach, a tuż za nim Terry. Mad wyjaśniła krótko, co się stało, i Joe natychmiast wyszedł, by spełnić polecenie. Inaczej byroniczny Terry o błyszczących podnieceniach oczach.

- A ja co mam robić? - spytał. - Może wyłączę korek od żarówki w stajni i zakręcę zewnętrzny kran?

- Nie - odparła po namyśle Mad. - Z tym sobie szybko poradzą. W każdym razie są samowystarczalni. Mam dla ciebie inną propozycję. Kiedy Joe przyprowadzi samochód, pójdziesz do stajni i zaczekasz, aż przyjdą. Wtedy użyjesz całego swego wdzięku i powiesz, że jesteś gotów do wszelkiej pomocy. Tyl-

ko nie przesadź, rozegraj to na zimno. Spróbuj wyniuchać, co jest grane.

- W porządku.

Terry zniknął zaraz po Joem, a Mad razem z wnuczką udała się do kuchni.

- Dottie?

- Jestem, Madam.

Dawna garderobiana Mad skończyła właśnie ładować naczynia do zmywarki i nakrywać do następnego posiłku; odwróciła w ich stronę zarumienioną, niespokojną twarz.

- Zdaje się, że będziemy mieli w stajni obóz amerykańskich żołnierzy - obwieściła Mad. - Właśnie wylądowali helikopterem na padoku.

- Mój Boże! - sapnęła Dottie. - Jakże my sobie poradzimy? Będą chcieli herbaty? A co z kocami? I tak zawsze nam brakuje...

- Nie pleć głupstw, Dottie. Oni mają własny ekwipunek. Żelazne racje czy co tam, maty do spania, połowe telefony, radia, wszystko.

Mad gestykułowała gwałtownie, wzruszając przy tym ramionami. Można by pomyśleć, że bawiła ją ta sytuacja. Reszta chłopców rozeszła się po domu, z wyjątkiem Bena, który polował na okruszki pod kuchennym stołem.

- Dzięki Bogu! Nie dałybyśmy rady wyżywić tylu żołnierzy. Z piekarni dotąd nie przyjechali, a skończył się chleb. Nie wiem, co dam chłopcom na podwieczorek.

- Niech jedzą ciastka - powiedziała Mad, a Emma pomyślała o cieniach Marii Antoniny. - Coś ci powiem, kochana Dottie. Najlepiej idź się położyć, wyglądasz na zmęczoną. To ciężki dzień, a następne będą jeszcze gorsze. Upiekę ciasto dla chłopców i zjem z nimi podwieczorek. Znajdź mi donicę, przygotuj dużo mąki, masła, cukru i tak dalej. Jajka. Mamy jakieś jajka?

Dottie spojrzała na Emmę i uniosła brwi. Emma wzruszyła ramionami. Sęk w tym, że ciasta Mad udawały się mniej lub bardziej, ale raczej mniej. Rezultat netto, jak mawiał Pa, przypominał lany ołów. Mimowolny sukces uderzył jej kiedyś do głowy, ale na ogół domownicy przypłacali te ambicje okropną niestrawnością, a następnego dnia ciasto oddawało się ptakom.

- No, jazda, jazda - pokrzykiwała Mad. - Bierzmy się do roboty. Jak dobrze pójdzie, to kto wie? Może postąpię wbrew własnym zasadom i zaproszę pułkownika Cheeseringa - czy jak mu tam - na herbatkę? Oczywiście, jeśli jeszcze tam tkwi, ale nie słyszałam startującego helikoptera.

To będzie jego koniec, pomyślała Emma, wyglądając przez okno. Urok Terry'ego wyraźnie robił swoje. Chłopiec z zapałem rozprawia z obydwojema oficerami. Pewnie opowiada im o domownikach, bo wciąż zerkają na okna, a tubalny głos pułkownika słychać aż w domu:

- No nie mów! Twarz wydała mi się znajoma, ale zmylił mnie ten kostium.

Mogło to znaczyć tylko jedno: Terry wygadał, kim jest Mad. Emma nie wiedziała, czy wyjdzie im to na dobre. Może i tak. Amerykanie zawsze mieli słabość do sławnych ludzi. Znajomość z admirałem Jollifem też może się okazać przydatna. Możliwe, że pułkownik zdążył już zapomnieć obraźliwy epitet, a jeśli nie, to puścił go mimo uszu, składając na karb wieku Mad.

- Chyba będzie dobre - oświadczyła później Mad, przyglądając się dziełu, które po wyjęciu z piekarnika wyglądało jak lekko spłaszczony balon w kolorze khaki. W powietrzu unosił się osobliwy zapach przypalonych migdałów i gorzkiej czekolady. - W każdym razie wyrosło, a to nie zawsze się zdarza. Powiem pułkownikowi, że to taki duży pączek. Dla nich nie ma życia bez pączków. Idź, Terry, zaprosz go na herbatę.

Emma zaniósła srebrną tacę do pokoju muzycznego. Mad zawsze używała srebrnej tacy, jeśli - jak to określała Dottie - mieli towarzystwo.

- Gdzież, na miłość boską, podziewają się chłopcy? - denerwowała się Mad, rozkładając wygnieciony koronkowy obrus na stoliku do kart z rozchwianą nogą. - Zawołaj ich, kotku, dobrze?

Ale tylko Folly - także kulejąca - zwlokła się ze swego legowiska w bibliotece. Wyczuła ciasto i jak przystało na starego, mądrego psa, wiedziała, że znaczna część wypieku prędzej czy później trafi na podłogę. Zanim Emmie udało się zwabić niechętnie młode pokolenie, na końcu trawnika trzasnęła furka i pojawił się Terry w towarzystwie obu amerykańskich oficerów. Za-

czerwieniony z przejęcia, wprowadził ich niebawem do pokoju muzycznego.

- Pułkownik Cheeseman, Madam - zaanonsował. - Przyszedł się pożegnać przed odlotem.

Pułkownik, za którym postępował porucznik Sherman, nie wyglądał już groźnie. Szczerzył zęby w uśmiechu. Terry niewątpliwie wywiązał się z zadania.

- Nie chcę zabierać czasu łaskawej pani - rzekł oficer. - Przyszedłem podziękować za uprzejmość. Ten młodzieniec okazał nam wielką pomoc.

- Tak się cieszę - zaszczębiotała Mad. Emma zauważyła u niej ten sam fałszywy ton, jakim babka posługiwała się w rozmowach telefonicznych. - Ale przed odlotem muszą panowie koniecznie napić się herbaty i zjeść po kawałku domowego ciasta.

Z łaskawym uśmiechem wskazała im fotele przy nakrytym stoliku.

- Cóż, łaskawa pani, trudno nam się oprzeć - rozpromienił się pułkownik. - Chyba wygospodarujemy pięć minut na spróbowanie ciasta.

Terry, rzuciwszy okiem na oklapły balon, wypadł z pokoju.

- Och, czy ten młodzieniec gdzieś poszedł? - zmartwił się pułkownik. - Chciałem mu podziękować, że poświęcił nam swój czas i i okazał tyle troski.

- Proszę się nie przejmować - rzekła Mad. - On zaraz wróci. Na pewno chciał zawołać innych na podwieczorek. Jest nas w domu dość dużo, rozumie pan.

- Słyszałem, łaskawa pani, słyszałem. - Pułkownik zrobił figlarną minę. - Właśnie mówiłem porucznikowi Shermanowi, że zadanie, które nam przydzielono i które, da Bóg, wyjdzie na dobre nam wszystkim, zarówno Brytyjczykom, jak i Amerykanom, będzie podwójnie interesujące teraz, kiedy wiem, u kogo kwaterujemy.

Zawiesił głos, oczekując zapewne, że Mad choćby skinie głową. Ona jednak skupiła całą uwagę na krojeniu ciasta dla swego nowego wielbiciela.

- Och, doprawdy - skrzywiła się - co za tępy nóż!

- Może pani nie uwierzy - tokował pułkownik - ale jednym z moich najmilszych wspomnień z dzieciństwa była pani tura po Stanach. Istna trąba powietrzna! Wywarło to na mnie ogromne wrażenie.

Emma nie spuszczała z oka noża, który ostatecznie spełnił swoje zadanie. Kawałek ciasta - niczym funt ciała Shylocka - spoczął na talerzyku. Ciekawe, co pułkownik miał na myśli, mówiąc o trąbie powietrznej? Z tego, co Emma wiedziała, babka kilkakrotnie odwiedzała Amerykę, ale występowała wyłącznie w Nowym Jorku.

- Bardzo mi miło. - Mad podsunęła talerzyk swej ofierze, Folly zaś przywarowała przy oficerskich butach. - Pamięta pan może sztukę? Czy należała do dorobku mojego nieboszczyka męża?

- Nie, łaskawa pani. Sztuka, o której mówię, pochodzi sprzed około trzech wieków i napisał ją William Szekspir. Nigdy nie zapomnimy pani pierwszego wejścia w roli lady Makbet.

O Boże, co za gafa! Mad nie występowała w sztukach Szekspira, a już na pewno nigdy - ani we własnym kraju, ani w Stanach - nie grała lady Makbet! Natomiast często parodiowała inne szekspirowskie aktorki, traktując to jako salonową rozrywkę ku uciesze chłopców. Emma obserwowała ją teraz, czekając na ciętą ripostę. Ale się nie doczekała. Na twarzy Mad pojawił się uśmiech - szczery, niewymuszony, ogarniający nie tylko pułkownika, ale cały świat.

- Wobec tego mamy wspólne wspomnienia, pułkowniku Cheesering. Ja też nigdy tego nie zapomnę. Proszę spróbować mojego ciasta.

Piorunujące wrażenie nie potrwało długo, gdyż przyćmiły je wydarzenia wielkiej wagi. Pułkownik zaledwie dwa razy zaatakował zębami ciasto. Przy próbie trzeciej wypadł mu spomiędzy zębów kawałek migdała, ku radości Folly, która mimo chromej nogi błyskawicznie rzuciła się na zdobycz. W tym momencie do pokoju wpadł Terry.

- Dottie mówi, że w telewizji przemawia premier! Już jest w połowie oświadczenia!

Wszyscy zerwali się z miejsc. Mad odsunęła stolik.

- Chodźcie do biblioteki! Wszyscy! Terry, nastawiaj telewizor!

Zebrali się przy odbiorniku, a kiedy czekali na obraz, pułkownik wymamrotał *sotto voce* do pani domu:

- Jeśli on mówi to, co ja myślę, że mówi, to nasze kraje mają dziś swój wielki dzień.

I rzeczywiście, jakby w odpowiedzi na te słowa, z telewizora buchnął wezbrany potok głosu premiera:

- ...nie mamy innej alternatywy i nie prosimy o nią, ponieważ unia, którą nam zaproponowano i którą z wdzięcznością akceptujemy, przyniesie nową siłę, nową determinację i nową nadzieję na przyszłość nie tylko naszym obydwóm narodom, ale całemu wolnemu światu. - Na ekranie pojawiła się głowa i ramiona mówcy, który uderzył teraz w poważniejszy ton. - Zapytają państwo, dlaczego milczeliśmy do tej pory, dlaczego nie zaufaliśmy wam całe dni, a nawet tygodnie wcześniej. Moi przyjaciele, żyjemy w trudnych czasach. Załamanie naszego partnerstwa ze społeczeństwem Europy i wycofanie z jej struktur, za co wina nie leży po naszej stronie, przyniosło wielkie kłopoty gospodarcze, czego się zresztą spodziewałem i przed czym was w swoim czasie ostrzegałem. Nasza polityczna niezawisłość i przewaga militarna także zostały zagrożone.

Obecnie, dzięki naszym sojusznikom i nowym partnerom, niebezpieczeństwo minęło. Potężny związek Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, znany odtąd jako USUK, nie musi się nikogo obawiać. Wszystko, co nasze, należy do nich, wszystko, co ich - do nas. Jesteśmy jednym, wielkim narodem. Mam zaszczyt poinformować państwa, że Jej Królewska Mość jest w tej chwili w drodze do Waszyngtonu, gdzie zatrzyma się w Białym Domu nie tylko jako gość, ale jako współprezydent USUK-u. Prezydent ze swej strony także przewiduje krótką oficjalną wizytę w pałacu Buckingham.

Raz jeszcze uprzedzam ewentualne pytanie, dlaczego nasz wielki naród nie został wcześniej poinformowany, że czekają go tak doniosłe zmiany. Otóż dlatego - tu ściszył głos - że sukces naszego przedsięwzięcia wymagał w dużej mierze tego, by ani jedno słowo przygotowywanego projektu nie przedostało się do publicznej wiadomości przed ogłoszeniem unii. Każdy lojalny obywatel powita to partnerstwo jako jeden z najdonioślejszych

kroków na drodze postępu w naszej długiej i chwalebnej historii. Ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy pewnej niewielkiej mniejszości - zachęcanej przez potężne grupy w krajach o odmiennych interesach - udało się poważnie zachwiać naszą równowagę gospodarczą i zniszczyć pokojowy rytm naszego życia codziennego. Wyrządzona w ten sposób szkoda jest niewspółmiernie wielka w stosunku do liczby odpowiedzialnych za nią osób. Ludzie ci działali z taką przebiegłością, że mało kto spoza ich szeregów zdawał sobie sprawę z zagrożeń, na jakie narazili naród. Nie mogliśmy dopuścić, by drobna grupka malkontentów zniweczyła sukces naszego wielkiego projektu. I dlatego dziś rano zobaczyli państwo na wyspie wojska naszych nowych sojuszników. Chciałbym prosić, by okazali im państwo wszelką pomoc, bez względu na to, czy będą działać wspólnie z naszymi własnymi siłami czy też oddzielnie. Nie tylko zresztą pomoc, ale także życzliwość. Obywatele USUK-u! Niech żyje prezydent Stanów Zjednoczonych! Niech żyje królowa! Niech żyje nasz wielki, okryty chwałą naród i nasze wspólne dziedzictwo!

Premier podniósł głos do wyższego rejestru, odrzucił głowę do tyłu i wyprostował ramiona. Kiedy zniknął z ekranu, jego miejsce znów zajęły dwie flagi - Union Jack i gwiazdzisty sztandar - przy akompaniamencie obu hymnów narodowych.

W bibliotece zapadła głęboka cisza. Amerykańscy oficerowie stali na baczność, czy raczej wyobrażali sobie, że stoją, bo każdy z nich trzymał oburącz - niczym ofiarę w kościele - talerzyk z niezjedzonym kawałkiem ciasta. Emma nie wiedziała: śmiać się czy płakać, spoglądała na babkę, oczekując jakiejś wskazówki; daremnie. Mad nadal miała nieprzeniknioną, pozbawioną wyrazu twarz. Nie odrywała wzroku od telewizora, chociaż ekran był ciemny, a muzyka ucichła.

Napięcie przerwał odgłos dziecięcego śmiechu w holu. Po chwili do pokoju wpadł Colin, ciągnąc za rękę Bena. Na jego anielskiej buzi malował się wyraz triumfu, oczy błyszczały jak gwiazdy.

- Ben mówi! - krzyczał. - Ben mówi! Usłyszał w telewizji hymny i powiedział swoje pierwsze słowo!

Mad wyciągnęła ręce do chłopców, ale oni pierwszy raz w życiu nie zauważyli jej gestu.

- Ja go nauczyłem - oznajmił Colin. - To moje dzieło!

Emma odwróciła się do oficerów.

- Ben ma trzy lata - wyjaśniła pośpiesznie. - Baliśmy się, że nigdy nie nauczy się mówić, chociaż wszystko rozumie.

Pułkownik Cheeseman uśmiechnął się zachęcająco.

- Rozumiem, że to podwójna uroczystość historyczna i dumny jestem, że w niej uczestniczę. Podejdź tu, koleżko, posłuchamy, co masz do powiedzenia.

Ben spojrzał na Colina i przewrócił oczami. Colin kiwnął głową. Malec otarł rączką buzię i podszedł wolno do pułkownika.

- G... - zaczął. - G... - i urwał, jakby dla większej mobilizacji sił.

- No, dalej, synku, nie wstydź się - zachęcał go pułkownik Cheeseman. - To najpiękniejsza chwila w twoim młodym życiu, a może i w życiu nas wszystkich.

- Gównno! - wykrztusił w końcu Ben.

4

Oficjalnie stan wyjątkowy trwał cały wydłużony weekend - od czwartku do wtorku. Nie podano żadnego powodu poza tym, o którym mówił w swym oświadczeniu premier - że „grupka malkontentów” poważnie naruszyła równowagę gospodarczą kraju. Emma nie mogła się oprzeć wrażeniu, że określenie jest tyleż złowieszcze, co mętne. Może premier miał na myśli demonstracje na Trafalgar Square czy przed gmachem parlamentu, ale przecież od miesięcy nic takiego się nie odbywało. Po referendum w sprawie odłączenia się od Europy przytłaczająca większość społeczeństwa głosowała na obecną koalicję. W tych okolicznościach jakakolwiek demonstracja oznaczałaby utratę twarzy. Bezrobocie nadal było wysokie, ceny cały czas szły w górę, ale to stało się już niemal stylem życia. Czy wskutek unii ze Stanami Zjednoczonymi wszystko zmieni się na lepsze i każdy będzie zadowolony? W takim razie kto należał do „grupki malkontentów”, która pragnęła się temu przeciwstawić? Wszystko to było bardzo intrygujące. Z Mad nie dawało się rozmawiać na te tematy, kategorycznie odmawiała jakiegokolwiek dyskusji.

- Powstrzymam się od komentarza, dopóki nie odwołają stanu wyjątkowego - oświadczyła lodowatym tonem.

Co oznaczało, że go nie pochwała. Uważa, że to lipa. Cóż, może i ma rację. Ale jakaż to lipa, skoro piechota morska okupuje stajnię, na głównej ulicy stoi barykada, a telefony nie działają? Jedyne, co można robić, to siedzieć kamieniem przed telewizorem i mieć nadzieję, że między jednym a drugim amerykańskim

lub brytyjskim starym filmem coś się wydarzy. Pokazywali oczywiście różne migawki: prezydent wita królową w Białym Domu, księżę Filip gości u plemienia Indian, wśród których nagle zdecydował się obozować. Pozostali członkowie królewskiej rodziny także się rozpieczęśli - księżniczka krwi coś tam robi ze skautkami w Australii, księżę Walii dowodzi niszczycielem na Oceanie Indyjskim, księcia Jorku przeniesiono z macierzystego regimentu do służby w Policji Konnej w Kanadzie, a księżę Edward bierze udział w kursie wspinaczkowym w Szkocji.

Terry, którego technikum zamknięto na przerwę semestralną, spędzał czas na szpiegowaniu żołnierzy w stajni. Doszedł do ponurego wniosku, że przez większość dnia wojacy oddają się słuchaniu popularnej muzyki na krótkofalówkach.

- Rzeczywiście zawiadomili pana Trembatha o biednym Spry'u - powiedział Emmie. - Ten pułkownik, co był u nas na herbacie, wysłał tam kaprala. Kaprala Wagga.

- Skąd wiesz?

- Kapral mi powiedział, kiedy przyszedł oddać kubeł.

Więc jednak kursowali tam i z powrotem, mimo wyraźnego zakazu Mad. Tylko patrzeć, jak zaczną wślizgiwać się tylnym wejściem na herbatkę. To tylko kwestia czasu.

- Podobno Trembathowie byli dla niego bardzo mili - raportował Terry. - Zaproсили go do środka. Kapral mówi, że jeśli wszystkie kornwalijskie dziewczyny są takie gorące jak Myrtle, to zostanie tu nawet po odwołaniu stanu wyjątkowego i niech diabli porwą marines.

- Daj spokój - roześmiała się Emma. - To tylko takie gadanie.

- Możliwe, ale znam Myrtle. Wystarczy raz jej zaimponować i już jest gotowa.

I powłókł się, wściekły, w zarośla, dokąd Mad wysłała go razem z Joem do cięcia zeschniętych gałęzi, żeby - jak mówiła - „mieli coś do roboty”. Sama Mad, jeśli akurat nie nadzorowała drwali, siedziała w piwnicy, gdzie do spółki z Andym i Samem zajmowała się czyszczeniem i ostrzeniem stosów morderczych strzał oraz naciąganiem cięciw w łukach.

- Ależ kochanie - protestowała Emma, kiedy chłopcy wybiegli po papier ścierny - nie powinnaś ich zachęcać!

- A to dlaczego? - zdziwiła się babka, podnosząc wzrok znad roboty. Strzała, którą trzymała w ręku, nie wydawała się jej groźniejsza od mieczyka pigmeja. - Andy zapowiada się na znakomitego strzelca. Ciekawe, co się stało z tą starą słomianą tarczą? Jestem pewna, że ten chłopak za każdym razem trafi byka prosto w oko.

Andy, jeszcze bardziej rozczochrany niż zwykle, wrócił pędem ze starej zmywalni. Uśmiechnął się, słysząc uwagę Mad.

- Jeszcze lepiej! Trafię pomarańczę albo bambusową laskę z ponad pięćdziesięciu kroków. Wiem, bo trenowałem z mojej wieży obserwacyjnej przy kominie.

- Bravo! - ucieszyła się Mad. - Tylko nie marnuj strzał.

Mój Boże, myślała Emma. Równie dobrze mogłaby... na przykład stanąć na brzegu morza i nakazać ciszę rozszalałym żywiołom. Czy dobrze zacytowała? Tak czy inaczej, wiadomo o co chodzi. Babce nie dawało się niczego wyperswadować.

Z kuchni dobiegały jakieś głośy. Emma poszła sprawdzić i ku swemu niebotycznemu zdumieniu zastała tam Dottie gawędzącą z porucznikiem Shermanem. Poczuła, że krew napływa jej do policzków, i w rezultacie wściekła się na samą siebie.

- Dzieńdoberek - powitał ją z uśmiechem porucznik.

- Dzieńdoberek - odpowiedziała Emma wbrew sobie, bo raczej nie używała tego zwrotu.

- Pan przyszedł nas zawiadomić, że jutro mają odwołać stan wyjątkowy. Będziemy mogli chodzić, dokąd chcemy. To wielka ulga, prawda? - cieszyła się Dottie.

- Rzeczywiście - przyznała Emma. - Czy to znaczy, że zyczną działać telefony i chłopcy będą mogli pójść do szkoły?

Porucznik Sherman pocierał sobie podbródek.

- Cóż... Na pierwsze pytanie odpowiadam: „Tak, o szóstej rano telefony zostaną włączone”. A co do drugiego... Obawiam się, że nie dostałem instrukcji, ale prawdopodobnie do końca następnego tygodnia szkoły będą zamknięte.

- To straszne! Tak trudno ich czymś zająć...

Porucznik Sherman znowu się uśmiechnął.

- Naprawdę? Nigdy bym na to nie wpadł. Wydaje się, że mają pełne ręce roboty.

I mrugnął porozumiewawczo, co uznała za dość zabawne. Wolałaby, żeby miał na myśli Joego i Terry'ego w zagajniku niż Andy'ego z łukiem i strzałami przy kominię. Miło, że ma poczucie humoru, chociaż nie okazał go tamtego dnia, kiedy Ben wymówił swoje pierwsze słowo - od tej pory malec się nie odezwał - no, ale to się działo w obecności przełożonego i wszyscy byli okropnie spięci; w dodatku przemawiał premier i jeszcze to ciasto Mad... Emma chciała zaprosić go później na drinka, ale Mad by się to nie spodobało albo, co gorsza, mogłaby także przyjść, nalewać drinki osobiście i popsuć całą rozmowę.

- Będziemy się więc widywać? - rzuciła lekko.

- Mam nadzieję. A przy okazji: nazywam się Wallace Sherman, dla przyjaciół - Wally. Wyrazy szacunku dla babci. Mam nadzieję, że odpoczywała w ciągu ostatnich dni i że nie zakłóci-
liśmy jej spokoju?

Zakłócić jej spokój! Naiwny człowieku... Właśnie ostrzy strzały w piwnicy. Emma z pewną niechęcią patrzyła za oddalającym się w stronę stajni porucznikiem, cokolwiek zbity z tropu tym „Wallym”. Nie do pomyślenia, żeby kiedyś powiedziała do Mad: „Dziś wieczór wychodzę z Wallym...”

Problem sam się rozwiązał. Porucznik Wallace Sherman nie otrzymał zaproszenia na drinka ani nie oferował Emmie w stajni swoich żelaznych racji, ponieważ wieczorem między główną drogą a stacją rozpoczął się wzmożony ruch. Na scenie pojawiły się dwa nowe dżipy, a marines składali ekwipunek, wyraźnie szykując się do odwrotu.

- Dobra robota - oznajmił Terry, wpatrując się przez kuchenne okno w mrok. - Lepiej niech się tu więcej nie szwendają.

- Nie ojedzą daleko - rzekł cicho Joe. - Tylko do wzgórza. Kapral Wagg mówił, że w naszym rejonie są jeszcze dwie jednostki, które przejmują kontrolę nad plażą Poldrea i dokami. Wybrzeże ma być ogrodzone, a wojsko rekwiruje na kwatery wszystkie plażowe budki i przyczepy campingowe.

- Ale po cholere? - wybuchnął Terry. - Ten cały porucznik powiedział, że stan wyjątkowy jutro się skończy.

- Tego kapral mi nie mówił, a nawet mi przez myśl nie przeszło, by wiedział.

- To komuniści, możecie mi wierzyć - powiedziała Dottie. - Na pewno spuszcza ich na spadochronach z rosyjskich samolotów, poprzebieranych za zakonnice, jak w czasie ostatniej wojny.

- Wiem, co zrobią komuniści - odezwał się Colin, który nagle wychynął z pokoju zabaw, gdzie - sądząc z późniejszego stanu tapet - uczył Bena pisać. - Przypłyną na plażę Poldrea przebrani za syreny, a do ogonów przywiążą sobie rakiety wypełnione trotylem. Przynajmniej ja bym tak zrobił na ich miejscu.

Ben, który jak zwykle trzymał się kurczowo jego ręki, kiwał energicznie głową na znak poparcia. Chcąc pokazać, że rozumie, w czym rzecz, otworzył buzię i zaczął się nadymać do wyartykułowania tego straszego g... Emma uciekła w samą porę, by oszczędzić sobie okrzyku zgorznej Dottie i ryku śmiechu Terry'ego.

Wieczorem, kiedy właśnie zamierzały się położyć, zadzwonił telefon.

- Odbiorę - powiedziała szybko Emma. - Może to ci ze stajni założyli linię między obydwojma budynkami.

Z braku lepszego tematu do rozmyślań nabiła sobie głowę porucznikiem. Pobiegła do aparatu. Dzwonił jednak wcale nie porucznik, tylko Pa.

- Ach, to ty! - wykrzyknęła, niepewna, czy czuje ulgę, czy raczej zawód. - Powiedziano nam, że telefony zaczną działać dopiero rano.

- Ja mam priorytet - rzekł Pa. - To żaden problem. - Typowe! Zawsze lubił dodawać sobie ważności. - No jak tam przetrwaliście kryzys? Mogę wam powiedzieć, że tutaj wszędzie aż huczy.

- Nie wątpię. Tutaj huczy także. Nad głowami ryczą helikoptery, wszędzie pełno amerykańskich żołnierzy, mamy ich nawet w stajni, ale jutro wyjeżdżają. Krążą plotki, że zajmą całą plażę Poldrea i doki.

- Słusznie, słusznie, bardzo rozsądne posunięcie. W tych okolicznościach nie wolno dopuścić, żeby hordy chuliganów drażniły ludzi. Cudowna nowina, co?

- Jaka nowina? - nie zrozumiała Emma.

- No że nasze narody utworzyły unię. To się powinno stać kilka lat temu. Kilku z nas upierało się przy tym, jeszcze kiedy

tkwiliśmy w Europie. Teraz tylko musimy wszystko rozkręcić. Na pewno znajdą się odszczepieńcy, ale jak tylko zaczną sprawać kłopoty, szybko ich uciszymy. Powiedz no, czy Mad się zachowuje, jak należy?

- Mniej więcej - rzekła oględnie Emma. - To znaczy nie robi nic strasznego. Pierwszego dnia było nam bardzo przykro, bo pewien żołnierz zastrzelił biednego Spry'a. To pies pana Trembatha, uciekł mu i...

- Och, jeśli tylko tyle, to i tak mieliście szczęście. Ci faceci lubią sobie postrzelać, musicie cholernie uważać, żeby się im nie narazić, kiedy są na służbie. Mam nadzieję, że dobrze pilnujecie tej waszej bandy?

- Tak, są bardzo grzeczni.

- Cóż, gdyby nie ten nawał zajęć, może wyrwałbym się do was, ale naprawdę nie wiem, kiedy mi się uda.

Emma zastanawiała się, na czym ten nawał zajęć polega. Pieśniadze przepływają to w jedną, to w drugą stronę, Bank Anglii, Pa z ręką na pulsie. Do holu weszła babka.

- Vic? - Wyrwała Emmie słuchawkę.

Matka i syn zaczęli mówić jednocześnie, nie słuchając się nawzajem. Zasypywali się zarzutami, wykłócali, jak działo się za każdym razem, kiedy dorwali się do telefonu.

- Nigdy ci nie wybaczę - krzyczała Mad. - Oczywiście, wiedziałeś o wszystkim, podobnie jak Jimmy Jollif; któryś z was powinien mnie uprzedzić, przynajmniej uniknęlibyśmy zaskoczenia... Bzdura, dobrze wiesz, że jestem dyskretna, przecież nie roztrąbiłabym tego z dachu na całe Poldrea... Co? Nie słyszę ani słowa... Nie, według mnie, premier to kawał łobuza, no cóż, zawsze był taki. I kim są ci ludzie, którzy mają sprawiać kłopoty? Zresztą mogę ci powiedzieć, że ja znajdę się w pierwszym szeregu.

Ząb za ząb, sztych - odparowanie, zupełnie jak para szermierzy. Ale czas płynął i pięć minut priorytetu Pa wyraźnie dobiegło końca, bo Mad trzasnęła wreszcie słuchawką i poszła na górę.

- Vic może tak bez końca - powiedziała, nie zdając sobie sprawy, że sama robiła dokładnie to samo. - Nie mam pojęcia, po kim on to ma, na pewno nie po mnie, a jego ojciec był taki

szybki i rzeczowy. Oczywiście gada straszne bzdury. Co za śmieszna nazwa - USUK! Cały świat będzie się z nas natrząsał, no, ale tak było od lat. Em, kotku, jeśli jutro odblokują drogę, pojedziemy na zakupy. Muszę sprawdzić, co ludzie mówią o tym wszystkim.

Rano, tuż po dziesiątej, Emma podjechała samochodem pod furgę. Bynajmniej nie zachwylił jej fakt, że na schodkach obok Mad stali rządkiem Andy, Colin i Ben.

- Musimy ich zabierać? - zapytała.

- Czemu nie? - Mad w pełnym bojowym rynsztunku, w granatach od stóp do głów, czysty Mao Zedong, kazała chłopcom ładować się na tylne siedzenie. - Widziałam, że marines nas opuścili - zauważyła, zerknąwszy w stronę stajni. - No, trochę mi ulżyło. Mam nadzieję, że nie ulotnili się razem z nawozem.

Zasiadła za kierownicą, a zrezygnowana Emma zdała się na łaskę losu, zajmując miejsce obok. Mad zaraz po ruszeniu z reguły waliła w coś na wstecznym biegu. Chłopcy do tego przywykli i zawsze trzymali się mocno w oczekiwaniu na wstrząs.

- Czuję się jak wypuszczona z więzienia po kilku miesiącach odsiadki - wyznała Mad, wyjeżdżając z uliczki na szczyt wzgórza i główną drogę. Zakręt wzięła jak bobsleista w St Moritz. - Dzięki Bogu, nic nam nie stoi na przeszkodzie.

I rzeczywiście nie stało, na szczęście dla bobslejowej drużyny, przynajmniej dopóki nie zjechali na dół. Tam Mad z wielką przytomnością umysłu nadepnęła z całej siły hamulec i zatrzymała się niemal w miejscu przed blokadą drogową. Na poboczu stała nowo wzniesiona budka, a przed nią strażnik.

- Przepustkę proszę.

- Jaką przepustkę? - spytała urażona Mad. - Wszyscy mnie tu znają, nie potrzebuję żadnej przepustki!

Żołnierz - inny niż ci ze stajni, ale tak czy inaczej Amerykanin - miał skruszoną minę.

- Przepraszam panią, takie są przepisy; weszły w życie dzisiaj. Skąd pani jedzie?

- Mieszkam o trzy minuty stąd, na szczycie wzgórza, w domu zwanym Trevalan. Wasi ludzie kwaterowali w moich stajniach przez ostatnich pięć dni.

Strażnik wybałuszył oczy.

- Najmocniej panią przepraszam, sam wczoraj pomagałem przy przenoszeniu sprzętu. Nie wiedziałem, że to pani... Zaraz wydam przepustkę. - Zniknął w swojej budce i po chwili wyszedł stamtąd z żółtą nalepką i dwoma biletami. - To środek ostrożności, wydajemy ją wszystkim mieszkańcom. Nalepka jest na samochód, zaraz przykleję na przedniej szybie, a bilety dla pani i pani towarzyszki.

- A co z nami? - spytał Andy.

Żołnierz uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Przepustki otrzymują tylko osoby, które ukończyły osiemnaście lat. Młodszym musi towarzyszyć ktoś dorosły. Dziękuję pani.

Podniósł szlaban i Emma po raz pierwszy była świadkiem, jak babka prawidłowo wrzuca bieg i dodaje gazu, o mało nie najeżdżając żołnierzowi na nogę. Biedak szybko wycofał się do budki.

- W życiu nie słyszałam podobnych głupot - wybuchnęła Mad. - Co oni sobie myślą?! Czego się rządzą na naszej własnej szosie?

- Patrzcie! - zawołał z podnieceniem Colin, wskazując na plażę. - Tam też postawili szlaban, ogrodzili wszystko drutem... Oo, ile wojska!

Miał rację. Plażę Poldrea, rozkosz turystów w środku lata, a zimą idealne miejsce do spacerów z psami, w ciągu jednego weekendu przekształcono w obóz wojskowy. Wszędzie wisiały napisy: *US Marines. Wstęp wzbroniony.*

Mad zaparkowała samochód przed supermarketem w Poldrea. Wsiadła i ruszyła do środka przez wahadłowe drzwi, a za nią Emma i chłopcy. Panował tam tłok i ogłuszający jazgot niczym w ptaszarni. Jak zwykle w kryzysowych sytuacjach, każdy musiał się podzielić swymi ciężkimi przeżyciami.

- Właśnie siadałam do herbaty i powiedziałam do ojca...

- Spać? Nawet oka nie zmrużyłam! I ten huk...

- Zupełnie jak podczas wojny, tak powiedziałam Jimowi na widok tych wszystkich facetów. Podobno zamierzają tu siedzieć całymi tygodniami! To zagrożenie; wiecie, co może się zdarzyć, jak się tu władują? Jim mówi...

Mad wrzucała do koszyka jeden towar po drugim. Na koniec zatrzymała się obok sprzedawcy, który kroił szynkę („W razie czego - mawiała często - zawsze można się żywić szynką”) i utkwiała w nim zimne, niebieskie oczy. Mężczyzna nie pochodził z tych stron; przysłano go z Bristolu, gdy otwierano supermarket.

- No i co pan sądzi o tej inwazji? - spytała.

- Inwazji? - uśmiechnął się łagodnie. - Dlaczego zaraz inwazji? Mówiłem właśnie do żony, że to ratunek dla kraju. Powinni byli to zrobić całe miesiące, może nawet rok temu.

- Och, doprawdy? Dlaczego?

- Cóż... - Zastanawiał się nad odpowiedzią, nie przestając kroić szynki. - To się trzyma kupy, prawda? Są przecież tacy sami jak my. Wszyscy mówimy po angielsku. To cudowna rzecz takie połączenie anglojęzycznych państw. Ameryka, Australia, Południowa Afryka, my... Teraz cudzoziemcy przestaną się wreszcie panoszyć.

- Czy to nie my jesteśmy teraz spychani na margines? Dopiero co wydano mi przepustkę na zjazd wzgórzem Poldrea. Nikogo nie puszczają bez pozwolenia.

- To ochrona - rzekł sprzedawca i zniżając głos do szeptu, dodał: - Nie uwierzy pani, co oni wygadują. Och, nie tylko ci z kontynentu mogą się tu wślizgiwać i siać niepokój, ale nasi rodacy, ludzie jak pani i ja, którzy tylko czekają, by obalić rząd koalicyjny i utrudnić życie Amerykanom. Musimy wszyscy mieć się na baczności.

- Tak - przyznała Mad. - Chyba rzeczywiście musimy.

Emma nie spuszczała oka z chłopców, na wypadek gdyby wsadzili coś do kieszeni zamiast do koszyka. Kiedy szła za babką do wyjścia, ta miała dość ponurą minę.

- I dokąd teraz? - spytała Emma.

- Myślę, że zamienię słówko z Tomem.

Tom był właścicielem sklepu rybnego i od pięćdziesięciu lat sam łowił ryby w wodach Poldrea.

- No jak tam, Tom? - Tym razem oczy Mad nie rzucały lodowatych błysków. Lubiła Toma. - Jak ci się żyje w stanie obłączenia?

- Nawet mi przez myśl nie przeszło coś takiego - odparł si-

wowłosy szyper „Maggie May”. - Przewrócili cały kraj do góry nogami, a co gorsza, próbują się u nas szarogęścić. I czego oni szukają nad zatoką? Dobijaków*?

- Robią to, co my pół wieku temu - uśmiechnęła się Mad. - Nazywają to „demonstracją siły”. Chcą wyrzucić odpowiednie wrażenie na tubylcach.

Tom pokręcił głową.

- Może jacyś frajerzy się na to nabiorą, ale ze mną ten numer nie przejdzie. Za długo żyję. - Zerknął na nieświeży towar na ladzie. - Nic tu pani nie skusi, kochana. Złowione w środę i cały czas trzymane w lodzie. Straciły całą wiarygodność, jak ci spike-rzy w Whitehall. Idzie pani na wiec?

- Jaki wiec?

- Wytapetowali całe miasto plakatami. O siódmej w ratuszu. Na pytania z sali będzie odpowiadała nasza posłanka i ten janke-ski pułkownik, który tu dowodzi.

- Ha! - Mad obróciła się do wnuczki. - Mam wielką ochotę wziąć w tym udział.

Emmie zamarło serce. Świetnie wiedziała, co się zdarzy. Ludzie będą zadawać pytania, a Mad mamrotać pod nosem albo wygłaszać na głos różne komentarze. W dodatku posłanka z ich okręgu jest u niej na czarnej liście. Po pierwsze to kobieta. Parę lat wcześniej, przed wyborami dodatkowymi, odwiedziła Trevanal, absolutnie pewna wielkiego datku na rzecz swojej partii. Owszem, została wybrana, ale nie udało się jej doprowadzić Mad do urny.

- Jeszcze dwie wizyty - zapowiedział przewodniczący Mao swoim poddanym. - Poczta i Raj Żeglarza.

Kolejka na poczcie była prawie tak długa, jak ta w supermarkecie, ale Mad nigdy nie przejmowała się kolejkami. Mówiła, że dają jej poczucie solidarności. Uwielbiała też odbierać emeryturę. „Czuję się wtedy taka bogata!”, zwierzała się Emmie. Pieniądze trzymała w skarbonce śwince, a w soboty wydzielała z niej chłopcom kieszonkowe.

Budynek poczty tętnił wrażeniami z weekendu w stanie wyjątkowym. Niektórzy interesanci, podobnie jak krajacz szynki

* Dobijaki - gatunek drobnych ryb morskich; żyją w przybrzeżnym piasku, żywią się roślinami i bezkręgowcami, służą za przynętę.

w supermarkecie, uznali najnowsze wydarzenia za pozytywne, inni kręcili z powątpiewaniem głowami. Okręgowa pielęgniarka, zarazem szwagierka pana Trembatha, należała do tych ostatnich, a nawet więcej: była po prostu wściekła.

- Odcięli mi telefon - skarżyła się babce Emmy - a pani Ellis właśnie miała rodzić! Kiedy w sobotnią noc próbowałam przejechać przez dolinę, to mnie nie przepuścili! Oczywiście przeprosili mnie rano i dali przepustkę. Na szczęście dziecko się jeszcze nie urodziło, ale gdyby...

- Mogłoby mieć dwie głowy - powiedział Colin, który miał zwyczaj wtrącania się do rozmów dorosłych.

- Kontaktowała się pani ze szwagrem? - spytała Mad, puszczając to straszne przypuszczenie mimo uszu.

Pielęgniarka przytaknęła.

- Dopiero co z nim rozmawiałam. - I ściszym głosem dodała: - Bardzo się zmartwili biednym Spry'em.

- Wiem, wiem. My także.

Mad wyszła z poczty ze swym bogactwem i ruszyli samochodem do Raju Żeglarza. Budynek, wzniesiony ze sto lat temu jako gospoda dla ludzi morza, dokerów, robotników z kopalni kolidynu i tutejszych mieszkańców, przekształcił się w pub, do którego ciągnęły zmotoryzowane pary, typy jak z kolorowej telewizji, żeby na jeden wieczór wymienić się żonami. Odkąd złagodzono przepisy koncesyjne, gospodarz, pan Libby, prosperował całkiem nieźle, tym bardziej że lokal położony był przy samej plaży. Teraz tłoczyli się tam amerykańscy marines. Wszyscy jak jeden mąż wytrzeszczyli zdumione oczy na Emmę, która w tym momencie poczuła ulgę, że babka została w samochodzie. Gospodarz stał za barem i wydawał się mocno nabuzowany.

- Przyszłaś po jabłecznik, kochana? - zagaił. - Mam teraz huk roboty. Przyślij później Joego.

- Potrzebujemy go w tej chwili - odparła stanowczo Emma i obróciła się na pięcie.

Nie wierzyła własnemu głosowi. Mogłaby uchodzić za samą Mad. Jeden z żołnierzy gwizdnął przeciągle, gdy wychodziła. Po chwili pan Libby wytaszczył karton jabłeczniaka. Mad wystawiła głowę przez okno.

- Zajęty, co?

- Tak jakby - odrzekł i mrugnął. - Przy tych facetach za drzwiami zrobię fantastyczny interes, to znacznie lepsze od turystów. Oby zostali na zawsze!

Wstawił karton do bagażnika i pomachał im ręką.

- Hmm... - mruknęła Mad, skręcając w stronę wzgórza. - Więc tylko na tych dwoje mogę liczyć. Oni są z całą pewnością po naszej stronie: drogi Tom Bate i okręgowa pielęgniarka.

- Co masz na myśli, mówiąc „po naszej stronie”? - spytała Emma.

- To chyba jasne, czyż nie? Tylko patrzeć, jak się podzielimy. Będą „nasi” i „oni”.

5

Ratusz pękał w szwach. Napis na drzwiach głosił, że będą wpuszczani tylko właściciele domów, co znaczyło, że przewidujący organizatorzy chcą w ten sposób wyeliminować wichrzycielskie elementy, a z pewnością młodych ludzi, którzy doznali wielkiego zawodu, gdyż odsyłano ich z kwitkiem. Mad błyskawicznie wdarła się na scenę, kulejąca, uczepona ramienia Emmy.

- Mam siedemdziesiąt dziewięć lat - wyjaśniła portierowi. Nie rozpoznał jej; pewnie należał do pupilków pani posłanki z Truro. - Nie poradzę sobie bez pomocy wnuczki.

Portier przepuścił je z szacunkiem. Przeciskały się do środka, przy czym utykanie Mad słabło z każdym krokiem. Gdzieś w tłumie mignęły znajome twarze państwa Trembathów. Po chwili Mad klepnęła farmera w ramię.

- Usiądźmy razem, dobrze? I tak muszę z wami pogadać.

Jack Trembath był potężnie zbudowanym mężczyzną o szerokich barach. Za młodu walczył jako zapaśnik w zawodach Kornwalia - Bretania. Nie miał jeszcze pięćdziesiątki i wciąż mógłby powalić niejednego młodszego przeciwnika. Cała czwórka zasiadła tuż przy przejściu, pośrodku sali. Mad po jednej stronie miała Emmę, po drugiej farmera.

- Co oni chcą nam powiedzieć? - wysyczała Mad tak donośnym szeptem, że z pewnością słyszano ją ze cztery rzędy dalej. Ludzie zaczęli się odwracać.

- Cholernie dobrze wiem co - odparł Jack Trembath. - Że mamy być grzeczni i robić, co nam każą.

- Bo jak nie?

- Bo jak nie... - powtórzył i zawiesił głos. Potem szepnął jej do ucha: - Wie pani, że zastrzelili biednego Spry'a?

- Widziałam to na własne oczy. To właśnie chciałam panu powiedzieć. Jedna chwila - i po wszystkim. Poszłam go później pochować. Leży tuż za dziurą w żywopłocie.

Obrócił się do niej twarzą.

- Szkoda, że nie wiedziałem. Oszczędziłbym pani tej roboty. Zresztą nieważne, kiedyś się pani zrewanżuję. Mam wrażenie, że czeka nas więcej kłopotów. Moim zdaniem, wszystko stało się zbyt nagle. Chciałbym się mylić, ale wcale mi się to nie podoba.

- Mnie także - rzekła Mad i uszczypnęła Emmę w ramię. - To by już było troje: pan, pańska szwagierka i Tom Bate.

- Ach, Tom! - uśmiechnął się Jack Trembath. - Pocziwy z kośćmi chłop, dobrze mieć go po swojej stronie. Niech mu brzuszysko rośnie na zdrowie!

Szmer głosów ucichł i na podium zaczęli wchodzić mówcy. Emma zastanawiała się, czy wszyscy wstaną, jak w kościele, ale nikt się nie kwapił. I bardzo dobrze, bo babka, która w ostatniej chwili dała się namówić do włożenia sukni pod stary tweedowy płaszcz, zrobiła to tyłem naprzód, uznając, że tak jest wygodniej. Teraz zamek błyskawiczny zjechał w dół, ukazując wyświechtaną koszulę Terry'ego. Pani posłanka natomiast z pewnością nie wystroiła się w pożyczone rzeczy. Honor Moorhouse była kobietą wytworną i w pełni tego świadomą. Towarzyszył jej pułkownik Cheeseman, sztywny i elegancki w swym mundurze, oraz druga kobieta, której ani Emma, ani jej babka nigdy dotąd nie widziały.

Posiedzenie zagał sam dowódca marines:

- Drodzy przyjaciele! Stojąc na tym podium, nie zamierzam zatrzymywać was ani chwili dłużej niż to konieczne. - Ma chyba fioła na punkcie niezatrzymywania ludzi, myślała Emma, to samo mówił, kiedy przyleciał do nas helikopterem. - Przyszedłem, aby wam podziękować za wasze mocne nerwy, uprzejmość i współpracę podczas ostatnich sześciu dni. Nie było to łatwe i wiedzieliśmy, że nie będzie, ale mieliśmy do wypełnienia zadanie. Dzięki waszemu wsparciu zostało ono zakończone. To prawda, że pozostaniemy tu na pewien czas ze względu na bezpie-

czeństwo, jednak z tego, co dotąd widziałem, będzie nam ze sobą wspaniale. Wyznaję ze wstydem, że dopiero dziś poznałem kornwalijskie motto: „Jeden i wszyscy”. To jedna z najlepszych dewiz, jakie słyszałem, i da się ją zastosować do wszystkich obecnych tutaj, w tym pięknym zakątku Zachodniego Kraju. Przyjaciele, tej ślicznej pani nie muszę wam chyba przedstawiać. Wasza posłanka, pani Honor Moorhouse!

Szarmancki dowódca cofnął się o krok, pani posłanka zaś wstała. Trzymała w ręku plik kartek, ale nie musiała do nich zaglądać. Najwyraźniej była doskonale przygotowana, bo też właśnie tej pewności siebie i zdolności do żonglowania danymi statystycznymi zawdzięczała swój wybór.

- Panie i panowie, moi kornwalijscy rodacy! Żyjemy w niespokojnych czasach...

- O Boże - mruknęła Mad do swych sąsiadów. - Wiem co do słowa, co chce powiedzieć!

Szacowna posłanka środkowej Kornwalii przedstawiła wypadki ubiegłego tygodnia i wykazała konieczność interwencji Stanów Zjednoczonych oraz utworzenia unii obu państw. Wszyscy słyszeli to już przez radio czy telewizję z ust samego premiera, ale teraz mówiła kobieta, w dodatku zwracała się do swoich wyborców w ich własnym ratuszu, więc wytworzyła się nieco parafialna atmosfera, a wszystko zabrzmiało tak, jakby USUK był jakimś wyjątkowym dobrodziejstwem dla mieszkańców Poldrea. Mimo wszystko Londyn to „górnny kraj”, leży szmat drogi stąd i dystansu tego nie zmniejszy żadna autostrada. Tak naprawdę nikogo nie obchodzi, co dzieje się na wschodzie, na północy czy w środkowej Anglii, póki tamtejsi mieszkańcy przyjeżdżają do Kornwalii na wakacje. Teraz w centrum uwagi znaleźli się ludzie z Poldrea ze swymi ogrodzonymi plażami i barykadą na głównej ulicy. Było to coś nowego, sensacyjnego, dało im poczucie ważności. Podczas mowy pani Moorhouse mężczyźni prężyli się dumnie, kobiety zadzierały głowy, zastanawiając się, gdzie też posłanka kupiła ten elegancki dżersejowy kostium w kolorze zielonej cytryny, a tymczasem z jej ust lał się potok okrągłych zdań na temat znużenia w całym kraju, braku kośćca u młodzieży, apatii ludzi w średnim wieku, przykrew sytuacji starsuszków.

Wszystko to miało się zmienić, wszyscy mieli się rzucić w wir nowego życia dzięki unii „z naszymi kuzynami zza Atlantyku”. Brzmi całkiem jak jakiś cytat z Biblii, pomyślała Emma. Może ze świętego Pawła? „Wszyscy odmienimy się w gnieniu oka”... Na sali rozległy się pochwalne okrzyki, a jakaś dziewczyna w rzędzie przed Emmą zaczęła płakać.

- Czekajcie tylko! - zaszeptała jadowicie Mad. - Zaraz będzie o anglojęzycznych narodach, wewnętrznych wrogach, którzy chcą zniszczyć całą tradycję, wszystkie uczucia, wszystkie te rzeczy, do których dążyli nasi przodkowie i ojcowie pielgrzymi, kiedy płynęli na tej łupinie „Mayflower”...

Emma nastawiła uszu - i rzeczywiście zgadzało się co do słowa, nawet kawałek o ojcach pielgrzymach.

- A więc - ciągnęła pani Moorhouse, podnosząc głos o ton wyżej, jakby zmierzała do konkluzji - zanim przedstawię naszą drogą przyjaciółkę Marthę Hubbard, która przyleciała z Nowej Anglii specjalnie, aby się z wami spotkać, przypomnę raz jeszcze słowa premiera z zeszłego tygodnia: jeżeli mamy przetrwać, musimy ofiarować siłom zbrojnym Stanów Zjednoczonych, tutaj, w sercu naszego kraju, pełną współpracę i przyjaźń. Co więcej, musimy strzec się wywrotowych języków i wspólnymi siłami pociągnąć nasz wózek, aby wnieść swój wkład do USUK-u.

Umilkła, aby przeczekać burzę oklasków najbliższych siedzących słuchaczy. Środkowe rządy bardziej umiarkowanie wyrażały swój entuzjazm, a tupanie nogami tych, którzy stali z tyłu, można było interpretować na różne sposoby. Kiedy sala ucichła, posłanka spojrzała z zachęcającym uśmiechem na swych popleczników.

- Są jakieś pytania?

Mad się poruszyła, a Emma zamarła ze zgrozy. Nim zdążyła pociągnąć babkę za rozpiętą suknię, ta była na nogach.

- Na pewno wszyscy jesteśmy bardzo wdzięczni pani Moorhouse za jej przemówienie, ale chciałabym się dowiedzieć - i mam nadzieję, że nie zostanie to uznane za impertynencję - kiedy pani ostatnio ciągnęła wózek i jakież to wehikuł napędza pani teraz?

Przez salę przeszedł szmer, ktoś krzyknął: „Hańba!”, a głos z zaplecza budynku brzmiący niezwykle podobnie do głosu Toma Bate'a wrzasnął: „Gadaj, damulko!”.

Posłanka, przyzwyczajona do kłopotliwych pytań, nawet nie mrugnęła okiem. Nie od razu rozpoznała dziwacznie ubraną staruszkę, która rzuciła jej wyzwanie ze środka sali. To na pewno jakaś ekscentryczka, a przyszła tu po dłuższym posiedzeniu w pobliskim pubie.

- To taka przerośnia - wyjaśniła, uśmiechając się wyrozumiale. - Może niezbyt oryginalna, ale jestem przekonana, że wszyscy wiedzą, o co chodzi.

Goście z tylnych rzędów zaczęli się dobrze bawić i dali temu wyraz głośnym śmiechem, zapewne wbrew intencjom organizatorów. Mimo wszystko okazja była poważna. Czerwona ze wstydu Emma wpatrywała się w plecy siedzącego przed nią mężczyzny. Pani Moorhouse wzruszyła lekko ramionami i unosząc brwi zerknęła na pułkownika, jeszcze bardziej skonsternowanego niż Emma. Ta staruszka w głębi sali to przecież nie kto inny, tylko Lady Makbet, która tak miło zabawiała go przy herbacie. Szepnął coś do ucha posłance i dopiero wtedy ją oświeciło. Kiwnęła głową i uśmiech znikł z jej twarzy.

- Pragnę przypomnieć, że jestem tu po to, żeby odpowiadać na pytania poważnej, rzeczowej natury. To nie teatr ani kabaret.

- Wiem o tym aż za dobrze - odparła Mad. - W teatrze bowiem ja stałabym na scenie, a pani siedziałaby na widowni, chociaż może niekoniecznie. - Brawa Toma Bate'a i jego kompanów. - A jednak chcę zadać „pytanie poważnej, rzeczowej natury”. Na przykład takie: Skoro mamy w pełni współdziałać z dzielnymi wojskami Stanów Zjednoczonych, a nawet okazywać im przyjaźń, to czy otrzymamy gwarancję, że żołnierze nie będą strzelać do naszych psów i że każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko będą mogli poruszać się swobodnie po drogach, miasteczkach i plażach, które należą do nas wszystkich?

Tym razem aplauz z tyłu sali przekroczył wszelkie granice. Pani Moorhouse nieznacznym ruchem ręki okazała swoją bezsilność i spojrzała na pułkownika.

Pułkownik Cheeseman podniósł się z wyrazem pojednania na wychudłej twarzy.

- Droga pani - zwrócił się do Mad. Mówił tonem sugerującym, że zarówno on, jak wszyscy zebrani doskonale wiedzą, iż

pytanie zadał ktoś, kogo wprowadzie wszyscy szanują i kochają, ale temu komuś lada dzień stuknie osiemdziesiątka, więc zapewne cierpi wskutek opóźnionego szoku. - Droga pani, byłem i jestem wdzięczny za gościnność, jaką mi pani okazała, zapraszając mnie w ubiegłym tygodniu na podwieczorek. Już wtedy mówiłem, że nic mi nie wiadomo o niefortunym incydencie z psem farmera. Potem otrzymałem raport w tej sprawie, podjęto też odpowiednie kroki, a właścicielowi wypłacono odszkodowanie. Ale - i muszę to jeszcze raz powtórzyć z całą mocą - jesteśmy przekonani, podobnie jak wasz rząd, że należy zastosować wszelkie środki, by w każdym zakątku Zjednoczonego Królestwa zapanowało prawo i porządek. Nikt w Kornwalii ani na pozostałym obszarze waszego cudownego kraju nie chce, aby powtórzyło się to, co ma miejsce w innych częściach świata, i dlatego obecnie musimy uszczuplić nieco zakres naszych swobód. Proszę uwierzyć, że dzieje się tak dla dobra pani i jej sąsiadów. Nikomu, kto załatwia swoje interesy, poruszając się spokojnie, zgodnie z przepisami, nie stanie się żadna krzywda. Jesteśmy tu po to, by was wspomagać, nie represjonować. USUK musi stać się faktem, my zaś musimy dopilnować, by w Zachodnim Kraju, tak jak gdzie indziej, wszystko było związane na ostatni guzik. Mam nadzieję, że to wyjaśnienie zadowala drogą panią.

Mad nie od razu odpowiedziała. Może wspominała dni zamierzchłej przeszłości, kiedy stojąc na scenie, miała wygłosić ostatnią kwestię przed opuszczeniem kurtyny. Na jej ustach wykwitł z wolna szyderczy uśmiezek. Przez chwilę pozwoliła oczom błądzić wzdłuż i wszerz sali, by wreszcie utkwić je w pułkowniku.

- Taak - powiedziała wolno. - Na pewno mnie zadowala. Powiem więcej, utwierdza mnie w dotychczasowej opinii. Powzięłam ją już w ubiegły czwartek, gdy pierwszy helikopter przeleciał nad moim domem. Uważam, że całe to przedsięwzięcie oba nasze rządy zaplanowały wiele miesięcy temu przy poparciu finansjery amerykańskiej i brytyjskiej i że jest to największy zamach stanu w dziejach świata. Czy uda się, czy też nie, przyszłość pokaże.

Dotknęła rękawa Jacka Trembatha. Farmer podniósł się natychmiast niczym partner sceniczny, a w ślad za nim jego żona

i Emma. Cała czwórka ruszyła powoli środkiem sali w takiej ciszy, jaka dawno temu panowała tylko w nieistniejącym już Teatrze Królewskim. Ledwie znaleźli się przy wyjściu, na sali podniósł się niesamowity zgiełk: brawa, gwizdy, okrzyki aprobaty i protestu, nawoływanie do porządku, wreszcie głuszące to wszystko tupanie.

- To go załatwi na dzisiaj wieczór. I ją także - zawyrokowała Mad z satysfakcją. - Jedziemy do domu.

Zaczekała, aż hałas ucichnie i poszła do samochodu, odprowadzana przez Trembathów. Od strony ratusza zbliżała się kolejna grupka ludzi, a wśród nich Tom Bate.

- Piękna robota, złociutka - powiedział do Mad. - Jak jakaś sztuka w teatrze.

Tymczasem w ratuszu przywrócono porządek i o głoś poprosił krajacz szynki. Chciał wiedzieć, jak obecność marines wpłynie na sezon turystyczny, skoro wojsko zamierza nadal zajmować przyczepy i budki na plaży Poldrea.

6

Kiedy rano Emma weszła do sypialni Mad, **babka** siedziała w łóżku i pilnie studiowała rozłożoną na kolanach gazetę.

- Jest - delektowała się. - Na pierwszej kolumnie, w samym środku: *Słynna aktorka zabiera głos na lokalnym zebraniu. Pada trafne pytanie: czy naród popiera zamach stanu?* Sama widzisz, że coś rozpętałam i chyba odwaliłam kawał dobrej roboty.

Oparła się na poduszce z triumfalnym błyskiem w oku. Emnie przypomniało się, że dawno temu w Londynie, jako mała dziewczynka, tak samo weszła rano do sypialni i zastała babkę **nad** recenzjami z nowej sztuki, której premiera odbyła się poprzedniego wieczoru. Teraz, zbliżając się do osiemdziesiątki, Mad w identyczny sposób przeżywa rozgłos po swym występie w ratuszu.

- Co jeszcze piszą? - spytała Emma, pochylając się nad łóżkiem.

- Sama przeczytaj. Ja idę się kąpać. Och, nie ma tam nic na temat naszej roli w tym wszystkim. W końcu my to małe piwo, podobnie jak całe Poldrea, ale przestuduj wstępny artykuł na temat ogólnej sytuacji w kraju i tego, na co się jeszcze zanosi. Wolność prasy, też coś! Ten wydawca siedzi u nich w kieszeni.

Mad poszła do łazienki, a Emma usadowiła się na łóżku z gazetą. To prawda, tylko mały akapit poświęcono zebraniu w ratuszu, ale nagłówek aż bił w oczy: *Sensacyjne wystąpienie słynnej aktorki*. Jeśli zauważy to ktoś z krajowej prasy, ani chybi Pa znów się pojawi na linii. Wróciła do głównego artykułu. Żadnej wzmianki o Mad, oczywiście, ale za to wielka pochwała USUK-u, który, według autora, jest wybawieniem dla kraju po porażce z wejściem do

Europy kilka lat temu. *Nareszcie możemy podnieść głowy... Nie żadna tam przybrzeżna wysepka, tylko część potężnej unii anglojęzycznych narodów...* I tak dalej, i tak dalej. Emma prześliznęła się zaledwie po tekście, bo znała takie kawałki, odkąd w wieku trzynastu lat zaczęła czytać gazety, i zawsze wydawały się jej okropnym nudziarstwem.

Odnalazła najnowsze wiadomości. Cała sprawa z tą unią okazała się dość przygnębiająca, bo wyraźnie wszędzie panoszyły się oddziały amerykańskie. Wraz z siłami brytyjskimi i policją sprawowały kontrolę nad elektrowniami, centralami telefonicznymi, studiami telewizyjnymi, na wypadek gdyby wynikły kłopoty z owymi tajemniczymi elementami wywrotowymi, o których każdy tyle gadał. Ale radość w narodzie była wprost wstrząsająca. „Nareszcie... nareszcie” słyszało się ze wszystkich stron, począwszy od bankierów w City (Pa...) do sędziwych emerytów (bez Mad). Rozwodzano się szeroko na temat swobody podróżowania z kraju do kraju, wspólnego obywatelstwa, pracy dla wszystkich, możliwości dla młodzieży, integracji kulturalnej. Odnosiło się przy tym wrażenie, że Australia, Nowa Zelandia i Południowa Afryka też chciały mieć coś wspólnego z USUK-iem, nie powiedziano konkretnie co, ale wynikało to ze złowieszczych aluzji do odstraszenia nuklearnego - że niby USUK w pełni kontroluje sytuację. Australia, kraje południowej i środkowej Afryki, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania rozpostarłyby wtedy parasol atomowy nad całym obszarem od Atlantyku do Oceanu Indyjskiego.

- Nie rozumiem, o co chodzi z tymi atomami, a ty? - krzyknęła Emma do Mad w łazience.

- Ja tak! - wrzasnęła Mad. - Pamiętasz, co chcieli zrobić w Europie? Ustanowić ją trzecią potęgą. No cóż, pomysł nie wypalił, jedni zwalali winę na lewe skrzydło, drudzy na prawe; tak czy inaczej Europejczycy się nie zgodzili. Teraz, czytając między wierszami, widzę, że mamy to u siebie - atomową broń odstraszącą, do spółki ze Stanami, Południową Afryką i Australią. Cztery punkty zagłady w czterech stronach świata. Cudo.

Emma wruszyła ramionami i zaczęła ścielić łóżko. Przez całe życie słyszała zwrot „odstraszanie nuklearne”. Oznaczał ry-

czące urządzenia, które miały na odległość tysięcy kilometrów rakiety jądrowe, aby zmieść z powierzchni ziemi całe obszary wraz z mieszkańcami. Nie można było na to nic poradzić, chyba żeby się wynalazło antyrakiety, a potem ktoś inny musiałby wynaleźć antyantyrakiety I tak bez końca. Może wojska amerykańskie dlatego odgradzają plażę Poldrea, żeby ich specjaliści mogli tam zainstalować jakąś antyantyrakietę...

Mad wróciła z łazienki, tym razem przebrana za syberyjskiego wieśniaka sprzed rewolucji. Workowate spodenki przywłaszczyła sobie dawno temu - stanowiły część kostiumu do „Wiśniowego sadu”, granego w trasie objazdowej. Przejrzała się w lustrze z wyraźnym zadowoleniem. Ostatnim dowodem przynależności do pańszczyźnianych chłopów był ciężki łańcuch na kozy zamontowany wokół talii. (Mad pozwoliła kiedyś Joemu trzymać kozy, ale dała za wygraną, kiedy największa trafiła do jej łóżka). Czysty Aleksiej Władowicz, gotów do boju.

- Madam?

W drzwiach stała Dottie, w stanie zwykłego u niej pośniadaniowego zaferowania.

- O co chodzi, Dottie?

- Nagle pojawił się porucznik Sherman, jest z nim jakaś Amerykanka. Przedstawił ją jako panią Hubbard. Musiałam ich wprowadzić do pokoju muzycznego, ale powiedziałam, że nie jestem pewna, czy pani już wstała. Zawsze mogę oświadczyć, że leży pani w łóżku.

- Ja tam pójdę - rzekła szybko Emma. - Dam sobie radę.

- Nonsens - zaprotestowała Mad. - Idziemy razem. Pani Hubbard... Czy nie tak się nazywała kobieta, która siedziała wczoraj między pułkownikiem Cheeseringiem a posłanką?

- Tak, chyba tak.

- Hm... mruknęła Mad, skubiąc swój łańcuch. - Zaraz się jej pozbędziemy.

I poszła przodem z zaciętą twarzą.

Kiedy wkroczyła z wnuczką do pokoju muzycznego, porucznik Sherman, przyjmujący dość swobodną pozę, stanął na baczność. Pani Hubbard, przyjemna kobietka lat około czterdziestu pięciu, z nadmiarem zębów, wpatrywała się właśnie z zachwytem

w wazony pełne suszonych główek hortensji. Zaraz jednak wyciągnęła obie ręce do pańszczyźnianego chłopa.

- Jestem Martha Hubbard - obwieściła takim tonem, jakby siedziała przy kapitańskim stole podczas wycieczkowego rejsu. - Bardzo, bardzo przepraszam za naruszenie pani spokoju. Jestem tak oczarowana tą kompozycją kwiatową, że aż zabrakło mi tchu. Mój Boże, cóż za cudowny dom! Czy ten milutki nakrapiany pieseczek to pani ulubieniec?

Folly przywlokła się z biblioteki i zaczęła obwąchiwać pończochy intruza. Rezultat musiał sprawić jej zawód, bo spuściła ogon i przymierzała się do skoku na najbliższe krzesło.

- To suka - oznajmiła Mad. - Ma prawie piętnaście lat, jest ślepa i głucha, co i mnie pewnie czeka w najbliższej przyszłości. A to moja wnuczka Emma.

- Jak się masz, moja droga - powiedziała z uśmiechem Martha Hubbard, po czym znowu zwróciła się do Mad. - Nie chcę zabierać pani zbyt wiele czasu, ale zależy mi, aby pani wiedziała, jak bardzo mi przykro, że nie została pani do końca wczorajszego zebrania. Naprawdę rozumiem pani uczucia i całym sercem jestem po jej stronie. Wybacz mi śmiałość, ale od wielu lat darzę panią ogromnym podziwem, a teraz pragnę tylko wyjaśnić nasz program i pozyskać pani zrozumienie.

- Program? - spytała Mad, przybierając zdziwioną minę. - Czyżby wojsko chciało zorganizować nam jakieś rozrywki?

Boże, myślała Emma. Teraz zaczniesz ten numer z udawaniem idiotki. Będzie wykręcać kota ogonem, cokolwiek ta kobieta powie. Zerknęła na porucznika, który lekko poczerwieniał i nadal stał na baczność.

- Ależ proszę siadać - rzekła pośpiesznie. Mimo wszystko trzeba okazać gościnność.

Garnitur zębów Marthy Hubbard sięgał od ucha do ucha.

- Nie wiem, co zamierza wojsko - powiedziała, potrząsając leciutko głową w kierunku porucznika. - Nie reprezentuję służb specjalnych, nie jestem też politykiem. Nie, po prostu należę do TIK-u, towarzystwa, które pełni tu szczególne obowiązki na rzecz USUK-u. Mamy utworzyć swoje oddziały w całym kraju i w tym właśnie może nam pani pomóc.

- Do KIT-u? - Tym razem zdumienie Mad nie było udawane. - Skrót brzmi znajomo, ale może przekreśliłam jakąś literę? Czyż nie mieliśmy tu jakiegoś KIT-u parę lat temu? Komitet Informacji Turystycznej? Nie pamiętam, co oni robili, ale miało to coś wspólnego z kształceniem przewodników...

Martha Hubbard dalej się uśmiechała. Właściwie nie był to prawdziwy uśmiech, tylko sposób ułożenia ust, jak u bohatera francuskiej powieści grozy „Człowiek śmiechu”.

- Nie, moja droga. - Emmie wydało się, że „moja droga” to lekka przesada, ale ludzie mają skłonność do takiego zwracania się do starszek. - Nie, moja droga, to nie jest KIT, tylko TIK, coś zupełnie innego. Skrót ten oznacza Towarzystwo Integracji Kulturalnej społeczeństwa amerykańskiego z brytyjskim. Ustanowiono je po to, aby połączenie dokonywało się w atmosferze harmonii i wzajemnego głębokiego zrozumienia.

Urwała, by nabrać tchu; tchu, którego zabrakło jej na widok kompozycji zasuszonych główek hortensji.

- Towarzystwo Integracji Kulturalnej - powtórzyła z namysłem Mad. - Cóż, to bardzo interesujące. Może coś jak Instytut Kobiet? Szałowe przepisy i pokazy slajdów? Mam w szufladzie w kuchni kilka znakomitych przepisów, znajdzie się też trochę kolorowych przezroczy; mój mąż gdzieś je poutykał...

- Nie, nie - pośpieszyła z wyjaśnieniem Martha Hubbard. - To wszystko także na pewno zainteresuje naszych członków, ale myślałam o bardziej intelektualnym aspekcie. Czytanie sztuk, książek, poezji, wymiana dramatów, filozofia, dyskusje o wielkich problemach współczesności, takich, które mają wpływ na nasze myśli i stwarzają motywację do życia.

- Motywację, motywację - mruknęła Mad i nagłe: - Ach, pani chodzi o sens! Problemy, które nadałyby sens naszemu życiu? - Wciąż wyglądała na zaintrygowaną.

- Pani, przy swoich wielkich możliwościach dramatycznych i wiedzy o teatrze, mogłaby wiele wnieść do naszego ruchu! Istnieje na przykład problem zwiększania się czasu wolnego od pracy. Nie wiem, czy już to podano do powszechnej wiadomości, ale słyszałam, że nasze rządy, działając jako partnerzy, zamierzają powołać Ministerstwo Wolnego Czasu,

co dla waszego Zachodniego Kraju powinno mieć doniosłe znaczenie.

- Tak? Z powodu naszego wysokiego bezrobocia? Chce pani powiedzieć, że ludzie, którzy nie mają pracy, nie wiedzą, jak wypełnić sobie dzień? Nie nazwałabym tego problemem wolnego czasu.

- USUK ma wstrząsające plany dla was wszystkich - uśmiechnęła się Martha Hubbard. - Doskonale wiemy, jak bardzo jesteście uzależnieni od turystyki i w tym także TIK zamierza wam pomóc. Weźmy choćby ten mały skrawek Kornwalii - nawet nie zaczęliście wykorzystywać jego potencjału turystycznego. Odkąd nasi rodacy dowiedzieli się o związkach tego regionu z Tristanem i Izoldą, z królem Arturem, tryskają wprost entuzjazmem. Widowiska, parady z udziałem tutejszych mieszkańców w historycznych kostiumach... Mogłaby pani wystawić wprost na plaży powrót Tristana z narzeczoną króla Marka z Irlandii.

Mad nie zmieniała zamyślonego wyrazu twarzy, co Martha Hubbard uznała za zachętę. Sędziwa gwiazda jest wyraźnie pod wrażeniem, więc trzeba kuć żelazo, póki gorące.

- Czy pani nie widzi, że tym, co macie do sprzedania tu, w Zjednoczonym Królestwie, nie są słoneczne plaże i kąpieliska, tylko tło historyczne? Przecież - przeniosła wzrok także na Emmę i porucznika - całe zachodnie wybrzeże od północnej Walii aż po Kornwalię może się stać jednym wielkim terenem wakacyjnym. Gdyby ci poczciwi Walijczycy, poprzebierani w kostiumy - cylindry i szerokie płaszcze - zajęli się sprzedażą placków ziemniaczanych amerykańskim turystom, nikt nie skarżyłby się na bezrobocie. To samo w Kornwalii. My w Stanach nie musimy kupować waszej glinki porcelanowej, ale zbudujcie miniaturową Szwajcarię w tych białych górach, wyuczcie waszych bezrobotnych na instruktorów narciarskich, niech zaprzęgną do sań...

- Najmocniej przepraszam - wtrąciła Mad. - Powiedziała pani „niech się zaprzęgną do sań”?

- Nie, moja droga. Nie siebie, tylko konie. Sanie to takie pojazdy na rolkach, bardzo malownicze. Powiadam pani, aż kipi we mnie od pomysłów dla TIK-u, a przy pomocy pani i lokalnych władz...

Urwała w połowie zdania, bo nagle drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadli Colin z Benem.

- Ben umie nowe słowo! - wrzasnął Colin.

- O nie - zareagowała błyskawicznie Emma. - Nie chcemy go słuchać. Chodźcie ze mną do pokoju zabaw, Madam jest zajęta, nie możecie jej teraz przeszkadzać.

Ale Martha Hubbard zaniemówiła z wrażenia na widok złoto-wołosego cherubinka trzymającego za rączkę małe Murzyniátko.

- Co za słodkie maleństwa! Lubicie cukiereczki? Babunia pozwala je wam jeść?

Colin zmarszczył brwi. Nigdy dotąd nie słyszał słowa „cukiereczki”. Czy ta zębata osoba ma na myśli świeczki*? Rzucił okiem na Emmę - miała dość niewyraźną minę - a potem na Madam, która mrugnęła zachęcająco i nieznacznie skinęła głową.

- Madam nie jest moją babcią, tylko Emmy - powiedział. - My używamy świeczek, jak wysiadzie elektryka, ale Dottie ich nie lubi, mówi, że są niebezpieczne i kapią na podłogę. Nigdy ich nie jadamy.

Martha Hubbard zanosła się perlistym śmiechem.

- Świeczek nie jadacie? Czyż on nie jest rozkoszny? Nie, kochanie, mnie chodziło o cukierki, takie słodkie pałeczki. Wieszysz? - Sięgnęła do torebki i wyjęła dwa biało-różowe lizaki. - Słyszałam, że w tym domu są dzieci, więc się przygotowałam do wizyty. - Podała im lizaki i znowu zaczęła grzebać w pięknej torebce. - Właściwie mam dla was coś jeszcze. Przyniosłam całą kolekcję, żebyście sobie zatknęli na samochodzie i machali nimi podczas spacerów. Wszystkie dzieci w okolicy je dostaną.

Wyciągnęła pęk chorągiewek i potrząsnęła nimi przed oczami Colina. Z początku Emma sądziła, że są to wymieszane ze sobą miniaturki sztandarów - brytyjskiego i amerykańskiego. Dopiero kiedy Martha Hubbard je rozłożyła, ukazały się chorągiewki nowego typu. Brytyjski Union Jack widniał na nich tuż obok pasków i gwiazd Ameryki. Twór był dość porażający i bez krztyny gustu.

* Słowa „cukierek” i „świeca” brzmią po angielsku podobnie: *candy* i *candle*.

- Przyleciały ze Stanów wczoraj w nocy - oświadczyła z dumą. - Są ich tysiące, także w większym rozmiarze; zatknie się je na wszystkich urzędowych budynkach i u was, i u nas.

- Dobry Boże! - wyrwało się Mad.

Na szczęście powiedziała to *sotto voce* i Martha Hubbard, zajęta rozkładaniem chorągiewek przed chłopcami, nie słyszała. Ale porucznik Sherman usłyszał. Wstał z krzesła z dość dziwnym wyrazem twarzy.

- Nie będziemy pań zatrzymywać - rzekł. - Wiem, że macie tu mnóstwo roboty. Aha, pułkownik Cheeseman przesyła pozdrowienia. Bardzo mu przykro, że z powodu stanu wyjątkowego tutejsze dzieci straciły uroczystość Guya Fawkesa i nie mogły rozpaścić ogniska*. Mam powiedzieć w jego imieniu, że dziś wieczorem urządzamy zabawę na plaży dla wszystkich dzieci i chłopcy z tego domu będą mile widziani. Sami dostarczymy fajwerki.

- Jak to miło ze strony pułkownika - rozpromieniła się Emma. - Jestem pewna, że babcia...

Zerknęła nerwowo na Mad, bo nie była pewna, jak ta zareaguje, ale ku swemu zaskoczeniu zobaczyła, że babka się uśmiecha.

- Mądrze pomyślane - rzekła łaskawie. - Skoro pułkownik zapewnia fajwerki, my dostarczymy kukłę.

O Boże, pomyślała Emma, co ona kombinuje? Porucznik jednak wydawał się zachwycony i serdecznie podziękował.

Ale Martha Hubbard nie skończyła jeszcze z Benem, który wciąż się na nią gapił z za różowo-białego lizaka. Pragnęła za wszelką cenę pokazać, że wbrew temu, co mogliby pomyśleć Brytyjczycy, ona, Amerykanka z Bostonu, nie ma żadnych uprzedzeń rasowych.

- Nie podziękowałeś mi jeszcze za cukiereczka, kochanie - odezwała się słodziutko - ale zanim to zrobisz, chciałabym, żebyś mnie mocno, mocno uściskał...

Ben przewrócił oczami i wciągnął powietrze.

* Piątego listopada, w rocznicę nieudanej próby wysadzenia gmachu Parlamentu w roku 1605 tradycyjnie odpala się petardy i pali kukłę przywódcy spisku, Guya Fawkesa.

- P... - zaczął. - Pi...

Emma rzuciła się naprzód i porwała malca w ramiona.

- On jest bardzo nieśmiały wobec obcych - wyjaśniła pośpiesznie. - Ja za niego podziękuję.

I zanim Ben zdołał dokończyć wyraz, wyniosła go do kuchni, gdzie Terry i Andy siedzieli z wyczekującymi minami.

- Powiedział? - spytał Terry z iskierkami w oczach.

- Nie! - wrzasnęła Emma. - Nie powiedział! Jeszcze jeden taki numer, a pójdę prosto do Madam i powiem, czego uczycie Be-na. Niech tylko wyjdą goście...

- Spoko - uśmiechnął się Terry. - Ona o wszystkim wie.

Emma wyszła z kuchni, trzaskając drzwiami, i zaraz w holu natknęła się na porucznika Shermana.

- Pani babcia jest tak miła, że zgodziła się oprowadzić panią Hubbard po domu i przedstawić jej pozostałych chłopców.

Ja się załamie! - pomyślała dziewczyna. Na pewno żadne łóżko nie jest pościelone, Dottie będzie robić miny, a jeśli maluchy nie powiedzą czegoś strasznego, to zrobią to średniaki.

- To znaczy - powiedziała głośno - że nie jestem jej potrzebna. Może pozwoli pan do ogrodu?

- Z przyjemnością. - Ulga porucznika po wyrwaniu się z towarzystwa obu starszych kobiet była niemal tak wielka, jak Emmy. Kiedy wydostali się z domu, poprosił: - Chciałbym, żeby nazywała mnie pani Walym. To brzmi bardziej przyjaźnie niż „porucznik Sherman”.

- Zgoda - ustąpiła Emma i otworzyła boczne drzwi. W tym momencie wpadli całym rozpędem na Joego z taczką pełną drewna.

- Cześć - zawołał porucznik.

- Dzień dobry - burknął Joe.

Chyba jest daleki od zachwytu, pomyślała Emma. Jakie to śmieszne. Czy to moja wina, że wszędzie roi się od żołnierzy?

- Chcę pokazać panu porucznikowi widok na końcu ogrodu - wyjaśniła niepotrzebnie.

Głupi pretekst, zważywszy, że facet z dziesięć razy przelatował tędy helikopterem. Joe nie odpowiedział, tylko zawrócił taczkę w stronę warzywnika.

- Coś nie tak? - spytał porucznik. - Wygląda na zbitego z tropu.

Och, Joe zawsze z trudnością nawiązuje kontakty. Zupełnie odwrotnie niż Terry.

- Może mu się nie podoba - zasugerował chytrze - że idziesz ze mną na spacer?

- Co? - Emma wytrzeszczyła oczy i parsknęła śmiechem. - Posłuchaj, wszyscy wychowaliśmy się razem. Może zauważyłeś, że tworzymy dość śmieszoną rodzinę?

Doszli do dróżki, z której było widać orne pole, wciąż budzące przykre wspomnienia. Wokół okrętu w zatoce coś się działo.

- Powiem ci, co zauważyłem. Nikt z nas nie jest mile widziany w tym domu. Twoja babka dała to jasno do zrozumienia na wczorajszym zebraniu.

- Och, nie mówiła tego na serio! Musisz zrozumieć, tacy są starsi ludzie. Trzymają się mocno swoich zwyczajów, no i sam przyznasz, że cała ta sprawa z USUK-iem wybuchła zupełnie nagle. To było straszne, nie możesz mieć do niej pretensji.

- Wcale nie mam, tylko mi przykro, że przyjęła taką postawę. Widzisz, jesteśmy tu po to, aby wam pomóc we wprowadzaniu unii w życie. Twoja babcia jest tak dobrze znana, że zachęta z jej strony bardzo ułatwiłaby nam pracę. Tutejsi mieszkańcy posłuchaliby jej...

Emma zastanowiła się przez chwilę.

- Nie sądzę. To nie jest tego rodzaju osoba. Ona teraz żyje wyłącznie dla chłopców.

- I dla ciebie?

- I dla mnie.

Porucznik uśmiechnął się ciepło.

- Musiała być w młodości bardzo do ciebie podobna.

- Dziękuję. Nie mogłeś mi powiedzieć miłszego komplementu.

Wrócili tą samą drogą i zatrzymali się przed frontowymi drzwiami, czekając, aż tura inspekcyjna dobiegnie końca.

- Powiedz - spytała Emma - czy względy bezpieczeństwa naprawdę wymagają tych wszystkich szlabanów, przepustek, okrętu w zatoce, helikopterów nad głowami i w ogóle obecności wojska? Po co nam to, skoro jesteśmy już zjednoczeni?

Porucznik spoważniał.

- Wyłącznie po to, aby zyskać pewność, że unia jest trwała i nic jej nie zagraża. Nie możemy sobie pozwolić, by coś zawiodło. W ciągu ostatniej dekady było za dużo półśrodków w stosunkach między narodami. Popatrz na ten bałagan, jaki zaplanował w Europie. Wszyscy się kłóca, chociaż jeszcze nie doszło do wojny.

- Te kłopoty dotyczą tylko gospodarki. Pewnie dlatego tak na nich ujadamy.

- Nie sądzę, żebyście „ujadali” na nich, jak to określiłaś, tylko z powodów ekonomicznych. Popełniliście, czy raczej wasz rząd popełnił, błędy strategiczne. Z tego, co rozumiem, USUK to wasza jedyna nadzieja. My dalibyśmy sobie radę sami, ale wy - nie.

Emma milczała. Poczwała nagły lęk, niepewność. Wydawało się jej, że porucznik mówił to samo, co pisały poranne gazety. Brzmiało to bardzo podobnie do tego, co pan Trembath powiedział wczoraj do Mad: „Mamy być grzeczni, bo jak nie...”.

- W każdym razie - podjął porucznik - jesteście stanowczo za młoda i za ładna, by martwić się na zapas ponurymi wypadkami, które może wcale się nie wydarzą. Przyjdiesz wieczorem na plażę? Będzie ognisko i wspaniały pokaz, obiecuję.

- Tak - odparła Emma. - Przyjdę choćby po to, żeby mieć oko na moją babkę.

Mad i dama z Bostonu wyszły z domu na ścieżkę. Emma zauważyła, że uśmiech tej ostatniej nie jest już tak szeroki jak na początku tury inspekcyjnej. Wyglądała na dość zmęczoną.

- Jeszcze jedno - zwróciła się do Mad. - Pani piękny dom nazywa się Treval. Twierdzi pani, że „tre” to prefiks oznaczający „siedlisko”, a co z „val”?

- Och, dziesięciny - wyjaśniła Mad z czarującym gestem. - Budynek kościelny, w którym składowano dziesięciny, inaczej „skyberval”, ale nie podobało mi się to słowo, więc wybrałam „val”. Zresztą w dawnych czasach był tu właśnie skład dziesięcin.

- Ale - Martha Hubbard dalej pilnie notowała - chyba mówiła mi pani na gorze, że król Mark spał kiedyś w jednym

z gościnnych pokoi, a w tej wnęce w kącie stało ślubne łożo Izoldy?

- Owszem, ale to działo się, zanim budynek przekształcono w magazyn. Kiedy dwadzieścia lat temu kupiłam dom, alkowa była zapchana workami. Wszędzie pełno ziarna... O, jak się masz, kochanie.

Spojrzała wyzywająco na wnuczkę. Obie doskonale wiedziały, że Amerykanka kupiła każde słowo, uznając opowieść za świętą prawdę.

- Jestem przekonana - powiedziała wylewnie Martha Hubbard, ściskając dłoń pani domu - że zawiązała się między nami bardzo szczególna więź. Gdyby pani chciała dowiedzieć się czegoś więcej o działalności naszego ruchu w ramach USUK-u, wystarczy dać mi znać.

- Przyprowadzi pani chłopców na ognisko, prawda? - upewniał się porucznik Sherman. - I Emmę także. Proszę nie zapomnieć kukły.

Babka Emmy uśmiechała się, odprowadzając gości do furtki.

- Nie, nie zapomnimy kukły.

Dopiero gdy zniknęli za podjazdem, zawołała:

- Terry! Gdzie jesteś?

- Po co ci Terry? - spytała podejrzliwie Emma. - Powinien teraz pomagać Joemu w warzywniku.

- Ale będzie pomagał mnie. I reszta chłopców także. Nie słyszałaś, że mamy przynieść kukłę?

Zmarszczyła nagle czoło pogrążona w myślach, kiedy do holu przydreptał Ben z kawałkiem różowego cukierka w buzi i pękiem chorągiewek w ręczce. Martha Hubbard musiała dać mu jeszcze krakera*, bo w drugiej ręczce ścisnął skarb, który rzucał kolorowe błyski.

- Hmm - mruknęła Mad.

Emma zerknęła na babkę. Jej „hm” zawsze kryło w sobie tajemniczą treść. Niekiedy oznaczało, że Mad błądzi myślą w odle-

* **Kraker - papierowy walec z drobną niespodzianką i ogniem bengalskim. Stanowi popularną zabawkę podczas gwiazdkowych przyjęć; wybucha, gdy dwie osoby ciągną go w przeciwne strony.**

głych miejscach i czasach, ale innym razem chodziło tylko o to, że właśnie wpadło jej do głowy słowo do krzyżówki czy akrostychu.

- O czym myślisz? - spytała wnuczka.

Mad patrzyła, jak najmłodsza pociecha zbliża się do niej z rozpromienioną hebanową buzią.

- To dziecko można wyuczyć dosłownie wszystkiego.

7

Żołnierze oczyścili spory kawał nieużytków między bagnami a drutem odgradzającym ich obóz na plaży Poldrea. Na środku piętrzył się stos wyrzuconego przez fale drewna. Wokół zebrał się tłum mieszkańców zaciekawionych, jakąż to imprezę szykuje im wspaniałomyślne wojsko. Rodzice z dziećmi, starsza młodzież, miejscowi sklepikarze, robotnicy z kopalni kaolinu, dokerzy, mieszkańcy okolicznych wiosek i oczywiście sami marines. Ci ostatni w świetnych humorach, roześmiani, klepali po główkach rozliczne dzieci, przekomarzali się z dziewczętami, pokazując swą serdeczność, co znaczy integracja, może wprawdzie nie aż tak kulturalna, jakby życzyła sobie Martha Hubbard. Wszędzie powiewały flagi USUK-u - pan Libby, właściciel Raju Żeglarza, zatknął jedną na słupie przy gospodzie, a ponieważ wieczór był pogodny i ciepły jak na listopad, wyniósł nawet stoliki i krzesła na trawnik, aby goście mogli podziwiać fajerwerki przy piwie.

W powietrzu czuło się podniecenie. Emma do ostatniej chwili odnosiła się z wyższością do całej imprezy i nawet była skłonna dotrzymać towarzystwa Joemu i Dottie, którzy woleli zostać w domu. Teraz jednak i jej spodobał się pełen ożywienia nastrój, taki trochę kojarzący się z zagranicą - Włochami czy Hiszpanią. Wszyscy ci marines, kręcący się wśród tutejszych mieszkańców, mieli w sobie jakiś zagraniczny szlif. Ich mundury, twarze... Nie, to jednak nie Włochy ani Hiszpania, raczej stary western; wciąż się gada o granicy, a Raj Żeglarza to nic innego jak *saloon* z wahadłowymi drzwiami. Lada moment pojawi się ktoś w kowboj-

skim kapeluszu, z dwoma rewolwerami u pasa. Miejscowi chłopcy, przyjaciele Joego i Terry'ego, pozdrawiali ją, przechodząc: „Siemasz, Emma”, ona odkrzykiwała im: „Cześć”, ale do nich już się przyzwyczała, natomiast ci marines gapili się na nią, byli tacy... no, jacyś pobudzeni. Wyraz ich oczu, rozleniwiony krok, wybuchy śmiechu, poszturchiwanie się, wreszcie akcent zupełnie nie przypominały zachowania turystów odwiedzających Kornwalię; miały w sobie chełpliwość najeźdźców, zwycięskich najeźdźców, którzy szacują łupy. A jednak nie było to tak zupełnie nieprzyjemne.

Poczuła na plecach czyjąś rękę. To Wally Sherman, porucznik - o bynajmniej nie absurdalnym już imieniu - niespodziewanie objął ją ramieniem.

- Chłopaki odwaliły kawał roboty, no nie? - powiedział, wskazując stos drewna.

W pierwszej chwili ją zamurowało, bo zrozumiała, że on mówi o ich chłopcach, to znaczy o chłopcach Mad, ale oczywiście chodziło mu o marines.

- Tak, to rzeczywiście wspaniałe - odparła. - Mam nadzieję, że kukła nie spali się od razu. Babcia z chłopcami pracowali całe popołudnie. Chyba nie muszą dodawać, że nie pozwolili mi patrzeć. Wyobrażam sobie, że wystroili ją we wszystkie stare ciuchy, jakie udało im się znaleźć.

- Gdzie jest twoja babcia? Nie widzę jej, chłopców zresztą także.

Omiatał wzrokiem głowy tłumu, tak samo jak Emma.

- Dopiero co widziałam ją przy gospodarze. Czekąca na Trembathów; to zaprzyjaźnieni farmerzy. Terry z panem Trembathem mieli przywieźć kukłę landroverem z farmy. Najwyraźniej nie mieściła się w naszym bagażniku.

- Kawał chłopca, co? - Nagle pociągnął Emmę ku obrzeżom tłumu, tam gdzie grunt opadał i zaczynała się plaża, po czym mruknął pod nosem: - I baby także.

Jeśli on chce coś zacząć, dumiała Emma, a wyraźnie chce, to teraz jest właściwy moment, by go albo ostudzić, albo pozwolić sprawie dojrzeć. Pozostaje pytanie, czego ja sama chcę? Paru mokrych pocałunków, wzajemnych obmacywanek? I czy tak musi

być przy każdym spotkaniu, bo szczerze mówiąc... Zerknęła w lewo. W pobliżu znajdowała się wygodna grotka. Dwie sylwetki ukryte w cieniu, pod nawisem klifu, najwyraźniej przeszły do bardziej zaawansowanego stadium tej uniwersalnej gry. Och, no już dobrze, czemu nie? Wally otoczył ją ramionami i rozpoczęło się zwanie. W tłoku i podnieceniu zanosilo się na coś więcej, ale nagle rozległo się: Bum, bum, bum! - i pierwsze rakiety rozdarły niebo, zalewając swym blaskiem całą okolice. Wszyscy zastygli na miejscach, wydając zbiorowe: „Ooo!”.

Porucznik rozluźnił uścisk, dwie sylwetki po lewej stronie odskoczyły od siebie i przy opadających iskierkach rakiety Emma zobaczyła, że jedna z nich to Myrtle Trembath, dziewczyna Terry'ego, a druga - kapral Wagg, podwładny Wally'ego. Cała czwórka doznała szoku przy wzajemnym rozpoznaniu, ale wszyscy udawali ślepych i głuchych. Zaprawiony w bojach kapral wykazał się taktem, uprowadzając swą zdobycz w stronę grotki, wśród zduszonych chichotów i nieszczerych protestów. Co do Emmy, to wsadziła obie ręce do kieszeni anoraka, uświadamiając sobie nagle, że czuje już tylko niechęć, wręcz obrzydzenie. To, do czego omal nie dopuściła, nie wydawało się już ekscytujące, ale niestosowne, tanie. W dodatku nie była pewna, czy ów niesmak wypływa z faktu, że zobaczyła Myrtle w podobnej sytuacji, co świadczyłoby o snobizmie, czy też z tego, że zarówno kapral Wagg, jak porucznik Sherman - Wally - potraktowali reakcje dziewcząt jako rzecz naturalną, jakby stanowiły uboczny dochód, premię za - mówiąc wprost - okupację terytorialną.

- Daj spokój - burknęła. - Lepiej przyłączmy się do mojej gromadki.

Zaczęła schodzić z piasku na twardszy grunt. Porucznik, nie odzywając się, postępował z tyłu, a tymczasem rakiety wciąż rozpryskiwały po niebie snopy świetlistych iskier.

Pokaz był naprawdę imponujący - marines z pewnością mieli powód do dumy. Całe masy błękitnych, czerwonych, zielonych i białych gwiazd spadały na zadarte ku niebu twarze widzów. Trwało to pełnych dwadzieścia minut, po czym tempo zaczęło z wolna słabnąć. Wtedy głowy tłumu zwróciły się w stronę ogniska, które - raz rozpalone - mogło stanowić wielki finał imprezy.

- Jest twoja babcia - zauważył porucznik. - Stoi tam z młodszymi chłopcami.

Zrozumiał chyba, że palnął głupstwo, i teraz chciał załagodzić sytuację.

- No jest, rzeczywiście - odetchnęła z ulgą Emma i żeby pokazać, że nie chowa urazy, znów wzięła swego towarzysza pod rękę. - Jest też Terry i Andy, i kilku ich kolegów z technikum. Niosą coś bardzo dużego, pewnie to kukła.

Wszystko stało się bardzo szybko. W jednej minucie szczęściu chłopaków przechodziło ze swym ładunkiem przez pustą przestrzeń, a w następnej wypchana postać stała w rozkroku, umocowana na szczycie stosu. Mogła mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i wcale nie była odziana w stare ciuchy chłopców, tylko w połowy mundur żołnierza z blaszanym hełmem i imitacją strzelby. Emma, z trudem łapiąc oddech, przypomniała sobie pudło ze starymi kostiumami, relikiami Bóg wie jak zamierchłej przeszłości, które od lat leżało w piwnicy.

- Twoja babcia musiała tym razem wybrać się do miasta - powiedział Wally na poły z szacunkiem, a na poły złowieszczco. - Skąd, u licha, wytrzasnęła mundur? I co robi ten dzieciak?

Ben zbliżał się marszowym krokiem do stosu. W lewej ręczce trzymał ogień bengalski. Przez chwilę salutował w milczeniu, potem przytknął ogień do drewna i cofnął się o sześć kroków. Z piersi zgromadzonych wyrwało się westchnienie podziwu, dały się słyszeć okrzyki: „Patrzcie, ile odwagi w takim maleństwie!”. Marines w milczeniu wysunęli się do przodu, gotowi w każdej chwili złapać malucha, gdyby padła nań jakaś iskierka. Co do kukły - cóż, niech sobie będzie, skoro na tym polega brytyjski humor. Ale nie koniec na tym. Nikt dotąd nie zauważył, że z tyłu sterczała flaga USUK-u, która ukazała się w pełnej chwale dopiero kiedy płomyki zaczęły lizać siedzenie kukły. Rozległ się trzask, huk eksplozji, i w chwili gdy flaga wystrzeliła prosto w ogień, z tyłka kukły poszybowała w górę rakietą, po czym nieszczęсна **ofiara** runęła na stos.

Ryk śmiechu, który wznósł się pod niebo wraz z rakietą i towarzyszył jej aż do końca lotu, musiał rozbrzmiewać - jak zapewniał później Jack Trembath - aż na drugim wybrzeżu półwyspu,

ale zdaniem farmera i tak najlepszy ze wszystkiego był widok czarnego chłopaczka salutującego z miną generała, a potem wyraz twarzy dowódcy marines, który przyjechał akurat na sam finał.

Kiedy młodszy i starszy widzowie, wciąż ocierając łzy śmiechu, rozchodzili się do swych samochodów, zaparkowanych przed Rajem Żeglarza, inni zaś ścieżką wzdłuż plaży zmierzali spacerkiem do Poldrea, powietrzem targnęła nowa seria wybuchów, wprawdzie słabszych, ale skutecznych. Jakiś żartowniś rzucił podpalonym fajerwerkiem w służbowy samochód pułkownika Cheesemana; jego kierowca stał w tym czasie tyłem do wozu i patrzył na ognisko. Rozległ się syk, buchnął płomień i zapachniało spalenizną, bo wnętrze od razu się zajęło.

- No patrz - rzekł porucznik Sherman, puszczając ramię Emmy - to już wcale nie jest śmieszne.

I pobiegł do samochodu razem z kilkoma żołnierzami. Rozpoczęła się szamotanina, kiedy jeden z marines zobaczył, że ktoś z miejscowych się pochylił. Chłopak zawiązywał tylko sznurówadło, ale żołnierz pomyślał, że odpala następne fajerwerki, więc dał mu tęgiego kopniaka. Tamten wpadł do rowu, jego kumple podnieśli wrzask, jeden z nich na oślep rzucił kamieniem i na nieszczęście poszła szyba w samochodzie. Garstka marines ruszyła do ataku, rozdając na prawo i lewo kuksańce. Kobiety się darły, przewrócono jakiegoś staruszka, stoliki i krzesła przed Rajem Żeglarza fruwały na wszystkie strony. Blady jak ściana pan Libby próbował zapewnić bezpieczeństwo swym klientom, zaganiając ich do środka.

- Przekłęta łobuzeria - powtarzał. - To wcale nie wina marines. Powinno się powystrzelać tych chuliganów, całą cholerną bandę.

Mężczyźni trzymali kurczowo za ręce swoje kobiety i dzieci. Zbłąkane psy, i tak już wystraszone hukami fajerwerków, biegały tam i z powrotem, ujadając wściekle. Zewsząd dochodziły wrzaski, gwizdy i gniewne głosy, trwały przepychanki między marines a następną grupą miejscowych chłopaków i nagle ktoś zaczął rzucać nie kamieniami, tylko piaskiem, sypkim, szarobrazowym piaskiem z plaży. W jednej chwili w powietrze wzbiły się tumany miotanego na oślep pyłu, wciskając się w oczy, zatykając nosy i gardła. Powstał chaos. Piekło.

- Mad! - krzyczała Emma. - Mad! - Schowała głowę, by uniknąć piaskowego prysznica, który chciały jej sprawić jakieś chłopaki. - Andy! Colin! Ben!

Ale nie dostrzegła żadnego z nich, babki także. Był tylko fa-lujący, wściekły, ogłupiały motłoch; nikt nie potrafiłby podać po-wodu swojej złości, poza tym, że ponoć przewrócono jakiegoś staruszka, stratowano dziecko, przejechano psa... I przez cały czas szczątki ogniska prychały iskrami, a poczerniały hełm zwi-szał smętnie z żelaznej piki, stanowiącej kręgosłup kukły.

- Nic ci nie jest?

Pan Trembath z rozwianymi włosami, plamą na policzku, w podartym płaszczu nieprzemakalnym objął Emmę ramieniem i podał jej własną chusteczkę, by mogła sobie otrzeć oczy z piasku.

- Och, dzięki Bogu, to pan! - Uchwyciła się jego ramienia. - Gdzie moja babcia i chłopcy?

- Spokojna głowa. Siedzą bezpiecznie w waszym samocho-dzie za Rajem Żeglarza. Odwiozę was, a potem wrócę po moją rodzinę.

Przeprowadził ją na parking między dwoma szeregami ga-piów. Mad siedziała z przodu, a czwórka chłopców wpakowała się razem na tylne siedzenie. Mad paliła papierosa - pierwszy raz od dwudziestu lat. Wyrzuciła go przez okno, gdy tylko zobaczy-ła Emmę.

- Och, kochanie - wykrzyknęła Emma, bliska łez. - Tak się o ciebie martwiłam! Wołałam i wołałam bez końca, a tu znikąd żadnego znaku...

- My tak samo - odparła babka. - Kiedy ktoś krzyknął, że przewrócono dziewczynę, przestraszyłam się, czy to czasem nie ty. No, już po wszystkim. Wskakuj do środka, ale chyba będziesz musiała usiąść mi na kolanach, jak za dawnych lat. Panie Trem-bath, jestem panu bardziej niż wdzięczna. Możemy jechać?

Nikt nie przejmował się blokadą drogową, a tymczasem za-miast jednego wartownika stało tam czterech pod wodzą oficera. Tłum na plaży uspokoił się trochę, ale nikomu nie wolno było odjechać bez skrupulatnego sprawdzenia przepustki. Mężczyźni i młodzieńcy musieli wyrzucić kieszenie, kobiety i dziewczęta - pokazać torebki.

Oficer przy szlabanie przyjrzał się złotemu biletowi na szybie samochodu, po czym poprosił dorosłych o przepustki oraz nazwiska i adresy wszystkich innych, obecnych w samochodzie. Tym razem Mad pozwoliła Jackowi Trembathowi odpowiadać w jej imieniu i podawać szczegóły.

- Wysiadać - rozkazał oficer. - Musimy przeszukać wóz.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Oficer stał z boku, a dwaj jego podwładni podnieśli siedzenia i dywaniki, sprawdzili kieszenie i wreszcie zajrzeli do bagażnika.

Czego tam szukacie? - spytał Jack Trembath.

- Materiałów wybuchowych. W porządku, można jechać.

Wsiedli z powrotem i farmer uruchomił silnik.

- Materiałów wybuchowych! - wykrzyknął z oburzeniem. - Skąd byśmy je wzięli? Przecież sami nas zaprosili na tę cholerną imprezę z fajerwerkami!

- Może według nich - odezwała się Mad - fajerwerki to materiały wybuchowe. Oni mogą ich używać, ale nam nie wolno.

- Tu chodzi o wielkość - odparł Trembath. - Dobra, powiem jedno: może najedliśmy się na końcu trochę strachu, ale w życiu tak się nie uśmieiałem, jak wtedy, kiedy tej kukle eksplodowało siedzenie. A jankesom wcale nie było do śmiechu.

I skręcając z drogi na podjazd, znowu zaczął się śmiać. Kiedy zatrzymał samochód przed wejściem, powiedział do Mad:

- Pani się nie martwi o tego zgrywusa Terry'ego. Zabiorę go razem z Myrtle. Może u nas przenocować, a rano przyprowdzi samochód.

Dopiero kiedy zniknął im z oczu, Emma przypomniała sobie, że Myrtle wcale nie była na plaży z Terryem, tylko z kapralem. Kiedy zaczęły się fajerwerki, oboje oddalili się w stronę grotty, a podczas późniejszego rozgardiaszu wszystko mogło się stać. Czy ona, Emma, ma opowiedzieć o tym Mad, czy uznać, że to nie jej interes? Mad weszła do szatni, żeby ściągnąć buty, a podekscytowani chłopcy popędzili do kuchni, żeby zdać sprawę z wieczoru Joemu i Dottie. Został tylko Andy, który się nad czymś zastanawiał.

- Co cię gnębi? - spytała go Emma.

- Ja wiem, czemu przeszukiwali samochód.

- Ach tak? No dlaczego?

- Szukali plastiku, nie fajerwerków.
- Przecież nie mamy żadnego plastiku.
- Nie, ale Terry wie, skąd go wziąć. Jego kumple pracują przy kaolinie, to wiedzą, gdzie się trzyma materiały wybuchowe.

Wsadził ręce do kieszeni i z uśmiechem na ustach pomaszerował do kuchni. Emma zaczekała, aż babka wyjdzie z szatni. Starsza pani wyglądała na wyczerpaną - i nic dziwnego.

- Natychmiast do łóżka - zawyrokowała Emma.

- Tak, tak. - Mad przeciągnęła się i ruszyła do schodów. - Świetna robota. Miałabym prawdziwą satysfakcję, gdyby nie to zamieszanie na końcu. Jakie to typowe dla tych marines! Żeby do tego stopnia stracić głowę z powodu paru nieszkodliwych fajerwerków? Tylko dlatego, że jeden trafił w wóz pułkownika Cheeseringa?! Kompletny brak poczucia humoru.

- Nie chodziło tylko o samochód - zaprotestowała Emma. - Ktoś zaczął rzucać kamieniami, a potem piaskiem i żwirem. Nie możesz zwać wina na żołnierzy.

Babka odwróciła się do niej w połowie schodów.

- Żałuję tylko tego, że Martha Hubbard nie stała koło mnie i pułkownika, kiedy rakieta Terry'ego wystrzeliła z tyłka kukły. Ta paniusia chciałaby pewnie poznać „motyw” tej akcji.

Zniknęła za drzwiami sypialni, nucąc piosenkę sprzed co najmniej trzydziestu lat. Emma poszła do kuchni. Odgłosy protestu dochodzące z sypialni maluchów sugerowały, że Dottie szoruje im buzie przed położeniem do łóżek. Andy wycofał się do swojej norki, zostali tylko Joe i Sam, który składał właśnie sprawozdanie z wieczornych wypadków.

- Madam martwiła się o Emmę, ale Colin powiedział, że nie ma strachu, bo Emma poszła z tym porucznikiem, jeszcze zanim zaczęły się fajerwerki...

Obaj drgnęli na jej widok. Zezowate oczy Sama utkwione były w jakiś wysoki punkt.

- Czy nie powinieneś być już w łóżku?

- Tak, Emmo, już idę. Chciałem tylko podziękować Joemu za opiekę nad wiewiórką i gołębiem.

Dlaczego Joe patrzył na nią w ten dziwnie oskarżycielski sposób? Czemu pod wpływem spojrzenia tych jasnych, szarych oczu

poczuła się nagle jak smarkula, chociaż naprawdę jest o dwa lata starsza? Zamiast siedzieć w domu z Dottie, mógł przecież wybrać się razem z nimi i dopilnować Terry'ego. Zwykle przed pójściem spać ona i Joe oglądali wspólnie któryś z nadawanych późno programów, omawiali zdarzenia dnia, śmiali się z psot młodszych, planowali obowiązki na rano. Tak było przed przybyciem marines i wprowadzeniem stanu wyjątkowego. Od tej pory wszystko się zmieniło, a dziś...

- No dobra, już mnie tu nie ma - powiedziała. - Pogaś światła.

Wychodząc z kuchni, wiedziała, że on wciąż tam stoi i patrzy za nią tym urażonym, pełnym żalu spojrzeniem. Można by pomyśleć... pomyśleć, że co? Toż to absurd. Joe jest po prostu jednym z chłopców, niemal bratem...

Emma źle spała - przez całą noc trapiły ją głupie sny. Trzymała ją w ciasnym uścisku... Nie, wcale nie Wally Sherman ani nie Joe, tylko ten facet w blaszanym hełmie - kukła. Obudziła się wcześniej i zaraz zeszła na dół, żeby zaparzyć sobie kawę. Mogło być najwyżej parę minut po siódmej, bo ledwie zaczynało się rozwidniać, gdy nagle w szatni zadzwonił telefon. Pobiegła czym prędzej go odebrać, bo dzwonek dźwięczał także w aparacie przy łóżku Mad, a babka nie znosiła przyjmować telefonów, jeśli nie wiedziała, z kim ma do czynienia i jeśli się przedtem porządnie nie rozbudziła.

- Halo?

- Czy to Emma? - spytał głos. - Tu Jack Trembath. Słuchaj, kochana, nie chciałbym denerwować twojej babci, ale Terry dotąd się nie pokazał. Myrtle czekała na mnie na plaży, ale podobno nie widziała go przez cały wieczór, z wyjątkiem tej chwili, gdy wraz z kumplami ustawiał kukłę. My wszyscy wróciliśmy do domu i myśleliśmy, że Terry też się zjawi... Wiesz, jacy są ci młodzi ludzie, już oni swoje wiedzą, no, ale w każdym razie go nie ma. Może jest w domu?

- Nie wiem. Nikt jeszcze nie wstał. Zaraz sprawdzę.

Podeszła do pokoju starszych i zapukała. Cisza. W pokoju nikogo nie było, a kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła, że Joe już pracuje, chociaż w ciemności nie dostrzegała szczap ładowanych na taczkę. Łóżko Terry'ego wyglądało na nietknięte. Wróciła do szatni, ale kiedy podniosła słuchawkę, z przerażeniem usłyszała

głosy. A więc, mimo wszystko, Mad się obudziła i właśnie rozmawiała z panem Trembathem.

- Mógł pójść do któregoś z kolegów ze szkoły. Widziałam na plaży ze trzech. Albo śpi smacznie w swoim pokoju. Powiada pan, że Emma poszła sprawdzić?

- Nie ma go tam - włączyła się Emma. - Łóżko jest nietknięte.

- No cóż, nie ma się czym przejmować - odparła babka. - Terry potrafi o siebie zadbać, na pewno się zjawi.

- Mam nadzieję - rzekł farmer, choć w jego głosie dawało się wyczuć pewną nerwowość.

Na górze trzasnęła słuchawka, ale Jack Trembath pozostał na linii.

- Halo? Jesteś tam jeszcze?

- Jestem - odrzekła Emma. - To tylko babcia się rozłączyła.

- Tak naprawdę dzwonię dlatego - podjął farmer, ścisząc głos - że właśnie wysłuchałem lokalnych wiadomości. Sporo gadali o tej wczorajszej bójce między naszymi a marines. Teraz wszędzie na drogach są blokady i chyba paru chłopaków zapudłowali, ale nie wiadomo, gdzie ich trzymają. Mam nadzieję, że nie ma wśród nich Terry'ego.

- Och, nie...

- Za nic nie chciałbym zdenerwować twojej babci, ale jeśli ona słucha radia, to na pewno powtórzą to o ósmej. Peggy przywodzi wam samochód, bo ja muszę się zająć chorą jałówką. Ufamy, że Terry wróci.

Emma odłożyła słuchawkę. Mad włączy o ósmej radio - i co wtedy? A jeśli marines zgarnęli Terry'ego, to co mu mogą zrobić? Poszła do siebie, ubrała się pośpiesznie i zbiegła do ogrodu, żeby pogadać z Joem.

- Madam nie może się dowiedzieć - rzekł, odrzucając motykę. - Zaraz go poszukam.

- Ale pan Trembath mówi, że wszędzie są blokady. Nie puszcza cię bez przepustki. Jeszcze i ciebie gotowi zamknąć.

- Pójdę ścieżką nad klifami. Terry mógł zmylić pogoń i teraz ukrywa się w jakiejś grocie.

- Ależ po co? Przecież mógł pójść na farmę albo wrócić do domu?

Joe potrząsnął głową.

- Nie wiem. Mogli go namierzyć na plaży i gonić, więc się schował. On zna te klify, potrafi po nich łązić na ślepo, nie tak jak ci faceci.

Szedł za nią z powrotem do domu. Zaczynało padać. Emma zerknęła na morze - z południowego zachodu nadciągały czarne i szare chmury. Okręt na kotwicy był prawie niewidoczny.

- Nie idź - poprosiła. - Proszę cię, Joe, nie idź! Przecież nie wiemy, co się stało! Jeśli złapali Terry'ego, mogą złapać i ciebie, a wtedy... Co my pocniemy? Jak sobie damy radę?

Wyraz uporu zniknął z twarzy chłopca, który wyraźnie się rozchmurzył. Zupełnie jakby godził się na podjęcie każdego ciężaru, jaki los włoży mu na barki. Nie ma takiego brzemienia, którego nie dałoby się udźwignąć.

- Wiesz chyba, że nigdy nie zostawię was samych, ani ciebie, ani Madam. Jesteście wszystkim, co mam.

Stali przez chwilę na ganku, spierając się po cichu, czy Joe ma iść czy zostać. Deszcz bębnił o szklany daszek. To jedna z tych chwil, których nigdy nie zapomnę, pomyślała Emma. Nieważne, co się stanie, nawet gdy będę miała prawie osiemdziesiąt lat, jak Mad teraz, będę wspominać Joego, stojącego tutaj, niepewnego, co mu przyszłość przyniesie, bo skoro nie może nauczyć się czytać ani pisać, już na zawsze zależy od nas, a my od niego. To właśnie jest unia, miłość, coś co się łączy z zaufaniem, z dorastaniem pod jednym dachem, choć bez więzów krwi. Wspólna wiara, wspólny dom.

- Emmo?

Dottie - wyraźnie już na nogach - wołała z kuchni. Zaraz też dały się słyszeć głosy i śmiech maluchów. Zaczynała się normalna poranna wrzawa.

- Poczekaj - powiedziała Emma do Joego. - Poczekaj, aż się dowiem, co robi Mad. Musiała już dzwonić po swój sok.

Kiedy weszła do kuchni, radio już gdakało:

- Grupa wyrostków i młodych mężczyzn została aresztowana pod zarzutem zakłócenia porządku po wczorajszym pokazie fajerwerków na plaży Poldrea. Pułkownik Cheeseman oświadczył, że przyjmuje pełną odpowiedzialność za wszystko, co wią-

że się z tym incydem. Każdy podejrzany o udział w bójce będzie zatrzymany w areszcie, póki nie udowodni swojej niewinności. Rodzice i krewni zaginionych osób mogą zwracać się osobiście lub na piśmie do pułkownika Cheesemana, który udzieli im wszelkich informacji.

Dottie, która nie miała pojęcia o nieobecności Terry'ego, wręczyła Emmie tacę dla Mad.

- Przynajmniej dostaną nauczkę - powiedziała. - Przypuszczam, że to te łobuzy z St Austell. Odrobina wojskowej dyscypliny im nie zaszkodzi.

Emma nie odpowiedziała. Poszła szybko na górę, gdzie zastała Mad kompletnie ubraną, ze słuchawką w ręku.

- Poproszę z dowódcą w Devonport. Z kontradmirałem sir Jamesem Jollifem.

Czekając na połączenie, pokazała gestem Emmie, że ma postawić tacę na nocnym stoliku.

- Rozmawiałam już z policją - wyjaśniła. - Zaraz po wiadomościach o ósmej. Nie mieli żadnych informacji, więc zapytałam, jak mam się połączyć z amerykańskim dowódcą. Podali mi numer, ale gdy tam zadzwoniłam, powiedziano mi, że komandor sam nie odbiera telefonów, a jeśli chcę się czegoś dowiedzieć, to mam przyjść albo złożyć wniosek na piśmie. Dlatego próbuję złapać Jimmy'ego Jollifa. Przynajmniej coś mi doradzi.

Dosyć długo trwało, bo z początku jakiś podwładny próbował wykrętów, ale wreszcie admirał się odezwał.

- Tak - powiedziała Mad głosem, który musiał wstrząsnąć całą główną kwaterą w Devonport - to naprawdę ja. Nie powiedzieli ci? Posłuchaj, zdaje się, że marines zatrzymali wczoraj mojego wychowanka Terry'ego. Byliśmy wszyscy na plaży w Pol-drea i jak może słyszałeś, wybuchła tam bójka między żołnierzami a miejscowymi chłopcami. Nie mogę wydobyć niczego sensownego z American Marines Corps, czy jak tam się nazywają. Mógłbyś się dowiedzieć, czy mają u siebie Terry'ego? Co to znaczy, że nie masz z tym nic wspólnego?! Nie jesteś w kontakcie z tym dowódcą? Poważne przestępstwo?! Jak rzucenie kilku petard może być poważnym przestępstwem? W życiu nie słyszałam czegoś tak śmiesznego! Chcesz mi wmówić, że ty, admirał sir James

Jollif, nie możesz zamienić prywatnie słowa z tym nadętym Amerykańcem i powiedzieć, co o nim myślisz? Coo?! Nie wierzę!
- Na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania i zaczęła do Emmy gwałtownie gestykulować. - Pułkownik Cheesering ma pełną jurysdykcję w tym rejonie i kwestionowanie jego motywów byłoby niegrzeczne? Tak, nie wątpię, że ci przykro. Powiem ci, że ja na twoim miejscu czułabym się upokorzona. USUK, rzeczywiście! W porządku, już ani słowa. Życzę ci szczęścia, do widzenia.

I trzasnęła słuchawką.

- Teraz przynajmniej wiemy, na czym stoimy - zwróciła się do Emmy. - To nie jest zwykły przewrót, to kapitulacja. Jesteśmy zdani na siebie. Dzięki Bogu, że dopisują mi siły i zdrowie, chociaż dobiegam osiemdziesiątki. Podaj mi papier i ołówek, Emmo. Musimy się zorganizować.

8

Naradę wojenną zwołano do biblioteki. Mad uparła się, że wszyscy domownicy mają być obecni - od Dottie do Bena.

- Nie uznaję - powiedziała Emmie - odsyłania dzieci do zabawy, kiedy wokół nich dzieją się ważne sprawy. Powinny brać udział w decyzjach. Nawet jeśli ich osąd jest niedojrzały, często niektóre rzeczy widzą wyraźniej niż my.

Kiedy wszyscy się usadowili - starsi na ławeczce pod oknem, maluchy na podłodze, Dottie jak zawsze na twardym krześle, Mad wyjaśniła krótko, co się stało. Miała ułatwione zadanie, bo wszyscy wysłuchali w kuchni wiadomości przez radio. Już sam fakt, że sprawa dotyczyła Poldrea, ich własnego terytorium, a oni wszyscy byli świadkami opisywanych scen, połączył Andy'ego, Colina i Sama mocnymi więzami solidarności. Poczuli się znieważeni, podobnie jak Dottie, która zmieniła front natychmiast, jak usłyszała o aresztowaniu Terry'ego. To prawda, że Terry często sobie za dużo pozwalał i wtedy mówiła o nim „ten chłopak”, ale niech no tylko wpadł w jakieś kłopoty na zewnątrz, zaraz stawał się „jej chłopaczkiem”.

- Niech tylko spróbują skrzywdzić mojego chłopaczka! - grzmiała. - Wyślę telegram do królowej, choćby nawet była w Białym Domu!

Ben kiwnął głową i zaczął ściągać usta.

- K... ku...

Emma szybko wetknęła mu do buzi kostkę cukru.

- Nie sądzę, kochana Dottie, byśmy mogli coś wskórać u królowej - ostudziła jej zapały Mad. - Pewnie trzymają ją jako zakładniczkę. Słucham cię, Andy?

Andy odgarnął z oczu szopę brązowych włosów i opuścił podniesioną wcześniej rękę. Należał do tych, co szybko myślą, ale wolno mówią.

- Skoro mowa o zakładnikach, to może sami kogoś złapiemy i zmusimy do gadania? Mamy do wyboru: porucznika Shermana albo kaprala Wagga. Wystarczy zwabić do nas jednego lub drugiego, a wtedy... - Zrobił gest naśladujący cios karate, a potem przesunął kciukiem po gardle.

- Och, Andy! - przestraszyła się Dottie. - Co też ty wygadujesz?

- Sama nie wiem - zmarszczyła brwi Mad. - Pomysł nie jest głupi. Niekoniecznie musimy podrzynać mu gardło, ale odrobina łagodnej perswazji... - Zerknęła na wnuczkę. - Spędziłaś wczoraj trochę czasu z tym... porucznikiem Shermanem. Jak oceniasz siebie w roli śledczego?

- Niezbyt wysoko - odparła Emma, oblewając się rumieńcem. Kiedy wreszcie wyzbędzie się tej denerwującej przypadłości? - Wszystko zależy od sytuacji. Dość miło się z nim gawędzi, ale się rozzłościł, kiedy ktoś obrzucił fajerwerkami samochód pułkownika.

- A... właściwie kto to zrobił?

Nikt nie odpowiedział.

- Hmm... Tak myślałam - pokiwała głową Mad, po czym jej wzrok zatrzymał się na Colinie. To dziecko było niemal tak pomysłowe jak ona sama. - Masz coś do powiedzenia? Nie chodzi o samochód, tylko w ogóle o sytuację?

- Andy dobrze radzi, ale lepiej ściągnijmy kaprala Wagga. Przy poruczniku Emma zrobiłaby się czerwona i wszystko by się wydało. Poza tym kapral nie jest taki wysoki, łatwiej nam z nim pójdzie. Dottie może zaprosić go na herbatę...

- Nie ma mowy - zaprotestowała Dottie.

- Dottie zaprosi go na herbatę - ciągnął Colin - i wleje mu do filiżanki odrobinę whisky. To rozwiąże mu trochę język. Potem weźmie go pod ramię i powie: „Przejdziemy się po zagajniku, skarbie?” - Znakomicie udawał jej głos. - A przedtem Joe, jak ci źli bracia z Biblii, wykopie dół - najlepiej tam na górcie, gdzie Madam wyrzuca zwiędłe kwiaty - i bęc! kapral tam wpadnie i nikt go nie usłyszy! Jak posiedzi przez noc, to na pewno wszystko wyśpiewa.

Ben, który skończył jeść cukier, wydał okrzyk zachwytu. Może miał kłopoty z mową, ale na pewno nie z płucami.

- Przepraszam - odezwał się Sam, skulony obok Joego na podokiennej ławeczce - ale nie bardzo rozumiem, o czym porucznik albo kapral mieliby mówić. Skoro wzięli Terry'ego, no to go wzięli. Trzymają go pod strażą razem z innymi chłopakami. Dlaczego Madam nie pojedzie zwyczajnie do ich obozu w Poldrea i nie dowie się czegoś?

Jakie to proste, pomyślała Emma. Zresztą tak właśnie radził spiker w wiadomościach, a potem Mad powiedzieli to samo przez telefon. Czy to możliwe - rozważała, chociaż już sama myśl wydała się nieloyalnością - że Mad jest zbyt dumna, żeby udać się wraz z innymi zdenerwowanymi rodzicami do miasteczka, wystawać w kolejce, wypełnić jakiś formularz i czekać, aż jakiś urzędnik z dowództwa raczy udzielić informacji? Czy uważałyby to za poniżenie?

- Nie - rzekł stanowczo Joe. - Gdyby Madam pojechała do Poldrea i podpisała papier, że Terry zniknął, to jeśli go nie ma w areszcie, zaraz wiedzieliby, że w domu także go nie ma. To byłoby podejrzenie. A tak - nic się nie wyda.

Wszyscy umilkli.

- Jedno jest jasne - rzekł po chwili Colin. - Oni są „ci źli”, a my „ci dobrzy” i chyba tak już zostanie, więc musimy na coś się zdecydować. Chodź, Ben, nauczę cię słowa, które powiedział Józef do braci, kiedy pochyłili przed nim głowy.

- Mad - odezwała się nagle Emma. - Nie wiem, czy to coś da, ale może poszłabym na farmę i pogadałabym z Myrtle. Ona może wiedzieć coś, czego nie śmie wyznać ojcu ani matce, a ja jestem w końcu z tego samego pokolenia. Poza tym... widziałam ją wczoraj na plaży z kapralem Waggiem. Mogła się z nim umówić na jeszcze jedną randkę.

- A wtedy pomoże nam zwabić go w pułapkę? - zainteresował się Andy.

Mad wstała.

- Narada skończona. Chłopcy popracują teraz z Joem w ogrodzie. W porządku Em, możesz iść na farmę, zobaczymy, co tam zwojujesz. Ja tymczasem zadzwonię do Bevila.

Bevil był od lat lekarzem Mad i całej rodziny.

- Dlaczego, kochanie? - przeraziła się Emma. - Źle się czujesz?

- Nigdy nie byłam w lepszej formie, ale zamierzam go tu ściągnąć pod pretekstem, że mnie boli pod lewym żebrem. Bevil jest najlepszym, jakie znam, źródłem wiarygodnych informacji.

To wstrętne, myślała Emma, idąc polami na farmę, że cała ta sprawa zmusza nas do kręactw i oszustw. Teraz nie wiemy nawet na pewno, kto jest naszym przyjacielem, a kto wrogiem. Admirant Jollif, na przykład, mógłby okazać trochę współczucia albo przynajmniej coś doradzić, a okazał się całkiem bezużyteczny. Przypuszczalnie jako dowódca Devonport musi patrzeć przez palce na nadużycia Amerykanów. Powiedział przecież, że to wspólne przedsięwzięcie i nie ma żadnych wpływów. To samo Pa w Londynie. Gdyby Terry naprawdę został zatrzymany i przewieziony w jakieś okropne miejsce w rodzaju St Michael's Mount*, Pa powiedziałyby tylko: „Dobrze tak nicponiowi. Zawsze uważał się za Bóg wie kogo”. Emma uważała skrycie, że Pa zwyczajnie Terry'emu zazdrości. Wszystko dlatego, że Mad, będąc u szczytu kariery, wysłała swego jedynaka do szkoły z internatem, a teraz poświęca adoptowanemu chłopcu znacznie więcej uwagi i czasu niż kiedyś rodzonemu synowi.

Ludzkie motywy są zawsze takie pogmatwane. Bierzesz tę bądź inną stronę zależnie od tego, co służy twoim interesom. Pan Libby z Raju Żeglarza cieszy się, że w pobliżu jest obóz marines, bo żołnierze tłumnie odwiedzają jego pub i piją jego piwo. Ale gdyby urządzili w gospodzie kwaterę główną i wyrzucili go na bruk, pan Libby pierwszy chciałby wysadzić w powietrze całą plażę. Sprzedawca w supermarkecie ma wizję lady pełnej jeszcze większych i lepszych szynek, po które ustawia się kolejka Amerykanów. A jednak taki Tom Bate... Jego nie obchodzi, czy marines z plaży bądź z okrętu będą kupować ryby. „Niech nas zostawiają w spokoju”, powiada. „Nie będą nam mówili, co mamy robić”. Starzy ludzie kpią, młodzie rzucają kamieniami i piaskiem, i tylko ci w średnim wieku kolaborują z najeźdźcami.

*** Skalista wysepka u wybrzeży Kornwalii, gdzie na wzór słynnej bretońskiej Mont St Michel wybudowano kościół i klasztor, po likwidacji zakonów przekształcony w zamek warowny; obecnie w rękach prywatnych.**

Deszcz zacinał prosto w twarz. Emma przelazła górą przez bramkę i poszła naokoło podwórka do kuchennych drzwi. Pani Trembath wałkowała właśnie ciasto. Była to pogodna kobieta około czterdziestki, o zielonych jak u Myrtle oczach.

- Cześć, złotko - zawołała. - Przyszłaś po samochód? Jack już ponad godzinę temu kazał mi go odwieźć, przykro mi, że nie zdążyłam.

- W ogóle nie pamiętałam o samochodzie - wyznała Emma zgodnie z prawdą. - Chodzi o to, że nadal nie wiemy nic o Terry. Czy Myrtle nic państwu nie mówiła?

Pani Trembath pokręciła głową.

- Niestety, nie. Modlę się tylko do Boga, żeby nie zgarnęli go razem z tamtymi. Jack niepokoi się tak samo jak ja. Nic z tego nie rozumiem: skoro ci Amerykanie są naszymi przyjaciółmi i skoro się od nich nie różnimy, to dlaczego zachowują się tak dziwnie? Łapią paru podochoconych chłopaków i wywożą Bóg wie gdzie, przecież to bez sensu. Siadaj, zaraz zrobię herbatę. I zdejmij płaszcz, trzeba go wysuszyć.

- Gdzie jest Myrtle?

- Na górce, zaraz ją zawołam. - Podeszła do schodów i dodała konfidencjonalnie: - Jest tak samo przygnębiona, jak my wszyscy. Ta bójka na plaży kompletnie ją rozstroiła. W drodze powrotnej była błada jak prześcieradło i prawie się nie odzywała, ale czy to z powodu tego hałasu czy z powodu Terry'ego, trudno powiedzieć.

- Pójdę do niej - rzekła pośpiesznie Emma. - Dziękuję za herbatę, może Myrtle zechce ze mną pogadać.

- Dobrze, złotko, ale i tak postawię czajnik. Jacka i Micka tylko patrzeć.

Myrtle leżała na łóżku i słuchała radia, które na widok Emmy zaraz wyłączyła. Wyglądała na zaskoczoną.

- Myślałam, że będzie jakiś nowy komunikat - wyjaśniła - ale jak dotąd, nic nie powiedzieli. Czy Terry wrócił?

- Nie, nie wrócił. I nikt z nas nie widział go na oczy, od chwili gdy ustawiał kukłę na stosie... Jakby rozpułnął się w tłumie. Potem chłopaki obrzuciły fajerwerkami ten samochód i marines zaczęli się wściekać. A co się działo z tobą? Widziałam cię wcześniej na plaży.

Myrtle rzuciła się z powrotem na łóżko i zaczęła majstrować przy radiu.

- Ja ciebie też widziałam. Dobrze się bawiłaś?

- Niespecjalnie. A ty?

Myrtle wzruszyła ramionami.

- W porządku.

Zapadła cisza - jedyne dźwięki dobiegały z radia. Myrtle nie nastroiła dokładnie odbiornika i głos śpiewaka brzmiał fałszywie. Potem nagle zapytała:

- Powiedziałaś mojej mamie, że widziałas mnie... no wiesz, z kim?

- Jasne, że nie! Dlaczego miałabym coś mówić?

- Bo... rozumiesz, Austin... to znaczy kapral Wagg... ciągle się tu kręci... odkąd przyszedł przeprosić nas za psa. Mama i tata nie są zachwyceni, więc kiedy wspomniał o tych fajerwerkach, umówiliśmy się od razu na plaży.

- Przynajmniej szczerze - zauważyła Emma.

- Przypuszczam, że ty robiłaś to samo z porucznikiem Shermanem. No cóż... oni są inni, no nie? Widzieli kawał świata... Czasem ma się dość tych miejscowych chłopaków.

- Nawet Terry'ego?

Lekko zbuntowany, na pół wyzywający wyraz ustąpił z twarzy Myrtle. Przez chwilę wyglądała na naprawdę zmartwioną. Wyłączyła radio, zsunęła się z łóżka i zamknęła drzwi. Potem obróciła się twarzą do Emmy.

- Słuchaj... Nie wiem, czy ci to powiedzieć...

- Już zaczęłaś, prawda?

Oczy Myrtle napełniły się łzami.

- Wszystko tak się pokićkało. Mam w głowie istny mętlik, nie chcę wpędzić Terry'ego w kłopoty, Austina także. Widzisz... - Rozpłakała się na dobre. - Ja nie powiedziałam rodzicom prawdy. Widziałam wczoraj Terry'ego. Musiał się domyślić, że wymknęłam się z plaży, bo kiedy wszyscy zaczęli się drzeć i rzucać piaskiem, przyszedł prosto do tej groty i znalazł mnie z Austinem.

- I co?

- No... wściekł się, zaczął mnie wyzywać, Austina także, a wtedy Austin też się wkurzył i zanim zdążyłam ich powstrzy-

mać, już się bili. Nie były to żadne tam przepychanki, tylko całym na serio. Austinowi leciała krew z nosa, więc obrócił Terry'ego i chciał mu przyłożyć, ale Terry przyblokował go jak w rugby i powalił na ziemię. Obaj potwornie kleli. To było straszne.

Grzebała w rękawie w poszukiwaniu chusteczki. Emma poklepała ją po ramieniu.

- Co się stało później?

- Nic więcej nie wiem. Austin zagwizdał na kolegów, a Terry poderwał się na nogi i zaczął uciekać plażą. Nagle zaroiło się od marines, wiesz, jak to jest. Austin zostawił mnie samą, myślałam tylko o tym, żeby dorwać Terry'ego i sprać go z pomocą kumpli. Straciłam zupełnie głowę i powlokłam się na parking za Rajem Żeglarza. Wiedziałam, że rodzice tam będą. No i wróciliśmy do domu. Przez całą noc nie zmrużyłam oka, tak się bałam...

Siedziały obok siebie na łóżku. Myrtle wycierała nos i oczy.

- Jeśli złapali Terry'ego, to tylko przeze mnie...

- Nie - powiedziała Emma. - Niezupełnie. Wszyscy jesteśmy winni.

Nagle przed oczami stanęła jej Mad, która razem z Terrym i resztą chłopców przygotowywała kukłę. Czy to właśnie nie owa kukła spowodowała wybuch śmiechu? Ze śmiechu zrodziła się niechęć, z niechęci antagonizm między najeźdźcami a najechanymi. Czy Mad zagrała w ten sposób na nosie Amerykanom? Wiadomo przecież, że ośmieszenie przeciwnika tylko go rozjusza, a wtedy już nie ma odwrotu. Ale czy gniewu Mad nie rozbudziło zastrzelenie psa, który posłuszny odwiecznemu instynktowi, bronił swego terytorium? W bójce Terry'ego z kapralem Waggiem także chodziło o coś w tym rodzaju.

- Myrtle, przedtem także nieraz robiłaś z Terry'ego durnia. Nigdy nie był tym jedynym i często to powtarzał. Ale nigdy też nie bił się z tego powodu.

- Bo mu aż tak nie zależało, prawda? To znaczy, ci inni chłopcy byli stąd, wszyscy się znali. Kapral Wagg... Austin to co innego, chociaż mówi po angielsku, jest obcy. Nie jest z naszej paczki, zresztą dlatego właśnie chciałam się z nim zabawić. Teraz tego żałuję, a jeśli przyjdzie tu dzisiaj, to nie wiem, co mu powiem.

- Możesz go zapytać, jak się ta bójka skończyła i czy aresztowali Terry'ego - on i jego kumple.

- Ale nie przy rodzicach. Nawet nie wiem, czy go tu wpuszczą. Zresztą chyba nie chcę się z nim widzieć sam na sam, nie po wczorajszym wieczorze. To nie była zwykła bójka, to było... o wszystko.

Tak, myślała Emma, to było o wszystko. Postawiła się na miejscu Myrtle. Gdyby tak ona siedziała w tej grocie z porucznikiem Shermanem i ktoś, kogo lubi, na przykład Joe, przyszedł i zobaczył... A potem zaczął się bić z porucznikiem.

- Ta cała unia... - powiedziała. - Nie jestem do niej przekonana, a ty?

- Ja nawet nie mam pojęcia, co ona oznacza dla takich ludzi jak my. Tata mówi, że to już ostatni trik koalicyjnego rządu. Ale jeśli mają się tu szwendać Amerykanie i tłuc naszych chłopaków, to lepiej niech wracają, skąd przyszli. Przynajmniej ja tak uważam.

- Ale nie myślałaś w ten sposób, kiedy umawiałaś się na randkę z kapralem Waggiem - zauważyła Emma, myśląc o poruczniku Shermanie.

- Nie. Ale ty chyba także wyłączasz rozum, kiedy się palisz do nowego faceta?

Pani Trembath zawołała z dołu, że woda się gotuje, więc może jednak napiją się herbaty. Myrtle otarła jeszcze raz oczy i przyczesła włosy.

- Pamiętaj, ani słowa. Twojej babci także.

- Dobrze, ale jeśli zobaczysz się z Austinem... kapralem Waggiem, spróbuj dowiedzieć się czegoś o Terryem.

Zeszły obie na dół. Jack Trembath z synem Mickiem, chłopcem w wieku Andy'ego, dopiero co wrócili i właśnie rozwieszali na drzwiach mokre ceratowe płaszcze.

- No, Emmo, są jakieś wieści o Terryem?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Może to nic nie da - rzekł poważnie farmer - ale twoja babcia powinna próbować dotrzeć osobiście do dowódcy marines. Chętnie ją zawiozę, bo chyba potrzebuje męskiej opieki.

- To bardzo miło z pańskiej strony, panie Trembath, ale my w domu nie jesteśmy pewni, czy to dobry pomysł. Jeśli nie zgarnęli Terry'ego, to nie mają pojęcia, że on przepadł. Gdyby się

dowiedzieli, może zaczęliby go szukać, zwłaszcza jeśli... - zawa-
hała się - jeśli wpadł w jakieś kłopoty, pobił się z kimś, czy co...

Jack Trembath miał wątpliwości.

- Może masz rację, ale jeśli oni go nie mają, to skąd się do-
wiesz, gdzie jest? Coś ci powiem. Jeśli ten koleś kapral przylezie
tu za Myrtle, to go wezmę na spytki i zobaczymy, czy on coś wie.

I przyjrzał się bacznie pobladłej nagle córce. Emma zerwała
się z krzesła.

- Dziękuję za herbatę, ale muszę już wracać. Kto wie, może
są jakieś nowiny.

- Zrobimy inaczej. - Jack Trembath podniósł się razem z nią.
- Odwozę cię waszym samochodem i przy okazji zamienię słów-
ko z twoją babcią. Może mógłbym w czymś pomóc. Nie musi sa-
ma jeździć do Poldrea, użerać się z tymi, co blokują drogę i za-
dają różne pytania. Ja jako farmer z łatwością wytłumaczę się
interesami, zresztą i tak jadę do weterynarza po jakąś miksturę
dla Marigold.

- Jak ona się czuje?

Marigold była chorą jałówką.

- Jako tako.

Emma pożegnała się z panią Trembath i z Myrtle, ale ledwie
wsiadła do samochodu, przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Czy zechciałby pan sam odwieźć samochód? Przypomnia-
łam sobie, że zgubiłam na polu szalik. Lepiej poszukam go zaraz,
zanim nasiąknie wilgocią. Będę za parę minut.

- Jak chcesz, moja droga, tylko sama nie przemoknij.

Wyskoczyła z auta, a pan Trembath odjechał. Znów te kłam-
stwa i wykręty, myślała Emma, która nie zgubiła żadnego szali-
ka, ale nie mogła zapomnieć o słowach Myrtle: że Terry uciekał
plażą, a marines go ścigali. A jeśli go pobili? Jeśli przycupnął
w jednej z grot albo w połowie klifu nad samą wodą i nie może
się ruszyć, a nie śmie krzyczeć?

Zaczekała, aż samochód zniknie jej z oczu, i skręciła w prawo,
z dala od zabudowań gospodarczych. Przez wzgórze z opadają-
cym stromo pastwiskiem dotarła do klifów. Miała na sobie dżin-
sy i wysokie buty, ale lekki płaszcz nieprzemakalny stanowił sła-
bą osłonę przed podmuchami południowo-wschodniego wiatru

i igiełkami deszczu. Białe wałki piany pomykały w stronę plaży Poldrea, zlizując naniesiony falą przypływu piasek. Gdzieniegdzie widać było grupki marines, brnących wzdłuż linii brzegowej albo krzątających się wokół zawłaszczonych budek i przyczep. Z kominów za dokami nie wznosił się żaden dym, a same doki ziały pustką. Na przystani kołysały się wojskowe łodzie, a okręt wojenny wydawał się jeszcze bardziej odległy, ledwie dostrzegalny na tle wzburzonego morza. Nieprzyjemne miejsce postoju, pomyślała Emma. Z rufą na zawietrznej. Ciekawe, czy Wally Sherman jest na pokładzie; może cierpi na chorobę morską (dobrze mu tak), a może siedzi przy biurku w przytulnym pomieszczeniu na lądzie i przesłuchuje rodziców zaginionych chłopców?

Wyszła na starą ścieżkę straży przybrzeżnej i spojrzała na kiel w dole. Nadciągał przypływ i pas plaży, gdzie zwykle kapała się w lecie z chłopcami, świecił pustkami. Klify oddzielające to miejsce od Poldrea nie były wysokie, każdy, kto znalazł drogę tak dobrze jak Terry, mógł z łatwością przejść przez skały przy niskiej fali, nawet nocą, i uciec w bezpieczne miejsce. Emma zeszła na plażę i skierowała się w drugi koniec, w stronę jaskini, gdzie czasem urządzali sobie pikniki po pływaniu. Nawis skalny dawał pewną osłonę przed ulewą, ale nie dzisiaj. Tym razem deszcz zacinał ku lądowi, a na plaży były tylko wodorosty, potłuczone butelki i poplamiona smołą martwa mewa. Czyli misja okazała się chybiona.

Emma wspięła się z powrotem na ścieżkę nad klifem i poszła nią aż do kamiennego przełazu, który prowadził na drugą część pastwiska pana Trembatha. Miejscami było tam bardzo stromo. Pan Trembath mawiał, że za czasów jego pradziadka na stoku prowadzono jakieś górnicze roboty, które nic nie dały, ale od tego czasu ziemia się rozluźniła i w zimie, podczas dużych opadów, spacerzy zbyt blisko krawędzi grożą niebezpieczeństwem - grunt może się obsunąć i człowiek leci na dół. Emma podeszła wyżej. Deszcz coraz bardziej dawał się jej we znaki, toteż uznała dalszą wędrówkę za bezcelową. Przemoknie do gołej skóry, poza tym pan Trembath w tej chwili rozmawia z Mad i zapewnia ją, że Emma poszła tylko po szalik.

Wtem zobaczyła małą figurkę, pędzącą prosto na nią od strony lasu, przytulonego od wschodu do klifowego wybrzeża. Kiedyś ów las należał do farmy, ale teraz stanowił coś w rodzaju „ziemi niczyjej”, kości niezgody między panem Trembathem a pewnym letnikiem, który nabył trzy opuszczone domki na skraju i zamierzał rozwinąć jakąś działalność. Prawnicy dotąd wiedli spory, a tymczasem pewien dziwny typ, zwany przez siebie samego i chłopców „dziadkiem plażowym”, zamieszkała na dziko w budce na pagórku w drugim końcu lasu. Letnik nie miał pojęcia o jego istnieniu, a Jacka Trembatha nic to nie obchodziło, choć wiedział.

- Niech sobie mieszka, jak chce, mnie to nie przeszkadza - mawiał. - Przynajmniej ma oko na owce, a to ważne, jeśli się zabłąkają.

Emma stała w ciszy. Figurka zatrzymała się na chwilę w pędzie, a na widok dziewczyny schowała się za janowcem. Teraz oboje zastygli w bezruchu. To jeden z chłopców Mad, tego Emma była pewna, ale który? Za duży na Colina, za mały na Andy'ego... Co tu robi bez innych, bez Joego, w tym deszczu? Pobiegła w górę zbocza, do linii krzewów janowca. Miała rację: to Sam - skulony i kompletnie przemoknięty.

- Sam! Gdzieś ty był? Wiesz, że nie wolno wam wychodzić samemu, szczególnie po tym, co się stało, i przy takiej pogodzie!

Podniosła go na nogi i wzięła za rękę. Mimo przyjaźni z Andym i uwielbienia dla Joego, Sam zachowywał się czasem, jakby stał z boku. Więź łącząca go z dzikimi zwierzętami i ptakami była znacznie silniejsza niż uczucia w stosunku do ludzi. Może z powodu wady wzroku, a może dlatego, że wciąż podświadomie pamiętał czasy, kiedy go bito, sprawiał czasem wrażenie outsidera w rodzinnym kółku.

Nie odpowiedział od razu, ale też nie próbował wyrwać ręki. Te jego oczy! Gdziekolwiek je utkwi, zdają się docierać do głębi.

- Wiem, gdzie jest Terry.

Emma przełknęła ślinę. Nie wolno mi go wystraszyć, myślała. Nie mogę powiedzieć nic głupiego, nieprzemyślanego. Muszę pamiętać o tym, co zawsze wbijała mi do głowy Mad: że Sam jest wrażliwszy od innych, że trzeba uważać na każde słowo, bo inaczej się zamknie.

- To dobrze. Szukałam go na plaży, ale bez skutku. Mam nadzieję, że jest bezpieczny w swojej kryjówce.

Sam kiwnął głową.

- Ma złamaną nogę, ale nic mu nie będzie.

Żeby go tylko nie spłoszyć! Nie zasypywać pytaniami. Ach, gdyby tu był Joe, już on by wiedział, jak postąpić. Odczekała dobrą chwilę, zanim się odezwała:

- Złamana noga... Więc nie może chodzić.

- Nie może i właśnie dlatego biegłem do domu. Chciałem podwędzić Dottie trochę aspiryny, żeby przestało go boleć. Ale nie powiem jej dla kogo.

- Dlaczego? Tak bardzo martwiliśmy się wszyscy o Terry'ego. Madam powinna wiedzieć o tej nodze.

- Nie chodzi o Madam czy Dottie, ale nie chcę, żeby żołnierze coś zwąchali. Mogliby zabrać Terry'ego albo nawet zastrzelić go jak Spry'a.

Co mam zrobić, myślała Emma, żeby go skłonić do mówienia? Może Terry leży gdzieś na klifie, nie tylko ze złamaną nogą, ale chory? Niebezpiecznie chory?

- Posłuchaj Sam, opiekujesz się wiewiórką, gołębiem i innymi zwierzętami, więc wiesz, że muszą mieć jakieś ciepłe schronienie, nie mogą leżeć na deszczu ze złamaną nóżką czy skrzydłem. Poza tym złamaną kończynę trzeba nastawić.

Sam rozważał to przez chwilę z oczami utkwionymi w niebo.

- Pan Willis nastawił mu nogę - wykrztusił. - Zna się na pierwszej pomocy, chociaż mówi, że trochę zapomniał. Ale on także nie chce, żeby żołnierze dowiedzieli się, gdzie jest Terry. Nienawidzi ich tak mocno jak ja.

Pan Willis... Pan Willis... Emma nigdy nie słyszała o żadnym panu Willisie.

- No wiesz - zniecierpliwiał się nagle Sam. - Dziadek plażowy. Pomyślałem o nim od razu, kiedy wszyscy przestali gadać. To mój przyjaciel, więc poszedłem powiedzieć mu o Terry'm. A tymczasem Terry już tam był. Pan Willis znalazł go na plaży i przeniósł do siebie. Chodź, to zobaczysz.

9

Budka w lesie była pierwotnie domkiem letniskowym, wzniesionym przed I wojną światową przez poprzedniego właściciela gruntu, który mieszkał w Trevalan i uwielbiał podpatrywać ptaki. Podczas II wojny domek przejęła straż graniczna jako punkt obserwacyjny. Później przyszły na niego złe czasy; deski zaczęły próchnieć i cała konstrukcja dawno by się zawaliła, gdyby nie dziadek plażowy, który zajął domek prawem kaduka, osuszył go, zabezpieczył przed wilgocią i całkiem przytulnie się w nim urządził. Idąc z Samem przez las w stronę pagórka, Emma dowiedziała się jeszcze, że on i Andy często tu przychodzili, chociaż trzymali ten fakt w tajemnicy.

- On nie przepada za ludźmi - tłumaczył się Sam. - Mówi, że są wścibscy i ja się z tym zgadzam. Czego on w życiu nie robił! Był cieślą okrętowym, robotnikiem na farmie, pracował w zoo, w sklepie ze sprzętem elektrycznym, nawet sam zrobił radio!

Emmy nie interesowała historia życia dziadka plażowego. Chciała tylko wiedzieć, w jaki sposób Terry złamał nogę i czy go bardzo boli.

- Musisz być uprzejma - uprzedził ją Sam, kiedy między drzewami ukazał się dach budki. - On nie lubi dziewczyn ani kobiet; uważa, że są jeszcze bardziej wścibskie od mężczyzn.

Emma wyobrażała sobie ciemną, chylącą się ku ziemi prowi-zorkę, ledwie widoczną spod drzew. Była w błędzie. Dziadek plażowy oczyścił spory kawał gruntu i założył z tyłu ogródek wa-

rzywny. Ze źródła na klifie czerpał wodę - kiedy Emma z Samem wyszli z lasu, właśnie napełniał wiadro. Odwrócił się i wyraźnie uspokoił na widok chłopca.

- To jest Emma - przedstawił ją Sam. - Spotkałem ją na polu. Szukała Terry'ego i musiałem jej powiedzieć. Można jej zaufać.

- Dzień dobry panu - powiedziała Emma.

Widziała go dotąd tylko raz i to z daleka. Miał własną ścieżkę ze swego siedliska do morza - bardzo stromą o własnoręcznie wykutych w klifie stopniach. Kiedy razem z chłopcami spotkała go na plaży, zgięty w pół, zbierał wodorosty oraz drewno wyrzucone przez morze. Latem czy zimą ubierał się tak samo - w starą pozieleniałą kurtkę, flanelowe spodnie wciśnięte do rybackich butów i czapkę z daszkiem tak zsuniętą na czoło, że zasłaniała kanciaste rysy twarzy. Ubiegłego lata, kiedy obserwowali, jak szpera kijem wśród skał, Colin miał czelność powiedzieć, że ten włóczęga jest podobny do Madam.

- Wiecie co - wołał z zachwytem - on jest jej bratem! Madam pozwala mu mieszkać w tej leśnej budzie, ale to wielki sekret.

Od czasu do czasu ta historia odżywała wśród domowników, ku uciesze Mad. Sama zresztą robiła aluzje do swojej „grzesznej tajemnicy”, ale potem, gdy minęło lato i coraz rzadziej spacerowali po plaży, człowiek ów - dziki lokator, dziadek plażowy czy tajemniczy brat - odszedł w zapomnienie, chociaż - jak się zdaje - nie dla Sama i Andy'ego. To, że naprawdę nazywał się „pan Willis”, objawiało się teraz jako przykry zgrzyt.

Bez czapki wyglądał mniej groźnie. Spod okularów patrzyły łagodne oczy. Na czoło opadała mu grzywa białych włosów. Musiał mieć dobrze po siedemdziesiątce. Przyglądał się Emmie przez chwilę, po czym rzekł:

- Chce pani zobaczyć chłopaka?

- Proszę.

- Więc zapraszam do środka.

Odwrócił się i poszedł przodem do budki. Emmę zastanowił ton jego głosu - taki śpiewny, czyżby walijski? Kiedy znalazła się w izbie, rozejrzała się szybko wokół siebie - było tam czysto i sucho, na palenisku płonęły duże polana - ale później widziała już tylko Terry'ego. Chłopak leżał na polowym łożku pod ścianą,

blisko ognia. Podbiegła i przyklekła obok. W pobladłej twarzy świeciły nienaturalnie duże oczy.

- Terry, co się stało, kochany? Tak bardzo martwiliśmy się o ciebie... Dzięki Bogu, że tu jesteś. - Spojrzała na mężczyznę w drzwiach. - Baliśmy się, że marines cię zabrali.

Terry próbował się uśmiechnąć, ale wyraźnie cierpiał. Bestroski Terry, któremu nigdy nic nie dolegało, wyglądał teraz żałośnie i dziecinnie, znacznie młodziej niż Emma i Joe.

- Byłbym już sztywny, gdyby nie pan Willis - oświadczył. - Nie wiem, jak on tego dokonał, ale przyniósł mnie tu na grzbiecie, a przynajmniej tak mówi, bo byłem nieprzytomny przez prawie pół drogi.

- Głupstwo - wtrącił się jego wybawca. - Nosiłem na plecach kiedyś cięższe od ciebie i nadal będę nosił.

Tak, to Walijszyk. Intonacja jest nie do pomylenia - to podjeżdżanie do góry przy końcu zdania... Emma zwróciła się znowu do Terry'ego:

- Widziałam się z Myrtle. Właśnie wracam z farmy. Powiedziała mi, że biłeś się z kapralem Waggiem. Nikt więcej o tym nie wie. To wtedy złamałeś nogę?

- Niezupełnie - mruknął Terry. Mówił z trudem, bo go bolało. - Gonili mnie, on i jeszcze czterech innych, a ja biegłem, co sił w nogach, żeby się ich pozbyć. Zaczynał się przypływ i to mnie uratowało, naprawdę. Oni brnęli po płycznach, a ja wdrapałem się na Little Hell i schowałem przy rowie odpływowym w ścianie klifu, więc mnie zgubili i musieli zawrócić na plażę Poldrea. A potem obsunęła mi się noga, jak ostatniemu głupkowi, poleciałem kilka metrów w dół. Nie mogłem się ruszyć i domyśliłem się po bólu, co mi się stało. Leżałem tam dobrą godzinę, a potem zjawił się pan Willis.

Dziadek plażowy dopowiedział resztę:

- Nie, chłopcze, to nie była godzina, tylko najwyżej pół. Obserwowałem ten cyrk na plaży Poldrea ze ścieżki nad klifem i widziałem, że zaprzestali pościgu. Zamierzałem zejść i sam stawić im czoło, no, ale zawrócili. Myślałem, że uciekłeś do domu. Tyłko dlatego, że trzymam przy tym rowie mój zapas drewna, obróciłem się i zobaczyłem, że leżysz, a fala przypływu jest już bli-

sko. No więc jak mógłbym cię zostawić? - Odsunął koc i pokazał Emmie lewą nogę obłożoną łubkami. - Byłem kiedyś sanitariuszem w szpitalu okrętowym. Wiem, że to prymitywna robota i chłopak powinien trafić do szpitala. Ale jak go tam przewieźć? I co z tymi blokadami na drogach? Znowu je ustawili, nie dalej niż pół godziny temu. Ponoć łapią chłopaków na przesłuchanie.

Sam przyłączył się do narady przy łóżku.

- Terry'emu lepiej będzie tutaj, z panem Willisem, niż w domu - orzekł. - U nas ciągle kręcą się marines, a porucznik Sherman przyjaźni się z Emmą.

- Wcale nie! - wykrzyknęła Emma zapalczywie. - Naprawdę nie! - Obróciła się twarzą do dziadka plażowego. - Musimy być grzeczni dla żołnierzy, kiedy do nas przychodzą. Zajmowali przez weekend nasze stajnie, nie mogliśmy odmówić. Ale moja babcia jest daleka od zachwyty, nawet... nawet zachowuje się obraźliwie. Mówi, że to czysta manipulacja ze strony rządu. Udają, że mamy unię z Amerykanami, a tymczasem to przewrót, więcej - szeroko zakrojona inwazja.

Pan Willis przyjrzał się Emmie z zainteresowaniem.

- Pani babcia tak powiedziała?

- Tak.

Poskrobał się w siwą głowę z uśmiechem.

- Od czterdziestu lat nie byłem w teatrze, ale dobrze ją pamiętam. Była wtedy u szczytu sławy. Zapomniałem tytułu tej komedii... No, chłopcze, co z tobą zrobić? Mógłbyś tu zostać, póki noga ci się nie zrośnie, ale powinno ci się nałożyć gips.

- Chwileczkę - wykrzyknęła Emma. - Dziś do babci przychodzi lekarz. Będę musiała mu powiedzieć.

- Chyba nie jest chora? - zdenerwował się Terry.

- Nie, po prostu chce go pociągnąć za język - jakie plotki chodzą, co jest prawdą, a co kłamstwem. To nie tylko jej lekarz, ale bliski przyjaciel, panie Willis. Zna pan Andy'ego? Jego rodzice, którzy zginęli w katastrofie lotniczej, przyjaźnili się z doktorem Summersem, dlatego babcia adoptowała Andy'ego. Doktor zna Terry'ego, zresztą nas wszystkich także.

Pan Willis zastanawiał się przez chwilę.

- Może jest przyjacielem, ale jakby zareagował na tę sytuację?

Blokady, przepustki i tak dalej. Wojsko amerykańskie kontroluje wszystko, mogą mieć oko na szpitale. Co do mnie, to ręczę, że nikt tu nie będzie szukał Terry'ego, a jeśli spróbuje... - Przeniósł wzrok na ścianę nad łóżkiem, gdzie wisała stara strzelba. - Żaden marines nie przekroczy mojego progu.

Chyba mógłby być bratem Mad, myślała Emma. Ma w sobie tę samą determinację, tę samą dumę. Ścisnęła dłoń Terry'ego, a chłopak, pojmując nagłe, o co chodzi, odwzajemnił uścisk i uśmiechnął się mimo bólu.

- Panie Willis - powiedział. - Nie chcę, żeby miał pan przede mną kłopoty. Chyba już dość pan przez nas ucierpiał. Jestem pewien, że doktorowi Summersowi można zaufać, ale pan tu decyduje, bo to pańskie miejsce, nie nasze.

Pan Willis popatrzył to na jedno, to na drugie, a potem znów na nogę w łubkach.

- Cokolwiek postanowimy, i tak będziesz na jakiś czas uziemiony. Żadnych bójek ani ognisk przez kilka tygodni. Może rzeczywiście ten doktor powinien cię zbadać.

Uzgodniono, że Emma z Samem wrócą do Trevanal i zawiadomią babkę o wypadku Terry'ego.

- Proszę uważać po drodze - ostrzegł ją pan Willis już za drzwiami. - Nie wiemy, co kombinują ci faceci, może są gdzieś w pobliżu. Mam tu trochę bulionu i zaraz dam chłopakowi, ale on nie ma apetytu.

- Nie wiem, jak panu dziękować. Terry to pierwszy wychowanek mojej babci i bardzo wiele dla niej znaczy.

- Może być z niego dumna. To chłopak z ikrą. Stać go jeszcze na wiele bójek.

Emma z Samem przemknęli się przez las do zaoranego pola na górze, skąd już mieli dwa kroki do domu. Nadal dał silny wiatr i padał deszcz. Ledwie ściągnęli na ganku wysokie buty i płaszcze, zegar wybił jedenastą. Tak wiele wydarzyło się, odkąd pan Trembath zadzwonił o siódmej! Mogłoby się zdawać, że minęło pół dnia. Telewizor w bibliotece był włączony - niezwykła rzecz u Mad; pewnie chciała posłuchać najświeższych wiadomości. Babka stała przed odbiornikiem, ale wyłączyła go, kiedy Emma weszła.

- Nowe komplikacje - oświadczyła. - Dwie eksplozje w pobliżu Falmouth. Tam też jest kontyngent marines i oni obwiniają dokerów. Gdzieś ty się podziewała? Jack Trembath przyprowadził samochód wieki temu, a teraz wybiera się swoim landroverem na przejażdżkę po Poldrea, żeby się czegoś dowiedzieć. Mówił, że zgubiłaś szalik czy coś.

- Znalazłam Terry'ego.

Babka stała przez chwilę jak wryta. Potem nagle jakby się skurczyła, oczy zaszczyły jej mgłą i zrobiły się małe. Wyciągnęła rękę do Emmy.

- Och, dzięki Bogu - szepnęła.

Usiadły obok siebie na sofie i Mad w jednej chwili odzyskała siły.

- Tak naprawdę, to robota Sama - wyjaśniła Emma. - Miał genialny pomysł, gdzie szukać.

I opowiedziała całą historię. Zanim skończyła, Mad znów była sobą i chodziła tam i z powrotem po pokoju, jak zawsze wtedy, gdy chciała się mocno skoncentrować.

- To chyba jakiś instyngt kazał mi zadzwonić po Bevila. Pewnie nieprędko tu dotrze, ale tego się spodziewałam. Myślisz, że Terry wytrzyma? Bardzo go boli?

- Nie sądzę - powiedziała Emma bez większego przekonania. - Był bardzo dzielny. Pan Willis uszczywnił mu nogę łubkami, ale oczywiście lekarz powinien go obejrzeć.

- Pan Willis... Dziwne nazwisko jak na dziadka plażowego. Wcale do niego nie pasuje. Walińczyk, powiadasz? Będę go nazywać „Taffy*”.

- Mad, nie możesz... On ma w sobie jakąś godność, zwłaszcza kiedy zdejmie czapkę i jest u siebie. Bardzo dba o tę chałupkę.

- A co to ma do rzeczy? „Taffy to Walińczyk, Taffy jest złodziejem, podwędził mi befszyk i jeszcze się śmieje”, tak? On wcale się nie przejmie, uzna to za komplement.

Emma sądziła inaczej i miała nadzieję, że babka nie zaatakuje pana Willisa starą rymowanką. Teraz, kiedy Terry się odnalazł

* Taffy - potoczna nazwa Walińczyka.

- chociaż ze złamaną nogą i poturbowany - duch Mad wzniosł się na zwykłe wyżyny.

- Wiesz co? - powiedziała, wyglądając przez okno na strugi deszczu. - Pójdę tam jeszcze przed lunchem. Ty zostaniesz w domu i będziesz trzymać wartę. Sam już u niego był, więc wezmę Andy'ego.

- Ależ Mad...

Emma nie dokończyła, bo Mad już wyszła z pokoju i krzyczała na cały dom, że Terry się znalazł. Jak niemądrze, przecież powinno się to trzymać w sekrecie, dopóki doktor nie obejrzy chorego i nie powie, co mają robić.

- ...strasznie miły człowiek - mówiła w kuchni Mad do Dottie. - Wcale nie żaden dziwak, był kiedyś sanitariuszem w szpitalu, tylko po prostu woli żyć w samotności. Co? Och, chyba ma jakąś rentę. To walijski bard, czy coś w tym rodzaju.

Emma postanowiła interweniować.

- Mad, musimy zachować dyskrecję. Nikt nie powinien wiedzieć, że Terry tam jest i że ma złamaną nogę. Wszędzie są blokady, przecież słuchałaś wiadomości. Marines wciąż wyłapują chłopców i mężczyzn, którzy brali udział w zamieszkach na plaży, a po tych eksplozjach jeszcze zwiększą czujność.

- Wiem, wiem - burknęła niecierpliwie Mad. - Zawołaj Andy'ego, idziemy.

Mniej więcej pół godziny później Emma, która z nudów wzięła się do odkurzania pokoju muzycznego, usłyszała warkot samochodu. Wyjrzała przez okno i serce w niej zamarło. Był to służbowy wóz marines z porucznikiem Shermanem za kierownicą. Och, nie... Proszę, tylko nie to... O, już wysiadł i idzie zdecydowanym krokiem ogrodową ścieżką. Emma stała w holu, niepewna, jak ma się zachować. Może powinna się z nim zobaczyć. Dottie gotowa stracić głowę.

- Cześć - powitała go bez entuzjazmu.

- Cześć. - Uśmiechnął się i zasalutował. Wyglądał bardzo służbiście. - Przykro mi z powodu twojej babci. Wpadłem, żeby się dowiedzieć o jej zdrowie.

- Mojej babci?... - powtórzyła Emma. O co może mu chodzić?

- Agencja JPP. Wieści w tych stronach rozchodzą się dość

szybko. Chyba nie doznała szoku ostatniej nocy? Na szczęście złapaliśmy sporo awanturników.

- Przeciwnie - odparła Emma. - W ogóle się tym nie przejęła. Pan Trembath odwiózł nas do domu i babcia była w świetnej formie.

- Ach... - stropił się porucznik. - Więc ten atak serca to późniejsza sprawa? Cóż, mam nadzieję, że to nic poważnego i możemy czuć się rozgrzeszeni.

Emma wytrzeszczyła oczy. Które z nich zwariowało?

- Chyba muszę ci wytłumaczyć. Faktem jest, że na drogach stoją blokady. Na terenie hrabstwa zdarzyło się kilka wypadków, więc zatrzymujemy wszystkie samochody i sprawdzamy przepustki. Ja dowodzę posterunkiem oddalonym o ponad siedem kilometrów stąd, przy głównej szosie Poldrea-Liskard. Niejaki doktor Summers pokazał mi przepustkę i powiedział, że wybiera się tu później z wizytą. Podobno twoja babcia posłała po niego z powodu dolegliwości sercowych. Ponieważ wkrótce potem skończyłem służbę, pomyślałem, że wpadnę i zapytam, tak tylko, przez grzeczność. Lekarz już ją widział?

- Nie, jeszcze nie.

A jeśli za chwilę na polu za ogrodem ukaże się figurka Mao Zedonga w płaszczu nieprzemakalnym?

- Pewnie niebawem się zjawi - pocieszył ją porucznik. - Wyglądasz na zszokowaną.

- Bo jestem.

Musiała oprzeć się o drzwi.

- Jejku, ale masz zgryza! Naprawdę mam nadzieję, że nie jest poważnie chora, ale będzie musiała leżeć, a chyba tego nie lubi.

- Nie, nie lubi.

Deszcz lał jak z cebra. Porucznik wyraźnie spodziewał się zaproszenia do środka.

- Wybacz, ale bardzo się śpieszę - tłumaczyła się Emma. - Ona jest dość wymagająca. Muszę przy niej siedzieć.

Oderwała się od drzwi.

- Rozumiem. - Mimo to miał zawiedzioną minę. - Jeszcze tylko jedna sprawa: nie gniewasz się na mnie za wczorajsze, prawda? Chyba... posunąłem się za daleko.

- Nie, no coś ty. Nic się nie stało.

Boże, co ona wygaduje?!

- Dobra, no to może znowu wpadnę zapytać o zdrowie babci...

- Uśmiechnął się. - O twoje także. - Na jego kanciastej twarzy znów pojawił się ten wyraz pewności, że on i Emma grają w jednej lidze. - Może się do siebie zbliżymy i miło spędzimy czas.

Ponownie zasalutował i wrócił do samochodu. Zarozumiały osioł! „Miło spędzimy czas”, rzeczywiście! Czy to znaczy, że spodziewa się obłapienia w piwnicy?

Zdecydowanie miała go dość. Zresztą nigdy nic do niego nie czuła. Dzięki Bogu przynajmniej za jedno: że Mad i Andy nie wrócili podczas wizyty Wally'ego Shermana. Wally. Cóż za idiotyczne imię!

Ledwie porucznik odjechał, na podjazd wtoczył się peugeot doktora Summersa. Najwyraźniej lekarz potraktował wezwanie Mad z całą powagą, bo po rannym dyżurze w ambulatorium wyjeżdżał tylko do pilnych przypadków. Na pewno nie będzie zbyt miły, myślała Emma, a ja nie mam pojęcia, co mu powiedzieć. Doktor Summers nie zadzwonił do drzwi, tylko wszedł prosto do holu, zrzucając po drodze płaszcz od deszczu. Był tęgawym mężczyzną mocno po pięćdziesiątce, z gęstą czupryną. Pacjenci, zanim nabrali do niego zaufania, narzekali na jego szorstki sposób bycia.

- Witaj, Emmo, jak tam pacjentka? Pozwolisz, że od razu pójdę na górę. Kazałem jej leżeć.

- Może lepiej wejdziemy do pokoju muzycznego. - Zamknęła za nim drzwi i wzięła głęboki oddech. - Mad wezwała cię pod fałszywym pretekstem, chociaż naprawdę jesteś nam potrzebny.

Nawet nie mrugnął. Przeszedł przez pokój i stanął przy kominku.

- Fałszywy pretekst, powiadasz? No cóż, nie pierwszy raz się to zdarza. Mogła wybrać lepszy dzień. Co ona kombinuje?

- Chodzi o Terry'ego. Złamał sobie nogę.

- Dobrze, więc czemu od razu nie powiedziała? Przyniosłem coś na serce, ale nie mam nic na złamaną nogę.

- To nie takie proste. Kiedy dzwoniła, nie wiedziała jeszcze o tej nodze. Rzecz w tym... - Boże, czy ona musi jeszcze raz wy-

wlekać całą historię? - Rzecz w tym, że wszystko zaczęło się podczas fajerwerków.

- Ach tak - uśmiechnął się lekarz. - Słyszałem o tym. Podobno to wasza banda zmajstrowała tę kukłę. Czy także oni obrzucili fajerwerkami wóz dowódcy?

- Noo...

- Posłuchaj, Emmo. - Zerknął na zegarek. - Nie mam czasu, więc krótko: czy twoja babcia chce mnie widzieć? I gdzie jest Terry, czy w swoim pokoju? Skąd wiesz, że noga jest złamana?

- Nie ma go na górze i Mad nie ma także. Oboje są w lesie, w budce dziadka plażowego.

Doktor Summers utkwiał w niej ciężkie spojrzenie.

- Swego czasu udało mi się rozwikłać parę waszych rodzinnych problemów, ale to coś nowego.

Emma rozpoczęła więc opowieść i właśnie zmierzała do konkluzji, gdy doktor, który wciąż wyglądał przez okno, zauważył:

- O, idzie, ale sama. Dziwne, że nie próbowała przydzwigać Terry'ego na grzbiecie, jak ten dziadek.

Wyszli do holu na spotkanie. Mad zdjęła czapkę i otrząsnęła się niczym kudłaty pies.

- Cześć, Bevil. Świetnie, że jesteś, nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie. Em, kochanie, ten Walińczyk jest boski! Opowiedział mi, jak kiedyś śpiewał w chórze w Abernethy. Ma piękny głos, więc zapytałam, czemu go nie szkolił, ale widocznie przeżył zawód miłosny, bo uciekł na morze. Dottie! Podawaj lunch, umieram z głodu. Doktor Summers zje z nami.

- Doktor Summers nic takiego nie robi. - Lekarz położył rękę na ramieniu Mad i wepchnął ją do pokoju. - Muszę powiedzieć, że jak na kobietę po osiemdziesiątce i ze słabym sercem, wyglądasz wyjątkowo dobrze. Jeśli przestaniesz na chwilę trajkotać, to może do czegoś dojdziemy. Terry złamał nogę, tak? Twój walijski śpiewak o złamanym sercu wsadził ją w łubki, tak? Nie powiedział ci jednak, jaki to rodzaj złamania, bo prawdopodobnie sam nie wie, a że samochód nie przebije się przez ten gąszcz, więc Terry'ego trzeba przenieść na noszach. Wreszcie - i to chyba sedno sprawy - boicie się, żeby Terry nie wpadł w łapy tych komandosów z powodu afery typu płaszcza i szpady. Teraz po-

wiesz Dottie, żeby podała ci lunch, a ja z Joem udamy się do tej budy. On ma najwięcej rozsądku z was wszystkich. Kiedy obejrzę Terry'ego, zdecyduję co dalej.

Mad uśmiechnęła się do Emmy.

- A nie mówiłam, że trzeba posłać po Bevila?

- Pewnego dnia stanę dęba i będziesz musiała sama rozplątywać swoje sprawy.

Było po drugiej, kiedy Emma z babką zasiadły do lunchu. Mad włączyła radio, żeby posłuchać skrótu wiadomości. Spiker z podnieceniem w głosie mówił o swoich stronach:

- W ślad za eksplozjami w rejonie Falmouth, wydarzyły się następne - jedna niedaleko Camborne, a druga koło złóż kaolinu, półtora kilometra od Nanpean. W Południowej Walii także narasta niepokój. Podobno celtyccy wichrzyciele wykorzystują sytuację, by dać upust swemu niezadowoleniu z rządu koalicyjnego i powstania USUK-u. Poza tym w kraju panuje spokój. Wczoraj wieczorem prezydent Stanów Zjednoczonych... najmocniej przepraszam, USUK-u, wydał w Białym Domu przyjęcie na cześć Jej Królewskiej Mości... Piłka nożna: mecz między uniwersytetem Exeter i Plymouth został odwołany z powodu złych warunków atmosferycznych. Następne wiadomości z południowego zachodu nadamy o trzeciej.

Nanpean... Emma przypomniała sobie, że mieszka tam jeden ze szkolnych kolegów Terry'ego. Zaraz, co Andy wczoraj mówił? Że kumple Terry'ego wiedzą, gdzie znaleźć materiały wybuchowe? Lepiej o tym zapomnieć, zresztą Terry'ego i tak to nie dotyczy. Na dłuższą metę złamana noga może zaoszczędzić im kłopotów. To dość bezlitosny wniosek, założywszy, że się nie jest pozbawionym serca.

Ledwie wstały od stołu, rozległy się kroki; doktor wrócił.

- Chodź, przygotujmy się na najgorsze.

Babka ruszyła w stronę schodów prowadzących do holu. Emma trzymała się z tyłu. Doktor Summers stał w szatni, koło telefonu. Skinął im głową.

- Noga rzeczywiście jest złamana - oświadczył. - Chcę zamienić słówko z przełożoną pielęgniarek w szpitalu. Ona załatwi łóżko.

- Jak go tam przewieziemy? - spytała Emma.

- Zostawcie to mnie. Nawiasem mówiąc, przyprowadziłem Andy'ego. Zije nienawiścią i poprzysiągł zemstę każdemu żołnierzowi w polu widzenia. Znajdźcie mu jakieś zajęcie. Halo, siostrzo?

Emma złapała Andy'ego za kołnierz i wyprowadziła go przez kuchnię do pokoju zabaw.

- Pomóż Samowi przy gołębiu, bo mu się wyrwał.

- Nie czas teraz na gołębie - odparł zapalczywie chłopiec. - Idę ostrzyć strzały.

- Głupstwa pleciesz. Nie możesz trenować przy takiej pogodzie.

- Kto mówi o treningu? Wiesz, Emmo, dziadek plażowy ma krótkofalówkę. Sam ją zrobił i umie łapać takie częstotliwości, których my nie mamy. Opowiadał nam o tym - Terry'emu i mnie, kiedy Madam poszła. A Terry opowiedział mi o bójce. Dał kapralowi Waggowi niezły wycisk.

- Prawdopodobnie. Wiele mu z tego przyszło, co? No, zmykaj.

Zanim wróciła do holu, doktor Summers był już w drodze do samochodu.

- Dokąd poszedł?

- Musi zrobić Terry'emu zastrzyk - powiedziała Mad. - Nie ma przy sobie odpowiedniego środka. Ma wrócić najwyżej za kwadrans.

- Jak on chce wsadzić Terry'ego do auta?

- Och, załatwił to z dziadkiem plażowym, to znaczy z Taf-fym. Tak go nazywam, nawiasem mówiąc, jest tym zachwycony. Poniesie nosze razem z Joem.

Zaczynam rozumieć Dottie, myślała Emma. W tym domu wszystko dzieje się za prędko. Jedno dobre, że mniej pada, chociaż wiatr dalej szaleje. Zastanawiała się, czy nie powinna włożyć płaszcza i wysokich butów i pójść do lasu, pomóc przy noszach, ale gdy już się zdecydowała, zobaczyła grupkę przechodzącą przez dziurę w żywopłocie koło pola.

- Taffy jest genialny - oznajmiła Mad. - Potrafi dosłownie wszystko!

Terry, okryty kocem i ceratowym płaszczem dziadka plażowego, transportowany był na płotku czy też może na starej ramie od łóżka. Joe szedł przodem, pan Willis z tyłu. Zrobili sobie przystanek pod lipami koło podjazdu i tam powitały ich

Emma z babką. Pan Willis miał gołą głowę, podobnie jak Mad. Kiedy tak stali na wietrze, który rozwiewał im siwe czu-pryny, rzeczywiście mogli uchodzić za brata i siostrę. Całe szczęście, że Colin siedzi bezpiecznie w pokoju zabaw, pomy-słała Emma.

- Dobrze zniósł drogę - ocenił pan Willis. - Chyba nie wy-trzęśliśmy cię za bardzo, co, chłopak?

Terry próbował się uśmiechnąć. Był bardzo blady. Joe się nie odezwał, zajmował się układaniem przykrycia tak, żeby nie opie-rało się o nogę Terry'ego. Pan Willis przyglądał się domowi kry-tycznym okiem. Emma zdała sobie sprawę, że widział go po raz pierwszy, choć mieszkał tak niedaleko.

- Wiatr daje się wam we znaki, co? Nie ma to jak moja zacisz-na norka.

- Och, to jeszcze nic! - odparła Mad. - Kiedy naprawdę duje, musimy wszystko uszczelniać jak na okręcie. Cały dom się kołysz.

- A wierzę - przyznał, spoglądając na Mad ze zdumieniem, czy raczej respektem.

Emma zastanawiała się, czy pan Willis w tej chwili porównu-je Mad w pamięci z ową gwiazdą sprzed czterdziestu lat. Och, żeby ten doktor już wrócił! Tworzyli taką dziwną grupkę, kiedy tak kulili się pod lipami. Joe miał niezadowoloną minę, a Terry jeszcze bardziej pobladł.

- Oczywiście za dawnych lat - mówiła Mad - odbywało się tu regularne polowanie na przemytników. W naszej piwnicy trzymali beczki z rumem; jest tam stary mur, stąd go nie widać...

Złapała dziadka plażowego za rękaw i zaczęła pokazywać. No to cześć, westchnęła Emma, teraz nic jej nie powstrzyma. Ale dalsze rewelacje zostały stłumione w zarodku, bo wrócił lekarz.

- Aha, donieśliście go bez szwanku - rzekł. - Dobra robota. No, Terry, pokaż, co jesteś wart. Cofnijcie się wszyscy.

Podszedł do chłopca z torbą i ukląkł obok prowizorycznych noszy.

- Przejechałem przez blokadę - ciągnął, zerkając z ukosa na Mad - bo zeznałem facetowi, że wracam do ambulatorium po bar-dzo silny środek uspokajający, żeby uciszyć pewną staruszkę, z któ-

ra mam kłopoty. Nie sędę, bym minął się z prawdą. Dowiedziałem się przypadkiem od mojej sekretarki, że marines zatrzymują i przesłuchują wszystkich młodych ludzi między siedemnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia, którzy mieli cokolwiek wspólnego z technikum. Podobno u kilku z nich znaleziono plastik. Tak więc, Terry, mój chłopcze, ostatnią noc spędziłeś w domu, tylko pech chciał, że gdy w wielkim pośpiechu wiołem środek uspokajający twojej opiekunce, a ty otwierałeś mi bramę, potraściłem cię samochodem. Moja wina była ewidentna, więc uparłem się, by doglądać cię osobiście w tutejszym szpitalu i nie przewozić do Truro, gdzie przy twoim łóżku czuwałyby komandos z notesem i ołówkiem.

Zrobił zastrzyk, a Emma, która z reguły nie znosiła tego widoku, odwróciła wzrok. Nic to zresztą nie pomogło. Poczowała nieznośny szum w uszach i nagle zrobiło się jej czarno przed oczami. Kiedy się ocknęła, siedziała na ziemi, a Mad wciskała jej głowę między kolana.

- Powinnam się domyślić - mówiła. - Nigdy nie znosiła zastrzyków.

Emma podniosła głowę i zobaczyła, że już jest po wszystkim. Doktor z panem Willisem umieścili Terry'ego w samochodzie i doktor klepał właśnie dziadka plażowego po plecach.

- Dobra robota - rzekł szorstko.

Tamten podniósł prowizoryczne nosze i zaczął się oddalać w stronę sadu.

- Taffy! - wrzasnęła babka. - Wracaj! Przecież ci nie podziękowałam!

Ale pan Willis nie zwracał na nią uwagi. Podobnie jak Folly, miał zaburzenia słuchu.

Ułożywszy wygodnie Terry'ego, doktor Summers zwrócił się do Emmy:

- Jak miałaś dziesięć lat, mówiłaś mi, że chcesz zostać pielęgniarką. Jeśli nadal masz ten zamiar, to musisz lepiej sobie radzić niż dzisiaj. A co do ciebie... - przeniósł wzrok na Mad - to podobno masz poważne dolegliwości sercowe, więc cię ostrzegam: jeszcze jedno tego rodzaju SOS z Treval, a po prostu zignoruję sygnał. Pilnuj ich, Joe. Do widzenia.

Leciwie samochód odjechał, zadzwonił telefon. Emma, dotknięta do żywego aluzją doktora do swych dziecięcych marzeń, poszła odebrać na miękkich jeszcze nogach. Telefonowała Myrtle Trembath.

- Emmo, chodzi o kaprala Wagga. Nie ma służby i dopiero co stąd wyszedł. - Była wyraźnie zmartwiona i mówiła szeptem. - Wciąż pytał o Terry'ego, a ja nie potrafiłam mu wyznać, że on zniknął. Powiedziałam tylko, że od ostatniej nocy nie dał znaku życia i na pewno siedzi w domu.

- Nie martw się - odparła Emma. - Z Terry'm wszystko w porządku. Wiemy, gdzie jest, ale nie mogę ci wyjaśnić przez telefon. Przyjdę do ciebie rano, to pogadamy.

- Och, dzięki Bogu... Ale problem w tym, że kapral mi uwierzył i właśnie do was idzie. Chce się widzieć z Terry'm i...

- No to ma pecha, bo go nie zastanie.

- Myślałam, że powinnam cię ostrzec... Właściwie był zupełnie miły, przepraszał mnie i miał nadzieję, że nie chowamy urazy. Nie sądzę, by zamierzał aresztować Terry'ego czy coś w tym rodzaju, pewnie chce mu tylko podać rękę i przeprosić.

- W porządku, Myrtle. Dzięki.

Przeprosić! Dość późno na przeprosiny, i jeszcze ta złamana noga! Chociaż... upadek ze skały nie był winą kaprala, przynajmniej nie bezpośrednio. Emma postanowiła zatrzymać informację Myrtle dla siebie. Kiedy kapral się zjawi, pogada z nim sama i z satysfakcją zawiadomi go, że Terry leży w szpitalu pod opieką lekarza.

Kapral Wagg musiał jednak zrezygnować ze swych chwalebnych zamierzeń, ponieważ się nie pokazał. Deszcz osłabł i krótkie listopadowe popołudnie przeszło w wieczór. Emma leżała na sofie w pokoju muzycznym z zamkniętymi oczami. Zadzwonił Bevil Summers z meldunkiem, że Terry wygodnie dotarł do szpitala. To miło, ale dom bez niego jest taki pusty...

Musiało być około wpół do szóstej, kiedy do pokoju (zaciągnięte story, ogień na kominku) wszedł śmiertelnie blady Joe.

- Emmo, musisz ze mną pójść.

- Co się stało?

Pokręcił tylko głową. Nie mógł wydobyć głosu. Otworzył cicho frontowe drzwi i kiwnął, by szła za nim. Deszcz ustał zupełnie i nawet chmury się rozstały, zapowiadał się ładny wieczór. Joe ujął ją za rękę i poprowadził do przełazu, a potem dalej, na pole. W odległości paru kroków leżał jakiś ciemny kształt. Joe pociągnął ją bliżej i wtedy zobaczyła. To był kapral Wagg. Leżał na plecach z rozrzuconymi rękami, martwy, ze strzałą między oczami.

10

Stali ramię w ramię ze wzrokiem wbitym w ziemię. Joe nie wypuszczał z dłoni jej ręki. Czubek strzały musiał przebić jakiś istotny dla życia punkt za prawym okiem kaprała, bo wypłynęło na wierzch, a krew, która z początku ciekła, zaczynała już zastygać. Wyglądało to strasznie. Żadne z nich się nie odzywało. Emma próbowała sobie przypomnieć, kiedy telefonowała Myrtle - o wpół do czwartej czy później? Kapral Wag opuszczał już wtedy farmę i był w drodze do Trevanal. Mógł z początku włączyć się po polach, mógł przedostać się z drogi dojazdowej na główną, a potem się cofnąć. Nie był na służbie, czas go nie naglił.

Emma podniosła wzrok na Joego. Czuła jakiś dziwny chłód.

- Szedł do nas - powiedziała. - Chciał przeprosić Terry'ego za bójkę.

- Skąd wiesz?

- Od Myrtle. To ona telefonowała. Nie mówiłam o tym nikomu, bo i po co? Ponieważ kapral się nie pojawił, pomyślałam, że zmienił zdanie. Zresztą, jakie to ma znaczenie?

- Powinnaś była mi powiedzieć. Wyszedłbym mu na spotkanie i nic by się nie stało.

- Wiem. Nie pomyślałam.

Otępienie wywołane szokiem mijało. Teraz do głosu doszedł strach.

Pomimo mroku widzialność - słaba przez cały dzień - poprawiała się wraz z ustaniem deszczu. Oświetlony okręt nie wydawał się już tak odległy. Z drugiej strony zatoki - jak zwykle w pogod-

ną noc - jarzyły się światła Mevagissey. Promień latarni morskiej to pojawiał się, to znikał, według odmierzonego rytmu.

- Jak facet nie wróci na czas do obozu, to pójdzie meldunek - powiedziała Joe.

- Tak.

- Niektórzy z jego kompanów mogli wiedzieć, dokąd poszedł. Może im powiedział, że chce wpaść do Myrtle na farmę. - Joe pochylił się i bardzo ostrożnie spróbował wyciągnąć strzałę. - Nie mogę jej ruszyć, za głęboko siedzi.

- O Boże, co my teraz zrobimy?

Noc stawała się coraz jaśniejsza, światła okrętu także wyraźniej błyszcząły. Kiedy o pierwszym brzasku zaczną kursować helikoptery, pole w oczach pilota będzie wyglądało jak rozłożona mapa.

- Musimy się go pozbyć - zdecydował Joe. - Musimy usunąć ciało. Wykopię dół w zagajniku, tam leży mnóstwo suchego drewna.

Patrzył na nią nieprzytomnym spojrzeniem.

- Nie - powiedziała Emma. - To nic nie da. Jak wyda się, że zniknął, i zaczną go szukać, na pewno wezmą psy. Czy one nie doprowadzą ich na to pole i do lasku, bez względu na to, jak głęboko będzie leżał?

- Może i tak, sam nie wiem... - I nagle podjął desperacką decyzję: - Musimy komuś powiedzieć. Potrzebujemy rady. Może zadzwonić do doktora Summersa?

- Nie, Joe... Nie możemy. Wiesz przecież, ile on dziś zrobił dla Terry'ego. Nakłamał, wziął na siebie winę... Zresztą, jak mógłby nam pomóc z... z tym?

Tak mało czasu... Mad pewnie zastanawia się, dokąd Emma poszła, gdzie podziewa się Joe. A tymczasem rysuje się następny problem. Trzeba pomyśleć o Andym. To on jest teraz najważniejszy.

- Joe - szepnęła. - Jak on to zrobił? Może strzelił na oślep i wcale kaprała nie widział?

Joe pokręcił głową.

- Nie - rzekł ponuro. - Andy aż za dobrze trafia do celu. Doskonale wie, co zrobił, nie ma mowy o pomyłce. Moim zdaniem, szedł do tej sterty drewna pod ścianą, może chciał potrenować, i nagle zobaczył na polu kaprała. Wycelował... no i trafił.

- O Boże... O Boże...

Wydało jej się, że wypadki ostatnich dni, wczorajszej i dzisiejszej nocy były z góry przesądzone. Wszystko zapoczątkował ów pierwszy strzał, oddany przez nieznanego żołnierza, który wystraszył się Spry'a. Od tego fatalnego momentu świat wokół nich, tak dotąd pewny i spokojny, stał się niebezpieczny dla wszystkich chłopców: Terry'ego, Sama, Andy'ego, nawet dla Joe'go. Po przykrych zmianach losu wreszcie kochani i hołubieni, znów poczuli się osaczeni przez dawne cienie. A Mad, przy całym swoim autorytecie, wcale im nie pomagała. Owszem, pobudzała i rozwijała fantazję, a to - zwłaszcza w przypadku Andy'ego - okazało się zgubne. Jak dzieciak może odróżnić prawdę od fałszu, rzeczywistość od udawania, skoro ta, która wychowywała go od małego, karmiła go obrazami ze swoich ról, fantomami z podkolorowanego świata? Fascynacja tym teatrykiem marionetek doprowadziła Terry'ego do brawury i pseudogalanterii, a Andy'ego do zabójstwa.

- To wina Mad - osądziła Emma. - Nie można oskarżać Andy'ego.

Joe spojrział na nią z urazą.

- Jak ona mogła zawinić? Przecież o niczym nie wie.

Emma rozłożyła ręce i nagle uświadomiła sobie, że ów gest instynktownie przejęła od Mad. Babka zawsze tak reagowała, kiedy ktoś usiłował ją zmusić do wyjaśnień, a teraz ona zachowuje się tak samo: lekko rozstawia nogi, wysuwa do przodu podbródek... Zupełnie jakby tkwiła w jakiejś sieci - czy też może pod kłosem, spod którego nie ma ucieczki. Dla niej - nie ma. A dla chłopców?

- To sposób, w jaki nas wychowywała - ciebie, mnie, nas wszystkich. Teraz zaczynamy za to płacić. Najpierw Terry, teraz Andy...

Uraza w oczach Joe'go zmieniła się w politowanie, potem w niesmak.

- Jest takie powiedzonko o kłasnieniu ręki, która cię karmi. Nie spodziewałem się po tobie czegoś takiego. Odkryliśmy potworną rzecz. Oboje przeżyliśmy wstrząs, a szczególnie ty, więc nie mogę cię winić, ale nie zwałałbym wszystkiego na Madam.

Pochylił się znowu i uchwyciwszy kaprala za pięty, powlókł go przez zaoraną ziemię do porośniętego jeżynami rowu pod murem. Odsłonięta głowa ze strzałą między oczami podskakiwała na wybojach. Emma patrzyła na to jak zahipnotyzowana, myśląc, że ten mężczyzna kiedyś się śmiał, oddychał, a wczoraj wieczorem trzymał w ramionach Myrtle i kochał się z nią na plaży Poldrea. Czuła, że treść żołądka podjeżdża jej do gardła. Razem z nią wypłuła z siebie zarówno złość, jak i strach. Boimy się żywych, nie zmarłych. Ciało leżące w rowie jest niczym, jest łupiną, żadne obelgi go nie dosięgną, płomień wygaśnie.

- Wiem, co zrobimy - zdecydowała. - Musimy powiedzieć panu Trembathowi. On i tak jest w to wmieszany z powodu Myrtle. Na pewno jutro zjawia się u niego marines i zaczną zadawać pytania. Ale sama Myrtle nie musi wiedzieć, co się stało, bo zaraz się załamię i wszystko wyzna.

Joe rozważał to przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- On ma landrovera. Możemy na początek schować tam ciało, ewentualnie przykryć nawozem. Potem zdecydujemy co dalej. Chyba masz rację, Emmo. - Obejrzał się na dom. - Która godzina?

Zerknęła na zegarek.

- Punkt szósta.

- Idę na farmę. Na pewno siedzą przy herbacie, bo już jest po udoju. Z łatwością wyciągnę pana Trembatha na dwór. Powiem, że jagnię uciekło mu z pastwiska czy coś w tym rodzaju. Potem go tu przyprowadzę, a ty lepiej zmykaj do domu. Jeśli Madam o mnie zapyta, powiedz tę samą bajeczkę o jagnięciu.

Ruszył natychmiast, trzymając się blisko żywopłotu, stanowiącego granicę Trevanal. Emma obserwowała sylwetkę znikającą za krawędzią wzniesienia, a potem, zerknąwszy jeszcze raz na ciało w rowie, spróbowała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby tak na miejscu małego znanego kaprala Wagga leżał Joe albo Terry. Nie cierpi się, myślała, póki nie uderza to w ciebie, a jeśli nawet się cierpi, trzeba nauczyć się to znosić. Dlatego właśnie lekarze zachowują spokój i pielęgniarki także, ale żeby praktykować, muszą się przełamać. I także z tego powodu Mad w trudnych czasach jest taka dzielna i nie traci głowy - ona gra, jest wyćwi-

czona w udawaniu kogoś innego, nie można więc jej urazić, bo to, co istotne, tkwi głęboko ukryte.

Emma dotarła do domu, w chwili gdy Colin z Benem wychodzili z biblioteki na kąpiel i kolację.

- Hej - zawołał Colin - gdzie byłeś?

- Chciałam trochę odetchnąć świeżym powietrzem. Nie wiecie, co robią Sam i Andy?

- Chyba są w pokoju zabaw. Przynajmniej Sam tam jest. Właśnie zaczął pisać list do Terry'ego, żeby go pocieszyć w szpitalu. W porządku, Dottie, już idziemy.

Colin westchnął, jakby niecierpliwość dorosłych stanowiła dlań brzemię, które trzeba znosić z rezygnacją. Potem wzruszył ramionami, wznosił oczy w niebo i powłókł się za Benem do kuchni jak dziewięćdziesięcioletni starzec. Na szczęście on nic nie wie - nigdy w życiu nie utrzymałby tego przy sobie, myślała Emma, idąc do biblioteki.

Babka oglądała dziennik.

- Że też on musi nosić taki wyzywający krawat w kropki! - oburzyła się na spikera. - Ktoś powinien mu wytłumaczyć, że kolor gryzie się z jego włosami. Strasznie rozdmuchują sprawę tych eksplozji; wiedziałam, że tak będzie. Wyłącz to, Em, nie mogę już wytrzymać. - Oparła się wygodnie i zdjęła okulary. Nagle wbiła wzrok w Emmę. - Coś złego, kochanie?

- Nie... - odrzekła Emma. Nie brzmiało to naturalnie ani przekonująco.

- Ależ tak, coś się stało. Chyba nie jest ci znowu słabo, co?

- Oczywiście, że nie. Trochę się zmęczyłam.

Joe zaraz dotrze na farmę. A jeśli nie zastanie pana Trembatha w domu, bo ten na przykład pojechał do Poldrea, i drzwi otworzy Myrtle?

- Coś jest nie w porządku - nalegała Mad, wychylając się do przodu. - Emmo, o co chodzi?

No więc dobrze. Proszę bardzo, radź sobie, w końcu to ty jesteś odpowiedzialna. Przyszłość Andy'ego leży w twoich rękach. Czyż jestem stróżem mego adoptowanego brata? Nie...

- Stało się coś potwornego. Joe i ja znaleźliśmy przed chwilą na polu ciało kaprała Wagga. On nadal tam leży i ma strzałę mię-

dzy oczami. Joe poszedł na farmę, chce porozmawiać z panem Trembathem.

Nagle uświadomiła sobie, że cała drży, chociaż w głosie tego nie słychać. W miarę jak mówiła, napięcie ustępowało. Mad miała dziwny wyraz twarzy osoby lekko przygłuchej, która nie usłyszała wyraźnie, o co chodzi, i tym razem nie udawała.

- Kapral Wagg? - powtórzyła. - To ten, który siedział w stajni, kiedy reszta była tutaj. Chcesz powiedzieć, że on nie żyje?

- Tak. Leży martwy na polu, ugodzony jedną ze strzał, które dałaś Andy'emu.

Tym razem dotarło. Zmieszanie ustąpiło miejsca zdziwieniu, a zdziwienie - świadomości faktu. Ale nie przerażeniu. I to właśnie było przerażające.

- Więc najwyraźniej zrobił to Andy. Co za bezmyślny chłopak, że też nie odniósł z powrotem strzały! I dlaczego nic mi nie powiedział?

Emma patrzyła na babkę z niedowierzaniem. Czy szok pomieszał jej w głowie? Czy to początek demencji?

- Mad... Ten kapral został zamordowany i to przez niespełna dwunastoletnie dziecko. Rozumiesz, co to znaczy?

Mad rozłożyła ręce w geście zniecierpliwienia.

- Oczywiście, że rozumiem, za kogo ty mnie bierzesz? Nie dramatyzuj. Musimy trzeźwo myśleć, dzięki Bogu, że Joe to potrafi. Nie mógł zrobić nic mądrzejszego, niż pójść po Jacka Trembatha.

- To był mój pomysł - pochwaliła się Emma.

- Tym lepiej dla ciebie. Szkoda, że to się nie zdarzyło podczas wizyty Bevila, załatwiłby to razem z dziadkiem plażowym. Gdyby Jack Trembath potrzebował dodatkowej pomocy, zawsze możemy wezwać Taffy'ego. Nie tak łatwo pozbyć się ciała. - Wstała i zaczęła spacerować po pokoju. - Nie ma sensu zrzucać go z klifu, że niby sam się potknął, bo został mu ślad po strzale... Dostał między oczy, powiadasz? Bardzo paskudnie to wyglądało?

Emma nie odpowiedziała. Po prostu patrzyła na nią bez słowa.

- Kochana Em... - Ręka na głowie, pieszczota, głos serdeczny, pełen współczucia... a jednak dziwnie daleki. - Może napijesz się czegoś mocniejszego? Jest trochę brandy w kredensie. Mnie może przyda się później, teraz jeszcze nie.

Emma wstała jak automat i poszła do jadalni. Nalała sobie pełen kieliszek do sherry - bez rozcieńczenia. Skutek był piorunujący. Nie zносиła brandy, ale przynajmniej poczuła przypływy sił. Wróciła do biblioteki.

- Co teraz? - spytała.

- Idź i zawołaj Andy'ego. Maluchy powinny już być w kąpielu.

Brandy dodała Emmie nie tylko sił, ale i odwagi. Jeśli wezmą Andy'ego w krzyżowy ogień pytań, kto wie, czy dzieciak się nie załamie, nie zacznie płakać, może wszystkiemu zaprzeczy? Może lepiej nic nie mówić i niech wszyscy - ona, Mad, Joe - nabiorą wody w usta, udadzą, że nic się nie stało? Rano, kiedy ciało zniknie, Andy mógłby pomyśleć, że to wszystko mu się przyśniło albo że sobie to wyobraził. Ani ona, ani babka nie potrafią sprostować tej sytuacji; może rzeczywiście powinny zwrócić się do doktora.

- Mad, musisz bardzo uważać na każde słowo. Wiem, że on nie jest taki wrażliwy jak Sam, ale z drugiej strony może panicznie bać się zdemaskowania. Może próbować ucieczki albo...

- Och, rusz się wreszcie, kochanie, bo czas nagli.

Emma przeszła przez kwatery chłopców, ale nie ufała sobie na tyle, by przeszukać sypialnię średniaków.

- Andy!

- Tak?

- Zejdź do biblioteki, dobrze? Tylko ty, bez Sama. Madam chce zamienić z tobą słówko.

Jak ostatni tchórz nie zaczęła na niego, tylko wróciła do biblioteki i usiadła na sofie, udając, że przegląda program radiowy. Kiedy Andy wszedł, zerknęła ukradkiem zza gazety. Wyglądał zupełnie normalnie, może tylko był trochę bardziej rozczochrany niż zwykle.

- Czy jestem potrzebny?

- Tak, kochanie. Napędziłeś biednej Emmie okropnego stracha. Wyszła na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza i zobaczyła na polu martwego kaprala Wagga ze strzałą w czole. Przybiegła opowiedzieć mi o tym i musiałam dać jej trochę brandy.

Andy spojrzał na Emmę z konsternacją.

- Och, Emmo, tak mi przykro! Nie chciałem, żebyś go znalazła.

zła. Zamierzałem poczekać w pokoju zabaw na Joego i wytłumaczyć mu, co się stało.

Emma się nie odezwała. W kieliszku zostało jeszcze trochę brandy, więc wypła ją jednym haustem.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? - spytała Mad.

- Nie miałem okazji - wyjaśnił Andy. - Akurat przyszli Colin z Benem, a nie chciałem, żeby się dowiedzieli. No więc powiedziałem Samowi, ale nie mogliśmy znaleźć Joego. Próbowaliśmy wyciągnąć strzałę, ale się nie udało. Trafiłem go pierwszym strzałem i chyba od razu umarł, bo nie oddychał.

- Rozumiem. - Mad umilkła na chwilę. - Jak to się stało? Umyślnie go trafiłeś?

- Och, tak! Siedziałem w kucki przy stercie drewna koło przełazu, a on szedł przez pole. Wiedziałem, że to kapral Wagg, ten żołnierz, który bił się z Terryem. Pewnie chciał go znaleźć, bo nie miał pojęcia, że Terry jest w szpitalu. No to pomyślałem sobie: „Załatwię cię, bratku”. Wycelowałem, strzeliłem i już! Nawet nie krzyknął, po prostu upadł.

- Hm... - Mad zaczęła cicho pogwizdywać. - Widzisz - ciągnęła po chwili - marines zorientują się, że go nie ma i mogą go tu szukać. Wiedzą, że kręcił się w pobliżu.

- Owszem, Sam i ja także o tym pomyśleliśmy. Łuki i resztę strzał schowaliśmy w mojej kryjówce w kominie, więc bronie nigdy nie znajdują. Natomiast z ciałem jest kłopot. Nie możemy go tam zostawić.

- Wiem. Emma rozmawiała z Joem i on poszedł po pana Trembatha. Możemy mu zaufać, razem na pewno coś wymyślą.

- No to kamień z serca - westchnął Andy. - A już się na serio martwiłem. Oczywiście, kiedy owca pada, pan Trembath po prostu ją zakopuje. Widzieliśmy, jak to robi. Kaprala także może zakopać.

- Może i tak, zobaczymy. Tak czy inaczej, maluchom ani słowa, oczywiście Dottie też.

- Jasne.

- A Sam niech trzyma język za zębami. Co zrobił, kiedy mu powiedziałeś?

- Sam? Powiedział, że to świetny strzał, tylko powinienem się

wstydić, bo nie zabiłem tego, który zastrzelił Spry'a. Wtedy byłoby naprawdę sprawiedliwie.

- Taak. No dobrze, rano dam ci znać, co ustalił Joe z panem Trembathem. Aha, dzwonił doktor Summers. Z Terry'm wszystko w porządku, jest już w szpitalu.

- No to super. Biedny, stary Terry, na pewno jest wściekły, że go odstawiono na boczny tor. Ale przynajmniej został pomszczony. Dobranoc, Madam, dobranoc, Em.

Andy wyszedł z pokoju. Zapadła cisza. Wnuczka wpatrywała się w babkę.

- Czy ty rozumiesz? - spytała po chwili. - On nawet nie zdaje sobie sprawy, że źle postąpił!

Mad podniosła kieliszek Emmy, dostrzegła, że jest pusty, i odstawiła go z powrotem.

- Oczywiście, że rozumiem - odparła. - A jeśli uważasz, że właśnie teraz należy mu to uświadomić, to niewiele wiesz o Andym. - Podeszła do elektrycznego „kominka” i wyłączyła grzejnik. - Jeśli małe dziecko przeżyje jako jedyne katastrofę lotniczą i zostanie znalezione pod martwym ciałem ojca, pewnego dnia odczuje skutki urazu i wszystko odreaguje. Kapral miał pecha, że musiało się to zdarzyć akurat dziś.

- Ale Mad... - Emma także wstała; narada wyraźnie dobiegła końca. - Chcesz powiedzieć, że Andy i tak by kogoś zabił? Że jest... no, psychopatą?

Babka popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Oczywiście, że nie. Andy jest zupełnie zwyczajnym dzieckiem, ale z tak głębokim urazem, że niełatwo go uleczyć. Normalnie nie skrzywdziłby muchy. Zapominasz tylko, że to nie są normalne czasy. On widział w tym żołnierzu wroga, który zaatakował Terry'ego. Może będę brutalnie szczerą, ale podzielałam ten punkt widzenia.

Poszła do szatni, gdzie zaczęła wkładać buty.

- Dokąd idziesz? - spytała Emma.

- Dowiedzieć się, co załatwił Joe z panem Trembathem. Wybierzesz się ze mną?

Poszły razem do przełazu. Na polu, nieopodal żywopłotu, zobaczyły ciemny kształt zaparkowanego landrovera. Pod murem,

koło rowu, tkwiły dwie sylwetki - Joe i pan Trembath. Ten ostatni był pochylony i mimo ciemności Emma od razu się domyśliła, co robił. Próbował wyciągnąć strzałę. To dziwne, ale wcale nie czuła mdłości ani nie było jej słabo - jak poprzednio, kiedy Bevil Summers robił Terry'emu zastrzyk. Przyczyna wydawała się oczywista: Terry należał do rodziny, a kapral Wagg nie. Kapral Wagg - jak upierała się Mad - to przedstawiciel najeźdźców i tak się pechowo złożyło, że nie żył. Może miał w Ameryce żonę, dzieci, rodziców? Szedł do Terry'ego w uczciwych zamiarach, chciał wyciągnąć rękę do zgody, ale zginął od strzały Andy'ego. Chyba już się tym nie przejmuję, myślała, nie jestem zszokowana, nawet nie mam mdłości. Może przeszłam rodzaj treningu... Ale do czego?

- No! Mam ją! - sapnął z satysfakcją Jack Trembath. - Nawet się nie ułamała. Na szczęście.

Wyrwał garść trawy, wytarł starannie czubek i chorągiewkę, potem rzucił brudne żdźbła na ziemię.

- Nie robiłabym tego - odezwała się cicho Mad. - Tam mogą być ślady krwi.

Farmer podniósł głowę i dopiero wtedy zobaczył, że obie obserwują go zza muru.

- Racja - przyznał. - Bezmyślnością daleko nie zajedziemy. - Podniósł trawę i wyjąwszy z landrovera worek, wrzucił ją do środka razem ze strzałą. - Tego pozbedziemy się bez problemu. Gorzej z ciałem. Nie sądzi pani, że najrozsądniej byłoby wrócić z Emmą do domu i zostawić to nam?

- Nie. Chcę wiedzieć, co zdecydujecie.

Jack Trembath obejrzał się przez ramię i popatrzył na morze.

- Nie ma sensu ciągnąć go na klif i pozorować, że się omsknał. Ma tę cholerną rankę między oczami, tego nie mógł się dorobić przy upadku.

- Więc zanieśmy go na plażę i niech go przypływ zabierze - zaproponował Joe.

- I co to da? - spytał farmer. - Wysoka fala przeszła godzinę temu. Największe bałwany były wczoraj. Teraz będzie odpływ. Nie można tak po prostu zostawiać trupa na plaży, to nikogo nie zmyli.

- No i jeszcze jedno - wtrącił Joe. - Jeśli dotrą jego śladem aż tutaj... może nawet, jak wspominała Emma, wezmą z sobą psy, dziwne wyda się, że ślad się nagle urywa. Zresztą tuż obok są ślady opon. Do landrovera też go nie możemy wsadzić, bo jak się przyłożą do roboty, to raz dwa go wyśledzą.

Zapadła cisza. Jack Trembath skrobał się po brodzie, patrząc z namysłem na ciało. Zerwał się wiatr i chmury sunęły po niebie. Spadło trochę deszczu.

- Uwaga, ktoś tu idzie! - zawołała Emma.

Joe i farmer przysunęli się do żywopłotu. Emma instynktownie pociągnęła babkę pod rosnący w pobliżu dąb.

- Czekaj no - rzekła Mad. - Czy to nie nasz dziadek plażowy? Ktoś brnął powoli przez pole od strony lasu.

- Tak - przyznał Joe. - To pan Willis.

Jack Trembath zaklął pod nosem.

- Nie martwcie się - burknął. - Jakoś się go pozbędę.

Mad wyrzała zza dębu.

- Nie, on jest w porządku. Już raz nam dziś pomógł i jeśli znam się na ludziach, pomoże i teraz.

Przy pomocy farmera przedostała się na pole, a gdy nadszedł dziadek plażowy, który także dostrzegł grupkę pod murem, kiwnęła na niego ręką.

- To dziwny typek i nic do niego nie mam - mruknął Jack Trembath - ale w tego rodzaju kłopotach... Jest pani pewna?

Mad nie odpowiedziała. Zaczekała, aż Walijczyk się zbliży i pozwoliła mu przemówić pierwszemu.

- Chłopak zostawił to w pośpiechu - rzekł, wyciągając sweter Terry'ego. - Pomyślałem, że przyda mu się w szpitalu. Nie chciałem przeszkadzać, zamierzałem podrzucić przy tylnych drzwiach. ...bry wieczór panu - skinał głową farmerowi i zerknął na landrovera. - Jakaś owca się zgubiła?

- Nie - odparła Mad. - Obawiam się, że znów mamy kłopoty. Tym razem znacznie gorsze.

Wzięła go za rękę i podprowadziła do rowu. Kiedy zobaczył ciało, gwizdnął przeciągle.

- Rzeczywiście, nie jest dobrze. Jak on to sobie zrobił?

- To Andy. Siedział tu, murem, ze swoim łukiem i wyjątko-

wo trującą strzałą, a ten żołnierz szedł od strony farmy. Andy wziął go na cel i strzała trafiła.

- Faktycznie trafiła. Coście z nią zrobili?

- Mam ją w tym worku - odrzekł Jack Trembath. - Mniejsza o strzałę, prawdziwy problem to ciało, nie?

Pan Willis nie odpowiedział. Obszedł ciemny kształt dookoła, jakby chciał przypatrzeć mu się pod wszystkimi kątami, po czym ukląkł do bardziej szczegółowego badania.

- Krew zastygła - ocenił. - Trochę pociekło na ziemię mimo wszystko. Właściwie co on tu robił?

Opowiedziano mu o wypadkach wczorajszej nocy. Słuchał, nie przerywając.

- Nikt poza pańską córką nie wie o jego wizycie na farmie? - spytał Trembatha.

- Myślę, że nie. Mick i ja doiliśmy w tym czasie krowy. Zona była w domu. Nic mi nie mówiła o kapralu. Przypuszczam, że Myrtle szybko się go pozbyła. Dobrze wie, co do niego czujemy.

- Trudność polega na tym - odezwał się Joe - że nie mamy pewności, czy kapral poinformował swoich kumpli, dokąd się wybiera. Był po służbie, Myrtle o tym wiedziała.

- Musimy stworzyć pozory, że facet szedł w tę stronę i nagle zmienił zdanie - zaproponował pan Willis. - Na środku pola skręcił w dół i po klifie dotarł do plaży. Gdyby szukali śladów stóp, to i tak by nie znaleźli, bo grunt mimo deszczu jest dość twardy. Ale pozostaje kwestia zapachu.

Jack Trembath słuchał uważnie, ale nadal miał niepewną minę.

- Nie bardzo chwytam - wyznał.

Walijczyk znów zerknął na landrovera.

- Dużo pan ma tych worków?

- Ze sześć, może więcej.

- Doskonale, dawaj je pan tutaj. Przyda się też trochę sznurka.

Mad cofnęła się z powrotem pod mur i wyciągnęła rękę do Emmy. Przy jej pomocy przelazła na drugą stronę.

- A nie mówiłam? - szepnęła. - Wiedziałam, że wszystkim się zajmie.

Jack Trembath wrócił z naręczem worków, sznurkiem i szpagatem. Pan Willis ukląkł i zaczął zawijać głowę i korpus trupa

w worki, obwiązując każdą część szpagatem. Kiedy przyszło do nóg, nawet nie mrugnął okiem; ściągnął nieboszczykowi buty i sam je włożył, zawiesiwszy sobie stare rybaczkki na szyi.

Potem podniósł głowę i mrugnął do farmera:

- Wcale nie chcę ich podwędzić, tylko na ziemi zostawić zapach, jakby on sam szedł. Lepiej się upewnić, niż potem żałować.

Nieboszczyk wyglądał teraz jak paczka. Pan Willis zrobił ze sznurka pętlę i zarzucił sobie na ramiona. Z przodu dyndały mu własne buty, z tyłu zwisał podłużny pakunek, z którego wystawały stopy w samych skarpetkach. Całe towarzystwo obserwowało Walijczyka z zapartym tchem, on zaś podniósł na koniec głowę i powiedział:

- Zeszłej nocy przeniosłem na własnym grzbiecie żywego chłopa z mojej nory aż tutaj. Teraz muszę tam zataszczyć trupa. Mimo wszystko będzie mi łatwiej, przynajmniej nie muszę się martwić, że poamię mu kości. - Umilkł na chwilę, wodząc wzrokiem od jednej do drugiej twarzy. - Pan wsiądzie do samochodu i objedzie pole dookoła, wkrótce się spotkamy - polecił Jackowi Trembathowi. Potem uśmiechnął się do Mad, wyglądającej obok Emmy zza muru. - Odwalałem w życiu bardziej parszywą robotę. Gdyby człowiek nie potrafił pomóc sąsiadce, to chyba nie miałby po co żyć, no nie?

Zaczął iść tą samą drogą, którą przyszedł. Na środku pola skręcił na ścieżkę prowadzącą na pastwisko i klify. Podczas marszu pakunek podskakiwał mu na plecach, a zwisające nogi zahaczały o ziemię. Pozostali patrzyli za nim, póki nie zniknął im z oczu. Jack Trembath kiwnął głową na Joego i obaj skierowali się do landrovera. Po chwili zawarczał silnik i samochód potoczył się wolno tuż przy krawędzi pola. Światła Mevagissey po drugiej stronie zatoki nadal migotały, a te okrętowe jarzyły się równo i jasno.

- Koniec - powiedziała Mad. - Musimy im to zostawić.

Odwróciła się od muru i obie poszły do domu.

- Myślę - rzekła Mad, gdy ściągały buty - że też się napiję brandy. Tylko kropelkę i dużo wody sodowej.

- Czy nie powinnam zajrzeć do Andy'ego? - spytała Emma.

Mad zastanowiła się przez chwilę.

- Na pewno nic mu nie jest, ale zajrzyj, jeśli chcesz. Powiedz, że sytuacja opanowana, i daj mu ode mnie całusa.

Po drodze do pokoju średniaków Emma przeszła przez kuchnię. Dottie stała przy piecyku i gotowała kolację.

- Wszyscy się pokładli jak te aniołki - powiedziała. - Pokój temu domowi, oto co mówię. Nie zawsze tak bywa.

Emma otworzyła po cichu drzwi. W środku było ciemno, ale na jednym łóżku ktoś się poruszył.

- W porządku - szepnęła. - To tylko ja.

Andy usiadł i zaświecił jej latarką prosto w twarz.

- Sam śpi, nie obudź go czasem.

Sam z zamkniętymi oczami wyglądał zupełnie inaczej - na jego twarzy malował się absolutny spokój. Gołąb w swym legowisku obok łóżka także pogrążony był we śnie, z głową wciągniętą w nastroszone pióra. Wiewiórka spała zwinięta w kłębek.

- Wszystko w porządku - powtórzyła Emma. - Mam ci powiedzieć od Mad, że sytuacja opanowana. Prosiła, żeby cię ucałować.

Spełniła tę prośbę, a Andy klepnął ją w plecy.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem. Chyba nie przyśni ci się żaden koszmar. Joe jest jeszcze z panem Trembathem?

- Tak. Przyszedł też dziadek plażowy. Chciał oddać sweter Terry'ego, ale potem wszystko zorganizował. Joe opowie ci rano.

- To dobrze. Panu Willisowi mogę zaufać we wszystkim. Tak naprawdę to przyjaciel Sama, ale teraz i mój.

Zamyślił się nagle i Emma przestraszyła się, czy czasem gdzieś w środku nie zaczyna do niego docierać cała potworność popełnionego czynu.

- Wiesz? - odezwał się w końcu. - Zanim weszłaś, myślałem sobie... jakie to smutne, że mój ojciec nie żyje. Mógłbym mu o wszystkim powiedzieć.

Emma wzięła go za rękę.

- Dlaczego, kochanie?

- Ty tego nie zrozumiesz - pokręcił smutno głową. - Mimo wszystko jesteś dziewczyną. A Madam rozumie, ale jest za stara. - Na jego twarz wypłynął z wolna uśmiech. - Chłopaki lubią pochwalić się ojcu swoim pierwszym trofeum.

Zgasił latarkę i odwrócił się na bok.

11

Rano w lokalnych wiadomościach nie padło ani jedno słowo na temat zaginionego kaprala. Prasa, radio i telewizja rozwdziły się szeroko na temat nowego układu monetarnego między USUK-iem a jego sojusznikami, opisując kolosalne znaczenie handlowe owego związku narodów. Nowy sojusz obronny anglojęzycznych narodów, znany jako ESPDA*, miałby odegrać tę samą rolę, do jakiej w przeszłości pretendowało NATO, ale w znacznie szerszym zakresie. Sojusznicy dysponowali bowiem bazami nuklearnymi po obu stronach Atlantyku - północnej i południowej - Pacyfiku oraz Oceanu Indyjskiego. Aktualna metoda obrony i ataku w razie wojny między ESPDA a obcymi mocarstwami (która, jak zapewniali gorączkowo wydawcy i mówcy, nigdy nie nastąpi) oprze się przypuszczalnie na nuklearnych łodziach podwodnych, przenoszących rakiety o olbrzymim zasięgu.

Następnych kilka minut poświęcono planom dotyczącym samej Wielkiej Brytanii. Należy zdać sobie sprawę, że czas jej świetności jako potęgi przemysłowej bezpowrotnie minął. Przyszłość kraju zależy od przekształcenia go w historyczne i kulturalne centrum anglojęzycznych narodów. Tak jak niegdyś ludzie spragnieni słońca i morza masowo wyjeżdżali na urlopy do Hiszpanii, na Costa Brava, tak teraz miliony turystów wyruszą do kraju Szekspira, Milтона, lorda Oliviera, Nelsona (dość dziwna kolejność nazwisk), Florence Nightingale i innych. Możliwości są doprawdy ogromne. *Me ma takiego hrabstwa w Anglii czy Walii* - pisał pewien entuzjasta planu - *które nie byłoby przesycone historią. Król Jan podpisujący Wielką*

* **English-Speaking Peoples Defensive Alliance.**

Kartę Wolności w Runnymede... Ryszard III tracący koronę na Bosworth Field... Wojna Dwóch Róż... Wszystkie te sceny i wiele innych mogłyby być odgrywane dla naszych gości. Hotele i restauracje można by pozmienić w stare oberże i tak dalej, i tak dalej. Szczucie psów na uwięzowanego niedźwiedzia, walki kogutów, turnieje, pojedynki, zamaskowani bandyci na koniach - turyści mogliby się im przyglądać, siedząc wygodnie na zadaszonych stadionach albo nawet z samochodów.

To tylko jeden z wycinków, które Mad odczytała głośno swej wnuczce. Rozrzuciła gazetę po całym pokoju i wzięła lokalny tygodnik. Wiadomość brzmiała podobnie, może tylko trochę mniej entuzjastycznie. *W naszym regionie od pewnego czasu utrzymuje się wysoki poziom bezrobocia - pisał redaktor. - Może dzięki członkostwu w USUK-u uda się nam rozwiązać ten problem. Nasi partnerzy zza Atlantyku udowodnili, iż kornwalijskie złoża kaolinu nie powinny być dłużej eksploatowane. W tej sytuacji powinniśmy znacznie więcej wysiłku włożyć w rozwój turystyki.* Dalej następował krótki raport na temat eksplozji w różnych częściach kraju. Niepraworządne elementy należy opanować, a wszyscy członkowie społeczeństwa powinni spokojnie robić swoje. Jeśli weekend minie bez incydentów, w poniedziałek zaczną działać szkoły.

- To dla nas duża ulga - zauważyła Emma. - Nie trzeba będzie się głowić, czym zająć chłopaków między dziewczętą a czwartą. Jedyne problem z...

Zastanawiała się nad Andym. Czy można mu zaufać, że będzie trzymał język za zębami, czy też chęć popisania się przed kolegami okaże się pokusą nie do pokonania?

- Nie martw się, wiem, o czym myślisz - pocieszała ją Mad. - Nie będę z nim rozmawiać. Joe to załatwi, jeśli jeszcze tego nie zrobił. Widziałas się już z nim?

- Nie, kiedy zesłałam na śniadanie, Joego nie było w kuchni. Dottie mówiła, że zjadł wcześniej i wyszedł.

- Na moje polecenie. Wysłałam go na farmę, żeby uzgodnił zeznania z Trembathami, pamiętając oczywiście, że Myrtle i jej matka nic nie wiedzą. Wszystko inne jest załatwione, Joe złożył mi wczoraj raport.

A więc to dlatego światło w rogu zajmowanym przez Mad zgasło dopiero tuż przed północą. Emma położyła się wcześniej, ale widziała to z sypialni.

- A co się wydarzyło?

- Zapytaj Joego - odparła babka. - W każdym razie Taffy pozbył się ciężaru. Wiedziałam, że da sobie radę.

Zadzwoił telefon i Mad wyciągnęła rękę.

- Zaczekaj - powstrzymała ją Emma. - Nie zapominaj, że wczoraj miałś atak serca. Nie wiemy, kto to.

Mad podała jej słuchawkę.

- Tylko się nie przejmuj. I uważaj: gdyby ktokolwiek o mnie pytał, mów, że czuję się znacznie lepiej. Atak serca spełnił już swoje zadanie i nie zamierzam sterceć tu cały dzień.

Emma kiwnęła głową.

- Halo? Tu Trevalan.

Obcy głos po drugiej stronie powiedział:

- Chwileczkę.

Spojrzała na Mad, podnosząc brwi, potem wzruszyła ramionami i nasłuchiwała. Po chwili odezwał się znajomy, zdecydowany, nieco władczy głos Pa.

- Och! - zdumiała się Emma i przekazała babce wiadomość na migi. - To ty!

- Słyszysz mnie? Bo ja ciebie bardzo słabo. - I nie czekając na odpowiedź, przeszedł do rzeczy: - Co to za opowieści dochodzą do moich uszu? Podobno Mad pokazała się na jakimś zebraniu i naubliżała lokalnej postance? Mniejsza o to, skąd wiem, mam swoich informatorów. Narobiła okropnych kłopotów! Musisz położyć kres tego rodzaju sprawom. To jeszcze nie wszystko. Czy wyróżniliście się czymś na tej imprezie z fajerwerkami na plaży? Jak ona się nie uspokoi, to nałożą na nią areszt domowy za zakłócanie spokoju albo wsadzą do wariatkowa! Ona tam jest? Daj ją do telefonu!

- Zaraz. - Zasłoniła ręką słuchawkę i szepnęła: - Lepiej z nim pogadaj, jest strasznie zły. Wie o zebraniu i o aferze z fajerwerkami.

Przysunęła babce telefon. Ta oparła się z uśmiechem na poduszce.

- Vic, kochanie? - zaszczębiotała. - Jak to miło, że dzwonicz!

Dzięki Bogu, znacznie mi lepiej. Przeszedł Bevil i dał mi jakieś pigułki. To było dość nieprzyjemne, mimo wszystko, miałam takie paskudne kłucie pod sercem...

Ze słuchawki popłynął potok pytań. Brzmiało to tak, jakby ktoś puścił magnetofon na przyspieszonych obrotach.

- Co? Ach, a ja myślałam, że właśnie dlatego dzwonicz! Tak szybko dochodzą do ciebie wiadomości... Nie, mówiłam już, że mi lepiej. Bevil kazał mi leżeć jeden dzień. Nie, nie sędzę, żebym potrzebowała dodatkowej konsultacji. Oczywiście, gdyby nastąpił drugi atak... Tak, mam mnóstwo pigułek. - Zrobiła zachwyconą minę do wnuczki. - Za dużo zajęć? Nieprawda, biorę życie bardzo lekko. Znacznie lżej niż ty. Ale mieliśmy tu paskudny wypadek, który bardzo nas zmartwił. (Emmie zamarło serce). Kochany Terry jest w szpitalu ze złamaną nogą. Taka głupia sprawa! Bevil za szybko skręcił na podjazd, bo pilno mu było do mnie, i potrącił Terry'ego, który przytrzymał mu bramkę. Tak, oczywiście, że to przez nieuwagę, ale także z powodu troski o mnie... Nie, kochanie, absolutnie nie musisz przyjeżdżać i zostawiać nas po kątach, jak to ująłeś... No cóż, oczywiście, że chcemy cię zobaczyć, jak możesz mówić takie rzeczy! (Klops, myślała Emma, tym razem posunęła się za daleko. Pa się wkurzył, a że jest tak samo stanowczy jak ona, to nam teraz pokaże!) Jasne, kiedy tylko zechcesz, twój pokój jest zawsze gotowy, będziemy czekać... Nie, nie będę leżeć... - Znowu ten magnetofon. Mad wzniosła oczy ku niebu. - Tak, tak, samochodem... Nie przejmujesz się blokadami? Ach, masz specjalną przepustkę. Ale z ciebie szczęściarz, my nie mamy tak dobrze...

Koniec. Mad odwróciła się do wnuczki z gestem rezygnacji.

- Co miałam robić? Uparł się, wiesz, jaki on jest! Włącz w jego pokoju elektryczny koc, Emmo, i zawiadom Dottie. Niech zadzwoni do Toma Bate'a i spyta, czy znajdzie się dla nas cytrynowa sola.

Tylko tego brakowało, myślała Emma, próbując sprostać swoim obowiązkom. Najpierw ginie nam chłopak, potem drugi popełnia morderstwo z premedytacją, a jakby dla ukoronowania tego wszystkiego przyjeżdża Pa! Pa, który nie ma o niczym pojęcia i w dodatku jest w komitywie z władzami, rządem, posłami

do parlamentu, USUK-iem, zwali się tutaj. Dziś? Jutro? Tak strasznie się śpieszył, że nawet nie powiedział kiedy!

Zycie jest stanowczo za bardzo skomplikowane, dumiała, jadąc po niezbędne zakupy do Poldrea, pokazując przepustkę i oglądając się trwożnie na ogrodzoną drutem plażę. Nie zdążyła zobaczyć się z Joem, więc nadal nie wiedziała, co tam wykombinowali do spółki z dziadkiem plażowym i panem Trembathem, chociaż babka mówiła, że wszystko w porządku. Andy i Sam, których przelotnie widziała przy śniadaniu, zachowywali się zupełnie normalnie, przymierzali się do wypuszczenia gołębia, żeby wypróbować nastawione skrzydło. Maluchy postanowiły odegrać Dawida i Goliata, co mogło się wydać podejrzane po wczorajszych wypadkach.

Pierwszą osobą, na którą wpadła w supermarkecie, była Peggy Trembath. Emma już chciała się cofnąć, żeby uniknąć pytań, ale pani Trembath zdążyła ją dostrzec.

- Byli już u was? - spytała, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Kto? Po co? - spłoszyła się Emma.

- Oficer i dwóch żołnierzy. - Pani Trembath ściszyła głos. - Wypytywali nas bez końca, aż biedna Myrtle się popłakała, więc wreszcie mój mąż powiedział wprost: „Czego napadacie na dziewczynę? Pójdę na skargę do dowódcy. Możemy wam powiedzieć tyle: jeśli zginął wam kapral, to widać nie chce się znaleźć. Powinien się zastanowić, zanim zaczął nachodzić nieletnią, przecież Myrtle nie ma jeszcze szesnastu lat!“. No a potem zabrałam ją na górę i poszłam na zakupy. Ale słyszałam, jak oficer mówił do Jacka, że przeszukają porządnie pole, a potem pójdą do Trevanal.

Wszystko działo się stanowczo za szybko. Emma sądziła, że jest przygotowana, ale było inaczej. Serce zaczęło uderzać jeszcze mocniej.

- Niczego się od nas nie dowiedzą. Mamy własne problemy. Słyszała pani o Terry'm?

- Tak, ponoć doktor go przejechał, to prawda? Joe pomagał wczoraj Jackowi zagonić owce i tak mu powiedział. A właściwie co Terry'emu odbiło, że się ukrywał po fajerwerkach?

Emma przełknęła ślinę. Na śmierć zapomniała! Pani Trembath nie miała pojęcia o tym, co się naprawdę stało i o nocy spędzonej u dziadka plażowego.

- Och, sama nie wiem. Głupota i tyle. Muszę lecieć. Proszę pozdrowić ode mnie Myrtle i przekazać, że z Terryem wszystko w porządku.

Szła przez halę sklepową jak automat. Mięso, bekon, ser, cukier... Każdą pozycję sprawdzała na otrzymanej od Dottie liście, uśmiechała się siłą nawyku do znajomych twarzy, potem wąskim chodnikiem dotarła do sklepiku z rybami. Poza nią nie było tam ani jednego klienta. Za ladą stał Tom Bate.

- Nie mam cytrynowej soli, złociutka. Może być świeża płastuga.

Płastuga to ostateczność, ale Pa sam jest sobie winien. Zawsze domaga się ryby. Dottie musi coś wykombinować. Czekąta, aż pan Bate pofiletuje rybę.

- Kto wymyślił ten strój dla kukły, chłopcy czy babcia?

Emma zaniemówiła. Pokaz fajerwerków wydawał się jej taki odległy! Zmusiła się do uśmiechu.

- Chyba każdy po trochu.

Tom Bate zachichotał.

- Najlepszy dowcip wszechczasów! Nieprędko go zapomniemy. Podobnie jak tej gadki w ratuszu. Możesz powiedzieć babci, że w Poldrea znajdzie się sporo ludzi, którzy myślą tak jak ona i w razie czego gotowi są służyć poparciem.

- Dziękuję, panie Bate, powtórzę.

- A weźmy ten nowy pomysł - ciągnął Tom Bate, wręczając jej zapakowaną płastugę. - Że niby mamy stać się jakąś baśniową krainą. Nim zdążymy mrugnąć okiem, porzeczają nas za przemytników i piratów, i tak dalej. Coś ci powiem, dziewczyno. Jeśli kiedy złapię jakiegoś jankeskiego turystę w kostiumie nurka za moimi wścierzami na homary, to zrobię z niego cholerną przynętę!

Oni i my, myślała Emma po wyjściu ze sklepu. My i oni... Wydawało się, że w Poldrea jest teraz więcej marines niż we wtorek, kiedy robiła zakupy z babką. Niedobrze, to wcale nie wygląda na przyjacielską wizytę sprzymierzonych wojsk, tylko na okupację. A w drodze powrotnej... Czy to kwestia wyobraźni, czy też naprawdę strażnik przy szlabanie dłużej niż zwykle oglądał jej przepustkę? Cóż, jeśli nie wyobraźnia, to poczucie winy.

- W porządku? - spytała, uśmiechając się miło.

- W porządku - odrzekł i odprawił ją gestem ręki. Nie uśmiechnął się.

Skreśliła na podjazd i odstawiła samochód. Colin i Ben, którzy bawili się za nieużywanym budynkiem stajni, wybiegli jej na spotkanie. Colin w stroju Goliata czy też komandosa, miał na głowie durszlak Dottie, a za pasem bambusowy kołek, wyglądający na niebezpiecznie ostry.

- Cześć, Emmo, twój kochaś już czeka.

- Mój kochaś?

- No tak, porucznik Sherman - odparł, małpując jego wymowę. - Jest w domu, rozmawia z Madam. Ben i ja jedliśmy w kuchni drugie śniadanie; on zadzwonił do drzwi i powiedział do Dottie: „Czy panna Emma jest w domu?”. - Colin uśmiechnął się, zachwycony swym perfekcyjnym naśladownictwem. - Więc lepiej idź tam szybko i zobacz, czego chce. - Dotknął swego bambusa. - Zawołaj mnie w razie kłopotów. Chodź, Ben.

- P... - zdołał wykrztusić Ben, po czym obaj zniknęli za stajnią.

Emma wolno przecięła podwórko i tylnymi drzwiami weszła do domu. Zwaliła zakupy na kuchenny stół.

- Jest tu ten porucznik - zawiadomiła ją Dottie. - Powiedziałam mu, że jesteś na zakupach, i już miał odejść, ale Madam usłyszała i kazała mi go wpuścić do pokoju muzycznego. No więc posłuchałam, ale nie wyglądał na zachwyconego. Co to ma być? Płastuga? Niewiele z nią zwojuję.

- Będziesz musiała coś wymyślić. Gdzie są Andy i Sam?

- W warzywniku z Joem, przynajmniej raz się do czegoś przydadzą.

Emma szybko przejrzała się w lustrze. Trochę rozczochrana, ale to nieważne. Parę ruchów grzebieniem - i gotowa do akcji. Ważniejsze, czy Mad pamiętała o swym chorym sercu. Kiedy Emma weszła do pokoju, porucznik siedział na brzeжку krzesła, klepiąc Folly, która z chytrym wyrazem nakrapianego pyska wywalała zaśliniony jęzor. Mad nie zapomniała o swych dolegliwościach. Leżała na sofie, oparta na poduszkach. Miała jakąś inną twarz. Emma intuicyjnie wyczuła, że babka nałożyła znacznie jaśniejszy podkład, żeby wydać się bledszą.

- Ach, jesteś, kotku - powitała wnuczkę. Wally Sherman poderwał się na równe nogi. - Jak to miło ze strony porucznika, że wpadł dowiedzieć się o moje zdrowie. Biedny, kochany Terry z tą swoją złamaną nogą. Musi leżeć w szpitalu, a wszystko dlatego, że czekał przy bramce na lekarza. Czuję się okropnie winna. Ale najwyraźniej panowie wojskowi też mają swoje problemy. Ten sympatyczny kapral Wagg, który mieszkał w naszej stajni, zniknął, nie zjawił się wieczorem w obozie, i porucznik przyszedł zapytać, czyśmy go nie widzieli. Poprosiłam, żeby zaczekał, aż wrócisz.

- Kapral Wagg? - Emma pokręciła głową. - Nie. Nie pokazywał się tutaj, odkąd we wtorek wszyscy odjechali. Czy nie było go na plaży podczas fajerwerków? Zdawało mi się, że go widziałam.

Wbiła wzrok w Wally'ego Shermana. Miał w sobie przynajmniej tyle przyzwoitości, że okazał lekkie skrepowanie.

- Jasne - odrzekł. - Pamiętam, był z tą dziewczyną z farmy, Myrtle Trembath. Pytaliśmy na farmie, ale daremnie. - Zwrócił się do spoczywającej na sofie staruszki: - Nie chcę niepokoić pani tymi sprawami, zwłaszcza że źle się pani czuje i teraz jeszcze ten chłopak w szpitalu, więc może panna Emma...

Rzucił jej błagalne spojrzenie, a kiedy odwracał głowę, babka nieznacznie skinęła głową, co znaczyło: „Radź sobie sama”.

- Oczywiście - zgodziła się Emma z uśmiechem. - Jeśli tylko mogę w czymś pomóc, wystarczy powiedzieć. Może przejdziemy do drugiego pokoju i napijemy się kawy. Nie pogniewasz się, kochanie? Czy mam ci coś przynieść?

Chora zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie martw się o mnie. - Poklepała sofę, dając w ten sposób znak Folly, że może się przy niej ułożyć. - Dwie staruszki potrafią zadbać o siebie nawzajem. - Po czym dodała, uśmiechając się do porucznika: - Pewnie obie zdrzemniemy się przed lunchem. Wieczorem spodziewam się syna, więc muszę być w dobrej formie.

Emma z porucznikiem wyszli z pokoju.

- Bardzo z nią źle? - spytał Sherman. - Jest taka blada... Musiałaś posłać po rodzinę?

- Ojciec jest dość zmartwiony - wyznała Emma. - Ma dziś przyjechać, przynajmniej tak zrozumiałam przez telefon.

- Może powinna być w szpitalu?

- Och nie, wystarczy, że jeden domownik tam trafił. Taki ciąg wypadków, czy to nie ma końca? Co właściwie dzieje się z kapralem? Zaginał, powiadasz?

Przeszli do jadalni, gdzie było nakryte na dwie osoby. Czy to nie wyda mu się dziwne, myślała Emma, że staruszka tuż po ataku serca wstaje do stołu?

- Cóż, nie chciałem tego mówić przy twojej babci. Prawda jest taka: mamy powody przypuszczać, że kapral wybierał się do was wczoraj pod wieczór. Tak przynajmniej twierdzi Myrtle Trembath, bo i do niej wstąpił na słówko. Tyle zdołaliśmy ustalić.

- Ja chyba zwariowałam. - Emma przejechała ręką po czole.
- Co ty sobie o mnie pomyślisz? Teraz sobie przypominam, ale z tego wszystkiego - no wiesz, chora babcia, potem ten wypadek Terry'ego - kompletnie wyleciało mi to z głowy. Oczywiście, Myrtle przecież do mnie dzwoniła zaraz potem, jak doktor porządził Terry'ego. Mówiła, że kapral Wagg chciał się widzieć z Terryem, a ja na to, że chłopaka nie zastanie, bo pojechał do szpitala. Potem chyba położyłam się na chwilę, bo cały dzień byłam w ruchu, i szczerze mówiąc, zupełnie nie pamiętałam o tym telefonie aż do tej chwili. Ale tak czy inaczej kapral się nie pojawił. Musiał się rozmyślić.

- Pewnie tak. Pytałem już Joego i dwóch chłopaków, którzy pracowali w warzywniku. Żaden go nie widział. No cóż, to nie wasz problem. Będziemy musieli przeprowadzić dochodzenie w całym okręgu. Może po opuszczeniu farmy wybrał się na spacer i na przykład skrzył nogę, chociaż to mało prawdopodobne. W końcu mamy helikoptery, na pewno byłby meldunek w razie jakiegoś znaku.

Skierował się w stronę holu.

- Może kawy? - spytała Emma.

- Nie, muszę się zbierać, ale dziękuję. Ach, przy okazji, jak się nazywa ten stary, który mieszka w waszym lasku? Chyba pogadam z nim przed powrotem do bazy.

- Pan Willis. Jest trochę stuknięty.

Drzwi pokoju muzycznego były otwarte na oścież. To Folly pchnęła je nosem.

- Co tam mówicie o panu Willisie? - zawołała Mad, próbując podnieść się z sofy.

- Proszę się nie ruszać - krzyknął przerażony porucznik. - Po prostu wpadło mi do głowy, żeby pogadać z pani dzierżawcą i zapytać, czy nie widział wczoraj kaprała.

- On w zasadzie nie jest dzierżawcą. - Mad znów oparła się na poduszkach. - Ale to taki kochany człowiek! Wie pan? Ma cudowny głos i kiedyś śpiewał w chórze. Od pewnego czasu jest na emeryturze, ale chyba ma powiązania z kościołem prezbiteriańskim. Em, kotku, czemu nie przejdziesz się tam z panem porucznikiem? Do lunchu jeszcze mnóstwo czasu.

Emma zrozumiała polecenie. Pośrednicząc w rozmowie, mogłaby odwrócić ewentualne niebezpieczeństwo. Z drugiej strony, sama się narażała. Dziadek plażowy, mimo swej nieocenionej pomocy wczoraj wieczorem, może naopowiadać Bóg wie jakich kłamstw. *Taffy to Walijczyk, Taffy jest złodziejem, podwędził mi befsztyk i jeszcze się śmieje.*

- Oczywiście, jeśli pan ma ochotę...

- Jeśli mam ochotę! - wykrzyknął Wally Sherman, kiedy parę minut później szli przez sad. - Nie śmiałem wierzyć własnemu szczęściu. Wiesz co? - Uśmiechnął się do niej. - Twoja babcia jest po naszej stronie!

Nasza strona... Ścieżką, którą zaraz będziemy razem schodzić, szedł wczoraj dziadek plażowy, taszcząc na plecach opakowanego w worek trupa. Jeśli obejrzyś się teraz za siebie, Wally Shermanie, zobaczysz, skąd Andy ustrzelił kaprała. O Boże, błagam, niech wszystko będzie w porządku...

- Niech tylko sprawy się unormują - mówił Wally Sherman, cały czas trzymając ją za rękę, co jeszcze bardziej utrudniało marsz - to naprawdę dobrze się poznamy. Czy dasz mi w pysk, jeśli zapytam, ile masz lat?

- Dwadzieścia.

- Nie dałbym ci tyle. Wyglądasz na słodką siedemnastkę. Cały kłopot z naszymi dziewczętami, że wszystkie są zepsute.

Cały kłopot ze mną jest w tym momencie taki, że kiedy minimy przełaz i pójdziemy ścieżką nad klifem, możemy zobaczyć ciało kaprała leżące na brzegu albo między wodorostami na ska-

łach w drugim końcu, bo zbliża się przypływ i poziom wody nie obniży się przed pierwszą, sądząc z tego, co mówił wczoraj Jack Trembath. A wtedy się załamie, nie będę wiedziała, co mówić, co robić...

- Wcale nie proszę, żebyś mi uwierzyła - ciągnął Wally Sherman - ale gdy zobaczyłem cię pierwszego dnia, zaraz po wylądowaniu, kiedy przyszliśmy do was z pułkownikiem Cheesemanem, powiedziałem sobie: „Ta dziewczyna to naprawdę jest ktoś i długo będziesz się rozglądał, zanim spotkasz drugą taką...”

Emma nie odpowiedziała. Zbliżali się do przełazu. Jeśli podejmę tę grę, myślała, to jak dziesięć do jednego w lasku nastąpi kolejne „zwarcie”. Nie wolno mi do tego dopuścić, bo jeśli się postawię, będzie mu przykro, może nawet stać się nieprzyjemny. Nie miałoby to najmniejszego znaczenia, gdyby on nie był jednym z nich, gdyby nie ten helikopter, który patroluje morze stąd aż po horyzont.

- Chyba cię nie przestraszyłem? - zapytał, podając jej rękę, by pomóc przeskoczyć na drugą stronę.

Przypomniała się jej ilustracja w starej edwardiańskiej powieści, która stała na półce w domu: młody człowiek w stroju myśliwskim, podkrecając węża, pyta swą wybrankę: „Czyżbym cię obraził, Nellie?”. Jedynym wyjściem było przejście do ataku.

- Nie, oczywiście, że nie, ale powinieneś zrozumieć, że my wszyscy w tej okolicy, a może i w całym kraju, nie możemy otrząsnąć się z szoku. Nie mówię o naszych osobistych sprawach - o babci, Terry - tylko o tym, cośmy przeżyli, kiedy zjawiliście się wśród nas, zaczęliście blokować drogi... I jeszcze ten okręt wojenny... To nie są normalne okoliczności ani dla ciebie, ani dla mnie, ani dla nikogo z nas.

- Wiem, wiem. Masz dużo racji.

Nagle zrobił się dziwnie bezbronny, nieodporny, jak jeden z domowych chłopców, Joe, Terry, nawet Andy. Pomógł jej przejść (zupełnie niepotrzebnie, zwykle pokonywała przełaz jedynym susem) i ruszyli w milczeniu ścieżką nad klifem.

- Tam są moi ludzie - odezwał się raptem. - O, tam, na plaży.

Serce podeszło jej do gardła, gdy zobaczyła dwóch żołnierzy grzebiących w wodorostach. Wally Sherman podniósł obie ręce

i zamachał do nich. Popatrzyli na niego i rozłożyli bezradnie ramiona.

- Idę do lasu - krzyknął Wally. - Za pół godziny do was dołączę. Jak dotąd, nic.

Przypuścimy, że dziadek wyszedł? Przypuścimy, że Wally Sherman zechce się włamać do jego budki? Przypuścimy, że coś tam znajdzie? Mdłości wywołane lękiem wróciły. Co za straszliwa, druzgocząca odpowiedzialność! Nie wolno nic okazać, trzeba udawać absolutny spokój.

- Nadal nie rozumiem - podjęła - dlaczego kapral Wagg nie miałby pójść w zupełnie przeciwnym kierunku? Może powędrował w głąb łądu albo do St Austell, albo przeszedł wybrzeżem na drugą stronę zatoki?

- To by go namierzili przy blokadach drogowych. Na trasie do St Austell są szlabany, podobnie jak na drodze nadmorskiej. Sprawdziliśmy już. Nie, to jest prawdziwa zagadka. Dziewczyna Trembathów widziała go ostatnia, przynajmniej z tego, co wiemy. Mam nadzieję, że ten stary dziwak naprowadzi nas na jakiś ślad.

Doszli do skraju lasu, minęli otwór na drugim końcu żywopłotu i zaczęli piąć się w górę. Wkrótce znaleźli się wśród drzew.

- Ktoś tu był - zauważył porucznik. - Są wyraźne ślady w błocie, chociaż w nocy padało.

- Tu zawsze jest błoto. Ludzie przychodzą nieraz z odległych chat po chrust, bo wiesz, to jest jakby ziemia niczyja. Nie ma właściciela, chociaż prawnicy spierają się bez końca.

- Upiorne miejsce - wzdrygnął się Sherman. - Domyślam się, że nie przychodzisz tu sama w nocy?

Ścisnął ją za ramię. Emma modliła się w duchu o cierpliwość, a także o odwagę. Wśród drzew widać już było dach budki. Z komina wznosiła się cienka smużka dymu.

- Powiedziałbym, że staruszek jest w domu, no nie?

Zanim wkroczyli na polankę, Emma przystanąła.

- Posłuchaj, nie możemy biedaka wystraszyć. On mnie zna, może pójde przodem i zapukam, a ty pokażesz się później?

- W porządku.

Emma ruszyła przez polanę. Drzwi były szczelnie zamknięte. Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Przypomniała sobie, że pan

Willis jest trochę przygłuchy, więc bardzo niechętnie obeszła budkę i zajrzała przez okno. Wnętrze widziane z tego miejsca wydawało się nieco inne, a może usunięto część zapamiętanych przez nią mebli. Łóżko, na którym leżał Terry, przestawiono pod dalszą ścianę, stół także. Pośrodku izby stała staroświecka, blaszana wanna, a w niej pan Willis, z nagim torsem, w samych slipkach, szorował się czymś, co wyglądało na szczotkę. Widok ten, gdyby byli tu chłopcy, wywołałby natychmiast salwy śmiechu i kpiny, ale w tym akurat momencie wydał się Emmie żaloszny i jakoś dziwnie przerażający. Oto starzec, ledwie jej znany, który popełnił straszliwy czyn, aby ich uratować, jest podglądany w swoich własnych czterech ścianach. Myśli, że jest sam, czuje się bezpieczny. Wtargnięcie do środka podczas kąpieli to jakby włamanie się do jego myśli, znanych tylko jemu i pilnie strzeżonych.

Zapukała nieśmiało w szybę. Cień musiał go ostrzec wcześniej niż odgłos, bo staruszek nagle drgnął i podniósł rozszerzone strachem oczy bez okularów. Potem ściągnął chude ramiona i przycisnął obronnym gestem szczotkę do brzucha. To nie w porządku, pomyślała Emma. Odwróciła się od okna i zaczęła dawać znaki porucznikowi, potrząsając gwałtownie głową.

- Coś nie w porządku? - spytał tamten cicho. - Nie ma go w domu?

O to właśnie chodzi, że jest. Zajęta samowolnie budka, cztery ściany, skromne wnętrze, blaszana wanna na podłodze - wszystko to należało wyłącznie do dziadka plażowego. Nikt więcej nie miał żadnych praw, a już na pewno nie czekający pod drzewami porucznik. I po co, myślała, robię z tego taki problem?

- Jest w domu - odkrzyknęła - ale nie możemy wejść. On właśnie się kąpie.

Wally wybuchnął śmiechem.

- Tylko tyle? A już myślałem, że wisi na belce stropowej, bo miałaś taką minę. Wchodzę!

- Nie... Zaczekaj.

Podeszła jeszcze raz do drzwi i zapukała. Tym razem doczekała się odpowiedzi. Drzwi się otworzyły i w progu stanął pan Willis. Miał ręcznik okręcony w pasie tak, że zakrywał mu slipki, oraz długi bawełniany podkoszulek.

- Kto tam? - zapytał i nagle w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania. Popłoch zniknął, ale twarz pozostała czujna, zaciękawiona.

- Szukają kaprała - szepnęła Emma. - Byli już na farmie i u nas w domu. Pytali, kto tu mieszka. Podałam pańskie nazwisko i zaproponowałam, że pokażę drogę. Ten oficer niczego nie podejrzewa.

Pan Willis skinął głową. Zmrużonymi oczami patrzył w stronę drzew.

- Pozwoli pani, że wezmę okulary. Niewiele bez nich widzę. Właśnie się kapałem, nie jestem odpowiednio ubrany na przyjęcie gości. - Mówił na tyle głośno, żeby porucznik usłyszał. Pomachał mu ręką i zawołał: - Proszę do środka! Przepraszam za mój wygląd, ale dziś dzień kąpieli, a jednocześnie prania, wszystko za jednym zamachem.

Zniknął w środku. Emma zaczekała na swego towarzysza.

- Idź sam, ja tu zostanę.

Wally Sherman pochylił głowę w progu, po czym odwrócił się do Emmy i mrugnął. To wcale nie jest zabawne, myślała. Wcale a wcale... Wsadziła ręce do kieszeni i rozejrzała się wokoło. Ogródek warzywny na polanie był starannie wygrabiony. Ma tu zimowe warzywa, brukselkę, a w kącie górkę kompostu - przeważnie wodorosty. Musiał też palić zeschnięte liście i coś, co przypominało stary worek. Worek...

Ktoś dotknął jej ramienia. Wally Sherman zapraszał ją do środka:

- Pan Willis poprosił, żebyś tu nie marzła. Wygląda bardzo przyzwoicie.

Weszła za nim do izby. Tak, łóżko stało gdzie indziej, ale tym, co najbardziej rzucało się w oczy, była nie tyle wanna na środku, co rozwieszona przy ogniu części garderoby. Emma od razu rozpoznała szare spodnie i granatowy sweter. Płaszcz od deszczu także został wyczyszczony na mokro i wisiał na sznurku pod sufitem. Jedna rzecz zniknęła: strzelba ze ściany.

- W każdy piątek - mówił pan Willis - pucuję dokładnie cały dom, a przy okazji i siebie. Tego nauczyła mnie matka. Byłem najmłodszy spośród dziesięciorga rodzeństwa. Trzech braci wyemigrowało - dwóch do Australii, jeden do Kanady. Nigdy nie

byłem w Ameryce, chociaż od dawna o tym marzę. Myśli pan, że już na to za późno?

Uśmiechnął się do porucznika i przetarł okulary. Świetna robota, pomyślała Emma. Mad nie zrobiłaby tego lepiej. Walijszczyki, podobnie jak mieszkańcy Kornwalii, to urodzeni aktorzy.

- Nigdy nie jest za późno na wizytę w Stanach, panie Willis - odparł Wally Sherman. - Niech no tylko wszystko się ułoży według nowego porządku, a zaraz załatwimy panu lot. Zapowiada się, że komunikacja lotnicza między naszymi krajami znacznie potanieje i każdego będzie stać na bilet. To część ustalonego programu.

- Miło mi to słyszeć. Wprawdzie przez większość życia byłem jak ten kamień, co się toczy z góry, a teraz zarzuciłem tu kowcę na jakiś czas, ale kto mówi, że na całą wieczność?

- Nie, absolutnie nie na wieczność - zaprotestował gorąco porucznik, ponownie mrugając do Emmy. - No dobrze, panie Willis, a teraz do rzeczy.

Nie doszedł jednak do głosu, bo pan Willis albo naprawdę nie dosłyszał, albo bardzo mu przypadła do gustu rola narratora.

- Mógłbym upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, no nie? Najpierw odwiedzić brata w Kanadzie, a potem wybrać się do Nowego Jorku. Piszemy do siebie, oczywiście, ale nie widzieliśmy się ponad czterdzieści lat. On dwa razy się żenił. Pierwsza bratowa, Edith, taka ładna, młoda kobietka, umarła na gruźlicę kręgosłupa, coś straszego. Zostawiła trójkę małych dzieci. Mój brat, choć bardzo załamany, sam je wychowywał, a potem ulitowała się nad nim owdowiała sąsiadka, no i zdecydowali się spróbować wspólnego życia.

Uśmiech, który od jakiegoś czasu zastygł na twarzy porucznika, zaczął gasnąć.

- Jasne, jasne - przytaknął Wally Sherman. - Nie mogli wyobrazić nic lepszego. No, panie Willis, nie chciałbym pana ponaglać, ale jestem na służbie, jak pan wie, i muszę ruszać dalej.

Rzucił Emmie błagalne spojrzenie.

- Porucznik Sherman szuka jednego ze swych podwładnych - wyjaśniła. - Zaginął pewien kapral, przyszliśmy spytać, czy może pan go nie widział.

Pan Willis włożył okulary i utkwiał w poruczniku zdumione spojrzenie.

- Bardzo mi przykro. Przepraszam, że tyle gadam, samotnemu człowiekowi wchodzi to w nawyk. Czasem nawet mówię sam do siebie. Czy można wiedzieć, w jakich okolicznościach to się stało?

Z wielką cierpliwością porucznik jasno przedstawił całą historię zaginięcia kaprała. Starzec słuchał do końca, nie przerywając ani słowem, po czym pokręcił głową.

- Gdyby wczoraj była ładna pogoda zamiast tego deszczu i wiatru, to na pewno bym go spotkał, jeśli spacerował po plaży. Zawsze, kiedy jest ładnie, chodzę nad morze po wodorosty do ogródka i drewno na opał. Kłody wyrzucone przez morze palą się lepiej niż leśny chrust, bo leżały w słonej wodzie, wie pan, i nie są takie zabrudzone. Ale gdy pada, daję sobie spokój, bo i tak nie osiągnąłbym celu, no nie? Wczoraj po południu suszyła się tu cała sterta, bo wiedziałem, że muszę mieć dziś porządny ogień na kąpiel i pranie. Widzi pan ten kawał deski w kącie? Chyba pochodzi z szalupy ratunkowej i od dłuższego czasu leżał w wodzie. - Wstał ze stołka i pokazał deskę Emmie i porucznikowi. - To dąb. Porządny materiał, nie ma lepszego budulca, ale jeszcze tego nie spalę. Może napijecie się herbaty? Mam tu prymus, więc woda będzie za moment. Teraz ludzie się śmieją z prymusów i co więcej, trudno je dostać, ale ja nie oddałbym mojego, nawet gdybyście ofiarowali mi fortunę.

Wally Sherman zerknął na Emmę i wstał.

- Dziękujemy za miłą propozycję, ale ta młoda dama musi wrócić na lunch, a ja do swoich ludzi. Szkoda, że nie mógł pan nam pomóc, ale miło mi było pana poznać.

- Mnie także. Gdyby nie ten wczorajszy deszcz, na pewno spotkałbym pańskiego człowieka. Mam nadzieję... - urwał i poskrobał się w brodę. - Mam nadzieję, że nie wpadło mu do głowy przejść plażą na drugą stronę obok miejsca, które nazywamy Crane Point, zwłaszcza podczas przypływu. Turyści próbują tej drogi w lecie; mało to razy ich zawracałem? Przeważnie młodzi, wie pan. Zobaczą klif i dawaj na górę. Nawet latem to kiepski pomysł, ale w zimie, jak mocno popada, część skały potrafi się osunąć, a wtedy... - Pokręcił wolno głową. - Nie ryzykowałbym łażenia po klifie, wszystko jedno, w górę czy w dół.

Stali już przy drzwiach. Porucznik wyciągnął rękę.

- Serdeczne dzięki za informacje. Mamy helikopter w ruchu i sądzę, że gdyby kapral Wagg zrobił coś w tym rodzaju, wiedzielibyśmy już. Do widzenia, panie Willis. Może jeszcze tu wpadnę.

- Cieszę się z góry - rzekł dziadek plażowy. - Będzie pan miło widziany o każdej porze. I na pewno ubiorę się odpowiednio. Życzę szczęścia w poszukiwaniach.

- Do widzenia panu i dziękuję - dodała Emma.

Ani jednego znaku porozumienia. Zaczekał jeszcze chwilę i zniknął wewnątrz.

- Uff! - wykrzyknął Wally Sherman, gdy tylko odeszli trochę od polany. - Ma facet charakter, ale, Boże, ileż on gada!

- Dlatego, że sam mieszka. On tak gada do wszystkich.

Kiedy brnęli przez las błotnistą ścieżką, porucznik znów wzię ją pod rękę.

- Więc natychmiast zawrzyjmy umowę - rzekł. - Nigdy, przenigdy nie żyć w samotności.

Doszli do skraju lasu. Dalej rozciągało się pole.

- Pójdę do domu skrótem - oświadczyła Emma. - Obawiam się, że wizyta u pana Willisa była stratą czasu.

- Czas w twoim towarzystwie nigdy nie jest stracony - rzekł Sherman z galanterią - ale masz rację. Nie wyciągnąłem od starego żadnej informacji, poza radą, żeby nie włączyć na klify po deszczu. No dobra, chyba muszę wracać na plażę. Chciałbym powiedzieć, że wkrótce znów się zobaczymy, ale służba nie drużba.

- Tak, oczywiście. W każdym razie... wszystkiego dobrego.

Przekroczył drut oddzielający pole od niżej położonego pastwiska i machnąwszy jeszcze raz ręką, wkrótce zniknął jej z oczu. Emma nie od razu ruszyła w stronę Trevana. Zawahała się, czy pójść prosto do domu, czy zawrócić i teraz, kiedy wreszcie jest sama, rozmówić się z panem Willisem. Rozsądek nakazywał to drugie, chociaż instynkt ostrzegał przed brnięciem w konspirację - i tak już tkwili w niej po uszy. Zresztą może lepiej nie wiedzieć za dużo.

A jednak zawróciła po własnych śladach do budki. Pan Willis musiał chyba czytać w jej myślach, bo stał w progu kompletnie ubrany - spodnie, rybackie buty, szary golf, płaszcz od deszczu przerzucony przez ramię. Czuła, że na nią czekał. Dopiero

kiedy podeszła blisko, przemówił, ale była to jakaś cicha, monotonna recytacja:

Ojciec na dnie morza spoczął;

*Koral wyrósł z kości...**

Emma poczuła się tak samo nieswojo jak wtedy, gdy zaglądała przez okno, ale tym razem z innego powodu.

- Chciałam tylko podziękować - powiedziała szybko. - Porucznik wrócił do swoich ludzi.

Zza okularów błysnęły szare oczy.

- Aleśmy go wykiwali, co? Pani i ja do spółki. Proszę powiedzieć babci, że konkurujemy do nagrody.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Dobrze, przekażę.

- W życiu nie wybrałbym się do Ameryki. Nawet gdyby mi pani wetknęła do rąk pieniądze na bilet.

Zamknął drzwi na klucz, który wisiał na sznurku, założył go sobie na szyję i wsunął pod golf.

- Pójdę zobaczyć, co oni kombinują tam na dole. Dziś wiele nie znajdą, ale jutro nie dam głowy, czy facet nie wypłynie w nieco gorszym stanie. - Uśmiechnął się znowu. - Przed wodowaniem rozwaliłem mu trochę głowę, a morze dokona reszty. Bez względu na werdykt, nie mogą nam tego przypuścić.

Uczucie grozy, to samo co wczoraj, kiedy po raz pierwszy ujrzała martwego kaprała ze strzałą między oczami, znowu wróciło. Nie, to jeszcze nie koniec, przeciwnie, zaledwie początek.

Pan Willis zmierzał w stronę ścieżki na skraju polany. Była to jego własna droga, którą schodził na plażę. W jednej ręce niósł stary worek na drewno, w drugiej swoją czapkę z daszkiem. Ukłonił się, machnął czapką i wcisnął ją mocno na głowę. Potem wysunął palec w stronę tyłu budki.

- Gdyby pani odwiedziła tego chłopaka... Terry'ego w szpitalu, to proszę mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku, a plastik tak schowałem, że w życiu go nie znajdą. Może się przydać wcześniej, niż się spodziewamy. Nigdy nie wiadomo, nie?

Zaśmiał się do siebie i zaczął schodzić z klifu.

* William Szekspir: „Burza”, akt I, scena II, tłum. Stanisław Barańczak.

12

Gdyby tylko był ktoś, myślała Emma, komu można by wszystko powiedzieć. Żeby - kiedy człowiek ma wątpliwości, boi się, jest nieszczęśliwy, kiedy wszystko idzie w złym kierunku czy też zło już się stało - istniał ktoś nieomylny, o kim się wie na pewno, że da właściwą odpowiedź. W dawnych czasach ludzie oczekiwali tego od Boga. Bądź wola Twoja - i jeśli nawet paliliby cię na stosie, umierałeś za Boga, któremu służyłeś, wierząc, że kiedyś On umarł za ciebie. Taki niebiański rodzaj zadośćuczynienia. Kiedy wiara w Boga osłabła, głównie dlatego, że ludziom coraz trudniej było uzmysłować sobie Jego obecność (Gdzie On mieszka? Jak spędza czas? Może z powodu tego, co dzieje się na świecie i w innych systemach słonecznych żyje w takim napięciu, że nie potrafi tego ogarnąć?), pojawiły się różne „izmy”. Dana ideologia obowiązywała przez jakiś czas w pewnych środowiskach, aż wreszcie ludzie zaczęli się nią nudzić i wynajdywali sobie inną.

Chodzi o to, że nawet kiedy dwoje ludzi się kocha, nawet w szczęśliwych małżeństwach, nawet przy idealnej harmonii między rodzicami a dziećmi - zawsze jest to oddalenie, ten rozdział, nigdy nie ma idealnego zespolenia. I dlatego właśnie USUK nigdy nie wejdzie w życie. Dlatego nawet teraz w domu, w Trevanal, nie może być pełnej szczerości w domowych stosunkach. Przebywający w szpitalu Terry nie wie, że Andy wypuścił strzałę i zabił kaprala. Trembathowie nie wiedzą, że Terry spędził noc w budce dziadka plażowego i że z całą pewnością, tak samo jak kapral, nic sobie nie robił z wieku Myrtle. Mad nie ma pojęcia, że ona, Emma, „folgowała sobie” (jakby to określiła

babka) na plaży z porucznikiem Shermanem ani że jej pupilek Terry podczas fajerwerków najwyraźniej przenosił materiały wybuchowe. Przełożona pielęgniarek i jej podwładne nie wiedzą, że doktor Summers ukrywa przed nimi prawdę na temat złamanej nogi Terry'ego.

Czyli że każdy coś przed kimś ukrywa. Wszyscy mamy sekrety, których nie śmiemy czy nie możemy nikomu powierzyć. I nie ma sensu prosić o pomoc Boga, który nie odpowie; nawet kiedy ludzie naprawdę wierzyli i oczekiwali odzewu, wszystko kończyło się takim samym bagnem i chaosem jak dzisiaj. Jesteś zdana na siebie... na siebie. Oto lekcja, która płynie z każdej konfrontacji. Pan Willis, wczorajszy zbawca, to także staruszek z pretensjami do całego świata, ciągnącymi się od zamierzchłej przeszłości.

Emma wróciła do domu i jadła z babką lunch, pokrywając swe rozterki wymuszoną swobodą.

- Zasłużyłam na Oscara - szezebiotała - i twój Taffy także. Łgaliśmy oboje jak z nut... Ciekawe, skąd się wzięło to powiedzonko? W każdym razie wszystko gra. Teraz wszyscy są na plaży, więc na razie mamy problem z głowy.

Mad, która najwyraźniej wstała z sofy, gdy tylko wnuczka z porucznikiem dotarli do końca sadu, nałożyła sobie porcję wątróbki i bekonu.

- Nie słyszałaś wiadomości o pierwszej. Znosi się na racjonowanie.

- Racjonowanie? Dlaczego?

- Jakies kłopoty z zaopatrzeniem. Dopóki USUK nie wprowadzi nowych zasad dystrybucji. Bóg raczy wiedzieć, co się za tym kryje, w każdym razie tego nie powiedzieli. Myślę, że wpakowali się w niezłe bagno podczas stanu wyjątkowego, bo w całym kraju nagromadziły się góry żywności, której nikt nie rozwoził. Stąd racjonowanie jako środek przejściowy i idę o zakład, że pierwsze uderzenie pójdzie w miejskie aglomeracje. Czy francuscy chłopcy nie dlatego zbuntowali się po rewolucji, że miastowi zabrali im wszystkie płody rolne i zmusili do głodowania?

- No cóż, zostaje kapusta - westchnęła Emma. - Joe ma całe rzędy kapusty w warzywniku. Colin zrobi się chudy jak zapałka.

- Jeśli naprawdę zgłodnieje, będzie jadł kapustę nawet na surowo.

To raz jeszcze potwierdza prawidłowość mojej teorii, myślała Emma. Starzy ludzie nie biorą sobie do serca krytycznych sytuacji tak bardzo jak młodzi. Ona sama raczej nie miała apetytu na wątróbkę. Nie mogła przestać myśleć o zmiażdżonej twarzy kaprala...

Po lunchu udała się do piwnicy na poszukiwanie Joego. Kiedy weszła, układał w rzędkach buraki i cebulę.

- Jakiś czas da się wytrzymać - rzekł, podnosząc na nią wzrok. - Gdzieś słyszałem, że cebula jest zdrowa, a z buraków można ugotować zupę. Poza tym w starej zmywalni mam worki z kartoflami. Nikt nie będzie przymierał głodem, skoro są kartofle, cebula, buraki, a do tego trochę zieleniny. Jabłęk starczy aż do następnego zbioru, mówiłem Madam jeszcze na jesieni.

Rozejrzał się z dumą wokoło. Warzywa mogły śmiało претендовать do nagrody na wystawie rolniczej albo nawet stanowić trofeum w zawodach sportowych.

- Szkoda, że nie odłożyłem kartofli z wcześniejszego zbioru, ale wiesz, jaka jest Madam - tak lubi młode...

No jasne, ona przede wszystkim. Nikt inny tak naprawdę się nie liczy. Oddałby za nią życie, tak jak w dawnych czasach ludzie umierali za Boga.

- Joe, co się wydarzyło wczoraj na klifach?

Odrzucił się do niej plecami i zaczął sortować cebulę na półce.

- Nie chcę o tym myśleć. Proszę cię, Emmo...

- Musisz mi powiedzieć. Wiem, że to było ohydne. Kiedy porucznik Sherman przyszedł przed lunchem, Mad kazała mi zaprowadzić go do pana Willisa. I tak zamierzał go przesłuchać, więc pomyślałam, że lepiej przy tym będę. Wszystko gładko poszło, pan Willis absolutnie z niczym się nie zdradził. Ale później, po odejściu porucznika, powiedział mi, że... że musiał roztrzaskać...

Nie dokończyła. Joe obrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Zgodnie z umową objechaliśmy z panem Trembathem pole, wysiedliśmy z samochodu i spojrzeliśmy na dół, na plażę. Zaczął się odpływ i pan Willis już tam był. Podszedł do skał w drugim końcu, poniżej tego miejsca, gdzieśmy stali, i zaczął się na nie wdrapywać - było jeszcze na tyle widno, żeśmy go dostrze-

gli. Robił to, co my wszyscy robimy latem - włożył na Crane Point, a kiedy dotarł na szczyt, zdjął worki z ciała, kucnął...

- I co?

- Zapytałem pana Trembatha, co on tam robi, a on powiedział, że pewnie pan Willis ściąga buty i wkłada je z powrotem na nogi kaprala. Widzieliśmy, jak coś podniósł - wiesz, że niektóre kawałki łupków mają krawędzie ostre jak siekiera - i nagle pan Trembath krzyknął: „Mój Boże!”. No i wtedy stchórzyłem, nie mogłem tego znieść i odwróciłem wzrok. Parę sekund później rozległo się jakby plaśnięcie - pewnie zrzucił ciało do wody. Jak pamiętasz, cały czas wiało, a tam jest wschodni prąd. Pan Willis włożył swoje rybaczki, wziął worki pod pachę i zaczął złazić. Nie miałem ochoty go widzieć, więc pożegnałem się z panem Trembathem, wróciłem do domu i zwymiotowałem. Dopiero później poszedłem opowiedzieć wszystko Madam.

Joe oparł się o półkę, na której ułożył buraki, i przez małe, zasnutę pajęczyną okienko zapatrzył się na swój warzywnik, widoczny na niedalekim wzniesieniu. Emma wzięła go za rękę i przez chwilę patrzyli razem. Niczego nie wypatrzyli. Choć mieli przed oczami ten sam obraz, każde widziało go w inny sposób.

- Co teraz będzie? - zapytała Emma.

- Nie wiem. Pewnie znajdą ciało.

- Pan Willis mówi to samo. Że na pewno wypłynie.

- Na ogół tak się dzieje.

- Wiesz, co mnie najbardziej przeraża? Że jest w to wmieszany pan Willis. A także pan Trembath. I jeszcze jedno: czy wiedziałeś, że kiedy Terry spadł, miał przy sobie plastik? Pan Willis schował go gdzieś koło swojej budki.

- Nie wiedziałem - odrzekł ponuro Joe - ale mnie to nie dziwi. Po paru kumplach Terry'ego można się wszystkiego spodziewać.

- Nie powiemy Mad.

- Nie.

Zresztą i tak by się nie przejęła, pomyślała Emma. Mogłaby nawet powiedzieć, jak pan Willis, że plastik może się przydać później.

- Cokolwiek się stanie - powiedziała impulsywnie - niczego przed sobą nie ukrywajmy. Musimy mieć bezwzględną pewność, że jeśli jedno z nas o czymś się dowie, zawiadomi o tym drugie. Zgoda?

- Ależ oczywiście. - Joe wyglądał na zaskoczonego. - Przecież zawsze tak było, przynajmniej z mojej strony.

- Chyba jednak nie zawsze. Chodzi o to, że gdy wszystko idzie normalnie, nie przywiązujemy do tego wagi. Ale nigdy nie byliśmy w takiej sytuacji jak teraz. Potrzeba nam kogoś godnego zaufania, na kogo zawsze można liczyć.

Joe milczał. Nigdy nie myślał zbyt szybko, więc pewnie teraz rozważał jej deklarację.

- To właśnie dzieci czują w stosunku do rodziców - rzekł w końcu. - Pamiętam, że jak byłem mały, zupełnie nie mogłem pojąć, dlaczego moi tak nagle mnie zostawili i wyjechali do Australii. Czułem się winny i chyba miałem trochę racji. Zawiodłem ich, bo okazałem się nie taki bystry jak oni. Wiesz? Czasem próbuję przypomnieć sobie ich twarze i nie mogę. Martwi mnie to; myślę, że gdyby nie żyli, nie przejmowałbym się aż tak.

- Nie jestem pewna... Nie jestem pewna, drogi Joe. - Instynktownie przywarła do jego ramienia. Może on ma rację. Nigdy nie martwiła się specjalnie, że zdjęcie jej biednej, ślicznej mamy, które trzymała przy łóżku i zawsze całowała na dobranoc, mogło różnić się od rzeczywistej jak postać ze starej książki. Ale gdyby Pa nie owdowiał, tylko się rozwiódł, matka zaś nadal była tą ładną, pewnie dobrze zakonserwowaną kobietą, żyjącą w drugim związku gdzieś w Szwajcarii czy Ameryce? Czy wtedy ona, Emma, także czułaby się zdradzona, opuszczona, czy także miałaby wrażenie, że w jakiś sposób jest temu winna? To okropne, skąd można wiedzieć, co by się zrobiło na czymś miejscu? Zupełnie jakby się wskoczyło w cudze buty. Tylko pan Willis mógł sobie wczoraj na to pozwolić, ale to nie on, tylko właściciel butów wylądował w wodzie. Wyrzucamy to, co mogłoby nam zaszkodzić - ciała, wspomnienia, sny...

Na zboczach za oknem rozległy się dzikie wrzaski i wkrótce Colin z Samem przebiegli obok, ścigani przez Andy'ego i Bena. W powietrzu fruwały pociski. Mały Ben z determinacją na czar-

nej buzi cisnął ogromną szyszkę z patyczkiem na końcu prosto w plecy Colina. Ten zachwiał się dramatycznie na nogach, przycisnął ręce do serca i padł.

- Dostał! - wrzasnął Andy i porwał trzylatka w ramiona, ścisnął go i wicherząc mu włosy, tak jak to robią piłkarze po strzeleniu goła.

Colin leżał z rozrzuconymi szeroko ramionami, podobnie jak kapral poprzedniego dnia. Strzelec Ben podbiegł do niego, podniósł swą broń i wywijał ją triumfalnie nad głową. Andy zbliżył się niespiesznym krokiem i kopnął leżącego.

- Trup! - oznajmił. - Zostawmy go krukom.

Pobiegł za Samem - Ben jak ogonek dreptał dzielnie z tyłu - a tymczasem cudownie zmartwychwstały Colin porwał upuszczony przez Bena pocisk i pogonił za całą trójką.

- Joe - szepnęła Emma. - To nie w porządku, powinniśmy im zabronić.

- Tak jest, zaraz z tym skończę - zezłościł się Joe. - Depczą po młodych sadzonkach, niech sobie znajdą inne miejsce do zabawy.

I wypadł na dwór, żeby przepędzić dzieci ze swego terytorium. To na nic, myślała Emma, on w ogóle nie pojął, o co idzie. Przecież wcale nie o to. Dalej jestem zdana na siebie...

Znów było ciemno, zasłony zaciągnięte, chłopcy w swoich kwaterach szykowali się do kąpieli, kiedy za oknem rozległ się warkot nadjeżdżającego samochodu, a potem trzy przeciągłe klaksony.

- To Pa! - krzyknęła Emma i wybiegła z pokoju muzycznego, gdzie siedziała z babką, do frontowych drzwi, a potem na dwór.

Z samochodu wysiadał wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o jasnych, takich jak kiedyś u Mad, włosach, które jednak zaczynały już siwieć, i podobnym, choć bardziej okazałym, haczykowatym nosie. Po chwili trzymał ją w ramionach. Miał na sobie ten sam włochaty, workowaty płaszcz, w którym zwykle prowadził samochód i którego zapach tak dobrze znała.

- Halo, halo, halo - wykrzykiwał, całując ją w oba policzki. Zawsze powtarzał wyrazy i gesty. - No, no, no, co zajazda, co za jazda! Wyjechałem o dziesiątej, nie, dziesiątej trzydzieści, a teraz

jest siódma! Ciągłe przystanki, gdyby nie moja specjalna przepustka, pewnie w ogóle bym tu nie dotarł. Jak Mad? Jest na gorze? Leży? Bevil Summers odwiedził ją drugi raz? - Pa nigdy nie czekał na odpowiedź. Zanim zdążyło się zebrać myśli, już przechodził do następnego pytania. Wyciągnął torbę z tylnego siedzenia, nie przestając gadać. - Gdzie Joe? Odstawi mi samochód? Konam z pragnienia, marzę o drinku, ale zanim siądę do stołu, muszę się wykapać. Dottie w dobrej formie? Chyba te koszarne bachory nie będą z nami jadły?

- Nie, Pa, oczywiście, że nie. Maluchy już pewnie są w łóżkach.

- Dzięki Bogu. Kiedy człowiek przejedzie non stop prawie pięćset kilometrów, nie ma ochoty na spotkanie z bandą rozwrzeszczanych dzieciaków. - Objął ją za ramiona i poszli razem w stronę domu. - Taki tu spokój. Z tego, co mówiłaś, zrozumiałem, że za każdym krzakiem siedzi komandos, a zza drzew wyskakują helikoptery. Co za bzdura, wygląda, że w ogóle nic się nie stało. Mamoo!

Głos Pa grzmiał w całym domu. Matka czekała w holu z otwartymi ramionami.

- Mój kochany Vic!

Stojącą z boku Emmę jak zwykle uderzyło rodzinne podobieństwo: włosy, oczy, nosy, podbródki, wylewne zachowanie... I na tym koniec. Żadnej wspólnoty myśli czy ideałów. Za to u obojga identyczna determinacja, a w razie niepowodzenia - zażyłość.

Ucałowali się w oba policzki - jeszcze jeden rodzinny zwyczaj (francuski, według Mad) - po czym Pa cofnął się o krok i obrzucił matkę spojrzeniem.

- Ależ ty świetnie wyglądasz, lepiej, niż kiedy cię widziałem ostatnio. Nie wierzę, by coś ci dolegało, to tylko spisek, żeby mnie tu ściągnąć. Prawda, Emmo, że spisek? Halo, Folly! Wciąż żywa! Dobry Boże, ileż ona ma - piętnaście, szesnaście lat? Pewnie jak dokona żywota, zechcecie ją zabalsamować. Mamo, kochanie, jestem wykończony, czy ktoś naleje mi drinka? Macie lód?

- Jeśli na chwilę przestaniesz gadać, zobaczysz, że wszystko jest gotowe - rzekła Mad - whisky, woda sodowa, dżin, tonik, lodu ile dusza zapagnie. Masz paskudne worki pod oczami, mam

nadzieję, że tylko ze zmęczenia podróżą, a nie z przepracowania. Często zastanawiam się, jak ty sobie radzisz sam w tym londyńskim mieszkaniu, jeśli oczywiście jesteś sam, w co ani przez moment nie wierzę. Nie musisz nic mówić, już widzę, jak kobiety ustawiają się w kolejkach, żeby ci gotować czy cerować skarpetki.

- Nieprawda, nieprawda. Jestem największym samotnikiem na świecie, a wieczorem zmęczenie po prostu ścina mnie z nóg i tylko padam na łóżko. Ja...

Emma chwiejnym krokiem wyszła z pokoju. Kiedy Pa i Mad spotkają się twarzą w twarz, jest jeszcze gorzej niż podczas rozmów telefonicznych. Postronne osoby nie mogą znieść tego ogłuszającego jazgotu.

- Pa przyjechał - zawiadomiła w kuchni Dottie.

- Słyszałam.

- Więc słyszałaś pewnie i to, że po drinku chce się wykapać, a obiad ma być najwcześniej o wpół do dziewiątej.

- W dawnych czasach - mówiła Dottie, która płukała pod kranem durszlak odebrany Colinowi - Madam miała personel kuchenny i oni wszyscy zwijali się jak w ukropie, kiedy panicz Vic przyjeżdżał na wakacje. Ale było, minęło, a ja na szczęście nie jestem żaden „personel”.

O Boże, ona znowu ma humory. Popuścić jej odrobinę i zaraz zaczyna wymieniać gwiazdy, które przewinęły się przez garderobę Teatru Królewskiego, oraz tych, którzy towarzyszyli takiej czy innej obsadzie w trasie. Wszystko to miało miejsce co najmniej trzydzieści lat temu, a Dottie wciąż robi aluzje do swego poniżenia, no bo skoro obcowało się z takimi sławami, niełatwo pogodzić się ze stanowiskiem gosposi do wszystkiego.

- Zupa może postać na gorącej płytce - ciągnęła Dottie. - Madam może sobie nazywać toto „barszczem”, ale my przecież wiemy, że nie ma tam nic oprócz buraków. A co do płastugi...

Emma uciekła z kuchni i wróciła do muzycznego pokoju. Matka i syn nadal kłócili się zajadle.

- Nic nie rozumiem, nic nie rozumiem - mówił Pa. - Przecież Terry stał w najwyższym punkcie podjazdu, więc w jaki sposób Bevilowi udało się go potrącić? Był pijany czy co? Lekarze w ogóle nie powinni tykać alkoholu. A może to Terry czegoś się

naćpał? Nie dałbym za niego głowy. Ci chłopcy potrzebują żelaznej ręki, są rozpuszczeni jak dziadowski bicz. A co do tego haniebnego incydentu na plaży...

- Zapominasz, że mogłam umrzeć - przerwała mu Mad. - Kochany Terry był zdenerwowany, mógł potknąć się o bagażnik, sama nie wiem, a Bevil myślał tylko o tym, żeby jak najprędzej mnie zbadać. W rzeczy samej powinnam dostać zastrzyk, coś na uspokojenie, nie pytaj mnie, co to za środek, bo nie mam pojęcia, ale działa cuda - proszę, jestem zupełnie zdrowa. A co do fajerków, żaden z tych komandosów nie ma ani odrobiny poczucia humoru, to typowe dla Amerykanów, pamiętam, kiedyś w Nowym Jorku...

Pa grzmiał dalej, wcale jej nie słuchając:

- Minister osobiście do mnie dzwonił, czy raczej jego sekretarka, taka niesamowita przykreść, naprawdę niesamowita, chciał wiedzieć, kto psuje robotę w Zachodnim Kraju, czy działa tam jakiś podziemny ruch. Nie wiem, powiedziałem, nie mam bladego pojęcia, moja matka lada dzień kończy osiemdziesiąt lat i od dawna ma źle w głowie, nie można absolutnie zwracać na nią uwagi...

- ...Zawsze tracą głowę w krytycznych sytuacjach. Pamiętam burzę śnieżną na Long Island; przewróciło się kilka słupów telegraficznych i musiał interweniować sam prezydent, bo się zrobił totalny chaos...

Joe wśliznął się po cichu do holu, zabrał torbę Pa na górę, do gościnnego pokoju, a tymczasem Colin z nieodstępnym Benem wbiegli do muzycznego, umyć, wyszczotkować i przebrani w szlafroki. Wyglądali jak dwa cherubinki, brakowało tylko skrzydełek.

- Cześć, Vic! - wrzasnął Colin, którego nigdy nie peszyła obecność dorosłych, po czym dla podkreślenia równości klepnął gościa w tyłek. Pa obrócił się błyskawicznie, jakby go coś ukłuło.

- Halo, potworku! Czy nie powinienes być w łóżku? Kiedy ja byłem w twoim wieku, już o szóstej spałem jak suseł.

- A wcale że nie! Jak miałeś iść spać, to rzucałeś się na podłogę i wierzyłeś nogami! Madam mi powiedziała!

- To kłamstwo! Kompletna brednia, niczego takiego nie robiłem! - Pa spojrział błagalnie na matkę. - Ja protestuję, wbijasz

tym dzieciom do głów Bóg wie jakie fantazje, nie mogę na to pozwolić! Zapytaj Dottie, zapytaj kogokolwiek, ja...

- Doskonale wiesz, że kopałeś i wrzeszczałeś - rzekła ze spokojem Mad. - Piana ci leci z pyska jak koniowi, ty...

- Wiesz, Vic? - przerwał jej Colin. - Nauczyłem Bena mówić. Zna kilka słów, chcesz je usłyszeć?

Szepnął coś Benowi do ucha. Malec rozpromienił się i kiwnął główką.

- Tak, tak. - Pa podchwycił zmianę tematu. - Posłuchajmy, co Ben ma do powiedzenia. Więc to dziecko mimo wszystko nie jest kretynek? Zobaczycie, wyrosnie na lidera Czarnej Mocy i wymorduje nas wszystkich. No, jazda Ben, mów swój kawałek, zamieniam się w słuch, zamieniam się w słuch.

Taki potok słów skonfundował trzylatka. Ben zmarszczył czoło, skupił się ze wszystkich sił, ale słowo, które miało zadziwić publiczność, nie padło.

- P... p... p... albo d... d... d... - podpowiadał Colin, biorąc go za rączkę. - Wszystko jedno, co.

Ale oszołomiony Ben nie zważał na instrukcje.

- Pic! Pic, pic, pic! - I zaczął biegać w kółko.

- A jednak to kretynek! - zawyrokował Pa. - Co on udaje? Woła kury? Cip, cip, cip, tak to miało być? Zmykaj, dziecko, zmykaj. Nie trzeba nam tu drobiu. Emmo, kochanie, czy ktoś pamiętał, żeby włączyć u mnie piecyk? Nie chcę zamarznąć. Muszę teraz przywitać się z Dottie. Czy ktoś zabrał moją torbę? Mamo droga, czy nie powinnaś poleżeć? Nie rozumiem, dlaczego Bevil Summers nie kazał ci pozostać w łóżku. Nie zna się na swym fachu, muszę do niego zadzwonić.

Emma zdołała wypchnąć ojca z pokoju i skierować go na schody.

- Przywitasz się z Dottie po kąpieli. Joe wziął twoją torbę, a teraz odstawia samochód. Przyniosę ci drugiego drinka.

- Nie, nie, nie, napiję się, jak zejść na dół. Po co ten pośpiech? W tym domu zawsze wszyscy się śpieszą, człowiek nie ma ani chwili luzu.

Wszedł do pokoju i zaczął wyrzucać zawartość torby na podłogę, cały czas protestując. Emma z dawno zakorzenionego nawyku, zbierała. Szczotki w oprawie z kości słoniowej na toaletkę,

jedwabna piżama na łóżko... Pa mimo czterdziestu lat był szoku-
jąco nieporządny. Oczywiście to wszystko wina Mad.

- Czy Summers zmierzył jej ciśnienie? - pytał, idąc do łazienki i odkręcając oba krany do końca. - W naszej rodzinie wszyscy cierpią na nadciśnienie. Muszę powiedzieć, że ona nie wygląda na specjalnie chorą, no, ale ma potężne rezerwy, tak jak ja. Inaczej bym nie przetrwał. Nie masz pojęcia, jakie były te ostatnie dni. Spotkania, konferencje, ani razu nie położyłem się przed trzecią, a tu nie mam absolutnie żadnych interesów.

- Opowiesz nam o tym przy obiedzie, Kochany - rzekła Emma i zamknąwszy za sobą drzwi, powędrowała długim korytarem do swego pokoju, aby na pięć minut rzucić się na łóżko. Moje rezerwy nie są tak duże jak Pa, myślała. Inaczej nie musiałabym tu leżeć i z łatwością stawiałabym czoło tej wizycie. Ale wciąż dzieje się coś nowego, godzina po godzinie...

Gorąca kąpiel, zmiana ubrania, kaptcie, drugi drink - wszystko to wpłynęło uspokajająco na przybysza. Nawet przypominająca trąbę powietrzną wizyta w kuchni, powitanie Dottie i szybka inspekcja u średniaków nie podniosły specjalnie temperatury.

- Trzeba coś zrobić z oczami tego chłopaka - mówił Pa, kiedy Emma, także przebrana, wchodziła do pokoju muzycznego. - Powinien go obejrzeć specjalista, może będzie potrzebna operacja. (Oczywiście chodziło o Sama). Zawsze trzeba radzić się najlepszych. A czy nie wdała się tam jakaś okropna infekcja, którą przenoszą wiewiórki? Tak, tak, na pewno mam rację. Czy też może papugi? Chyba jedno i drugie. Leptospiroza czy też choroba papuzia, nie pamiętam, która to z nich. Emmo, moja śliczna córuniu, wyglądasz wprost cudownie! Marnujesz się tutaj, jedź ze mną do Londynu!

W tym momencie Dottie uderzyła w gong i Mad ruszyła przodem do jadalni. Dla podkreślenia uroczystej atmosfery Dottie pozapalała tam świece. Mad zerknęła na podgrzewaną płytkę i obróciła się do nich z promiennym uśmiechem.

- Barszcz! Twoja ulubiona zupa! A po niej pyszna sola. Em, czy Joe przyjdzie?

- Prosił, żeby mu wybaczyć. Zjadł wczesną kolację z chłopcami.

Prawda była taka, że Joe przy całej swej lojalności i oddaniu, źle znosił Pa, z natury małomówny, w jego towarzystwie w ogóle się nie odzywał.

- Tak? No dobrze... - Mad zrobiła zawiedzioną minę. Lubiła mieć przy stole liczną publiczność, kiedy zanosіło się na konfrontację z jedynym rodzonym synem. Zwykle to Terry był jej główną podporą, dając z siebie wszystko. Emma poczuła ulgę, że chłopak leży w szpitalu zamiast sterczeć tu jak atleta w każdej chwili gotowy do akcji.

- Joe zna swoje miejsce - ocenił Pa, jedząc ze smakiem zupę. Lubił mlaskać - kolejne niedopatrzenie Mad. - To prawdziwy człowiek lasu i wody, świetny gość, chociaż ponurak. Sól ziemi, naturalny dżentelmen, czy jak tam to określić. Takich jak on powinno się przywracać współczesnemu społeczeństwu, szkoda, że my, elita, nie mamy ich więcej do dyspozycji.

- Kto ci powiedział, że jesteście elitą? - obruszyła się Mad. - Fakt, że za dawnych czasów zabawiałam miliony, nie uprawnia mnie do zajmowania miejsca na najwyższej półce. A co do ciebie, to manipulowanie przy bankowych bilansach argentyńskich rekinów...

- Nie robię nic podobnego, nie robię nic podobnego. To nie są żadne manipulacje. Zdarza się, że rozwiązywanie pewnych problemów wymaga szczególnego typu umysłu. Moja specjalność to sprawy walutowe, zawsze tak było, zawsze będzie i nie mam ci tu, że tak powiem, nic do zawdzięczenia. Jeśli ktoś przez całą długą karierę utrzymuje swoje finanse w totalnym bałaganie jak moja czcigodna matka...

- Pa - wtrąciła się Emma. - Czy mógłbyś nam opowiedzieć, co się dzieje na świecie czy też raczej w tym kraju? Czy USUK zaczyna działać?

Aktualny temat z pewnością sprowadzi ich na neutralny grunt.

Pa otarł usta serwetką.

- Musi działać. Gdyby nie działał, moglibyśmy równie dobrze poderżnąć sobie jutro gardła. A może jeszcze dzisiaj. Jediną nadzieją na egzystencję w tym kraju jest unia ze Stanami, zarówno ekonomiczna, jak i strategiczna, co do tego nie ma wątpliwości, nie

ma najmniejszych wątpliwości. Może nam się to nie podobać, historycznie możemy czuć się urażeni i zniewoleni, ale tym gorzej dla nas, bo nie ma alternatywy. Wejście do Europy było klapą, katastrofą, ceny wzrosły prawie o połowę, pamiętacie? Mieliśmy polityczną burzę, prawie rewolucję. I co się stało? Rozpisano wybory powszechne w beznadziejnie podzielonym społeczeństwie, potem referendum i w końcu mamy obecny rząd koalicyjny, który uchwycił się idei USUK-u jak tonący brzytwa. Jediną różnicą jest to, że brzytwa nie jest brzytwa, tylko cholernie wielką tratwą, która powiecie nas wszystkich może nie do Eldorado, ale przynajmniej tam, gdzie nie grozi nam wymarcie.

Urwał, by zacerpnąć tchu. Mad jakby go nie słuchała. Zajmowała się nalewaniem resztek zupy ze swego talerza do miski Folly.

- Wcale nie czuję się zniewolona - rzekła, podnosząc głowę - ale obrażona - owszem. Unia ekonomiczna, w porządku, to dość uczciwe, niech będzie nawet partnerstwo. Ale przecież nie zamach stanu, co jest równoznaczne z USUK-iem, prawda Vic?

- Kochana mamó, posłużę się jeszcze raz analogią z rozbitym statkiem. Siedzisz w małej łódce, nadciąga sztorm, a tu pojawia się wielki liniowiec i proponuje, że weźmie cię na pokład. Zgadzasz się, ale to przecież nie oznacza, że ty i twoi towarzysze rozbitkowie macie prawo sterować statkiem. Przeciwnie, siedzicie cicho, wdzięczni za ratunek, i robicie, co wam każą.

Emma zabrała ze stołu zupę i poskładała podstawki w stos. Dottie ukryła płastugę pod białym sosem, chyba niezbyt mądrze, bo wyglądało to jak dietetyczne danie dla chorych w szpitalu. Mimo wszystko Emma nałożyła ojcu sporą porcję.

- Myślę, że wołałabym stawić czoło sztormowi - powiedziała Mad. - Łódka, chociaż mała, wcale nie musi przeciekać. Jeśli deski są solidne, a ludzie mają wiosła, można ustawić się dziobem do wiatru albo po prostu dryfować przed burzą. Prędzej czy później gdzieś się wyląduje.

- Albo rozbije o skałę, chyba że jeszcze wcześniej łajba się rozleci. Nie mów takich absurdalnych rzeczy, kochanie. W dzisiejszym świecie nikt nie da sobie rady w pojedynkę, trzeba łączyć siły. USUK i jego sprzymierzeńcy: Ameryka Południowa, Afryka, Australia, Kanada, mogą sobie gwizdać na wszystkich

innych, zarówno pod względem strategicznym, jak i ekonomicznym. Połączymy nasze siły nuklearne i powietrzne, ustanowimy wspólną walutę. Reszta świata może zmagać się z własnymi problemami, głodować, odnosić sukcesy, uprawiać miłość, wysadzać się wzajemnie w powietrze - nic nas to nie będzie obchodzić. Co to jest, Emmo, kochanie, śmietana wyciągnięta z barszczu?

- To sola - oświadczyła Mad. - Przecież zawsze domagasz się ryby. Świeża doverska sola, złapana przez drogiego Toma Bate'a.

- Nie wiedziałem, że w wodach Kornwalii można złapać solę z Dover. To pewnie tak jak z dublińskimi krewetkami, które są w sprzedaży wszędzie, tylko nie w Dublinie. W każdym razie wierzę ci na słowo. Na czym to stanęliśmy? Aha, na strategii i ekonomii. Wspólna waluta to kolosalna przewaga. Nie zdecydowano jeszcze, czy będziemy się trzymać dolara, czy wymyślimy coś zupełnie nowego. Funt oczywiście pójdzie w odstawkę. Ja jestem za przywróceniem dukata. Shylock, pamiętasz? „Moja córka! O! moje dukaty!” Turyści będą zachwyceni.

- Dukat... - zamyśliła się Mad. - To budzi dość niefortunne skojarzenia. Można by pomyśleć...

- Hmm, dziwna jakaś ta sola - ciągnął Pa, pakując do ust pełen widelec. - Widzę w niej osobliwe podobieństwo do waty. Nie, nie, nie... wcale nie narzekam, ale to stworzenie nigdy w życiu nie widziało Dover. Może marines zrobili kawał: zabrali nasze ryby i podrzucili coś z cieśniny Long Island.

Ale zażądał dokładki, po czym wszystko razem spłukał wątpliwym chablis.

- Muszę pamiętać, żeby wam podesłać jakieś kalifornijskie wino. Już przyjechały pierwsze skrzynki. Nic specjalnie ekscytującego, ale zawsze nowość dla podniebienia. W Londynie wszyscy to piją.

- Och, Vic, kochany... - zaprotestowała jego matka.

- Czemu nie, czemu nie? Kalifornijski klimat jest lepszy niż wszystko, czego można doświadczyć we Francji. Na zachodnim wybrzeżu Ameryki rosną całe akry winorośli. Ponieważ należymy do interesu, kosztuje nas to taniej. Zapewniam was, gdy tylko USUK okrzepnie, będziemy jeść amerykańskie owoce, sery, masło. Oczywiście okropnie utyjemy, ale nic się na to nie poradzi - lepiej być grubymi niż takimi szkieletami jak Azjaci.

- Będę trzymać krowę - powiedziała z mocą Mad. - Dwie krowy. Chłopcy nauczą się doić, Jack Trembath może się zgodzi paść je razem ze swoim stadem... Paść", tak się to nazywa, prawda? Dzięki ci, Boże, za te wszystkie jabłka... A co do win, nie widzę powodu, żebyśmy nie mieli uprawiać winorośli, Em, gdzieś z tyłu domu. Jesienią wszyscy będziemy wygniatać je nogami, chłopcy wpadną w zachwyty...

Pa odrzucił w tył głowę i wybuchnął szyderczym śmiechem.

- Chłopcy, mój aniele, będą tak zajęci nauką i przystosowywaniem się do amerykańskiego stylu życia, że nie znajdą czasu na wygniatanie winogron. Wymiany młodzieży zrobią mnóstwo dobrego - ciągnął, łupiąc wiekowy orzech laskowy, który (o czym nie miał pojęcia) został ukradziony wiewiórce Sama. - Proponuję, żebyśmy jednym z pierwszych lotów wysłali Terry'ego, może razem z Andym. Joego nie, to bez sensu, on nie umie czytać i pisać, szkoda zachodu. Jedno muszę wam wbić do głowy - tu spojrział najpierw na córkę, a potem na matkę - i żeby nie było co do tego żadnych nieporozumień: tkwimy w tym wszystkim po szyję. Nie ma odwrotu. Jeśli nie pójdziemy na pełną współpracę, nie przyjmujemy skwapliwie wszystkiego, co się nam proponuje, to znajdziemy się w opałach, prawdziwych opałach.

Mad nie odzywała się przez chwilę.

- Co właściwie masz na myśli, mówiąc o opałach? - spytała w końcu.

- Po prostu to, że oni są tu w znacznej sile. Nie zniosą żadnych marszów protestu, demonstracji, krytyków, którzy wnoszą różne okrzyki z foteli na zebraniach w ratuszu, przez radio czy telewizję. Ten interes stanowi ogromne pole do popisu dla propagandy, która ma wyrzeć wrażenie na publiczności całego świata, niezależnie od korzyści dla naszych obu krajów. Już raz stracili twarz w południowo-zachodniej Azji, więc teraz muszą cholernie uważać, żeby to się nie powtórzyło.

Emma zerknęła na babkę, po czym wróciła spojrzeniem do Pa. Wyraz twarzy obojga był identyczny. Zwężone oczy, podbródki wysunięte do przodu. Razem stworzyliby przerażający tandem, ale oddzielnie, po różnych stronach barykady...?

- Ile mamy ludności? - mruknęła Mad. - Pięćdziesiąt, sześć-

dziesiąt milionów? Nie da się utrzymać w ryzach narodu o takiej liczbie.

- I nie potrzeba - odparł jej syn. - Ponieważ przynajmniej czterdzieści pięć milionów wita ich z otwartymi ramionami. Mikroskopijna mniejszość się nie liczy. Jeśli spróbują czegoś... - pstryknął palcami i skierował kciuk do dołu - to koniec. Zjazd. Tak więc, moje najdroższe, trzymajcie krowy, uprawiajcie winorośl, jeśli wola, ale nie wygadujcie publicznie głupot i nie palcie kukieł przebranych za amerykańskich żołnierzy. Nawiasem mówiąc, kiedy włączyłem w samochodzie radio, aby posłuchać wiadomości z waszego regionu, usłyszałem, że ponoć zaginął jakiś komandos stacjonujący na plaży Poldrea. Właśnie tego rodzaju sprawy mam na myśli. Jeśli któremuś z ich ludzi stanie się krzywda, bo na przykład po paru drinkach w pubie wdał się w awanturę czy bójkę z miejscowym, to zawsze winien będzie miejscowy. I nikt nie będzie się z nim patyczkował. Jankesi potrafią być twardzi, kiedy się im nadepnie na odcisk.

Emma, która cały czas patrzyła w swój pusty talerz, zerknęła ukradkiem na babkę. Ta usiłowała nakarmić Folly ostatnim kawałkiem sera Stilton, ale suka wypluła go na dywan.

- Tacy też byli Celtowie, kiedy Sasi napadli na Kornwalię - zauważyła Mad. - Przejdźmy do pokoju muzycznego i posłuchajmy „Tristana”.

Wstała i poszła przodem, ale jej syn skrzywił się i pokiwał głową. Emma obchodziła stół, gasząc świece. Z wypalonych knotów unosiły się resztki gryzącego dymu.

13

W nocy zerwał się silny wiatr, a kiedy się rozwidniło, wiała już siódemka. Klekotały dachówki, w zagajniku przewróciło się drzewo, w pokoju gościnnym deszcz zaczął przeciekać przez okno. Kiedy Emma poszła do ojca z poranną filiżanką herbaty, ten siedział w łóżku i osłaniał się od przeciągu otwartym parasolem.

- Straszne niewygody w tym domu - narzekał. - Od szóstej nie zmrużyłem oka. Nie wiem, jak wy to znosicie. Czemu nie wróćcie ze mną do Londynu? Wziąłbym cię na sekretarkę do mojego biura albo na osobistą asystentkę. Jeszcze stać mnie na asystentkę mimo tych wszystkich trudności. Polecilibyśmy razem do Zurychu... - Pił herbatę łąpczywie, jak ktoś przez dłuższy czas pozbawiony płynów. - Siadaj na łóżku, bo cię źle widzę.

Emma przysiadła ze skrzyżowanymi nogami na końcu łóżka, które dawnymi laty stanowiło centralny rekwizyt w cieszącej się ogromnym powodzeniem komedii jej dziadka. Oczywiście główną rolę grała Mad. Kiedy po długim czasie sztuka zesza z **afisza**, Mad kupiła mebel z pobudek sentymentalnych.

- Wiesz, że nie mogę zostawić Mad. Zwłaszcza teraz, odkąd nastał ten galimatias. Próbuję ją jakoś powstrzymać, ale nie udaje mi się to za bardzo.

- Więc przyjdźcie razem. Mam mnóstwo miejsca, cały dzień spędzam poza domem, może sobie robić, co zechce, spacerować po Kensington Gardens, karmić kaczki, iść do zoo...

- Pa, kochanie, Mad to nie Ben. A tak szczerze... Myślę, że ona, zamiast spacerować po Kensington Gardens, prędzej urządziłaby jednoosobową demonstrację pod ambasadą amerykańską

czy pod parlamentem. Gotowa przykuć się do poręczy albo zrobić coś innego - jak te sufrażystki z początku wieku.

- Nie ma sprawy - rzekł Pa, napełniając sobie filiżankę - nie ma sprawy. Uzna się ją za niepoczytalną i niebezpieczną dla otoczenia. Jest w Surrey takie cudowne miejsce... Jedzenie nie z tej ziemi, kolorowy telewizor w każdym pokoju. Bobby Willborough oddał tam swoją starszkę matkę i teraz nie sprawia mu ona żadnych kłopotów.

- Pa, przecież wiesz, że nie zrobiłbyś tego! - Emma uderzyła ojca po schowanej w pościeli nodze, przez co ten wylał na kołdrę herbatę.

- No i popatrz, coś narobiła! Dottie pomyśli, że mi się trzęsą ręce. A właściwie, co się z nią dzieje? Nie przywitała mnie tak jak zawsze. Przypuszczam, że Mad płaci jej głodową pensyjkę i traktuje jak niewolnicę. No i skończyła się dobra kuchnia. Ta wczorajsza ryba nadawała się najwyżej dla kota.

- Och, nie! - Znów go trzępnęła.

- No dobrze, może nie dla kota. Chodzi o to, że im dalej na zachód, tym niższe standardy, obserwuję to od lat. W Hampshire jeszcze znośnie, w Wiltshire już trochę gorzej, w Dorset wątpliwie, w Devon zdecydowane dno, no a kiedy raz przepraszasz się przez Tamar*, to równie dobrze mogłabyś się znaleźć w Tybecie, zresztą uważam, że w Tybecie teraz są znakomite warunki, szczególnie odkąd rządzą Chińczycy.

Emma zerwała się z łóżka.

- Myślę, że jesteś bardzo niesprawiedliwy. Ciągłe tylko latasz odrzutowcami z jednej stolicy do drugiej...

- Nie latam częściej niż sześć razy do roku, skarbie. Większość życia spędzam na obrotowym krześle przy biurku. Ale Tybet się zmienia, stanie się cywilizowanym krajem... to znaczy, oczywiście, przez Tybet rozumiem Kornwalię. Przy Towarzystwie Integracji Kulturalnej USUK-u możemy doczekać się nawet tego, że poranna herbata będzie naprawdę gorąca, a nie ledwo letnia.

Wyrwała mu filiżankę i spodek.

- Nie, nie, nie, oddawaj, oddawaj!

* Rzeka Tamar stanowi granicę Kornwalii.

Niechętnie wręczyła mu wzgardzony napar, przez który musiała fatygować się do kuchni o jakiejś niesamowitej godzinie.

- Chyba nie bierzesz na serio tego interesu kulturalnego, prawda?

- Czemu nie, czemu nie? Och, co za osioł ze mnie, oczywiście, nie dla nas osobiście, nie między nami, ale dla miejscowej ludności, wieśniaków, *hoi polloi* waszego bezcennego półwyspu to może być prawdziwym wybawieniem. Przemysł jest skończony, widzisz, nie ma przed nim przyszłości, zresztą dogorywał już od paru lat, a przy USUK-u padł ostatecznie. Chyba nie rozumiesz, że staliśmy się placem zabaw dla Amerykanów. Oni w Stanach traktują te sprawy naprawdę serio. Teraz już nikt nie będzie ich zachęcał do odwiedzania Europy, więc to tutaj przyjadą poszukiwać przeszłości. Zamiast bazyliki Świętego Piotra i Notre Dame - katedra w Canterbury i Yorku. W końcu każde mniejsze miasto w tym kraju, które dochrapało się czternastowiecznego kościółka i kocich łbów na ulicach, znajdzie się na mapie wraz z mieszkańcami w kolorowych pończochach i spiczastych butach. Będziemy mieli fantastyczną zabawę przy opracowywaniu broszur. Mieszkańcy Midwest ruszą tu stadami.

Umysł Emmy wzdragał się przed tą wizją. Czy oni oczekują, że sklepikarze z Poldrea przebiorą się w kubraki, pantalonki i akksamitne berety? Tom Bate w życiu na to nie pójdzie.

- Ależ Pa - rzekła z powątpiewaniem - to chyba poniżające.

- Nonsens, nonsens. Ludzie wszystko zrobią dla pieniędzy. Będzie kolosalne współzawodnictwo, jedno miasteczko przeciw drugiemu, sama zobaczysz. Fingowane bitwy, feudalne obyczaje, pieczone łabędzie zamiast rostbefu, pokojówki w śmiesznych czepeczkach wsuwające rozgrzane szkandele między prześcierała, żeby dać gościom dodatkowe ciepło za dodatkowe pieniądze. O tak, nadgodziny zostaną wynagrodzone w wielkim stylu, już związki zawodowe tego dopilnują.

Przez źle umocowane okno dmuchnęło mocniej niż dotąd i Pa skulił się jeszcze bardziej za parasolem.

- Nawet i na tym można by z miejsca zrobić dobry interes. „Przeżyjcie prawdziwą kornwalijską wichurę w Trevalan. Nowożeńcy mile widziani. Darmowe parasole”.

Walenie w ścianę z przyległego pokoju ostrzegło ojca i córkę, że seniorka się obudziła.

- Nie zostawiaj mnie, jeszcze tu utonę - błagał Pa.

Ale Emma postanowiła być bez serca i poszła zająć się babką. W końcu Mad miała blisko osiemdziesiąt lat, a jej wychodzące na morze okna lada chwila mogły paść ofiarą huraganu, który wydawał się niemal cyklonem. Wnuczka zastała ją z założonymi rękami przy oknie, jak przyglądała się dręczonej sztormem zatoce, gdzie białe pióropusze skręcały się w kolejnych falach przypływu.

- Dobrze im tak - obwieściła z satysfakcją. - Będą musieli się wynieść. Nie wytrzymają tego dłużej, to mięczaki.

Okręt rzeczywiście podniósł kotwicę i sunął w kierunku południowym. Fale raz po raz zalewały pokłady, przy dziobie kłębiła się piana.

- To wcale nie znaczy - zauważyła Emma - że możemy pożegnać się z marines. Sam wiatr nie wymiecie ich z plaży Poldrea.

- Ciekawe. O co się założysz, że kulą się teraz wszyscy przy olejowych piecykach w tych zarekwirowanych przyczepach? Ach, żeby Terry to widział, rozkoszowałyby się każdą chwilą. Zadzwoń o dziewiątej do szpitala i zapytam, czy nie puściliby go do domu.

- Och, Mad...

- No co?

Babka zmarszczyła brwi i patrzyła na nią z miną nasrożonej władczyni.

- Czy nie lepiej zaczekać do wyjazdu Pa?

- Po co, na miłość boską?

- Kochanie, przecież wiesz, że ci dwaj razem to gorzej niż walka kogutów.

- Co za bzdura! Dobrze im to zrobi.

W późniejszej rozmowie telefonicznej z doktorem Summersem nie poddała już niestety wniosku pod głosowanie, tylko oznajmiła stanowczą decyzję. Terry, z nogą w gipsie i o kulach, które w oczach młodszych chłopców robiły zeń bohatera, może z powodzeniem wrócić do domu. Szpital potrzebuje wolnych łóżek.

- Ale nie wypuszczaj go z domu - ostrzegał lekarz. - Każda dywersja, którą uda mu się wymyślić, musi się dokonać pod twoim dachem. Przypadkiem odwiedził nas wczoraj pewien oficer. Chciał znać wszystkie jego ruchy poprzedniego dnia. Na szczęście zadowolił się moimi wyjaśnieniami. A co do zaginionego komandosa, to ani Terry, ani ja nie mieliśmy pojęcia, o czym facet mówi, ale jak rozumiem, wy jesteście czyści?

- O tak, absolutnie - przyznała Mad, dając znaki Emmie, która słuchała razem z nią. - Dziwna rzecz, ten człowiek jakby zapadł się pod ziemię. Pewnie zleciał z klifu. A przy okazji powiedz Terry'emu, że Vic przyjechał na weekend. Fatygował się aż z Londynu, no ale to z troski o moje serce.

W słuchawce rozległo się coś pomiędzy prychnięciem a stłumionym chichotem.

- Zakomunikuj swemu synowi ode mnie, że może śmiało zabierać się z powrotem. Jeśli tylko zapewni ci się dość spokoju, twój stan się szybko poprawi. I absolutnie, powtarzam: absolutnie nie pakuj się w żadne kłopoty aż do poniedziałku, bo tak się składa, że to mój wolny weekend.

Emma z westchnieniem odłożyła słuchawkę. Szkoda, że nie nasz, pomyślała, szkoda, że nie nasz...

Matka i syn wybrali się razem do szpitala, aby przywieźć kalekę. Nie było ich już już około pół godziny. Emma zdążyła właśnie dopić w kuchni filiżankę kawy w towarzystwie Dottie, kiedy wyjrawszy przez okno, zobaczyła na podjeździe wojskowy samochód.

- No i proszę! To pewnie znowu porucznik Sherman. Postaw kawę na płytce, będę musiała go zaprosić.

Ale oficer, który wysiadł z samochodu i szedł ścieżką do drzwi, nie był Wallym, tylko kimś nieznanym. Tuż za nim kroczyło dwóch marines. Emma wyszła na ganek i otworzyła przesuwane drzwi, przy czym wiatr niemal ją wepchnął z powrotem.

- Słucham?

Oficer nie zasalutował, tylko minął ją bez słowa i wszedł do holu. Rozejrzawszy się bacznie wokół siebie, wypatrzył rząd lasek na stojaku, podniósł jedną z nich i poddał szczegółowej lustracji. Potem zapytał o Mad.

- Mojej babki nie ma w domu - odparła Emma. - Wyjechała razem z ojcem samochodem, ale spodziewam się ich lada chwila.

Popatrzył na nią przez chwilę, po czym rzekł:

- Kapitan Cockran z US Marines. Mam rozkaz przeszukania domu i przesłuchania mieszkańców. To rutynowa czynność, robimy to wszędzie w promieniu siedmiu kilometrów od Poldrea. Więc jak, moi ludzie mogą już iść na górę?

- Nie mogą panowie poczekać do powrotu babki? To dość niezwykle żądanie, na pewno...

- Może i niezwykle, ale niezbędne - uciał oficer. - Wie pani chyba, że jeden z naszych ludzi zaginął?

- Owszem, mówiono o tym przez radio i porucznik Sherman przepytował nas wczoraj. On dobrze wie, że nie widzieliśmy kaprała.

- Ale nie przeszukał domu, a tak się składa, że tą operacją ja dowodzę. No dobra, idziemy.

Rzucił krótki rozkaz żołnierzom, którzy zaczęli wchodzić na schody.

- Chwileczkę! - zawołała Emma. - Nie mogłabym pójść z nimi? Nie znają rozkładu pokoi, a mój ojciec i babka są bardzo czuli na punkcie swoich rzeczy.

- Jak pani sobie życzy. - Oficer wzruszył ramionami. - Nie zrobią przecież żadnej szkody. - Wyciągał laski jedną po drugiej. Z biblioteki przywlokła się Folly i zaczęła obwąchiwać mu nogi. - Wynocha - warknął.

- Ostrożnie - powiedziała Emma. - Jest bardzo stara i prawie ślepa.

Nie odpowiedział. Emma wzięła Folly na ręce i zaniósła ją z powrotem do biblioteki, zamykając podwójne drzwi. Serce biło jej mocno, ale nie ze strachu, tylko ze zdenerwowania i złości. Pobiegła na górę za żołnierzami. Byli w gościnnym pokoju - jeden otwierał szafę, drugi komodę. Torba Pa została skrupulatnie przejrzana, łącznie z opukaniem dna. Potem zdjęli z łóżka pościel i przewrócili materac.

- Czego, u diabła, szukacie?

Nawet się nie odezwali, tylko jeden wyszczerzył zęby. Łazien-

kę także przeszukali, po czym skierowali się do apartamentów Mad - garderoba, sypialnia, łazienka. Powtórzyli wszystko od początku - otworzyli szafki, powyciągali szuflady, poprzewracali ubrania i upchnęli wszystko byle jak z powrotem. Dzięki Bogu, że jej tu nie ma, myślała Emma, dzięki Bogu... Następna w kolejności była jej własna sypialnia, potem drugi, rzadko używany pokój gościnny.

- To wszystko? - spytał jeden.

- Na tym piętrze tak. Na drugim końcu są pokoje dzieci, chyba ich nie przestraszycie?

Żadnej odpowiedzi. Zeszli z powrotem na dół. Z pokoju muzycznego wyłonił się oficer.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak jest!

Pokazał palcem zamknięte drzwi kuchni.

- A tam?

- Kuchnia i pokoje dzieci. Mieszka tu czterech małych chłopców, najmłodszy ma dopiero trzy lata.

- Dobra, dobra - burknął i wskazując głową otwarte drzwi szatni, kazał jednemu ze swych ludzi przetrząsnąć liczne płaszcze od deszczu, anoraki i buty, które Mad zgromadziła na wszelki wypadek. Potem wkroczyli do kuchni. Oficer zaczął otwierać szafki na oczach Dottie, która patrzyła zdumiona na to jawne pogwałcenie swych praw.

- Zaraz, no co jest - protestowała z płonącymi policzkami, ale Emma ją uciszyła.

- To na nic. Ma nakaz rewizji, a przynajmniej tak zrozumiałam. Byli już na górze.

- W pokoju Madam?! - krzyknęła ze zgrozą w oczach.

- Jasne, paniusiu - odparł jeden z żołnierzy i klepnął ją z uśmiechem w plecy. - Przyjdzie kolej i na twoje apartamenty.

Dottie rzuciła Emmie trwożne spojrzenie, ale ta potrząsnęła tylko głową.

- To nic, Dottie, to nic. - I zwracając się do kapitana, dodała: - Pozwoli pan, że uprzedzę dzieci.

Skinął głową, więc poszła do pokoju zabaw.

- Słuchajcie, kochani - mówiła z pośpiechem - kilku marines

chce przeszukać dom. To nie ci, których znamy, ale nic się nie bójcie.

Maluchy patrzyły na nią rozszerzonymi oczami. Colin, który wywił bardzo długim i ostro zakończonym bambusowym kijem, zadartł głowę.

- Czy to są ci źli?

- Chyba tak - przyznała Emma - więc lepiej siedźcie cicho.

Do pokoju wszedł kapitan, prowadząc swych podkomendnych. Rozejrzał się szybko dookoła. Wypchana po brzegi starymi zabawkami szafka wyraźnie nie wzbudziła w nim nadziei, że kryje w swych czeluściach żywego lub martwego komandosa.

- Dobra, zmywamy się stąd.

Colin nie zważał, że go ignorują.

- Hej! - wykrzyknął. - Zgadnijcie, co my tu mamy!

I zerwawszy się z ławeczki pod oknem, wyrzucił na podłogę zawartość szafki z zabawkami, blokując skutecznie wyjście. Ze sterty rupieci wyciągnął małe pudełko, podobne do aparatu fotograficznego, i przyłożył je do oka.

- Chcecie zdjęcie, kochani? - zapytał z amerykańskim akcentem i nie czekając na odpowiedź, nacisnął guzik. Ze środka wyfrunął wijący się wąż i trafił kapitana prosto w oko.

- Odpieprz się! - zawołał Ben, klaszcząc w rączki.

Kapitan - co mu się chwali - odrzucił pocisk na bok, otarł oko i bez słowa wyszedł z pokoju. Emma rzuciła się w pogoń.

- Strasznie pana przepraszam! Proszę zrozumieć, dzieci wymknęły się trochę spod kontroli...

Nie zniżając się do odpowiedzi, przeszedł do sypialni maluchów, obrzucił ją przelotnym spojrzeniem i ruszył do następnego pokoju, gdzie Sam karmił właśnie wiewiórkę. Andy'ego nie było. Emma instynktownie czuła, że mimo wichury siedzi w kominie. Sam podniósł głowę, ale kapitan, nie mogąc widocznie znieść spojrzenia zezowatych oczu, odwrócił się plecami. Zanim wyszli, Emma obejrzała się i bezgłośnie wymówiła jedno słowo: „Andy”. Sam kiwnął głową.

- Trzeba by ci pomóc z tą wiewiórką - powiedziała głośno.

Sam ponownie skinął głową; zrozumiał, o co jej chodziło. Przy pierwszej sposobności należy ostrzec Andy'ego. W trzecim

pokoju trójka rewidentów zabawiła nieco dłużej, kiedy Emma wyjaśniła, że mieszkają tam starsi chłopcy.

- Terry jest w szpitalu. Moja babka i ojciec właśnie po niego pojechali.

- Taa, wiemy o nim - odrzekł kapitan. - Widziano go w szpitalu. A ten drugi?

- Chyba jest w piwnicy, jak zwykle o tej porze.

Joe rzeczywiście pilnie rąbał drewno. Włosy opadały mu na czoło.

- Ach - zainteresował się kapitan. - Ile masz lat?

- Dziewiętnaście - odparł Joe, patrząc podejrzliwie na Emmę.

- Joe, to kapitan Cockran - wyjaśniła. - Przeszukiwał dom, ale nie bardzo rozumiem po co.

- Rzuć siekierę - rozkazał kapitan - i stań pod tamtą ścianą. Ręce nad głowę. Z życiem.

Joe, zawsze wolno myślący, zamrugał ze zdziwienia. Kapitan dał znak żołnierzom, którzy błyskawicznie chwycili chłopaka pod ręce i ustawili we wskazanym miejscu.

- Uważajcie! - wrzasnęła Emma. - Co wy wyprawiacie?

- Trzymaj się od tego z daleka, panienko. Nie zrobimy mu nic złego, chcemy tylko zadać kilka pytań. Obszukajcie go, kapralu.

Zaczęli obmacywać Joego z góry na dół i wywracać mu kieszenie džinsów.

- Stój spokojnie, dobra? - burknął jeden, kopiąc go w goleń.

Joe zwrócił pobladałą, zdumioną twarz na drugiego żołnierza.

- A co ja niby zrobiłem? - zapytał.

Komandos trzasnął go w usta, niezbyt mocno, ale z pewnością boleśnie. Joe zaczerwienił się i odruchowo opuścił lewe ramię dla osłony przed kolejnym ciosem. Komandos mu je wykręcił i umieściwszy z powrotem nad głową, ponownie kopnął go w goleń.

Emma z furią rzuciła się do przodu, ale oficer chwycił ją za nadgarstek i obrócił do wyjścia.

- Zmiataj na górę, dziewczynko, to nie miejsce dla ciebie.

- Pan nie rozumie. Joe nic złego nie zrobił, porucznik Sherman o tym wie. Czemu, do cholery, nie zadzwoni pan do obozu i nie sprawdzi?

- Porucznik Sherman ma dziś służbę na okręcie. Mamy jednego człowieka na minusie i moim zadaniem jest wyciągnąć od was wszystko, co wiecie. Miejscowe chłopaki sprawiają nam mnóstwo kłopotu i nie zamierzamy tego tolerować.

Emma wyrwała mu rękę.

- Joe nigdy w życiu nie sprawił nikomu kłopotu. Prawie nie rusza się poza ogród.

Dwaj marines trzymali Joego w żelaznym uścisku i Emma zdawała sobie sprawę, że gdyby zaczęła krzyczeć, co byłoby naturalną reakcją, dzieci z pokoju zabaw przybiegłyby w te pędy do piwnicy. Spotkałyby się z taką samą brutalnością, a gdyby usłyszała ją Andy... Nie, Andy nie może o niczym wiedzieć.

- Wynoś się stąd, Emmo - wykrztusił Joe i wtedy po raz pierwszy zauważyła, że usta mu krwawią. - Nic mi nie jest.

Stał nieruchomo z rękami w górze, tak jak mu kazano.

Emma wąskimi schodkami dotarła do głównego holu. Tam opadła na ziemię i wybuchnęła płaczem. W bibliotece skamlała Folly, rozpaczliwie drapiąc do podwójnych drzwi. Wciąż zalewając się łzami, Emma poszła tam, wzięła sukę na ręce i usiadła z nią na **sofie**. Nie ma sensu wołać Dottie, a tym bardziej któregoś z chłopców. Jeszcze nigdy nie czuła się taka bezradna i samotna. Minęło pięć, może dziesięć minut - i nagle Folly, wiedzioną dziwnym jak na głuchego psa instynktem, podniosła łeb. Wracał samochód, z podjazdu dobiegał znajomy dźwięk klaksonu. Emma zerwała się z sofy i pobiegła na spotkanie. Pa pomagał Terry'emu wysiąść, Mad podawała mu kule. Terry uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Czy ten twój porucznik nie daje ci ani chwili spokoju? - spytał, wskazując kulą wojskowego dzipa.

Nie był to odpowiedni moment na żarty.

- Na miłość boską, chodź prędko - zwróciła się do Pa. - Jakieś zbiry z marines biją w piwnicy Joego, musisz zaraz coś zrobić!

Wszyscy patrzyli na nią jak oniemiałi. Mad z ręką na ramionach Terry'ego obróciła się gwałtownie i byłaby upadła, gdyby chłopak jej z kolei nie podtrzymał.

- Kto? Co? - krzychał Pa. - O czym ty mówisz?

- Marines - łkała Emma - jacyś nowi, nikt ich nie zna. Cho-

dzą od domu do domu i zadają pytania. Przeszukali każdy pokój, wyrócili wszystko do góry nogami, a teraz trzymają Joego w piwnicy pod ścianą.

Pa obrócił się do Terry'ego.

- Poradzisz sobie na schodach?

- Tak, oczywiście.

Uśmiech z chłopięcej twarzy zniknął. Pa ujął córkę pod ramię.

- Tylko bez hysterii - rzekł stanowczo. - Ostrzegałem was, pamiętacie? Czegoś takiego należało się spodziewać. Prawdopodobnie to tylko rutynowe przeszukanie, muszą spełnić swój obowiązek. Porozmawiam z nimi... W piwnicy, powiadasz? Dlaczego w piwnicy? Co ten Joe kombinował, sprawiał trudności czy co?

- Nie! - wrzasnęła Emma. - Nie zrobił absolutnie nic złego. Rąbał spokojnie drewno, a oni wzięli go pod ręce i cisnęli nim o ścianę...

- Dobrze już, dobrze. Uspokój się, kochanie. Zostaniesz tutaj, zaczekasz na Terry'ego i Mad, zaopiekujesz się nimi. W piwnicy, powiadasz. Zaraz tam idę. - Już na schodach obejrzał się przez ramię. - Idźcie wszyscy do pokoju muzycznego i zamknijcie drzwi. I bez względu na wszystko, nie wypuszczajcie Mad.

Babka i Terry szli wolno ogrodową ścieżką.

- Nie trzeba mnie podtrzymywać - zdenerwował się chłopak. - Wolę sam sobie radzić. No niech ja tylko dorwę kogoś z tych dupków! Choćby końcem kuli...

- Nie - powiedziała Mad. - Ja to załatwię razem z Vikiem. To nie twoja bitwa.

- Moja, do cholery, skoro zabrali się za Joego.

Emma, już spokojniejsza, stała przy wejściu.

- Pa kazał nam czekać w pokoju muzycznym. Jeśli ktoś z nas się wtrąci, może być sto razy gorzej. Sama próbowałam, to wiem. Poszli za nią posłusznie.

- Kim oni są? - spytała Mad, kiedy Emma zamknęła drzwi. - Inna banda, powiadasz? Nie porucznik Sherman?

Emma opowiedziała, co się wydarzyło, od początku do końca.

- Nie wyrządzili żadnej szkody, chociaż niemal chciałam, żeby coś zniszczyli. Ale najbardziej mnie wykończył ten ich zim-

ny, bezceremonialny sposób bycia. Oglądanie wszystkich lasek po kolei, grzebanie między płaszcami w szatni...

- Jakim prawem? - krzyknął Terry. - Czego szukali?

- Nie wiem, nie powiedzieli.

I nagle przypomniała sobie, że Terry nie zna prawdy o zaginionym kapralu. Nie należał do sekretu, nie miał o niczym pojęcia, jak Pa. O Boże, pomyślała, gdybyśmy tylko mogli stanąć przed nimi jak normalni, niewinni ludzie! Ale nie możemy, nie możemy...

- Myślę, że Pa to załatwi - rzekła Mad. - Śmiejemy się między sobą z jego przechwałek, ale zauważyłam, że kiedy pokazuje przepustkę, rezultat jest natychmiastowy: blokady po prostu przestały dla nas istnieć.

- Gdyby mnie kto pytał, to ci marines już mają tęgiego pietra - zauważył Terry. - Jeden taki przyszedł do szpitala i chciał mnie przepuścić przez coś w rodzaju trzeciego stopnia, ale doktor Summers go przepędził. Co to za historia z kapralem Waggiem? Ponoć się zgubił? A kogo to do cholery obchodzi? Pewnie tarza się na sianie z jakąś cizią. Ja mu tam nie żałuję, tylko niech się odwali od Myrtle.

- On zaginał - rzekła Mad. - Jakieś trzydzieści sześć godzin temu.

- No i krzyżek na drogę.

Niebawem rozległy się głosy. Piwnicznymi schodkami do holu szedł Pa wraz z marines. W pokoju muzycznym zapadło milczenie. Stojąc przy szklanych drzwiach za zasłoną, Emma patrzyła, jak wszyscy trzej idą ogrodową ścieżką do furtki. Pa coś mówił, ale nic nie było słychać. Oficer trzasnął obcasami, zasalutował i wszedł do dżipa razem ze swymi ludźmi. Potem samochód wykręcił i potoczył się po podjeździe, a Pa zawrócił do domu. Mad przeszła przez pokój i otworzyła mu drzwi.

- No?

- Nie ma sprawy, nie ma sprawy. Rutynowe przeszukanie, tak jak myślałam. Są strasznie wkurzeni tym zaginionym komandosem. Joemu nic się nie stało, ma tylko parę siniaków i trzeba mu zdezynfekować wargę.

- A jeśli po twoim wyjeździe znów coś takiego się zdarzy?

- Wykluczone, wykluczone. Chyba że znów zrobicie coś głupiego.

Terry'emu minęła złość, ale wyglądał na mocno zmęczonego. Podniósł się z wysiłkiem i pokuśtykał do drzwi.

- Pójdę do Joego - rzekł cicho. - Dzięki za podwiezienie, Vic. Cieszę się, żeś wyprowadził tych dupków.

Mad obserwowała go przez otwarte drzwi, a gdy zniknął, zwróciła się do syna:

- Nie sądzę, by stało mu się coś złego, a ty? Zresztą ci marines już sobie poszli. Och, jak oni mogli napaść na Joego! Żałuję, że mnie tam nie było!

- A ja się z tego cieszę - powiedziała Emma. - Pa to co innego niż ty.

Babka zignorowała tę uwagę.

- Nie mógłbyś dotrzeć do kogoś na górze? - zaapelowała do Pa. - Kim byli ci marines i dlaczego nie przysłano tych, których znamy? Porucznikowi Shermanowi Emma wpadła w oko i chociaż jest dość głupi, zachowuje się bardzo przyzwoicie.

- Kochana mamó, jeśli sądzisz, że wojsko amerykańskie, czyli właściwie już nasze, przychodziłoby z nakazem rewizji, grzebało w szufladach, a potem ustawiało niezadowolonego dziesiętnastolatka pod ścianą dla zabawy czy treningu, to się grubo mylisz. Nie chciałem mówić przy Terry'm, ale dowiedziałem się od kapitana Cockrana, że od dwóch dni nie ma śladu po tym zaginionym kapralu. Obawiają się najgorszego, ktoś go musiał załatwić. Poza tym władze kopalni meldowały o kradzieży materiałów wybuchowych. Ci marines działali absolutnie legalnie, chociaż może Joego potraktowali trochę za surowo. Na pewno nie pójdę z tym na wyższy szczebel.

Emma zerknęła na babkę. Miała nadzieję, że staruszka na tym poprzestanie, kłótnia tylko by zniweczyła to, co udało się osiągnąć. Pa już miał na policzkach czerwone plamy, a to znaczyło, że jest o krok od wybuchu.

- Nie zdążyłam jeszcze uporządkować pokoi - tłumaczyła się Emma. - W gościnnym nie mieli wielkiego pola do popisu, ale utworzyli każdą szafkę i wyciągnęli wszystkie szuflady.

Mówiąc to, zerkała na Mad, która połknęła przynętę.

- Idziemy! Obejrzę to sobie, choćbym miała dostać drugiego ataku serca.

- Tylko uważaj, na miłość boską! - zaniepokoił się Pa. - Takie podniecenie tylko ci zaszkodzi. Emma doprowadzi twój pokój do porządku, zresztą i tak masz tam bałagan, a szafy pękają od sfatygowanych dzinsów, kompletnie niestosownych dla kobiety pod osiemdziesiątkę. Gdzie twoje pigułki? Nie powinnaś czegoś zażyć? Zaraz zadzwonię do Bevila...

- Zamknij się, Vic.

Znalazłszy się w zaciszu swej sypialni, Mad usiadła na łóżku i przyjrzała się bałaganowi.

- Mogło być gorzej - oceniła.

- Czy nie sądzisz - spytała Emma - że po tym wszystkim powinniśmy zamknąć dom i wyjechać do Londynu? Pa proponował mi coś w tym rodzaju, kiedy byłam u niego rano.

- Do Londynu? - powtórzyła Mad. - Chyba żartujesz.

- Nie, poważnie... Wiem, że obie tego nie chcemy, ale czy tam nie jest bezpieczniej? Ty i ja w mieszkaniu Pa, Joe i Terry u Trembathów, a...

Mad weszła do łazienki i zaczęła myć ręce.

- Jedź, jeśli masz ochotę, Em, nie będę cię zatrzymywać. Ale mnie żadna siła nie zmusi do opuszczenia domu i chłopców. I Folly nigdy nie przywyknie do nowego miejsca. A co z wieiórką Sama? - Wytarła ręce. - Nie, to poza dyskusją. Nie zniosłabym rozłąki z chłopcami, a zresztą...

- Co „zresztą”?

- Zresztą uważam, że to wszystko jest dość zabawne.

Zasiedli na dole do lunchu. Joe z Terryem przyszli także i Terry przynajmniej raz milczał. Wargę Joego nie rzucała się specjalnie w oczy, a wszyscy, jakby się umówili, omijali starannie temat rewizji. Pa, obłaskawiony dżinem z tonikiem, rozwodził się szeroko nad kolosalnymi korzyściami czekającymi młodych ludzi, którzy zdecydują się na półroczny pobyt w Stanach. Darmowy przelot, a na koniec możliwość uzyskania posady.

- Przeglądałem broszury, przeglądałem broszury. Wszystko związane na ostatni guzik, żadnych niedociągnięć, oczywiście wymiana ma być wzajemna, chociaż wyobraźcie sobie tę różnicę!

Wilgotna pościel, brukselka - to dla młodych Amerykanów coś strasznego, ale co tam. Przynajmniej raz naszym się uda.

Zadzwonił telefon i Joe poszedł odebrać.

- Miejmy nadzieję - rzekł Pa - że to nie ten tępak Cockran z kolejnymi pytaniami.

Joe wrócił po paru minutach, błądy i zdenerwowany.

- To pani Trembath; jest w okropnym stanie, wciąż płacze. Byli u nich marines, zabrali na przesłuchanie pana Trembatha i Micka. Pytała, czy możesz coś zrobić. - Spojrzał przez stół na Pa.

- Ależ oczywiście - podchwyciła Mad. - Wiesz, Vic, to tacy kochani ludzie, ci Trembathowie, prawdziwi przyjaciele nas wszystkich. Idź tam zaraz i porozmawiaj z biedaczką.

Emma natychmiast zauważyła zmianę na twarzy Pa. Cała jowialność, z którą obnosił się przez cały lunch, zniknęła, a zamiast niej pojawił się wyraz zawziętości i uporu.

- Przykro mi, nic nie poradzę. Wykorzystałem pewne swoje wpływy dla Joego, ale na tym koniec. Nie będę wstawiał się za kimś spoza rodziny. Jeśli Trembath nie ma nic do ukrycia, jego żona może spać spokojnie. Porozmawiam z nią, jeśli chcecie, ale będę musiał jasno postawić sprawę.

Rzucił serwetkę na stół i wyszedł. Nikt się nie odezwał. Nawet jego matka.

14

Tempo dnia, zahamowane chwilowo na krawędzi nieszczęścia, ponownie ruszyło z kopyta. Znowu te swary! Wytrącona z równowagi Mad zrobiła awanturę synowi, kiedy ten wrócił od telefonu, ale niczego nie zwojowała. Wpływy mają pewne granice - upierał się - a przekraczając je, naraża się domowników na dalsze śledztwo.

- Jeżeli Jack Trembath przekona swych rozmówców, że tamtego popołudnia nie widział kaprała na oczy, na pewno go wypuszczą, jasna sprawa. To samo dotyczy chłopaka.

- Mick jest tylko dwa lata starszy od Andy'ego - rzekł ze złością Terry. - Wyobraź sobie, że złapali Andy'ego tak jak Joego i zaczęli go tłuc w piwnicy. Co byś wtedy powiedział?

- To hipotetyczne pytanie, więc nie wymaga odpowiedzi.

Na policzkach Pa znów ukazały się różowe plamy, a ponieważ i tak było już po lunchu, podniósł się sztywno i przeszedł do pokoju muzycznego. Pozostali przenieśli się tam także.

- Musimy coś zrobić - nie dawał za wygraną Terry - ale co? Ooo, do diabła z tymi kulami!

I wyładował złość, waląc kulą o krzesło.

- Posłuchaj - odezwał się cicho Joe. - Zaraz pójde na farmę i zobaczę, w czym mogę pomóc. O czwartej trzeba wydoić krowy, pani Trembath i Myrtle nie dadzą sobie same rady. W razie czego zostaną na noc.

- Idę z tobą - powiedziała Emma. - Skoro mówisz, że jest taka roztrzęsiona... Ona nie przejmuje się tak łatwo.

- A może weźmiecie samochód? Wtedy i ja bym się zabrał.

I tak muszę się dowiedzieć, co zamierza Myrtle i czy rzeczywiście spotkała się wtedy z kapralem Waggiem.

Emma zerknęła na Mad. Ich oczy się spotkały.

- Terry, kochanie - rzekła Mad - wolałabym, żebyś tu został i dopilnował młodszych. A co do Myrtle, to możesz jej przesłać wiadomość przez Emmę.

- W porządku - burknął Terry. - Ale jeśli maluchy narozrabiają, to popróbują, czym to pachnie.

I potrząsnął swą nową bronią, czyli kulą, dając wszystkim do zrozumienia, że w razie czego na pewno nie omieszka zrobić z niej użytku.

Pa usadowił się w fotelu i zaczął kartkować „Country Life”. Emma była pewna, że do ojca nie dociera ani tekst, ani ilustracje. Ponownie wymieniła spojrzenie z Mad. Babka skrzywiła się i wzruszyła ramionami. Wiedziała, że ma przed sobą ciężkie popołudnie.

- To przerażające - mówiła Emma do Joego, idąc polami na farmę - ale Pa miał prawo odmówić interwencji, która nie dotyczy jego rodziny. A nie możemy mu powiedzieć, że to właśnie ktoś z rodziny jest winien temu wszystkiemu.

- Właśnie się zastanawiałem, czy nie powinniśmy tego zrobić. W końcu co może grozić takiemu dzieciakowi jak Andy? Przecież ma raptem dwanaście lat.

Emma zastygła w pół kroku.

- Och, nie! - wykrzyknęła. - To byłaby katastrofa. Pa zawiadomiłby marines, uznaliby to za swój obowiązek, a wtedy Andy trafiłby na policję - ich albo naszą - i wysłano by go do jednego z tych borstalowskich zakładów*. Och, Joe... - ciągnęła, kontynuując marsz. - Kocham Pa, czasem go nawet uwielbiam, jak na przykład dziś rano, kiedy siedział w łóżku pod parasolem niczym rozpuszczony dzieciak, ale on ma w sobie taką twardą, nieczułą żyłę czy coś w tym rodzaju, co człowieka powstrzymuje od wyznania prawdy.

Farma już wyglądała na zaniedbaną. Brama była otwarta na

* Borstalowskie zakłady - zakłady wychowawcze dla młodocianych przestępców; nazwa pochodzi od brytyjskiego miasteczka Borstal w hrabstwie Kent.

oścież, co nigdy się nie zdarzało, więc Joe od razu ją zamknął. Krowy zaczynały wstawać, czekając cierpliwie, aż je ktoś wydoi, choć brakowało jeszcze dwóch godzin do normalnej pory. Nie wyskoczył na powitanie Spry, w końcu podwórza nie ukazał się pan Trembath, nie nadbiegł z obory Mick.

- A niech ich cholera - powiedziała ze złością Emma.

Kiedy pojawili się w kuchni, pani Trembath schodziła właśnie z góry.

- Ach to ty, Emmo! Jak dobrze, że przyszedłaś, Myrtle jest taka zmartwiona, kazałam jej się położyć.

Co za głupia dziewczucha, pomyślała Emma, czemu się jakoś nie pobiera i nie pomoże matce? Odruchowo podbiegła do pani Trembath i objęła ją, ale współczucie wywołało tylko nowy potok łez. Biedna kobieta położyła głowę na kuchennym stole i zaniosła się łkaniem.

- Idę - mruknął Joe. - Powiedz, żeby się nie martwiła, dopilnuję wszystkiego.

W końcu, krok po kroku, Emma wyciągnęła z niej całą historię. Oczywiście chodziło o kaprała Wagga. Kapitan Cockran raczej nie wierzył, że Jack z Mickiem doili krowy, kiedy pojawił się kapral, i nie mieli pojęcia, że chciał on porozmawiać z Myrtle.

- „Nawrzucaliście mu, co?” - cytowała pani Trembath słowa kapitana. - „Nawrzucaliście mu, bo podejrzewaliście, że łązi za waszą dziewczuchą. Coście mu zrobili? Gadać zaraz!” Och, Emmo, do Jacka nikt nigdy nie mówił tym tonem, więc trudno go winić, że się wściekł. „Wynocha z mojej ziemi” - wrzeszczał. „Nie macie prawa! Najpierw zastrzeliliście mi psa, a teraz nachodzicie mnie na moim własnym terenie i oskarżacie o coś, czego nie zrobiłem. Jazda stąd!” No i wtedy się zaczęło. Złapali go i wrzucili do dżipa jak jakiś tobołek, mieli z tym pewne trudności, rozumiesz, a potem wzięli Micka... - Spojrzała błagalnie na Emmę. - Jesteś pewna, że twój ojciec nie może nam pomóc? Przecież zna tylu ważnych ludzi w Londynie, Terry zawsze to powtarzał... Posłów do parlamentu i tak dalej...

To był najgorszy moment. Przyznać się do negatywnej postawy Pa. Przyznać się do porażki.

- Wymógł na nich, żeby dali spokój Joemu, ale może i tak nie

zamierzali go zabierać. Rozumie pani, Joe nie protestował, prawie się nie odzywał. A pana Trembatha wzięli właśnie dlatego, że się rozgniewał.

- Ależ to naturalna reakcja, no nie? Każdy by się wściekł w tej sytuacji. A poza tym mój biedny Jack mówił prawdę, rzeczywiście doił wtedy krowy.

Niecałą prawdę, niecałą, myślała Emma. To, co najstraszniejsze, zachował dla siebie. Wiedział, że Andy zabił kaprala, wiedział, co się stało z ciałem, a pani tego nie wie, droga pani Trembath, podobnie jak Myrtle...

- Pa mówi, że na pewno ich szybko wypuszczą - pocieszała nieszczęsną kobietę - więc proszę być dobrej myśli. Proszę posłuchać, Joe zrobi wszystko, co trzeba, wydoi krowy, przypędzi owce z pastwiska. Może i ja w czymś pomogę? Macie coś do jedzenia?

- Jesteś taka kochana - powiedziała pani Trembath, ocierając oczy. - Jestem wam ogromnie wdzięczna.

Wdzięczna... A my co? Twój mąż stoi teraz pod ścianą w obozie komandosów, syn także, i to wszystko przez nas... przez nas...

Emma spędziła resztę popołudnia, krzątając się z panią Trembath po domu. Myrtle poczuła się na tyle dobrze, by pomóc Joemu w zapędzaniu krów do dojenia (co chłopak to chłopak, pomyślała Emma, dla matki by tego nie zrobiła). Piły właśnie herbatę w kuchni, kiedy ktoś zapukał do tylnych drzwi.

- Otworzę - zgłosiła się Emma. Na progu stał pan Willis z czapką w rękę i rozwianymi włosami. - Och - wykrzyknęła, nie wiedząc, czy się cieszyć czy martwić - to pan...

Niebieskie oczy połyskiwały zza okularów.

- Jesteśmy tu chyba w tym samym celu - rzekł dziadek plązowy. - Żeby pomóc sąsiadom w potrzebie. Właśnie wracam z Poldrea, podobno pana Trembatha z chłopakiem zabrali na przesłuchanie. Nowiny szybko się roznoszą, co? Przyszedłem zobaczyć, czy nadam się do dojenia, zresztą ja wszystko potrafię... jak zapewne pani zauważyła.

- Joe jest właśnie w trakcie dojenia - wyjaśniła Emma i obejrzała się przez ramię. - To pan Willis, chce wiedzieć, czy może w czymś pomóc.

Pani Trembath podeszła do drzwi.

- To bardzo miło z pańskiej strony - rzekła z powątpiewaniem. - Sama nie wiem, co bym zrobiła bez dobrych sąsiadów. Joe już kończy dojenie, ale przydałoby się zagonić i policzyć owce. Wczoraj jednej brakowało, Jack ją odnalazł, dopiero kiedy objechał pole landroverem.

Emma odsunęła się na bok. Każde słowo pani Trembath pograżało ich coraz bardziej.

- Pani zostanie tutaj - przejął inicjatywę pan Willis. - Pomogę Joemu przy krowach, a potem zajmujemy się owcami. A więc to prawda z paninym mężem? Nie bardzo chciało mi się wierzyć.

Historia została więc opowiedziana ponownie od początku do końca. Emmę tak dręczyło poczucie winy, że ledwie mogła słuchać. Pan Willis wprawdzie należał do wtajemniczonych, ale to w pewnym stopniu tylko pogarszało sprawę.

- Odkąd wylądowali, wiedziałem, że będą kłopoty - słyszała jego głos. - Już oni nam nie popuszczą, patrz, pani, co wyprawiają w południowo-wschodniej Azji. Wystarczy, że ktoś powie, co myśli, i zaraz dostaje w łeb.

- Ale mojego Jacka chyba nie pobiją? - zdenerwowała się pani Trembath.

- Nie, jeśli posmaruje ich miodem. Trzeba umieć ich podejść. Najpierw dużo pięknych słówek, a potem, we właściwym momencie - ciach! - i zaraz rozproszą się jak szpaki na dźwięk grzechotki. Wybaczą panie, ale pójdę teraz do chłopaka.

I zniknął w gęstniejącym mroku.

- Jest bardzo miły - zauważyła pani Trembath, zerkając przez okno w stronę obory - ale cóż to za dziwak!

- Wiem, ale chyba może mu pani zaufać.

Co więcej, musi pani, bo nie ma innego wyjścia, myślała. Ma cię, siostrze, w ręku, tak samo jak mnie, jak nas wszystkich...

Wichura, która szalała przez cały dzień, osłabła. Na osłoniętej przez wzgórze farmie nie czuło się jej tak bardzo jak w położonym wysoko domu. Ciekawe, co tam się działo przez całe popołudnie? Pani Trembath nakryła stół dla wszystkich, mówiąc, że będzie im z Myrtle raźniej w towarzystwie, a pod nieobecność męża i syna mają nadmiar jedzenia. Emma pokręciła jednak głową.

- Nie mogę mówić za Joego, ale ja powinnam wracać.

Warkot nadjeżdżającego samochodu napełnił ich serca nadzieją, ale była to tylko siostra pani domu, pielęgniarka Bennett. Do niej także pocztą pantoflową dotarły złe wieści.

- Byli na wszystkich okolicznych farmach i w tamtych domkach za St Fimbar. Wcale nie chodzi im tylko o tego zaginionego, ale o materiały wybuchowe. Ciekawe, na co nam one? Znacnie Jima Coucha, któremu opatrywałam owrzodzoną nogę? Jego synowie pracują w Whitemoor. Zdaje się, że marines zabrali stamtąd sporo chłopaków. Nastroje ponoć są okropne.

- Im gorsze, tym lepiej. - Pan Willis stanął w progu i skłonił się pielęgniarce ze staroświecką galanterią. - Chyba nie poddamy się walkowerem? Przecież garstka buców z Whitehall nie może decydować o unii między państwami. Do tego trzeba poparcia całego narodu.

- Wszystko pięknie, panie Willis - odparła pani Trembath - ale jakoś nas nie zapytali, przynajmniej nie tym razem. Co innego, kiedy wybuchło całe to zamieszanie z wejściem do Europy, o, wtedy to urządzili referendum.

- Wejście do Europy to kaszka z mlekiem w porównaniu z tą zgrają. Wtedy było tak, jakbyś pani zamieniła na targu w Lostwill swoje krowy na maciorę z prosiętami. Każdy zadowolony i wszystko gra. Żadnych jankeskich wojsk tratujących nasze ziemie i strzelających do inwentarza.

- Święta prawda - przyznała siostra Bennett. - Ale mimo wszystko nie trzeba nam kłopotów.

- Tak samo mówili Francuzi, kiedy Niemcy okupowali ich kraj w czasie drugiej wojny. „Nie chcemy kłopotów, zrobimy, co nam każą”. No cóż, nie wszyscy usłuchali, prawda? Niektórzy wysadzali linie kolejowe i przygotowywali drugi front.

Emma uchwyciła jego spojrzenie i odwróciła wzrok. Przypomniał jej się plastik bezpiecznie ukryty gdzieś w domku starego.

- Pani Trembath, naprawdę muszę już iść. Proszę powiedzieć Joemu, kiedy się zjawi.

- On też może już wracać - powiedział pan Willis. - Gdyby zostało coś do roboty, to po to tu jestem. Rano też przyjdę w po-

rze dojenia. - Zatarł z satysfakcją ręce. - Im ciężej człowiek pracuje, tym lepiej sypia, to chyba do każdego pasuje, co?

Pani Trembath spojrzała niepewnie na swego nowego pomocnika i nalała mu herbaty. Pewnie obie z Myrtle nie zmrzą oka tej nocy, myślała Emma.

Joe czekał na nią przy drzwiach.

- Zjrę rano, pani Trembath. Pan Willis ma tu być pierwszy. Mam nadzieję, że do tego czasu pan Trembath i Mick wróca.

- Daj Boże.

- Nie liczyłbym na to - rzekł pan Willis. - Oni chcą was maksymalnie nastraszyć, inaczej traciliby tylko czas. Trochę potu dobrze wam zrobi, tak sobie kalkulują. - Spojrzał na Joego. - Pogoda się poprawia. Jutro będzie czyste niebo i na całej plaży mnóstwo drewna z morza. Zapowiada się obfity plon i dla nas, i dla jankesów. Wcale bym się nie zdziwił...

Wyszli oboje w ciemność. Chmury się rozdzieliły i powietrze było bardziej rześkie niż przedtem.

- Nie wiem, co to jest - powiedziała Emma - ale dostaję przy nim gęsiej skórki.

- Ja także - wyznał Joe - ale wiem, że możemy mu ufać. Pogadaliśmy sobie w oborze. On mówi, że panu Trembathowi i Mickowi nic nie grozi, bo mówią prawdę. Nie widzieli kaprała, kiedy przyszedł do Myrtle, i będą się tego trzymać. O tym, co stało się później, Mick nie ma pojęcia, więc przynajmniej on jest zupełnie czysty. Pan Willis uważa, że ludzie są przeciwko marines, szczególnie teraz, bo pan Trembath ma świetną opinię i wszyscy go bardzo szanują.

- Może... Ale to nie zmienia faktu, że i my, i pan Trembath wiemy, co zaszło naprawdę.

Wracali do Trevalan w nadziei, że zastaną domowników jeśli nie całkowicie pogodzonych, to przynajmniej spokojniejszych. Niestety spotkał ich zawód. Ledwie przekroczyli próg, w szatni rozdzwonił się telefon i Pa, który z jakiegoś powodu przebrał się ze swetra w garnitur, wyszedł z pokoju, by go odebrać.

- Kryzys, kryzys - mówił po drodze. - Wszystko się sypie.

Wpadł do szatni i zamknął za sobą drzwi. Emma i Joe poszli do pokoju muzycznego, gdzie Mad właśnie dokładała do ognia.

Na ich widok obróciła się i z westchnieniem wzniosła oczy ku górze.

- I tak jest cały czas, od czwartej - powiedziała, opadłszy na sofę. - Spędziliśmy spokojną godzinę, on nawet się zdrzemnął w fotelu, a ja wstrzymywałam oddech, po czym zadzwonił telefon. To takiego cholerna sekretarka z Londynu, nie pytajcie mnie tylko, o co chodzi. Zurych, Nowy Jork, nie jestem pewna, czy nie wspomniał też o Brazylii. Tak czy inaczej, zaraz musi wracać do Londynu.

- No nie! - wykrzyknęła Emma, tracąc do reszty ducha.

- Kotku, jestem tak samo zawiedziona jak ty. Doprowadza nas do szału, ale obie go uwielbiamy. - Mad miała łzy w oczach; ona! - Nie widzimy go zbyt często, tak już jest. Cóż, nic nie poradzimy. Co słyszeć na farmie? Jack i Mick wrócili?

- Nie, ale pan Willis zgłosił się do pomocy.

- To prawdziwa ulga. Kochany Taffy, nie wiem, co byśmy bez niego poczęli.

Joe wymknął się z pokoju, mówiąc, że ma coś do zrobienia, ale zdaniem Emmy, chciał je zostawić sam na sam z Pa.

- Dzięki Bogu, dzieci zachowywały się jak aniołki. Dottie zaczęła przygotowywać gwiazdkowy pudding (uwzględniłam, że grubo za wcześnie) i pozwoliła Colinowi i Benowi pomagać.

- A Andy i Sam?

- Robili nową klatkę dla wiewiórki. Stara tak potwornie śmierdziała, że nie dawało się wejść do pokoju. Niestety wiewiórka i gołąb jakoś nie przepadają za sobą, chyba nawet nie mogą na siebie patrzeć.

Jazgot w szatni umilkł i do pokoju wrócił Pa.

- Wiedziałem, że nie powinienem wyjeżdżać. Wszyscy latają jak oparzeni, zupełnie potracili głowy. USUK i Brazylija nie mogą się dogadać w sprawie nowych układów walutowych, już widzę, że będę musiał polecieć tam osobiście. Na domiar złego jakiś cholerny kretyń podłożył bombę na schodach ambasady amerykańskiej, nie, nic się nie stało, znaleźli ją na czas, ale to fatalnie dla propagandy. Emmo, kochanie, nie mogę znaleźć kapci, co z nimi zrobiłaś?

Nic nie zrobiła, leżały sobie pod łóżkiem. Pomogła ojcu po-

układać rzeczy, spakowała jego szczotki do włosów, elektryczną szczoteczkę do zębów i nagle zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie chcę, żebyś jechał.

- Jakież to miłe, jak bardzo wzruszające! - powiedział, wyraźnie zaskoczony. - Kochana Emma! Cudownie mieć dorosłą córkę, człowiek nie zdaje sobie sprawy, to ciągłe napięcie... Musimy się częściej widywać. Szkoda, że nie mogę cię zabrać do Brazylii, byłabyś zachwycona tym krajem. Czy ustawiłaś jakoś tych znajomych z farmy? Przykro mi, że nic więcej nie mogłem dla nich zrobić. To nie wchodzi w rachubę.

Jak zwykle nie czekał na odpowiedź, tylko zbiegł ze schodów, skacząc po dwa stopnie na raz, i już po chwili siedział w pokoju muzycznym przy kawie.

- To pomoże mi przetrwać aż za Exeter - powiedział. - Za Exeter zaczyna się cywilizacja. Może wpadnę na kanapkę do staroego Digby-Strattona, to tylko parę kilometrów od Honitonu, zależy od czasu i czy dalej na każdym kroku są te blokady. Emma, jeśli centrala zgłosi rozmowę z ambasadą brazylijską, to niech skasują połączenie, powiedz, że wyjechałem... Nie, nie, kochana mamó, nie chcę ciasteczka Bath Oliver, potem cierpię na niestrawność, a przecież prowadzę samochód, muszę się już zbierać, muszę was pożegnać. - Objął jednocześnie matkę i córkę. - Jeśli polecę jutro do Rio i stracę z wami kontakt na kilka dni, to nie pozwólcie, żebym po powrocie zastał was obie w więzieniu. Teraz są niespokojne czasy, wystarczy, że noga się komuś powinie, i nieszczęście gotowe. Macie mój numer do biura i w razie prawdziwego kryzysu poproście sekretarkę, żeby się ze mną skontaktowała, ale chyba nie będę wychodził z sali konferencyjnej... Nie zapominaj o swoich pigułkach, mamó, i nie przejmuj się niczym, uważaj na te koszmarne bachory... Muszę już jechać, muszę już jechać...

Mad patrzyła od frontowych drzwi, jak jej wnuczka odprowadza jej syna na podjazd. To wszystko jest powtórką z wczorajszego dnia, myślała Emma, tylko wtedy czekaliśmy na jego wizytę, która miała trwać przez cały weekend, a dziś nie jest już „wtedy” tylko „teraz” i on właśnie odjeżdża, i nic się nie uzyskało. Właściwie jest nawet gorzej, niż gdyby w ogóle nie przyjeżdżał, bo

człowiek jakoś przywykł do tego, że go nie widzi. Ojciec pocałował ją jeszcze raz, wsiadł do samochodu i oddalił się z rykiem silnika. Nad bramą zawisły na chwilę światła reflektorów - i już. Po wszystkim. Pa odjechał.

Mad stała przy ogniu w pokoju muzycznym. Z półki nad kominem zdjęła swoje stare pocztówkowe zdjęcie i uważnie mu się przyglądała. Zrobiono je wiele lat temu, za czasów jej młodości. Twarz z dziobów tysiąca statków, jak mawiał jej mąż. Bardzo duże oczy, okrągłe policzki w ramce gęstych włosów. Na kolanach trzyletni Vic - żywa replika matki. Emma podeszła do babki i otoczyła ją ramieniem.

- Wciąż jest niesamowite podobieństwo.
- Masz na myśli jego, czy mnie?
- Was oboje.

A jednak, a jednak... O czym on myśli, ten mały grubasek? Czy już wtedy zaplanowano, że stanie się tęgawym jegomościem rozbijającym się odrzutowcami po świecie, czy on sam łądził się, że będzie kiedyś kontrolował milionowe operacje? A ta śliczna, zmysłowa kobieta, jego matka, uśmiechająca się kącikami ust, z pętlami warkoczy przy twarzy? Czy wiedziała, że dożyje siedemdziesięciu dziewięciu lat i będzie ekscentryczną staruszką o imperatorskich zapędach? W czasach, kiedy robiono to zdjęcie, świat, choć daleki od poczucia bezpieczeństwa, utrzymywał jednak pewną stabilność, a wojna z Hitlerem nawet się nie zaczęła. Później mały chłopczyk, z rozbudzoną już świadomością, słyszał słynne zdanie Churchilla o walkach na plażach i ulicach. Dziś kraj został przejęty, zaanektowany przez obce mocarstwo, za zgodą - przynajmniej tak sądził ów chłopczyk z fotografii, obecnie dojrzały mężczyzna - prawie całego narodu. Natomiast walkę na plaży podjął pewien siedemnastoletek, stosując chwyt gracza w rugby wobec przeciwnika z piechoty morskiej, a dwunastoletnie dziecko - nie na ulicy, tylko na ornym polu - zostało zabójcą, ustrzelwszy nieprzyjaciela z łuku.

Mad odłożyła fotografię na miejsce.

- Miałam przed chwilą takie śmieszne uczucie...
- Jakie uczucie? - przestraszyła się Emma.

- Och, to nic... - Mad rozłożyła ręce znajomym gestem. - Czuję, że dużo czasu upłynie, nim znów go zobaczę.

Emma nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy starym ludziom czas wlecze się bez końca, czy też przeciwnie - płynie o wiele za szybko, tak jak teraz, kiedy każdego dnia tyle się dzieje. Czy gdyby nie ów kryzys, babkę w ciągu ostatnich tygodni gnębiłoby to samo co ją poczucie nudy i rozgoryczenia? Czy Mad, u progu osiemdziesiątki, chciałaby, żeby dni wlokły się coraz wolniej, prawie do zupełnego bezruchu, bo każdy moment z natury rzeczy przybliża ją do końca?

- Pa wyjeżdża z kraju tylko na parę dni, a potem musi wrócić, bo przecież zbliżają się twoje urodziny - powiedziała pocieszająco. - To musi być wielka uroczystość, bez względu na wszelkie kryzysy.

Mad wzruszyła pogardliwie ramionami.

- Urodziny! - fuknęła. - Kto w moim wieku myśli o urodzinach? Coś tam się urządzi, żeby zabawić chłopców, pytanie tylko, czy będzie co celebrować.

15

Jacka Trembatha i Micka puszczono do domu w niedzielę rano. Było to specjalne ustępstwo, jak wyjaśnił komendant obozu, ze względu na inwentarz żywy i wyjątkowy charakter pracy na roli. Farmer musi być jednak przygotowany, że gdyby pojawiły się jakieś dalsze pytania, będzie musiał na nie odpowiedzieć. Przesłuchanie prowadził nie pułkownik Cheeseman, który podczas wczorajszego sztormu odpłynął na okręcie do Falmouth, tylko jego zastępca pułkownik Tucker, jeszcze twardszy od szefa. Pan Trembath pierwsze kroki skierował do Trevalan, gdzie osobiście złożył sprawozdanie.

- Chciałbym pani serdecznie podziękować za Joego. Nie wiem, jak Peggy i Myrtle poradziłyby sobie bez niego, no i ciebie - dodał, zwracając się do Emmy - Już samo to, że tam poszłaś i porozmawiałaś z nimi, znaczyło dostatecznie dużo.

- Pan dziękuje nam? - Mad pociągnęła go na sofę, obok siebie. - A cóż my możemy powiedzieć? Obie z Emmą nie mogłyśmy spać ze zdenerwowania, wyobrażając sobie, co oni tam z wami wyprawiają. A co do pańskiej biednej żony...

- Och, na szczęście już po wszystkim. Nie ma co o tym myśleć, zresztą mogło być gorzej. Wie pani, gdyby chodziło o naszych, to niechby sobie rozstawiali nas po kątach jak jakichś barbarzyńców, ale najbardziej mnie zezłościł ten jankes rodem z westernu, który z amerykańskim akcentem wyrzaskiwał pytania. Owszem, w domu ździebko się wkurzyłem, dopiero potem, w areszcie, wzięłem się w karby.

- Gdzie was trzymali?

- No przecież zajęli cały port w Poldrea. Wie pani, gdzie są biura kapitanatu portu? Tam właśnie urządzili sobie główną kwaterę. Dobrze, że... - ściszył głos pomimo zamkniętych drzwi. - Dobrze, że Mick o niczym nie wie, inaczej mógłby się załamać. Pytania padały błyskawicznie, jedno po drugim, to bardzo deprymujące dla chłopaka w tym wieku, trudno wymagać, by wytrzymał. Ale proszę się nie martwić - poklepał Mad po kolanie. Niczego z nas nie wyciągnęli. I nie wyciągną.

Emma przypomniała sobie wczorajszą uwagę Mad o Celtach i Sasach. Pan Trembath musiał chyba czytać w jej myślach, bo uśmiechnął się do siebie i rzekł po chwili:

- Fajną niespodziankę sprawił nam ten gość z lasu, no nie? Może Kornwalijscy i Walijscy mają z sobą więcej wspólnego, niż myślałem. Niech no tylko pojawią się jakieś typy zza morza i spróbują wprowadzać swoje porządki, a odpłacimy się im z nawiązką. Podobno z samego rana zjawił się na farmie, tak mówiła Peggy, o krótki łeb przed waszym Joem. O, to prawdziwy twardziel. Dobrze, że jest po naszej stronie.

- Nasza strona... Tak właśnie powinniśmy mówić. Chciałabym, żeby było nas więcej.

- Spokojna głowa - podchwycił Jack Trembath. - Pełno tu w okolicy takich, którzy wprawdzie powitali jankesów z otwartymi ramionami, ale teraz zmienili front. No, może nie wszyscy. Zawsze znajdzie się ktoś - nie będę wymieniał nazwisk - kto gotów sprzedać pierworództwo za łatwy pieniądz i przy okazji ogolić jankesów do gołej skóry, podobnie jak ci w Midlandzie. Ale inni, którzy mają w sobie choć trochę ikry, nie dadzą sobie tak łatwo narzucić zagranicznych rządów.

Emma poruszyła się niespokojnie. Myślała o Pa. I Mad najwyraźniej także, bo w jej głosie pojawiła się pewna nutka, którą dostrzegła tylko wnuczka.

- Chyba nie powinniśmy nazywać tego zagranicznymi rządami. To ma być unia, czyż nie? Mój syn próbował nam wszystko wytłumaczyć. Nie znam się na finansach, nigdy nic z tego nie rozumiałam. Ale podobno bez tej unii bylibyśmy skończeni, cały kraj by zbankrutował. Nawiasem mówiąc, tak mi przykro, że nie zapobiegliśmy jakoś waszemu aresztowaniu. Obie z Emmą czu-

łyśmy się wprost fatalnie. Ale prawda jest taka, że mój syn nic nie wiedział o tym kapralu i co się z nim stało. Nie powiedzieliśmy mu.

- Nie powiedzieliście? - zdumiał się Jack Trembath.

- Nie. Widzi pan, Vic jako bankier jest ściśle powiązany z rządem i całą tą sprawą USUK-u. On naprawdę jest za, popiera to wszystko, co się dzieje, więc gdybyśmy wyznały mu prawdę... - Mad rzeczywiście szukała właściwych słów, co nigdy przedtem jej się nie zdarzało, kiedy zapomniała kwestii i musiała „haftować”. - Nie wiem, naprawdę nie wiem, co on by zrobił. Mógłby uznać za swój obowiązek powiadomienie Amerykanów, że kapral nie żyje i jak zginął.

Wyraźnie zszokowany farmer milczał. Po chwili pokręcił wolno głową.

- To dla pani bardzo niezręczna sytuacja. Bardzo niezręczna. Do czego to dochodzi, żeby kobieta nie mogła poradzić się własnego syna... Nie winię go zresztą, przecież pracuje dla rządu, a skoro oni uważają, że to właściwa droga i że nie obejdą się bez jankeskich wojsk... - Wstał i walnął jedną pięścią w drugą. - Po prostu w głowie mi się to nie mieści, i tyle. A gdyby mój Mick znalazł się na miejscu Andy'ego, to klnę się na Boga, że byłbym z niego dumny. Toż to pierwszy strzał oddany w obronie kraju i chylę przed tym dzieciakiem czoło. - Stał, nie odrywając od nich wzroku. - No, powiedziałem swoje i idę. Proszę pamiętać, że o każdej porze dnia i nocy jestem na wasze usługi.

Później Joe opowiedział Emmie, że widział dwóch marines i policjantów z owczarkami niemieckimi, jak szli polem w stronę pastwiska za przełazem.

- Byłem w zagajniku i oni mnie nie widzieli. Szli śladem, który zostawił im pan Willis. Pewnie później dotarli do plaży. Nie mam pojęcia, czy psy zgubiły tam ślad, w końcu minęły trzy dni, prawda? Fala musiała zmyć wszelkie odciski stóp.

- Czy inni wiedzą?

- Tylko Terry. Uznałem, że lepiej mu powiedzieć, co tu się działo, bo Andy prędzej czy później by się wygadał.

- I co on na to?

- No, był porządnie wstrząśnięty, bardziej niż bym się spodzie-

wał. Powiedział, że gdyby chodziło o brytyjskich żołnierzy, czułby się w obowiązku pójść do nich i wziąć winę na siebie, ale ponieważ to jankesi i najeźdźcy, musi sam zasadzić się na nich z łukiem i osobiście ustrzelić choćby tuzin za swoją i Trembathów krzywdę.

Jest na to określenie, myślała Emma, takie zjawisko nazywają efektem kuli śniegowej. Ktoś popchnie małą śnieżkę, a potem ona nabiera przyśpieszenia, zagarnia po drodze coraz więcej śniegu i nagle powstaje lawina, giną ludzie i ich dobytek.

Następnego ranka na szczycie wzgórza czekał na chłopców szkolny autobus, udekorowany, jak opowiadał później Terry, flagą USUK-u. On sam obserwował tylko odjazd, bo technikum nadal było zamknięte.

- Zbyt wielu z nas trzymają w areszcie, więc nic dziwnego - mówił z ponurą miną.

Mad zaproponowała wnuczce wspólną wyprawę na zakupy do Poldrea. Emma wolała jechać sama, niepilnowana Mad w supermarkecie mogła być niebezpieczna. Ale ponieważ w żaden sposób nie dała się zniechęcić, wyruszyły w końcu razem. Kiedy już okazały przepustki przy wszechobecnych blokadach, skierowały się nadmorską drogą do miasteczka. Mad ostatecznie pozwoliła Emmie prowadzić, uległszy jej argumentom, że osoba chora na serce nie powinna siedzieć za kółkiem. Chciały zaparkować wóz naprzeciwko supermarketu, ale natrafiły na długi rząd samochodów wzdłuż drogi, a kolejka chętnych do wejścia ciągnęła się aż za róg budynku.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedziała Mad. - Każdy chce zgromadzić jakieś zapasy, zanim się skończą dostawy. Dziękujmy Bogu za nasze buraki. Zajmę miejsce w kolejce, a ty postaraj się gdzieś zaparkować.

Emma krążyła po wąskich uliczkach, aż wreszcie udało się jej wcisnąć w prywatną przecnicę koło kaplicy metodystów. Wracając do supermarketu, wpadła na pana Willisa, który wychodził ze sklepiku Toma Bate'a.

- O, dzień dobry - powitała go. - Nareszcie ładny poranek, co? Skłonił się zamaszycie.

- O tak, ładny. Dla tych, którzy go dożyli. - Jedno oko za okularami przymknęło się na moment, a kącik ust drgnął. - Szkoda, że w nocy tak wiało, przez to nasz przyjaciel odnalazł się na skale Kel-

lyvardo, zamiast trafić na morskie głębin, dokąd zamierzałem go wysłać. Zaklinował się między małżami. Aż trudno uwierzyć, co?

Emma milczała. Pan Willis mógł mieć na myśli tylko jedno. Kellyvardo to długa, prawie trzymetrowa rafa, widoczna tylko podczas odpływu. Zaznaczona palem, stanowi zagrożenie dla żeglugi między portem Poldrea a kotwicowiskiem.

Skinął głową jakiemś przechodniowi, po czym mówił dalej:

- Pal pękł podczas sobotniego sztormu. Zdarzało się to już wcześniej, nie zamocowali go na odpowiedniej głębokości. Tom Bate łowił tam wczoraj, on zna każdy skrawek tego terenu. Trzyma w łodzi tyczkę do pomiaru głębokości wokół rafy i używa jej, kiedy wyłącza silnik. Wodorosty są tam świeższe niż przy brzegu, więc Tom przywozi mi je czasem, przydają się w ogródku. - Urwał i znów do niej mrugnął. - „O, a cóż to takiego?” - zdziwił się nasz Tom, natrafiwszy na coś miękkiego w pobliżu złamanego pala. Szturchnął znowu, no i muszę powiedzieć, że to, co mu się nadziało, okazało niezbyt przyjemne. Włączył z powrotem silnik i zawrócił do portu, gdzie złożył odpowiedni meldunek. Cóż, chyba tym razem nici ze znaleźnego, no nie?

Emma odczekała, aż kolejny przechodzień oddali się poza zasięg głosu, i dopiero wtedy zapytała:

- Więc marines już wiedzą?

- Wiedzą, wiedzą. Trzymali Toma na przesłuchaniu prawie cały dzień i dlatego nic wczoraj nie złapał, a pani nie dostała dziś świeżej ryby. Czemu pani nie wejdzie i sama go nie zapyta?

Emma pokręciła głową.

- Raczej nie mam ochoty. - I po chwili dodała: - W wiadomościach nic nie podawali.

- Pewnie, że nie. To poufna sprawa, prawda? Ja dowiedziałem się tylko dlatego, że akurat wpadłem do sklepiku po moją partię wodorostów. - Pokazał jej wypchaną torbę.

Wprost nie do wiary, ale oko znów się przymknęło, po czym pan Willis, wymachując torbą, przeszedł przez ulicę do sklepu z wyrobami żelaznymi. Emma zerknęła trwożnie w okno sklepiku z rybami. Na kontuarze leżały suszone śledzie i solony dorsz, a zza szyby obserwował ją Tom Bate.

- Na nic się pani nie skusi, złociutka? - spytał z uśmiechem.

- Dziękuję, ale nie - odparła.

I ruszyła do supermarketu. Babka tymczasem posunęła się w kolejce prawie do wahadłowych drzwi. Rozmawiała właśnie z żoną dyrektora banku.

- Chcą to nazwać dukatem - mówiła, oglądając się przez ramię. - Historyczne skojarzenia i w ogóle, coś jak dublon. Ale czy ten dukat ma mieć za podstawę dolara, tego mój syn nie powiedział. Myślę, że leci do Brazylii, aby się tego dowiedzieć. Pani mąż na pewno o tym słyszał. Chodzi mi o dukata.

- Nic mi nie wspominał - odpowiedziała towarzyszka z kolejki. Wyglądała na dość oszołomioną.

- Oo... No, może jest trochę za wcześnie. Mój syn kieruje bankiem handlowym, więc zawsze jest o krok do przodu.

Inni ludzie z kolejki przysłuchiwali się pilnie.

- W życiu nie słyszałam o żadnym dukacie - szepnęła jedna kobieta do drugiej. - Ani o dublonie. To fatalnie, ledwie zdążyliśmy przywyknąć do układu dziesiętnego...

- Ciężkie czasy dla emerytów - burknął jakiś staruszek.

- Co się pan przejmuje - zaśmiała się Mad. - Kiedy wprowadzą kartki, będziemy płacić pół ceny za sok pomarańczowy, jak niemowlaki.

Minęli wahadłowe drzwi. W środku był istny dom wariatów. Klienci pchali się na wszystkie strony, obsługa traciła głowę. Na ladach leżały kartki z napisami: „Przepraszamy. Brak bekonu, masła i sera”. Ludzie napychali druciane koszyki puszkami, na których zaznaczono: „Jeszcze nie na kartki”, ale za to cena każdej zdążyła już pójść w górę.

- Nie bierzemy - zdecydowała Mad. - To stary towar, wypchnięty teraz do przodu, żeby przyciągnąć naszą uwagę.

Młodszy sprzedawca za ladą drgnął.

- Ależ nic podobnego, proszę pani. Proszę nas zrozumieć, nas te nowe przepisy wytrąciły z równowagi jeszcze bardziej niż klientów. Racjonowanie wprowadzono tak nagle, że po prostu trudno się w tym wszystkim połapać. Nie mieliśmy żadnych dostaw i nie wiemy, kiedy nadejdą.

Mad przepchnęła się do przodu, torując drogę wnuczce, i ostatecznie wyszły ze sklepu z dość dziwnymi zakupami - po-

cząwszy od tuzina bladawych kawałków rąbarki i paru funtów kiełbasek, a skończywszy na papierze toaletowym i kilku butelkach oranżady.

- Kochanie, nie sędzę, aby coś z tego Dottie umieściła na liście - zaprotestowała Emma.

- Nie szkodzi, na pewno wszystko się przyda. I nie wolno nam robić zapasów. Zapamiętałam to sobie z czasów wojny: kto gromadził zapasy, był wyrzutkiem społeczeństwa. A co z rybami?

- Nie ma - odparła Emma, rozglądając się wokoło. Ludzie wciąż szturmowali wejście. Muszę kłamać, myślała. - Sklep zamknięty, Toma Bate'a nie ma. - A jednak będą tamtędy przechodzić w drodze do samochodu. - Coś ci powiem - rzekła szybko. - Idź teraz do drogerii, a ja podjadę po ciebie samochodem.

- Ale ja nie potrzebuję niczego z drogerii!

- Chłopcy potrzebują. Kończy im się pasta do zębów, mnie zresztą także. A poza tym mydło mają tam lepsze niż w supermarkecie.

Emma podprowadziła samochód pod drogerię, gdzie Mad już na nią czekała. Kiedy zatrzymały się przy blokadzie, aby pokazać przepustki, pan Libby rozmawiał właśnie z dyżurnym wartownikiem. Czekaając na zakończenie formalności, pochylił się do ich okna i rzekł konfidencko:

- Dzień dobry, chyba mam dla was coś dobrego. Nawiasem mówiąc, trzymam to tylko dla niektórych. Zastępca dowódcy to wyjątkowo uprzejmy džentelmen. Chcę powiedzieć, że jeśli człowiek się im przysłuży, to i oni pójną mu na rękę. - Zerknął za siebie. - Co powiecie na skrzynkę kalifornijskiego wina?

- Przykro mi - odparła Mad. - To wbrew moim zasadom.

Pan Libby wytrzeszczył oczy.

- Żaden szwindel, wszystko oficjalnie załatwione. Bez cła! Znosi się na duży import tego wina i to jest pierwsza partia. Sama się pani przekona, że jest o wiele delikatniejsze od tego francuskiego cienkusa.

- Panie Libby, jeśli kiedyś zgłoszę się do pana po kalifornijskie wino, będzie to znak, że znudziła mi się brudna woda z wanny. Jedziemy, Emmo. - Odwróciła się do wnuczki i po chwili mknęły pod górę. - Wcale nie żartowałam. Kalifornijskie wino, rzeczywi-

ście! Więc Vic miał jednak rację. Ciekawe, co nam jeszcze zaczyna wciskać. Pewnie herbatę w torebkach i te obrzydliwe mięczaki.

Kiedy dotarli bezpiecznie do garażu, Emma spojrzała jej w oczy i powiedziała:

- Spotkałam pana Willisa. Podobno znaleźli kaprała.

Mad się nie odezwała. Dopiero wysiadając z auta, spytała krótko:

- Gdzie?

- Przy Kellyvardo. Wczoraj. I to Tom Bate go znalazł. Dlatego nie chciałam, żebyś wchodziła do jego sklepu.

Wyjaśniła babce kilka dalszych szczegółów. Tymczasem Mad zbierała zakupy.

- Na pewno będzie sekcja. Ciekawe, jak u nich wygląda śledztwo w takich przypadkach; czy potraktują to jakoś specjalnie, ponieważ chodzi o ich człowieka?

- Nie wiem - odparła Emma. — I nikt nam tego nie powie.

- Więc musimy czekać. I słuchać wiadomości.

Emma nie wiedziała, czy ma odetchnąć z ulgą, czy też ich sytuacja jeszcze się pogorszyła. W sumie chyba źle się stało. Kiedy mówiono tylko o zaginięciu, można było podejrzewać, że kapral zdezerterował, że gdzieś się ukrywa, ona zaś wraz z resztą wtajemniczonych mogli mieć nadzieję, iż sobotnia sztormowa fala porwała ciało daleko od lądu. W takim wypadku zwłoki wypłynęłyby po wielu dniach albo nawet tygodniach, i to w stanie uniemożliwiającym rozpoznanie. Co innego teraz, kiedy okazało się, że tkwi w szczelinie skały Kellyvardo. Emma wspominała czasy, kiedy razem z chłopcami brodzili tam przy odpływie - skała tylko na krótko ukazywała się w całości. Chodzili tam na poszukiwanie krewetek, ale teraz wstrząsnęła się na samą myśl. Już nigdy się na to nie zdobędzie.

Dottie powitała je nowiną; telefonował Pa.

- Był w wielkim pośpiechu, Madam. Wyjeżdżał akurat na lotnisko, najpierw Nowy Jork, a potem Rio. Sekretarka ma jego adresy, ale chyba się zmartwił, że pani nie zastał.

Mad rozłożyła ręce.

- Nie powinnam wyjeżdżać. Przynajmniej usłyszałabym jeszcze jego głos.

Wyglądała na przygnębioną, co jak na nią, było dość niezwykle. Emma wyładowała zakupy na kuchenny stół i poszła za babką.

- Co właściwie miałas na myśli, mówiąc o jego głosie?

- Tylko to, co powiedziałam.

Emma wpadła w panikę.

- Chyba nie przypuszczasz, że samolot spadnie albo ktoś go uprowadzi, albo w ogóle stanie się coś strasznego?

- Nie, kotku, oczywiście, że nie. To tylko takie głupie uczucie, nie myśl już o tym.

Emma próbowała sobie wyobrazić, że siedzi obok Pa w samolocie do Nowego Jorku, z daleka od wszystkich kłopotów i domowego zamieszania. Pa skakałby koło niej, rozpieszczał, popisowałby się z dumą swą „nagle dorosłą córką”. Nowy Jork, Rio, wszystko takie ekscytujące, nowe, ale nade wszystko bezpieczne i bez żadnej odpowiedzialności, poza tym żeby ładnie wyglądać i dawać mu powód do dumy. A zamiast tego siedzi tu jak w oblężonej twierdzy z blisko osiemdziesięcioletnią Mad, z chłopcami na karku i czuje, że z każdym dniem robi się coraz bardziej posępnie, coraz bardziej narasta atmosfera grozy.

Po południu wybrała się na spacer polami w stronę klifów wyłącznie po to, aby widokiem złowieszczej skały Kellyvardo utrwalić w sobie ten nastrój. Morze było idealnie spokojne i gładkie. Co za odmiana w porównaniu z sobotnim sztormem! Żadnych skołtunionych bałwanów, żadnych białych grzyw na poskręcanych fałdach. Smukła sylwetka Kellyvardo sterczała znad lustrzanej powierzchni wody, złamany pośrodku pal wyglądał jak sylwetka pochylonego człowieka. Daleko, na horyzoncie okalającym Dodman widać było kształt zbliżającego się okrętu wojennego. Emma stała i patrzyła, dopóki szary kontur nie zarysował się wyraźniej. Tak, to ten sam okręt. Wraczał na dawne miejsce postoju. Czy to coś pomoże, przynajmniej w tym, co dotyczy ich samych, czy też wszystko ułoży się jeszcze gorzej? Pułkownik Cheeseman z pewnością jest bardziej wyrozumiały od swego zastępcy, ale może zmienić swe nastawienie teraz, po odnalezieniu martwego kaprała. A Wally Sherman? Czy także się zmieni? Wykreśliła się tyłem do morza i wspiąwszy się na wzgórze, wróciła na pole. Ile godzin leciałaby przez Atlantyk u boku Pa? Czy samolot już wy-

ładował, a Pa, witany przez znajomych biznesmenów w saloniku dla VIP-ów, zdążył już zapomnieć o matce i córce?

Wróciwszy do domu, zobaczyła idących podjazdem chłopców. Szkolny autobus dowiózł ich do najwyższego punktu głównej drogi. Wszyscy nosili sportowe krawaty USUK-u w jaskrawych barwach, kontrastujących z kolorem ich skóry. Colin, jak zwykle, pierwszy przybiegł z nowinami:

- Nie mieliśmy żadnych lekcji - darł się na całe gardło. - Nic, tylko same marsze i nowe piosenki. Uczyliśmy się „Gwiazdzistego sztandaru”, a panna Birkett czytała nam historie o Ameryce. I zgadnij, kto u nas był.

- No kto?

- Pani Hubbard, no wiesz, ta z zębami. Urządziła nam pogadankę o Jezusie, mamy mieć taką co tydzień, ale już nie z nią, ona tylko pokazywała naszej pani, jak to się robi.

Emma odwróciła się do starszych.

- U was było tak samo?

- Nie - odparł wyraźnie zde gustowany Andy. - Tylko ciągle dzielili nas na grupy i kazali pomagać temu, kto siedzi obok. To miała być nowość. Ale ja ciągle trafiałem między dziewczyny, a one nic, tylko chichotały i szturchały mnie w plecy. Koszmar! A później mieliśmy coś, co nazywali „rozmyślanie”. Trzeba było siedzieć cicho przez dziesięć minut, a potem każdy po kolei wstawał i musiał powiedzieć, o czym myślał.

- I co im powiedziałaś?

- Tylko tyle, że uważam to za bardzo głupi pomysł. Więc szybko kazali mi usiąść i nie dostałem gwiazdki.

- A ja dostałem - pochwalił się Sam, którego szczupła buzia rozjaśniła się nagle w uśmiechu. - Chociaż to jakiś nowy rodzaj gwiazdki, jak te na naszych krawatach. Moje rozmyślanie było o Spry'u. Opowiedziałem, jak któryś z turystów umyślnie porzucił na plaży szczeniaczka, a pan Trembath wziął go do domu, nauczył zaganiać owce, i że wszyscy Spry'a kochali, a potem go zastrzelono.

Terry, znużony odgrywaniem wszystkich płyt gramofonowych, przykuśtykał do nich na kulach.

- Założę się - rzekł, wysłuchawszy historii Sama - że to nimi wstrząsnęło.

- Bo ja wiem? Pan Edyvean i wizytator mieli dość ponure miny, a pan Edyvean dał mi gwiazdkę za bujną wyobraźnię.

- Pogadanka o Jezusie była o wiele lepsza - upierał się Colin, próbując pociągnąć kulę Terry'ego. - Bo potem odgrywaliśmy sceny z życia Jezusa. Niektórzy robili ten kawałek z bochenkami chleba i rybami. Chodzili po klasie i tak na niby rozdawali chleb. To było głupie, więc wzięłem linijkę i wytrząsałem ich po łapach. Panna Birkett spytała, co ja robię, a ja na to, że nie chciałem być niegrzeczny, tylko jestem Jezusem i wyganiam przekupniów ze świątyni. Pani Hubbard zaraz wyszła z klasy, podobno czekali na nią w innej szkole, ale panna Birkett i tak dała mi gwiazdkę.

Po herbacie cała trójka podzieliła się szkolnymi nowinami z Mad. Ku zdumieniu Emmy, babce wcale nie było do śmiechu. Przeciwnie, zatrzęsała się z oburzenia.

- W życiu nie słyszałam takiego... - tu użyła słowa, którego musiała się nauczyć od Bena. - Jak oni śmiać wprowadzać tego rodzaju zmiany w programie bez porozumienia z rodzicami, dziadkami, opiekunami? Jeśli to ma być początek tego całego TIK-u, to niechby jak najszybciej rozpętała się burza w Ministerstwie Edukacji. Przypuszczam, że ono także będzie połączone z amerykańskim, a na czele posadzą jakąś idiotkę w rodzaju Marthy Hubbard. W tej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak zatrzymać dzieci w domu. Sama je będę uczyć.

- To wbrew prawu - ostrzegła ją Emma.

- Nic mnie to nie obchodzi. Niech mnie zaskarżą. Te upiorne krawaty... Aż trudno uwierzyć, że są obowiązkowe. I co to za jakieś pogadanki o Jezusie zamiast porządnej nauki religii? A swoją drogą, dużo bym dała, żeby zobaczyć, jak Colin przepędza przekupniów ze świątyni.

Włączyła telewizor. Z ekranu uśmiechały się twarze prezydenta i królowej, którzy ramię w ramię stali w Białym Domu.

- No nie! - jęknęła. - To w najwyższym stopniu nieuczciwe. Co, na Boga, robi książę Filip?

- Pewnie nadal obozuje z Indianami - odparła Emma.

- Gdyby coś podobnego zdarzyło się podczas wizyty prezydenta tutaj, gdyby powieźli go kareta na otwarcie parlamentu, to wiem, kto pierwszy dostałby szału - Dottie. Wyłącz to!

- Zaraz, może będzie coś o kapralu.

Ale nie było. Przeważającą część programu zajęły przygotowania do obchodów Święta Dziękczynienia, a ponieważ Zjednoczone Królestwo po dwustu latach miało się połączyć z dawną kolonią, zapowiadała się wielka gala z dniem wolnym od pracy dla wszystkich.

Późnym wieczorem zadzwonił telefon.

- To ty, Emmo? Tu Wally - odezwał się dość potulny głos. - Wróciliśmy do obozu.

- Domyśliłam się tego. Widziałam, jak wasz okręt wpływał do zatoki.

- Racja. - I po chwili wahania dodał: - Słyszałem, że miałaś sporo kłopotów. Bardzo mi przykro.

- Nam także.

Znowu umilkł.

- Dzwonię, bo... bo to jeszcze nie koniec. To znaczy może dla ciebie tak, ale nie dla was jako okręgu. Znowu zanoszą się na nasilenie restrykcji. Widzisz, odnaleziono ciało kaprala Wagga. Przeprowadziliśmy prywatną sekcję i wychodzi, że on wcale nie utonął. Obrażenia głowy są bardzo rozległe, ale co właściwie się stało, trudno powiedzieć. Mógł spaść z klifu na skały, a potem fala sztormowa zmyła go do morza, ale też mógł go ktoś zepchnąć. Nie ma żadnego dowodu. - Odchrząknął.

- Jakie to przykre - rzekła Emma. - Cóż za okropny wypadek!

- Chodzi o to, że chociaż w radiu, telewizji czy prasie nie padnie na ten temat ani jedno słowo, żeby nie zaszkodzić wzajemnym stosunkom, to nasze władze są na was dość cięte. Nie wierzą w wypadek, ale też nie mają do kogo się przyczepić. Dlatego chcą zastosować środki specjalne. Żadnego bratania się z miejscowymi - wszyscy jesteście poza nawiasem. A to oznacza, że nie mogą do ciebie przychodzić, więc chciałem ci tylko dać znać.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Taka jest sytuacja, nic nie poradzę. Według tych nowych przepisów nie powinienem nawet do ciebie dzwonić.

- Zaczekaj. Co właściwie miałeś na myśli, mówiąc o środkach specjalnych?

Znowu zapadło niezręczne milczenie.

- Obawiam się, że nie mogę powiedzieć, ponieważ naprawdę nie wiem. Wolałem cię jednak ostrzec. Dobranoc.

- Dobranoc.

Odłożyła słuchawkę. I co teraz będzie? Mad poszła już się położyć. Emma zgasiła w szatni światło i stała, zadumana, w ciemności.

16

Dość szybko się dowiedziała. Rano, kiedy chłopcy odjechali do szkoły, Dottie odciągnęła ją na bok i zaczęła prosić, by Emma sama wybrała się do Poldrea i przywiozła parę rzeczy z wczorajszej, nie zrealizowanej listy zakupów.

- Zawsze to samo! - żaliła się jej po cichu. - Wystarczy spuścić Madam z oka podczas zakupów. Nikt nie weźmie do ust tych kiełbasek, musisz je oddać, a chociaż papier toaletowy zawsze się przyda, nikogo się nim nie nakarmi, prawda? Masz tu listę, kochaneczko, trzymaj się jej ściśle i postaraj się wymknąć, zanim Madam cię zawoła.

Emma posłusznie udała się do garażu. Czekał tam na nią Joe z pustym kanistrem na olej.

- Mogę pojechać z tobą? Muszę go napełnić, jeśli mam utrzymać ogrzewanie w szklarni. Robi się chłodno, a prognozy zapowiadają złą pogodę. Włożę to do bagażnika.

Ucieszyła się z towarzystwa Joego. Wczoraj zamieniła z nim raptem kilka słów i jeszcze ten jego nienaruszalny zwyczaj spędzania w warzywniku większej części dnia (Terry złośliwie nazywał to wałkonieniem się!). Teraz mogła mu wreszcie opowiedzieć o wczorajszej rozmowie z Wallym Shermanem.

- Twój drogi porucznik - rzekł Joe, krzywiąc wargi z rozbawieniem, ale i dezaprobatą - miał pewnie na myśli, że jest niepokieszony z powodu zakazu kontaktów. Założę się, o co zechcesz, że gdyby nie to, przyleciałby w dyrdy jeszcze wczoraj wieczorem.

- Nie wiem. Był jakiś zmieszany, nie zachowywał się jak ktoś, kto nie może przyjść na randkę.

- Faktycznie miałas z nim randkę?

- Nie, oczywiście, że nie.

Kiedy dojechali do blokady na dole, wartownik przekreślił ich przepustki oraz nalepkę na szybę czerwonym X.

- Co to ma znaczyć? - spytała Emma.

- Od jutra w tym okręgu obowiązuje zakaz poruszania się prywatnymi samochodami dla miejscowej ludności. Będziecie musieli korzystać z publicznego transportu.

- Kto tak powiedział?

- Rozkaz komendanta. Otrzymacie zawiadomienie o ewentualnym odwołaniu.

I odprawił ich machnięciem ręki.

Emma, zwalniając hamulec, odwróciła się z oburzeniem do Joego.

- Przecież nie mogą nam tego zrobić! Jak ludzie dadzą sobie radę? Wiesz, że koło nas przejeżdżają dziennie tylko dwa autobusy do Poldrea?

- Lepiej napełnij bak. Stacja jest niedaleko.

Stacja, w której zwykle kupowali benzynę, leżała przy drodze wzdłuż klifów, ale gdy Emma tam podjechała, zobaczyła na pompie tabliczkę *Benzyzny brak*. Na szybie okienka, za którym zwykle siedział ktoś z obsługi, widniał napis *Zamknięte*.

- Czy starczy nam benzyny do Poldrea i z powrotem, pod górę? - zapytała.

- Na styk.

- Oczywiście, to przed tym przestrzegał mnie porucznik. Czy mogą tak postępować? Legalnie?

- Przypuszczam, że gdybyś była władzą okupacyjną - a coraz bardziej wygląda na to, że tym właśnie oni są - mogłabyś sobie pozwolić prawie na wszystko.

Tym razem kolejki przed supermarketem nie ciągnęły się zbyt daleko - niewątpliwie większość mieszkańców zdążyła zapatrzeć się wczoraj - a wewnątrz sklepu nastroje znacznie złagodniały.

- Bardzo mi przykro - tłumaczył się starszy sprzedawca, zerknąwszy na listę Dottie - ale niektórych towarów po prostu nam brakuje. Wóz dostawczy, którego spodziewaliśmy się wczoraj,

w ogóle nie dotarł, a przez telefon powiedziano nam, że został zatrzymany i nie wiadomo, kiedy przyjedzie.

Emma nie zwróciła kiełbasek. To jasne, że się przydadzą. Zgarnęła z półek wszystko, co nadawało się do wykarmienia chłopców i wyszła. Przed sklepem czekał Joe.

- Nie ma oleju - oznajmił. - Wczoraj sprzedali resztkę. Facet mówi, że gdzieś był napad, ale nikt nie wie, co i jak. Niech tylko złapie mróz, to szlag trafi moje sadzonki.

Ludzie na ulicy zbijali się w ciasne grupki. Do uszu Emmy i Joego docierały strzępki rozmów:

- Znaleźli jednego ze swoich utopionego i teraz wszyscy mamy cierpieć...

- Powiadają, że miał nieźle w czubie, widziano go w Raju Żeglarsza, to i spadł na zбитy łeb koło Little Hell...

- No nie wiem. Kręcił się koło Myrtle Trembath, a wiadomo, że Jack ma charakterek...

- Cóż, czy tak trudno dodać dwa do dwóch?

- Czemu w takim razie ktoś się nie przyzna? Dlaczego zwala to na nas?

Emma pociągnęła Joego za rękaw.

- Jedźmy - mruknęła. - Jedźmy.

Wyczuła, że kilka osób wyraźnie im się przygląda. Wrażenie to nasiliło się jeszcze bardziej, kiedy jeden z mężczyzn, zatrudniony kiedyś do wyczyszczenia kominka w pokoju muzycznym (zrobił to niestannie i nigdy więcej go nie wzywano), burknął do swego towarzysza: „Niektórym to dobrze...”. Gapił się bez żenady na torbę z kiełbaskami w jej koszyku. Spadek temperatury nie tylko zaostrzył atmosferę, ale w pewnym stopniu wpłynął na postawy. W powietrzu czaiła się wrogość - i pewnie z powodu silnego poczucia winy Emmie wydało się, że skierowana jest jeśli nie osobiście przeciwko niej, to w każdym razie przeciw mieszkańcom domu na wzgórzu. I jeszcze jedno: po miasteczku nie kręcili się żadni żołnierze wolni od służby, jak miało to miejsce zaledwie tydzień temu, ba, nawet wczoraj.

Właśnie przechodzili przez ulicę do auta, kiedy tuż przed nimi zaparkował niebieski samochodzik. Z okna wychyliła się głowa siostry Bennett.

- Mnie nie mogą przekreślić na czerwono przepustki, wiecie? Ani doktorowi. Ale musiałam im podać listę wszystkich pacjentów, których odwiedzam, więc mają na mnie oko. Wiem, kogo szlag przez to trafi: mojego szwagra Jacka. Powiada, że nie zamierza gromadzić dla nich mleka, będzie je sprzedawał wszystkim naokoło jak jego ojciec.

- Ale, siostrzyczko Bennett, kim są ci „oni”?

Pielęgniarka wskazała głową port i obóz na plaży.

- Tak trudno się domyślić? - odparła i chwyciwszy torbę, ruszyła w stronę małego domku, gdzie zza szyby wyglądała czyjaś napięta twarz. - U pani Williams zaczął się poród - wyjaśniła Emmie. - Nie zatrzymasz dziecka w brzuchu z powodu jednego martwego żołnierza.

Wszyscy wiedzą, wynioskowała Emma. Nie - jak to się stało i dlaczego, ale że te wszystkie restrykcje, zakazy, regulacje, ograniczenia temu właśnie zawdzięczają. A to, na kogo zwalają winę, zależy od osobistej sytuacji, pracy, żywego inwentarza.

Znów ktoś próbował ich wyminąć samochodem, ale musiał się zatrzymać, bo Emma akurat otwierała drzwi od strony kierowcy. Był to pan Libby, ale nie przypominał wcale wczorajszego jowialnego kupca, który chciał namówić Mad na skrzynkę kalifornijskiego wina. Dziś miał zaciętą twarz bez uśmiechu i nie zwracając najmniejszej uwagi na Emmę, wołał do właściciela konkurencyjnego baru po drugiej stronie drogi:

- Hej, Jim! Od ciebie także się wynieśli?

Mężczyzna pokiwał głową.

- Na to wygląda. Przykra sprawa, ale ty masz jeszcze gorzej. Żaden klient nie dotrze do twojego pubu, chyba że piechotą, a komu by się teraz chciało chodzić? - uśmiechnął się szeroko.

- Jadę do zastępcy komendanta, może uda się coś wytargować - odkrzyknął pan Libby. - Dlaczego uczciwi kupcy, tacy jak ja, mają cierpieć za czyjś przestępstwa?

Skręcił gwałtownie na środek ulicy i pomknął naprzód, omal nie potrącił staruszki, która usiłowała przejść na drugą stronę. Joe patrzył za nim, zdumiony.

- Mam nadzieję, że zabraknie mu benzyny, nim tam dojedzie - rzekł do Emmy.

- Ależ skąd - odparła ze złością. - Marines na pewno zatankowali mu wczoraj do pełna, jeszcze zanim zamknięto ich w obozie.

Teraz są już nie tylko „oni” i „my”. Miejscowa społeczność także się podzieliła. Nikt nie wie, kto kogo popiera ani po której stronie stoi. Wartownik przy szlabanie zerknął z rozbawieniem na przekreśloną nalepkę.

- Nieprędko się zobaczymy, co?

Emma nie odpowiedziała. Wskaźnik poziomu paliwa przesunął się na rezerwę. Na wzgórze jakoś udało się wjechać, a resztę drogi aż do garażu przebyli z prychającym silnikiem.

- No! - zawołał triumfalnie Joe. - Ale na tym koniec.

Z ponurą miną wyciągnął koszyk z zakupami. Na kiełbaskach leżało półtora funta przydziałowego masła.

- Potrzebujemy broni, nie masła - burknął.

Tak mógłby powiedzieć Terry, ale nie Joe. Czy to zapowiedź przyszłości?

- Ja też jestem zła, ale co z tego? Chyba rozumiesz, że gdyby nie sprawa z kapralem, nie byłoby żadnych dodatkowych środków bezpieczeństwa?

- Wiem - przyznał Joe. - Ale co ja poradzę, że tak czuję?

- Kapral Wagg zginął i to my odpowiadamy za jego śmierć. Dziecko nie potrafi odróżnić dobra od zła.

Joe trzasnął drzwiami samochodu i podszedł do bramy garażu.

- Nie masz co powtarzać w kółko tego samego, bo mnie to nie bierze. Równie dobrze możesz cofnąć się do początku tej historii i spytać, kto pierwszy rzucił kamieniem przy grocie. Andy działał pod wpływem pierwotnego impulsu ludzkiej istoty, która rozumiała, że ktoś zagraża jej ziemi.

- Skoro tak, to znaczy, że cała cywilizacja jest tylko stratą czasu. Ze nie dokonaliśmy żadnego postępu.

- Masz absolutną rację. Nie dokonaliśmy i dziwię się, że dopiero teraz to zauważyłaś. Nie umiem czytać ani pisać, pracuję tylko rękami, a nie głową, i w razie potrzeby użyję ich, by obronić swój dom.

Szli do domu w milczeniu. No i co z tego, myślała Emma, skoro rodzaj mojego wykształcenia, przeczytane książki, rozmowy dorosłych, którym się przysłuchiwałam, nauczyły mnie brać pod uwagę obie strony medalu, bez względu na okoliczności? Jak

mogę ja albo ktoś inny dokonywać ostatecznych podsumowań? Marines mieli prawo wprowadzić restrykcje. Społeczeństwo ma prawo się oburzać. I bilans wychodzi na zero.

- Wiesz, Joe? Zapominamy o jednej rzeczy, która prawdopodobnie ma zasadnicze znaczenie w naszej krytycznej sytuacji. Że kiedy biedny kapral Wagg szedł do nas, wcale nie chciał bić się z Terrym, tylko przeprosić go i podać mu rękę.

- Masz rację, toteż umierał z czystym sumieniem. Ale Andy nie mógł znać jego zamiarów i dlatego twoje zasady dobra i zła są martwe, tak samo jak kapral.

Emma zostawiła go przy bocznych drzwiach z zakupami, które miał odnieść do kuchni. Nie czuła się na siłach, aby tłumaczyć, dlaczego zdobyła tak mało wiktuałów z listy Dottie. Niech zrobi to Joe, a przy jego nowo odkrytych zdolnościach do argumentacji i przedstawiania spraw na pewno znakomicie sobie poradzi. Idąc do frontowych drzwi, zobaczyła babkę z Benem. Zbierali świerkowe szyszki i ładowali je do worka. Było to jedno z owych bezsensownych zajęć, które Mad zawsze sprawiały wiele radości. Potem z reguły zapominała spalić te szyszki, chyba że ktoś jej przypomniał. W piwnicy leżały ich całe stosy.

- Witaj, kotku - zwołała radośnie do wnuczki. - Ben i ja pracujemy jak czarni wyrobnicy.

Wyjątkowo niefortunny zwrot, pomyślała Emma, ale Ben w wieku trzech lat nie widział w nim nic obraźliwego. Na kędzierzawej główce miał wełnianą czapkę z ogromnym pomponem i wyglądał jak żywa ilustracja z misyjnego magazynu.

- No, koniec - obwieściła Emma. - Mam na myśli wyjazd na zakupy samochodem. W przyszłości czeka nas autobus, chyba że go skasują, a wtedy pozostanie tylko chodzić piechotą.

- Co się stało? - spytała Mad. - Miałaś wypadek?

- Nie, ale unieważniono przepustki. Wprowadzili zakaz jazdy dla prywatnych samochodów i w ogóle zaostrzyli wszystkie przepisy. - Zastanawiające, że ze strachu czy irytacji nie chciała zawiadamić o tym Dottie, ze skrywaną satysfakcją obserwowała jednak minę Mad. - W gruncie rzeczy - dodała mimochodem - spodziewałam się tego. Porucznik Sherman ostrzegł mnie wczoraj przez telefon.

- Ach, więc to tak.

Babka podniosła worek i zarzuciła go sobie na ramię. Przez jeden upiorny moment wyglądała jak pan Willis, kiedy zarzucał na plecy ciało kaprala.

- Zrobili sekcję - ciągnęła Emma. - Nie mają żadnych dowodów, ale podejrzewają najgorsze. Krótko mówiąc, chociaż nikogo nie aresztowali, postanowili uprzykrzyć życie miejscowej społeczności, i musimy się z tym pogodzić.

Mad nic nie powiedziała, tylko zaczęła pogwizdywać z cicha. Po powrocie do domu wysypała szyszki do dużego kosza i poszła prosto do telefonu.

- Nie ma po co dzwonić do komendanta - ostrzegła ją Emma. - Mamy zapewnione drugie albo i pierwsze miejsce na liście podejrzanych.

- Wcale do niego nie dzwonię. Próbuję tylko sprawdzić, czy nasza szacowna posłanka przebywa nadal w swoim okręgu wyborczym, czy też uciekła do Westminsteru.

Po mniej więcej pięciominutowym oczekiwaniu uzyskała połączenie. Nie, pani poseł nie opuściła Kornwalii, ale jeszcze dziś zamierza wyjechać. Jak nazwisko, proszę? Pani Moorhouse jest wprawdzie bardzo zajęta, ale jeśli to coś pilnego, może postara się podejść. Emma, która przyklękła obok, słyszała lodowaty głos sekretarki. Mad podała nazwisko Pa, nie swoje.

- Haloo? - rozległ się miodowy głos posłanki okręgu środkowej Kornwalii. Emma zaraz wyobraziła sobie lekko kpiący ton, jakim przemówiłby Pa, gdyby to on telefonował.

- Nie - ucięła Mad - to nie Victor, tylko jego matka. Dzwonię z Trevalal w Poldrea.

W słuchawce zapanowała cisza, po czym pani Moorhouse gwałtownie zmieniła bieg. Z bankierem mogłaby się jakoś dogadać, ale z aktorką to całkiem inna sprawa.

- Ach tak - odezwała się chłodno, ale rzeczowo. - Co mogę dla pani zrobić?

- W Poldrea pojawiły się pewne trudności. Zakazano nam poruszania się samochodami, stacje paliw są nieczynne, supermarkety nie otrzymują dostaw i wygląda na to, że znajdujemy się w stanie oblężenia. Szczególnie ciężko znosi to młodzież oraz lu-

dzie starzy i chorzy, ale wszyscy okropnie się martwimy. Jestem pewna, że zechce nam pani wyjaśnić, o co tu chodzi i czy to dotyczy całej Kornwalii, czy też tylko naszego okręgu.

Ponownie zapadła cisza. Tym razem aż za długi.

- Obawiam się, że nie mam żadnych informacji na ten temat - padła wreszcie odpowiedź. - Może ma to związek z faktem, że w Poldrea znajduje się obecnie baza wojskowa USUK-u i wojsko odpowiada za bezpieczeństwo w okolicy. Nie wiem, czy nie powstało jakieś zagrożenie dla stacjonujących w porcie, ale może uda mi się czegoś dowiedzieć i wtedy do pani zadzwonię.

- Będę niezmiernie zobowiązana, ale mówiła pani o wojskach USUK-u, a tymczasem piechota morska, która u nas stacjonuje, składa się wyłącznie z Amerykanów.

Posłanka zachichotała cichutko.

- Musi pani zaktualizować swoje poglądy. Amerykanie czy Brytyjczycy to dziś jedno i to samo. Wszyscy jesteśmy w USUK-u. Im prędzej do tego przywykniemy, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

- A jeśli nie przywykniemy?

- Och, proszę nie udawać, że pani nie rozumie! Na pewno syn wytłumaczył pani aktualną sytuację. To kwestia życia i śmierci, jak pani dobrze wie. Nie chodzi tu o eleganckie wycofanie się z kłopotliwego związku, który stał się obciążeniem dla naszego kraju, jak na przykład Wspólnota Europejska. USUK to nasza linia ratownicza i z przyjemnością zauważam, że większość naszego społeczeństwa z radością powitała tę unię. To wielki, historyczny moment dla obu narodów, które po dwustu latach znowu połączyły się w jeden.

- Na pani miejscu nie dawałabym za to głowy. Niektórzy z nas mogą napisać nową Deklarację Niepodległości i znaleźć nowego Jerzego Waszyngtona.

Mad trzasnęła słuchawką i odwróciła się do Emmy.

- Ale ją załatwiłam! Teraz odczekamy kwadrans i zobaczymy, co nam powie.

Telefon zadzwonił dopiero po dwudziestu minutach. Emma i jej babka zareagowały tak szybko, że mogłyby uchodzić za profesjonalne operatorki.

- Pani Moorhouse?

- Tak. No cóż, jest tak, jak myślałam. Istnieją ważne powody do zaostrożenia środków ostrożności wokół Poldrea. Obawiam się, że nie mogę wchodzić w szczegóły, ale sprawa dotyczy zaginionego żołnierza... Na pewno pani słyszała.

- Tak, chyba tak.

- Więc rozumie pani, że to bardzo ważne. Władze nie mogą ryzykować, aby coś podobnego się powtórzyło. Niestety ucierpią setki niewinnych ludzi, ale nic się nie poradzi.

- Rozumiem. - Tym razem cisza zapadła po tej stronie słuchawki. - Jak długo to może potrwać?

- Nie mam pojęcia. Decyzja należy do pobliskiego dowództwa sił zbrojnych USUK-u. Teraz, wybacz pani, muszę się rozłączyć. Zaraz wyjeżdżam do Londynu.

- I nie ma pani nic do przekazania swoim wyborcom z Poldrea, dzięki którym znalazła się pani w parlamencie? - upierała się dalej Mad. - Nie mówię tu o sobie, bo nie głosowałam na panią, ale znam sporo ciężko pracujących ludzi, którzy pani zaufali i teraz oczekują rady swojej posłanki.

Pani Moorhouse zwróciła się chyba do kogoś, kto przy niej stał, bo po krótkiej przerwie w słuchawce rozległ się jakby pomruk czy ściszona uwaga.

- Moja rada jest taka: trzeba współpracować z siłami USUK-u, cierpliwie znosić drobne niedogodności i meldować o każdym podejrzanym wydarzeniu.

- Dziękuję - odrzekła Mad. - Życzę miłego Świąta Dziękczynienia. - Odłożyła słuchawkę z triumfującym uśmiechem. - Zawsze lubiłam mieć ostatnie słowo. To jedna z moich życiowych przyjemności i dzięki Bogu, że nadal daje mi tyle satysfakcji.

Zauważyłam, myślała Emma, ale i tak tkwimy w martwym punkcie. Wyjdą na tym dobrze tylko ci, którzy mieszkają tuż przy trasie autobusu albo mają zamrażarki.

- A mówiłam Madam jeszcze w lecie, że powinniśmy kupić zamrażarkę - narzekała później Dottie. - Nie musielibyśmy jeździć do Poldrea po każdy drobiazg. Ale powiedziała, że nie, skoro obywała się bez niej przez całe życie, to obejdzie się i teraz.

- Rozchmurz się, Dottie - prosił Terry, który jako jedyny

wolny od obowiązków człowiek, zainstalował się na fotelu w kuchni. - Odtąd będziemy się żywić burakami i kapustą. A ty będziesz miała takie wiatry, że zastąpisz wentylator.

Mad, która zawędrowała do kuchni, zwichrzyła mu włosy.

- Nie wiem, czemu wszyscy tak się przejmują. Pomyślcie o robotkach na bezludnych wyspach. Oni jedzą wyłącznie kokosy.

- Nie mamy kokosów - zauważył Terry.

- A co powiesz na ślimaki? Jedno z najkosztowniejszych dań we francuskich restauracjach. *Escargots a la bordelaise...* Pamiętam, kiedyś w Paryżu...

- No, no? Zamieniam się w słuch. - Terry z ciekawości aż wychylił się do przodu.

- Głuptasie, mówię poważnie. W ogrodzie muszą być setki, jeśli nie tysiące ślimaków. Jeśli dojdzie do najgorszego, starczą na długie tygodnie.

Dottie, która nie zносиła, kiedy Terry podpuszczał jej chlebową, zaczęła z brzękiem wrzucać sztucce do szuflady.

- Bardzo przepraszam - rzekła - ale niech nikt się nie spodziewa, że zacznę gotować ślimaki dla dziewięciu osób. - Tych „dziewięć osób” zawsze było jej koronnym argumentem w ekstremalnych sytuacjach.

W tym momencie na schodach rozległy się ciężkie kroki i w drzwiach stanął Joe. Nadal miał ten sam zacięty wyraz twarzy.

- Czy dzieciaki znów się bawiły zaworem? Nie mogę wycisnąć ani kropli wody do mycia samochodu.

- Skąd mogę wiedzieć? - obruszył się Terry. - Są zdolne do wszystkiego, kiedy nikt ich nie pilnuje.

- To mało prawdopodobne, Joe - odezwała się Mad. - Chłopcy nie bawili się na dworze, odkąd wczoraj wrócili ze szkoły. Rano także nie mieli czasu. O co chodzi z tą wodą? Pewnie coś się zatkało.

Joe na jej widok od razu złagodniał. Nie zauważył jej przedtem, bo stała przy drzwiach, w drugim końcu kuchni.

- Nie, Madam, nic się nie zatkało, po prostu nie ma wody.

Dottie podeszła do zlewu i odkręciła oba krany. Ciepła woda leciała normalnie, ale zimna pociekła cienką strużką i po chwili zanikła.

- Proszę, więc jednak coś tam utkwilo - potwierdziła Mad. - Nowy kłopot! Trzeba posłać po hydraulika, chyba że sam potrafisz przedmuchać. Ale do tego musi być specjalna pompa, prawda?

- Nic nie utkwilo - powtórzył z uporem Joe. - Odcięto nam dopływ wody.

Mad zmrużyła oczy, po czym obróciła się na pięcie i poszła do szatni.

- Do kogo teraz? - mruknął Terry. - Do Białego Domu?

Mad nie mierzyła jednak tak wysoko. Postanowiła dodzwonić się do zarządu wodociągów. Emma wraz z innymi czekała w kuchni, ale kiedy babka wróciła, miała nieprzeniknioną twarz.

- No więc tak. Nowy wspaniały przepis: woda w okręgu Poldrea będzie dostarczana tylko przez godzinę w ciągu dnia. Żadnych powodów nie podali. Zarząd otrzymał rozkaz od władz portowych.

- To znaczy, od kogo konkretnie? - spytał Terry.

- Przypuszczam, że od komendanta. Zdaniem Jacka Trembatha, wojsko przejęło port i wszystkie urządzenia.

- Nic z tego nie rozumiem - odezwała się oszołomiona Dottie. - Dlaczego odciął wodę? Nie wystarczy racjonowania żywności?

- Za karę, kochana, za karę - odparł Terry. - Chłopczy i dziewczynki w tej części Kornwalii byli bardzo niegrzeczni. Ciebie także to dotyczy. Swoją drogą, co za wspaniała nowina dla tych, co nie lubią się myć, czyli dla Andy'ego, Sama, Colina i Bena. Ja też nie potrzebuję kąpieli.

- Zamknij się - powiedział Joe. Myślał, a to musiało chwilę potrwać. Wreszcie odwrócił się do Mad: - Pójdę uruchomić starą studnię.

Wszyscy osłupieli.

- Nie możesz, Joe - przekonywała go Mad. - Nie używaliśmy jej od lat, jest zabetonowana. I woda będzie stęchła.

- Wezmę przebijak do betonu, a woda nie będzie stęchła, bo pod domem jest źródło. Rusz tyłek, Terry, i chodź mi pomóc.

I poczłapał z powrotem na dwór.

- Kto chce dostać tyfusu? - zażartował Terry, ale wziął kulę i pokuśtykał za Joem.

Emma nigdy dotąd nie widziała, żeby Terry bez donośnych protestów zgodził się pomóc Joemu w jego ciężkiej pracy, ale też

u Joego nie słyszała takiego władczego tonu zamiast łagodnej prośby.

Mad spojrzała na nią z uśmiechem.

- Zawsze o tym wiedziałam. Wystarczyło lekko stuknąć, żeby wyszło na jaw.

- Mówisz o wodzie ze studni?

- Nie, głuptasku. O przywódczych zdolnościach Joego.

Ogłuszający łomot, jaki przez resztę dnia dobiegał z piwnicy, utwierdził wiarę Mad w najstarszego z adoptowanych synów i jego dzielnego giermka. Obaj z zapałem rozbijali betonową nawierzchnię starej studni. Folly, mimo mocno upośledzonego słuchu, zwłokła się z wygodnego krzesła w bibliotece i pojękując z cicha, legła z wywieszonym jęzorem na szczycie piwnicznych schodów. Ben, objadłszy się w południe kiełbaskami, zasnął w pokoju zabaw na swoim prywatnym woreczku z szyszkami. Zanim pozostali chłopcy wrócili ze szkoły (żadnych pogadanek o Jezusie, żadnego rozmyślenia, co Andy przyjął z ulgą, ale Golin z żalem), Joe z Terrym nie tylko odsłonił studnię, ale wyciągnęli trzy wiadra krystalicznie czystej wody.

- No proszę! - powiedział Joe, gdy wszyscy zgromadzili się w piwnicy, by wyrazić swój zachwyt. - Od razu wiedziałem, że się uda. Teraz nie zabraknie nam wody, mogą sobie zakręcać, choćby na zawsze.

Strząsnął włosy z oczu. Miał zaczerwienioną od wysiłku twarz. Dziwne, myślała Emma, jest naprawdę przystojny, a wsparty na kuli Terry w porównaniu z nim wygląda dość pospolicie.

Tylko jeden Sam nadal się niepokoił.

- Nam to dobrze, ale co ze zwierzętami na farmie? Z bydlętem, z owcami? Znacie to koryto między polem a pastwiskiem, do którego dochodzi woda z rur? Jeśli jej zabraknie, zwierzęta nie będą miały co pić.

- Brawo Sam, nie pomyślałam o tym - pochwaliła go Mad. - Trzeba będzie nosić tam wodę.

- Na farmie jest studnia - przypomniał Joe. - Panu Trembathowi nie zabraknie wody. Zresztą pójde tam dziś i sprawdzę.

- Wiecie co? - odezwał się Andy. - Jeśli odetniemy ujęcia tutaj i wszędzie w Poldrea, to marines zostaną bez wody.

- Chyba nie - pokręcił głową Terry. - Port ma własne ujęcie z innego źródła. Pamiętam, już dawno mówił mi o tym Ron Blewett. Nie wiem, skąd wiedział, może od ojca, który tam kiedyś pracował.

Andy'emu rozbłysły oczy.

- Więc można wziąć trochę plastiku i wysadzić port. Wtedy naprawdę będą w tarapatach.

- Tak - rzekł Joe. - I my także.

Czas wyraźnie położył kres dalszej dyskusji. Studnia dawała wodę i to wystarczyło. Domownicy powołali do służby każde wiadro i dzbanek, wszędzie, gdzie należało, porozmieszczano pełne naczynia. I właśnie wtedy Dottie obwieściła, że zniknęła jej cenny osobisty nabytek, plastikowy kubeł, który trzymała pod zlewem. A wraz z nim Colin i Ben.

- Jeszcze pięć minut temu widziałem ich na dole - powiedział Sam. - Colin poszedł na dwór wyrzucić śmieci.

- Proszę cię, kochanie - błagała Dottie Emmę.

Kosz do śmieci leżał na boku, a z piwnicy dobiegał gwar dziecięcych głosów. Emmie zamarło serce. Studnia, zakryta przez wiele lat, była teraz dostępna dla wszystkich. Emma zbiegła tam czym prędzej, by zapobiec straszliwemu wypadkowi, który mógł obrócić cały triumf w katastrofę. Dzieci stały koło siebie. Ben udrapował sobie na głowie i ramionach kawałek starej zasłony. Colin, z bezcennym kubłem Dottie w rękę, wylewał właśnie resztki z niedopitej przez Pa butelki chablis.

- Co wy robicie? - krzyknęła Emma, odzyskawszy oddech.

Colin spojrział na nią żałośnie.

- Nie mieliśmy dziś pogadanki o Jezusie, więc sami ją sobie urządzamy. Ben jest Matką Boską, a ja Jezusem. Mamy wesele w Kanie i właśnie zamieniam wodę w wino.

17

Jeśli nowe władze portu Poldrea uznały, że udało się im rzucić mieszkańców na kolana, to ciężko się przeliczyły, gdyż nie wzięły pod uwagę, do czego zdolna jest mniejszość. Nie darmo Jack Trembath był swego czasu czempionem w zapasach. Zręczność, z jaką powalił na ziemię swego bretońskiego przeciwnika, może nie na wiele zdałaby się przeciwko potężde komandosów, ale dzięki niej nauczył się szybko myśleć i koordynować działania. Zakaz używania prywatnych samochodów wchodził w życie dopiero następnego dnia, czyli w środę, więc kiedy we wtorek po południu Joe i Terry zajmowali się odkrywaniem studni, Jack obdzwaniał okolicznych farmerów z zaproszeniem na niecierpiące zwłoki spotkanie tegoż wieczoru. Z trzydziestu zawiadomionych stawilo się dwudziestu pięciu, trzech przysłało w zastępstwie synów, pozostali dwaj zaś wymigali się, przewidując kłopoty.

Joe zjawił się na farmie już wcześniej, żeby sprawdzić, czy Trembathowie mają dosyć wody. Mad, Emma i Terry siedzieli w bibliotece przy włączonym telewizorze, w nadziei że usłyszą jakieś wyjaśnienie. Wiadomości były skąpe, a na temat zaostrenia przepisów na skrawku wybrzeża Kornwalii nie padło ani jedno słowo.

- W całym kraju trwają przygotowania do czwartkowych obchodów Święta Dziękczynienia - mówił spiker. - W Devonie i Kornwalii, tak jak wszędzie, unia zostanie zaznaczona na różne sposoby. W Domu Admiralicji w Plymouth admirał Jollif podejmie lunchem oficerów połączonej floty, a w siedzibie władz hrabstwa w Truro odbędzie się przyjęcie z udziałem po-

słów z terenu Kornwalii. Wśród innych regionalnych obchodów należy wymienić lunch w Raju Żeglarza wydawany przez oficerów i podoficerów z jednostki piechoty morskiej stacjonującej w Poldrea. Gościem honorowym będzie pani Hubbard, przedstawicielka Towarzystwa Integracji Kulturalnej na tym terenie.

Emma wyłączyła odbiornik.

- Nie wierzę własnym uszom - wykrzyknęła, ale w tym momencie wszedł rozpromieniony Joe.

- Pan Trembath powinien być w parlamencie zamiast pani Moorhouse. W życiu nie widzieliście czegoś podobnego, to po prostu niesamowite! Nie rozumiem, jak oni wszyscy się zmieścili. Połowa stała pod ścianami, część siedziała na podłodze, a część na schodach. Większość przyszła przede wszystkim dla draki, ale kiedy przemówił pan Trembath, zaraz zmienili ton. „Jesteście synami Kornwalii czy bandą cholernych frajerów?” - ryknął i zaraz podniósł się wielki wrzask: „Synami Kornwalii!”. Nawet biedny pan Swiggs krzyczał, chociaż jest głuchy jak pień. Tak czy inaczej, pan Trembath gadał przez dobre dwadzieścia minut i wszyscy jak jeden mąż się z nim zgodzili. Nie będzie żadnych dostaw mleka dla wojska ani do supermarketu, ani do obozu. Ci, którzy dysponują transportem, rozwożą wszystko po najbliższych sąsiadach i od razu wezmą zapłatę. Owszem, dużo na tym tracą, ale mają to w nosie. A na dostawy mogą liczyć tylko te rodziny, które zgodzą się zaprotestować przeciw restrykcjom.

Powiódł dookoła rozjaśnionym spojrzeniem. Emma nigdy nie widziała go tak pewnym siebie. Kto by pomyślał, Joe, taki zawsze nieśmiały i małomówny nawet w gronie rówieśników...

- *C'est magnifique, mais ce n'est pas la guerre** - mruknęła Mad. - Ciekawe. Wątpię, czy dużo zwojują, poza tym że skrzywdzą samych siebie.

- Och, co za czarne myśli! - oburzył się Terry. - Na Boga, chciałbym tam być! Nie rozumiecie? Jeśli tylko protestujący dostaną mleko, to przynajmniej będzie wiadomo, kto się stawia, a kto jest mięczak. I wszyscy zaczną o tym mówić.

* Wspaniale, ale to nie wojna.

- A co z wodą? - zapytała Mad. - Jak farmerzy poradzą sobie bez wody?

- Większość ma własne studnie, podobnie jak my. A jeśli komuś zabraknie, to najbliższy sąsiad będzie zobowiązany mu pomóc. Wszelkie nadwyżki przeznacza się dla zwierząt.

Mad wyciągnęła się w fotelu na całą długość, obok kuliła się Folly.

- Marines dostaną mleko w proszku, tysiące puszek, zobaczycie. Nic na tym nie ucierpią.

- Skądże znowu! Według farmerów, w obozie idzie mnóstwo mleka. Chodzą w kółko i ciągną przez słomki z butelek jak małe dzieci.

Terry wstał i miotał się na kulach tam i z powrotem jak dzikie zwierzę po klatce.

- Ach, żeby tak wymyślić coś, co ich naprawdę załatwi! Na przykład wysadzić w powietrze ten cholerny okręt...

- Kochany chłopcze - Mad odsunęła kulę, która zawadziła o jej kostkę - Japończycy wypróbowali ten numer w Pearl Harbour jeszcze przed twoim urodzeniem i wiesz, co ich za to spotkało trzy lata później. Coraz większe eksplozje nigdzie nas nie doprowadzą. Trzeba rozpocząć walkę podjazdową, obliczoną na nękanie nieprzyjaciela, i zobaczymy, kto pierwszy pęknie. Czy wszyscy farmerzy już się rozeszli?

- Kilku pożegnało się razem ze mną, ale reszta została, żeby się powygłupiać i pośpiewać. Myślę, że ruszą się dopiero po północy, żeby o parę minut przekroczyć zakaz.

- Hmm - mruknęła Mad z namysłem. Nagle zerwała się z fotela. - Pójdę zamienić słówko z Jackiem Trembathem, zanim da im krzyżyk na drogę. Skoro mowa o proteście, to starzy bretońscy koledzy mogliby mu udzielić kilku rad.

I wyszła do biblioteki. Terry natychmiast opadł na wolny fotel obok śpiącej suki.

- Co ona zdziała z garstką farmerów? - mruknął. - Tu trzeba plastiku, i to ogromnych ilości. Andy trafił w dziesiątkę z tym wysadzeniem portu.

- A co z okolicznymi mieszkańcami? - spytał Joe. - Pamiętaj, że jeśli wysadzimy port, to razem z nimi.

- Czy to nie Dottie ukuła takie powiedzonko: „Nie usmażysz omletu bez rozbicia jajek”?

- Nie - wtrąciła Emma. - To pewien generał z czasów pierwszej wojny, i ludzie do dziś go słuchają. Niestety nikt z was, łącznie z Mad, nie rozumie, że większość ludzi nie tylko w naszym okręgu, ale w całym kraju, akceptuje USUK, a my, chcemy czy nie, jedziemy na tym samym wózku.

Obaj chłopcy spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Ty chyba nie jesteś za nimi, co? - spytał podejrzliwie Terry.

- Oczywiście, że nie. - Teraz ona z kolei wstała i zaczęła krążyć po pokoju. - Nienawidzę tego wszystkiego tak samo mocno jak wy. Tylko że garstka ludzi niczego nie osiągnie. Do tego trzeba wsparcia potężnej organizacji, wciąż mamy na to nowe dowody.

- Nie byłbym taki pewny - sprzeciwił się Joe. - Gdyby ludzie utworzyli małe grupki i po prostu sobie pomagali, staliby się samowystarczalni w obrębie najbliższego sąsiedztwa. Obeszłoby się wtedy bez jakichkolwiek kontaktów za światem zewnętrznym. Żywilibyśmy się tym, co wyhodujemy, używali własnego paliwa, sporządzali ubrania z wełny własnych owiec...

- Och, bredzisz - fuknął Terry. - Złapałobyśmy w końcu naszą własną zarazę z brudu i śmierdzieli na kilometr. Kurde, to przecież ostatnia ćwiartka dwudziestego wieku!

Wykłócali się w najlepsze, kiedy Mad wróciła od telefonu.

- Cieszę się, że mogłam z nim porozmawiać. Od północy wszystkie telefony będą na podsłuchu, a rozmowy nagrywane. To pewna wiadomość - córka znajomego Jacka Trembatha pracuje w centrali. A więc jednak przykręcą nam śrubę, czy jak tam się to określa; ale tylko w Poldrea, rozumiecie? Zostaliśmy kozłami ofiarnymi. Oni, to znaczy marines, wyobrażają sobie, że teraz ktoś z sąsiedztwa nie wytrzyma i doniesie, co wie o martwym kapralu. Winny zostanie złapany i ukarany, informator dostanie nagrodę, a społeczeństwo kozłów ofiarnych wróci do normalnego życia. Przynajmniej na tyle normalnego, na ile zgodzi się USUK.

I to wszystko z powodu jednej strzały, myślała Emma. Ponieważ fantazja pewnego chłopca na jeden, jedyny moment zmieniła go w zabójcę.

- Jeśli rzeczywiście dlatego to robią - rzekł Joe - to cholernie długo poczekaają.

- Takie odnoszę wrażenie - uśmiechnęła się Mad. - A tymczasem możemy się nieźle zabawić kosztem pana komendanta i jego żołnierzy. Podsunęłam Jackowi Trembathowi pewien pomysł i on zamierza poddać go pod głosowanie tych farmerów, którzy jeszcze u niego siedzą. Jeśli moja propozycja przejdzie, a mam taką nadzieję, to za parę minut mnie zawiadomią.

I co teraz? - zastanawiała się Emma. Pa w Nowym Jorku albo w Rio wykapał się już po podróży, wysączył drinka i je właśnie kolację z rekinami finansjery w jakiejś fantastycznej restauracji. Może zwierza się im ze śmiechem: „Staruszka ma kompletnego fioła, moja córka musi ją zamykać w pokoju”. Kto wie, czy do tego nie dojdzie. Mad absolutnie nie można ufać.

- Co to za pomysł? - spytał Terry.

- Nie twój interes.

Telefon zadzwonił i w wyścigu do szatni zwyciężył Joe o krótki pysk przed Emmą. Jack Trembath zajął mu tylko chwilę. Emma widziała, jak Joe kiwa głową, powtarza dwa razy „tak”, po czym odkłada słuchawkę. Kiedy wrócił do pokoju, wzruszył nieznacznie ramionami z zagadkową miną.

- No? - ponagliła go Emma.

- Pan Trembath nie powiedział niczego sensownego. Kazał tylko przekazać Madam, że operacja Gnojownik wystartowała pełną parą i każdego, kto ma ochotę, zapraszają na przejażdżkę. Godzina zero.

Emma wyszła, zostawiając babkę na rozszyfrowywaniu zakodowanej w lakonicznym komunikacie wiadomości. Będzie czas przekonać się, co to znaczy, kiedy wybije północ. Teraz chciała tylko znaleźć się w swoim pokoju, położyć się do łóżka i przy odrobinie szczęścia zapaść w kamienny sen. Pa popełnił błąd. Powinien był zostawić problemy walutowe własnemu losowi albo wysłać za Atlantyk kogoś, kto w jego zastępstwie zażegnałby finansowy kryzys, a samemu nie opuszczać rodziny w potrzebie. To zbyt wielka odpowiedzialność dla jego córki. Emma nie da sobie rady w pojedynkę, zwłaszcza że nawet Joe, ten stateczny, lojalny Joe, dał się ponieść nowemu pędowi do rebelii. Jeśli jej nie poskromię, duma-

ła, mając na myśli babkę, to nie pozostanie nic innego, jak złapać Bevila Summersa i poprosić go, by dał Mad zastrzyk nasenny. To szokujący pomysł, ale gdyby babka przespała spokojnie kilka godzin pod okiem wiernej Dottie, wtedy i Emma nie musiałyby liczyć baranów, by zapaść w stan błogiej nieświadomości.

Fatalna pogoda, której Joe tak się obawiał dla szklarni, nie nadeszła i środowy ranek, jak wiele innych w listopadzie, zaznaczył się ociepleniem, zmianą kierunku wiatru, drobnym deszczykiem i mgłą na wzniesieniach. Trevanal także okrył biały kozuch, który nie ustąpił do końca dnia, podobnie jak niski pułap chmur nad lotniskiem.

- Cudo - orzekł Terry po śniadaniu, gdy młodszy chłopcy wyszli już do szkoły. - Niechby tak zostało do jutra, trudno o lepszą pogodę do naszego zadania. - I mrugnął do Joego.

- Czemuż to? - spytała Emma.

- Nie twoja sprawa - odparł Terry. - Madam, Joe i ja postanowiliśmy wczoraj wieczorem, że nic ci nie powiemy.

Emma zatrzęsała się ze złości.

- To świństwo! Mad jest moją babką, nie waszą, i Pa kazał mi jej pilnować. Każdy szalony pomysł, którym nabije sobie głowę, dotyczy o wiele bardziej mnie niż was!

- Posłuchaj, Em - odezwał się Joe. - Wiesz przecież, że nie pozwoliłbym Madam na nic niebezpiecznego, podobnie jak pan Trembath. Więc daj sobie spokój z tą świadomością klasową.

Emma patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Świadomość klasowa? Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co słyszysz. Owszem, jesteś jej wnuczką, a ona jest sławną osobą. My nie jesteśmy z nią spokrewnieni, chociaż poza nią nie mamy nikogo na świecie. A jeśli chodzi o miłość, to śmiem twierdzić, że każdy z nas prędzej odda za nią życie, niż ty się zdążyś namyślić. Uważasz, że pokrewieństwo daje ci przewagę nad Terryem, mną i młodszymi dziećmi, a to nieprawda.

- Hurra! - wrzasnął Terry. - Niech żyją debile! Nigdy nie podejrzewałem cię o taką elokwencję, stary kumplu! Najwyższy czas, żeby ktoś pokazał Emmie, gdzie jej miejsce.

Emma, bliska łez, wyszła z pokoju. Terry'ego jeszcze by zniosła, ale Joe? Świadomość klasowa... Boże, co za obelga! Nigdy

dotąd nie myślała o chłopcach w taki sposób, nigdy nie uważała się za kogoś lepszego. Oczywiście, jako prawdziwa wnuczka Mad miała z nią szczególne stosunki, to naturalne, ale Joe oskarżył ją o snobistyczną postawę wobec siebie i reszty chłopców, a to już było obraźliwe. To właśnie on jest snobem, z tym swoim kompleksem niższości związanym z niemożnością opanowania sztuki czytania i pisania oraz czymś w rodzaju zazdrości o tego głupka Wally'ego Shermana, który próbował tylko zachowywać się życzliwie, by złagodzić niezbity fakt, że zjawił się w ich domu jako okupant.

- Co się stało, kotku? - spytała babka, na którą Emma wpadła z impetem zaraz po wyjściu z kuchni.

- To chłopcy! Czasem doprowadzają mnie do szalu. Właśnie powiedzieli mi, że jestem snobką i uważam się za kogoś lepszego, bo jestem twoją prawdziwą wnuczką, a przecież to nieprawda!

Mad przymierała właśnie różne nakrycia głowy, gdyż wybierała się z Benem na kolejny zbiór szyszek. Odrzuciwszy trzy po kolei, wybrała ostatecznie zjudwestkę*, którą założyła tyłem na przód, dzięki czemu wyglądała jak kulis.

- Wszyscy jesteśmy snobami - rzekła chłodno - i wszyscy lubimy uważać się za kogoś lepszego. Gdyby nie to, nigdy nie odbilibyśmy od małąp. - Zawołała swojego małego towarzysza, który pożywiał się miętówkami wyciągniętymi z kredensu. - Zbierzemy jeden worek, a potem pójdziemy do lasu odwiedzić Taffy'ego. Chcesz iść z nami?

Obraz pana Willisa, siedzącego w swej samotni z plastikiem ukrytym gdzieś pod podłogą i z workami, w które owinięte było ciało kaprała (i które leżały teraz na kupie kompostu, brudne i poczerniałe), przepełnił kielich gorzkości.

- Nie, raczej nie. I jeśli mam być całkiem szczerą, uważam, że i ty nie powinnaś tam chodzić. On za dużo wie, może być niebezpieczny.

- Właśnie dlatego chcę się z nim zobaczyć. Im więcej wie, tym bardziej mu pochlebi, że jest jednym z nas. Już ja sobie poradzę z Taffym.

* Zjudwestka - kaptur sztormowy o szerokim rondzie, zawiązywany pod brodą.

I ruszyła w deszcz z Benem deptającym jej po piętach. Emma zaczęła, aż znikną pod drzewami, po czym pobiegła chyłkiem do telefonu w sypialni babki. Musiała mieć pewność, że ani Dot-tie, ani żaden ze starszych chłopców nie usłyszy rozmowy, jaką zamierzała przeprowadzić z doktorem Summersem. Ledwie wykre-ciła numer ambulatorium, przypomniała sobie, że od dziś telefony są na podsłuchu. Nie szkodzi, trzeba tylko uważać, co się mówi.

- Tak? - Sekretarka z ambulatorium połączyła ją natychmiast, ale Emma rozpoznała szczególny ton głosu doktora. - Pacjent czeka, daję ci najwyżej pięć minut.

- Mówi Emma. Chyba mamy kłopoty.

- Noga Terry'ego czy serce babci?

- Jedno i drugie.

- Więc najlepiej przywieź ich tutaj, żebym mógł rzucić okiem.

- Nie mogę. Może jeszcze nie słyszałeś, ale od dziś nie wolno jeździć prywatnymi samochodami. Poza tym nie mamy wody, a telefony są na podsłuchu. Ta rozmowa także.

Słuchając samej siebie, ledwie mogła uwierzyć w to, co mówi. Zdumiewała ją własna odwaga. Zachowuję się dokładnie jak Mad, myślała, wcale nie to chciałam powiedzieć.

- Właśnie sprawdzałem, Emmo - rzekł doktor. - Jutro minie tydzień od założenia Terry'emu gipsu. Trzeba mu go zdjąć, teraz wystarczy klin pod piętą. Zorganizuję mu transport do szpitala, zabierze mi to najwyżej pół godziny. Jeśli serce twojej babki wytrzyma do tej pory, zapiszę jej coś przy okazji.

- W tym kłopot. Obawiam się, że do jutra sprawy zajdą za daleko.

- Rozumiem.

Nie rozumiał, oczywiście, ale wiedział, jaki wniosek mu podsuwa. Że Mad wymyka się spod kontroli.

- Ojciec wyjechał już do Londynu?

- Gorzej. Jest w Nowym Jorku albo w Brazylii.

- To bardzo krępujące. Dobrze, Emmo, przyjadę jeszcze dziś, ale nie wiem, o której godzinie.

I odłożył słuchawkę. Teraz na pewno sprawdzi, co się dzieje w rejonie, i jeśli ma jakieś wpływy, spróbuje pomóc. Może nie od ra-

zu da się coś zrobić, bo jutro przypada dzień wolny od pracy, ale tak czy inaczej, wieść zacznie się szerzyć z jednego okręgu do drugiego. Fakt, że mała społeczność została ukarana za śmierć jednego człowieka, na pewno wszystkich pobudzi do działania, tym bardziej że nie udowodniono niczego; to mógłby być nieszczęśliwy wypadek. A jednak, a jednak... Czy kiedy zjawi się doktor Summers, Emma musi powiedzieć mu prawdę? Czy on uzna, że kara jest zasłużona? Odwróciła się od telefonu, nagle zniechęcona do wszystkiego. Może mimo wszystko nie należało dzwonić do ambulatorium.

Wyjrawszy z okna sypialni Mad, zauważyła, że na polu stoi landrover pana Trembatha, a sam farmer siedzi za kierownicą. Nagle z zagajnika wynurzył się Joe, a Terry na kulach zmierzał krok po kroku w stronę muru. Emma otworzyła okno.

- Dokąd idziecie? - zawołała.

- Na farmę! - odrzyknął Joe. - Madam wie, wszystko zostało uzgodnione wczoraj w nocy. Mamy pomagać panu Trembathowi, nie będzie nas cały dzień.

Uśmiechnęli się do niej szeroko, Terry pomachał kulą i obaj zeszli z boczem do landrovera. Już nie należę do ich paczki, pomyślała. Zostałam wykluczona, kazali mi się nie wtrącać. Mam świadomość klasową, jestem obca. Niczym spłacheć ziemi niczyjej tkwiąc pomiędzy grupą młodzieży z mojego pokolenia a starcami. Z jednej strony Joe i Terry - z drugiej Dottie i Mad.

Poczucie izolacji nasiliło się jeszcze bardziej, kiedy w jakiś czas później zobaczyła, że z lasu wychodzą zbieracze szyszek, ale nie we dwójkę, tylko w trójkę. U boku Mad szedł pan Willis z wypchanym workiem na plecach i gadał jak najęty. Nie wchodziło w rachubę, by przekazawszy swój ciężar i przyjąwszy stosowne podziękowania, pożegnał się z Mad przy bramie. Mad powiodła swego pomocnika na ganek, kazała mu zrzucić tam worek i przywołała Emmę.

- Powiedz Dottie, że Taffy zostanie na lunchu. Jada wszystko oprócz ciała.

Pan Willis złożył Emmie swój zwyczajowy ukłon.

- To zabrzmiało tak, jakbym uważał resztę domowników za ludożerców, no nie? Ale prawdę rzekłszy, widok ludzi żujących mięso może czasem razić wegetarian, do których się zaliczam.

- Dziś chyba obejdzie się bez urazy - odparła Emma. - Będzie zupa z buraków i gotowana kapusta.

- Mnóstwo witamin - zauważyła Mad. - Chodźmy do środka i napijmy się czegoś. Chyba nie odmówisz, co?

- Nie, nie odmówię. - Pan Willis ściągnął buty, eksponując żółte skarpetki. - Wino w małych ilościach jest dobre na żołądek, powiada święty Paweł. Chociaż nie będę się wzdragał przed odrobiną whisky czy nawet brandy.

- Możesz dostać wszystko po kolei.

Emma zniknęła w kuchni, żeby ostrzec Dottie.

- Chyba zanosi się na dłuższe posiedzenie - westchnęła. - Uderz niebawem w gong, bo inaczej nie poprzestaną na jednej szklaneczce.

- I po co Madam go zaprasza? - burczała Dottie. - Nie wiadomo, co taki przywlecze, przecież żyje w lesie.

Kiedy Emma wróciła do jadalni, pan Willis stał już przy bufecie i pod kierunkiem Mad odkorkowywał butelkę chambertina. Następnie napełnił winem dużą szklankę.

- To samo dla pań?

- Tylko kropelkę, żebyśmy mogły wypić twoje zdrowie - rzekła Mad. - Emma i ja nigdy nie tykamy wina w środku dnia.

- To kwestia wychowania, co? Ja urodziłem się i wychowałem w środowisku abstynenckim i do dwudziestego roku życia nawet nie znałem smaku alkoholu. Nadrobiłem to później, zapewniam was, ale ostatnio nieczęsto mam szansę porządnie się zaprawić. - Podniósł szklankę najpierw w stronę pani domu, a potem Emmy. Sącył wino jak gość w restauracji, kiwając z uznaniem głową. - Pyszności! Jak to mówią eksperci: pełnokrwiste wino. Nie próbowałem czegoś podobnego, odkąd parę lat temu spłacałem przejazd statkiem z Południowej Afryki, pracując jako steward w jadalni pierwszej klasy. Lubię owocowy bukiet. Jeśli przez parę tygodni człowiek pije dwa razy dziennie taki nektar, to potem nie potrzebuje żadnych lekarstw.

Rozległ się gong i do jadalni weszła Dottie z wazą buraczanej zupy.

- Najpierw muszę wypić zdrowie tej pani - oświadczył pan Willis. - Nie miałem jeszcze przyjemności jej poznać.

- Pani Dottrell, pan Willis - przedstawiła ich sobie Mad. - Pani Dottrell przez całe lata była ze mną w teatrze.

- Naprawdę? Jeszcze jedna aktorka? Doprawdy, to mi pochlebia, otaczają mnie same gwiazdy. Najpiękniejszy zawód na świecie, zawsze to powtarzam. Grała pani w tragediach czy komediach, pani Dottrell?

Dottie zacisnęła usta i postawiła tacę na bufecie.

- Ani w tragediach, ani w komediach, chociaż widziałam ich mnóstwo z za kulis. Pomagałam Madam przy ubieraniu przez ponad czterdzieści lat. Podano do stołu.

I wymaszerowała sztywno z wysoko podniesioną głową. Pan Willis ze szklanką w ręku znów zwrócił się do Mad.

- No, z tym zawodem jakoś nie miałem do czynienia. Tym bardziej żałuję, bo zawsze lubiłem grzebać w kostiumach.

- Nic straconego, Taffy - pocieszyła go Mad. - Zwłaszcza że właśnie zawiązało się Towarzystwo Integracji Kulturalnej. Tylko patrzeć, jak w kubraku i trykotach będziesz nalewał wino Amerykanom.

- Najpierw zobaczę ich w piekle. Chyba że uda mi się doprowadzić im trochę to wino. To raczej mało prawdopodobne, chociaż... gdybym sam odkorkowywał butelki...

Zasiedli do potraw złożonych z buraków i kapusty, które zdaniem gościa, zyskałyby na smaku, gdyby je ze sobą mieszać.

- Plus łyżka sherry, jeśli się znajdzie - dodał, zerkając na bufet. - Wtedy otrzymalibyśmy danie godne książęcego stołu. Zresztą naprawdę czuję się tu jak książę i nie życzyłbym sobie lepszego towarzystwa.

Wszystko pięknie, myślała Emma, ale nasz gość z każdym łykiem chambertina jest coraz bardziej zawiany, a co się stanie, kiedy jeszcze doprawi buraczaną zupę porcją sherry? Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że żołądek człowieka, który nie miał do czynienia z taką mieszanką od czasu podróży statkiem z Cape Town, wkrótce odmówi posłuszeństwa. I rzeczywiście. Ledwie Dottie, z miną wyrażającą najwyższą dezaprobatę, pojawiła się z deserem - zapiekanką z jabłek (bardziej pożywny byłby mleczny pudding), pan Willis podniósł się niepewnie z krzesła.

- Panie wybacza, ale z wiekiem człowiekowi dokuczają nie tyl-

ko słaby wzrok i nadmiar woskowiny w uszach, ale też zwiększone parcie na pęcherz, że się tak wyrażę.

- Wiem o tym aż za dobrze - odparła Mad. - Emmo, zaprowadź pana.

Wnuczka usłuchała i gość chwiejnym krokiem ruszył za nią do holu i jeszcze dalej.

- Drogi Taffy! - powiedziała Mad, napełniając mu szklanke podczas dość długiej nieobecności. - Twój dziadek by go uwielbiał! Ciekawe, czy on gra na pianinie tak dobrze, jak śpiewa? Mogłybyśmy natychmiast zorganizować mu występ. Jedyny kłopot w tym, że pianino jest rozstrojone, tak dawno nikt go nie tykał... Dottie mówiła jakiś czas temu, że myszy się tam załęgły.

Nieobecność gościa przedłużała się.

- Kotku - rzekła Mad - lepiej sprawdź, co on tam robi.

- Nie mogę! - wykrzyknęła Emma. - Szczerze mówiąc, Mad, Dottie ma rację. Nie powinnaś zapraszać go na lunch. A jeśli zasłabł?

- To pošlemy po Bevila.

Emma umilkła. Nie zamierzała wyznawać, że doktor Summers i tak się zjawi. O wiele lepiej zamówić wizytę niespodziewanie, chociaż doktor nie będzie zachwycony, że ma się zajmować bukolicznym dziadkiem plażowym. W końcu w drzwiach jadalni stanęła Dottie.

- Madam, ten pan leży na podłodze w szatni - powiedziała głosem pozbawionym wszelkiego wyrazu.

Emma z babką udały się na inspekcję. Do najgorszego wprawdzie nie doszło, a jeśli nawet, to we właściwym miejscu, gdzie efekt dał się szybko unicestwić za pomocą spłuczki, ale wysiętek wyraźnie nadszarpnął siły gościa, który zgodnie z meldunkiem Dottie, leżał jak długi na podłodze z otwartymi ustami, zsuniętymi okularami i głośno chrapał. Mad ukłękła, rozluźniła mu kołnierzyk i sprawdziła puls.

- Nic mu nie jest - orzekła. - Włożymy mu pod głowę jakiś płaszcz i niech się wyśpi. Swoją drogą, co za wstyd. A tak chciałam usłyszeć, jak śpiewa!

Folly, która przydreptała za Mad do szatni, obwąchała leżącą postać i cofnęła się ze zjeżonym grzbietem.

- Nie bądź głupia - ofuknęła ją Mad. - To tylko biedny Taffy, trochę przeholował z pićiem.

- A kiedy się obudzi? - spytała Emma. - Dojdzie sam do swojej budki?

- Nie będzie musiał. Jack Trembath zabiera mnie później z pola landroverem, a Taffy może jechać z nami, trochę się rozewie. Właśnie dlatego przyprowadziłam go na lunch, chciałam mu wytłumaczyć, o co chodzi. Jak się porządnie wyśpi, będzie się lepiej bawił.

Padało równo przez całe popołudnie i mgła zgęstniała. Pan Willis nadał spać na podłodze w szatni, doktor Summers nie przyjeżdżał. Emma próbowała połączyć się z ambulatorium, ale numer wciąż był zajęty. Młodzi chłopcy wrócili ze szkoły, niosąc następne chorągiewki USUK-u i rozprawiając głośno o jutrzejszym wolnym dniu. Emma, która pośpieszyła do ich pokoi, żeby nie niepokoiili Mad, słuchała cierpliwie jazgotu trzech głosów.

- Cały dzień nic, tylko histra - skarżył się Andy. - Krzysztof Kolumb, Ojcowie Pielgrzymi, Jerzy Trzeci, Jerzy Waszyngton, bostońska herbatka*, wszystko jak leci. A ja dotąd nie wiem, skąd się wzięło to jutrzejsze święto.

- Ja wiem - pochwalił się Sam. - To z powodu unii. Kiedyś nie chcieli być z nami, a teraz chcą. I mamy się z tego cieszyć. Znow była u nas ta pani Hubbard. Podobno w Ameryce na Święto Dziękczynienia wszyscy jedzą pieczonego indyka, tak nam mówiła, więc jej wyjaśniłem, że u nas indyk jest tylko na Boże Narodzenie.

- Założę się, że jutro go nie zje, chyba że będzie specjalna dostawa z Ameryki do obozu - mówił Andy. - Marines urządzają wielki lunch w Raju Żeglarza i ona się tam wybiera, ale Madam nie zaproszą, bo ma chore serce, tak mówiła ta Hubbard. A ja na to: „Chore serce? Żeby pani widziała te wory szyszek, które Madam wczoraj przytargała!”. Gdzie Terry?

* **Bostońska herbatka.** - W roku 1773 bostońscy koloniści przebrani za Indian wtargnęli na trzy brytyjskie statki z herbatą i wysypali cały ładunek do morza. Był to protest przeciwko brytyjskim podatkom od herbaty i monopolowi East India Company.

- Na farmie, razem z Joem.

Rozejrzała się za Colinem. Znów gdzieś przepadł! Instykt doprowadził ją do szatni. Colin z nieodłącznym Benem u boku zaglądał przez dziurkę od klucza. Spojrzał z urazą, gdy Emma próbowała go odsunąć.

- Jakiś pan leży na podłodze! Ktoś go zabił?

- Cicho bądź! - szepnęła Emma. - On się źle czuje. Prze-
stań, Ben!

Za późno. Ben otworzył z impetem drzwi, co odniosło natychmiastowy skutek. Gość poderwał się do siadu, jak diabełek wyrzucony na sprężynie z niewoli pudełka, i rozejrzał się wokół nieprzytomnymi oczami.

- To dziadek plażowy! - wykrzyknął ze zdumieniem Colin. - Madam musiała go aresztować, tylko zapomniała zamknąć. Hej! - zwrócił się do rozbudzonego gościa. - Lepiej ci? Chcesz zobaczyć wiewiórkę Sama?

Pan Willis poprawił sobie niezdarnie okulary, przejechał palcami po siwej czuprynie i z wolna podniósł się na nogi.

- Czuję się jak Rip Van Winkle - wyznał. - Ileż to on lat przesiedział na szczycie góry, a kiedy w końcu zszedł, zastał zupełnie odmieniony świat. Ci chłopcy nie brali udziału w naszej uczcie.

- Nie - burknęła Emma. - Właśnie wrócili ze szkoły. Docho-
dzi piąta.

Pan Willis pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Szedłem tylko załatwić potrzebę. Pewnie zakręciło mi się w głowie i upadłem. Co za nieszczęście!

Obaj chłopcy wpatrywali się w niego, zafascynowani. Walij-
ski zaśpiew był czymś nowym dla uszu Colina, a Emma zauwa-
żyła, że chłopiec ze wszystkich sił stara się go zapamiętać.

- Często pan sypia po południu? - zagadnął malec.

Pan Willis uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie zdarzyło mi się to od sześćdziesięciu lat. Od czasów, kiedy w niedzielę chodziłem do kaplicy i głos pastora wyprowadził mnie do krainy snów.

- Teraz zmykajcie stąd - powiedziała Emma stanowczo. - Pan Willis chce się doprowadzić do porządku, zanim pójdzie do

domu. - Wepchnęła obu malców do kuchni. - Jazda na podwieczorek i nie pokazywać mi się tutaj.

Nie usłuchali jej wcale. Przemknęli przez kuchnię do pokoju zabaw, żeby Andy'emu i Samowi zdać relację z niecodziennego zdarzenia. Emma wróciła do holu i zobaczyła, że pan Willis wciąga na ganku buty. Drzwi do pokoju muzycznego były zamknięte. Walińczyk przyłożył palec do ust.

- Pani pewnie odpoczywa - szepnął. - Za żadne skarby nie chcę jej niepokoić. Proszę przekazać, że najcichsze jej słowo jest dla mnie prawem. Pałę się do usług.

- Dobrze, przekażę.

- Te szyszki są wasze, a chociaż worek należy do mnie, składam go w darze jako pamiątkę doniosłej wizyty, którą, jak mnie mam, po pewnym czasie powtórzę. Lunch był wyśmienity.

Ani słowa przeprosin za uchybienie w trakcie posiłku.

- Pani babcia wspominała mi o ewentualnym spotkaniu na farmie - dodał przed zejściem ze schodków. - Nie bardzo rozumiem, o co chodzi, ale przyjdę.

Uklonił się i poczłapał do bramy.

W pokoju muzycznym panowała głęboka cisza. Czyżby Mad tak mocno spała? Zwykle zostawiała drzwi otwarte, żeby Folly mogła swobodnie wchodzić i wychodzić. Emma postanowiła poczekać, aż pan Willis oddali się na tyle, że nie usłyszy wołania. Wtedy będzie mogła spokojnie zaparzyć herbatę i obudzić babkę. Powie jej, że gość wyszedł dobrowolnie i prosił o przekazanie wyrazów wdzięczności.

Mad wcale nie spała. Kiedy Emma wniosła herbatę, zastała ją na sofie, obłożoną otwartymi tomami Szekspira.

- Tak sobie przeglądam - wyjaśniła. - W której to sztuce ktoś mówi: *Umiem przywoływać duchy z otchłani**?

- Masz na myśli Owena Glendowera?

- Oczywiście. Nie mogłam sobie przypomnieć nazwiska. Co za wspaniała rola dla Taffy'ego! Chcę, żeby mi przeczytał, kiedy się obudzi. To sztuka o którymś Henryku?

- „Henryk IV”, część I - odpowiedziała Emma. Go za ignorantka z tej Mad!

- Oo... - Mad przewracała kartki. - Poczekaj, już mam:

...W dniu moich narodzin

W niebie kłębiły się płomienne znaki

I gorejące pochodnie, a ziemia

Drżała w posiadach, jakby czuła trwogę. - Imitacja głosu Taf-fy'ego była wprost perfekcyjna. - Em, idź, zobacz, może już się obudził. Leży tam co najmniej od dwóch godzin.

- Ależ tak, już wstał. Co więcej, wyszedł.

- Wyszedł? - Mad spojrzała na nią z niepokojem.

- Nie chciał ci przeszkadzać. Prosił, żebym podziękowała ci za lunch.

Mad zamknęła z trzaskiem książkę.

- Fatalnie! Tak się cieszyłam na odrobinę wspólnej lektury przed operacją Gnojownik. Jak on się czuł? Przyszedł do siebie?

- O, tak, zupełnie. I nawet nie przeprosił.

- Za co? Przecież nie mógł nic na to poradzić.

Emma stanęła przed babką z założonymi rękami.

- Muszę ci coś powiedzieć. Otóż operacja Gnojownik, bez względu na to, czym jest, po prostu się odbędzie. A już pod żadnym pozorem ty w niej nie weźmiesz udziału. Dzwoniłam rano do Bevila Summersa, obiecał, że przyjedzie cię zbadać. Ma tu być lada chwila.

Mad zastygła z imbrykiem w ręku.

- Bevil mnie nie powstrzyma.

- Ależ powstrzyma.

Nagle role się odwróciły. Teraz Emma wydawała rozkazy. Musiała potraktować babkę tak samo, jak ta traktowała nieposłusznego Colina. Mad milczała. Dalej nalewała herbatę, ale pogwizdywała przy tym cichutko, co nie wróżyło niczego dobrego. Emma także w milczeniu napełniła swoją filiżankę.

Nagle Mad wzruszyła ramionami.

- Och, już dobrze. Pewnie masz rację. Mogłabym utknąć po drodze, a poza tym chętnie zamienię słówko z Bevilem, skoro tak się składa. Chyba przesadziłam wczoraj z dźwiganiem tych worków, bo jakoś dziwnie boli mnie w boku.

- Och, Mad! - przeraziła się Emma. - Gdzie? Jaki to rodzaj bólu?

- Tu - skrzywiła się Mad. - Dość nisko, bliżej pachwiny. - Pokazała miejsce i drgnęła, kiedy Emma spróbowała jej dotknąć.

- Czemu, na Boga, nie powiedziałaś wcześniej?!

- Nie chciałam robić zamieszania.

- Mam powiedzieć Dottie?

- Oczywiście, że nie. Co by to dało? Ale wiesz co? Bądź aniołem i po herbacie pójdz do chłopców, spróbuj ich jakoś zabawić. Ja położę się tutaj i zaczekam w spokoju na Bevila. Nie martw się, to niegroźny ból, tylko taki dziwny i dokuczliwy.

Emma piła duszkiem herbatę, rzucając od czasu do czasu okiem na babkę. Wyobraźnia błyskawicznie skoczyła w stronę katastrofy. Badanie lekarskie, rentgen, szpital, natychmiastowa operacja... Uporczywe bóle są zawsze najbardziej podejrzane, zwłaszcza u starych ludzi. Jednego dnia taki ktoś czuje się świetnie, a w każdym razie się nie skarży, a potem nagle robi się za późno na wszelki ratunek...

Mad podłożyła sobie poduszkę pod głowę i sięgnęła po „Henryka IV”, Emma odniosła tacę do kuchni. Nie chciała nic mówić Dottie aż do wizyty lekarza. Wtedy będzie wiadomo, co robić. Gdy tylko chłopcy skończyli podwieczorek, zabrała ich do biblioteki i starannie zamknęła drzwi, żeby odgłosy z telewizora nie denerwowały Mad. Włączyła odbiornik i usadowiła się w fotelu babki, akurat gdy zaczynał się program o bostońskiej herbacie. Okazał się on testem na wytrzymałość, przynajmniej dla Bena, który wolał wdrapywać się na ławeczkę podokienną i grzechotać żaluzjami.

- Uspokój się - rzekł Colin tonem przemęczonego studenta przed końcowymi egzaminami. - Nie mogę się skoncentrować.

Ben przestał na chwilę, ale niebawem znów zaczął stukać.

- O co mu chodzi, na miłość boską? - zdenerwowała się Emma.

- Chyba mówi coś o Madam - odparł Colin, nie odrywając oczu od ekranu.

Emma skoczyła na równe nogi, ściągnęła Bena z ławeczki i zaniósła go - co dziwne, bez protestów z jego strony - do holu.

Ku jej zdumieniu, malec natychmiast rzucił się do drzwi na ganek i zaczął szarpać za klamkę.

- Pic... - powiedział. - Pic, kit! - I pokazał palcem ogród.

- Przeszaniez wreszcie? - wrzasnęła Emma. - Madam jest w pokoju muzycznym i potrzebuje spokoju.

Ben pokręcił główką i tupnął. Nagle za bramą ukazały się światła samochodu doktora Summersa. Dziecko musiało usłyszeć warkot i pewnie to właśnie chciało jej przekazać.

- No już dobrze, tylko bądź przez chwilę cicho.

Czekała na ganku, aż doktor wynurzy się z deszczu i mgły.

- Przepraszam, nie udało mi się wyrwać wcześniej - tłumaczył się, kiedy otwierała mu drzwi. - Miałem dziś istne piekło. Cześć diabełku.

- Och, tak się cieszę, że jesteś! Tym razem to naprawdę pilne, chociaż kiedy dzwoniłam, jeszcze o tym nie wiedziałam. Skarżyła się na bóle w okolicach pachwiny, nie podoba mi się to... Ben, zostawisz te drzwi w spokoju? - Chłopczyk wciąż pokazywał palcem ogród, wydając nieartykułowane dźwięki. - Nie zwracaj na niego uwagi, on lubi się popisywać - mówiła do lekarza, otwierając drzwi do pokoju muzycznego.

Lampka nad sofą wciąż się świeciła, ale wśród poduszek spała tylko zwinięta w kłębek Folly.

- Musiała pójść na górę! - wykrzyknęła Emma. - To znaczy, że naprawdę fatalnie się czuje. Nic mnie nie obchodzi, że stara się to ukryć. Poczekaj, zawołam cię.

Wbiegła na górę po dwa stopnie naraz i wpadła do sypialni babki. Światło było zgaszone, a łóżko nietknięte. Może poszła do pokoju zabaw albo do Dottie? Szybko wróciła do holu, gdzie Ben nadal zmagał się z drzwiami, gestykulował gwałtownie i poruszał rozpaczliwie ustami. W tym momencie Emma pojęła swój błąd. Przypomniała sobie, że malec tak samo się zachowywał, kiedy stał w oknie biblioteki. Widać stamtąd pole i mur z przejazdem... Weszła do szatni i zapaliła światło. Domowe pantofle Mad stały równiutko pod ścianą. Wysokie buty, płaszcz od deszczu i czapka z daszkiem zniknęły. No nie!

Wróciła do holu i rozłożyła z rezygnacją ręce.

- Wszystko na nic. Wykołowała nas. Ta cała historia o bólu

w pachwinie to jedna wielka mistyfikacja, żeby usunąć mnie ze sceny. Na miłość boską, co my teraz pocniemy?

Bevil Summers uniósł brwi.

- Boga w to nie mieszajmy, dobra? Postaraj się wytłumaczyć, o co tak naprawdę tu chodzi.

Emma prawie go nie słyszała.

- Nawet drgnęła, kiedy ją dotknęłam! Powiedziała, że chce poleżeć w spokoju, prosiła, żebym zajęła się dzie... - urwała w pół słowa. - Prawda, że ten ból pojawił się dość nagle...

- Chyba zdażyłaś poznać własną babkę na tyle, żeby wiedzieć, kiedy zmyśla? Bo ja tak. - Westchnął. Miał ciężki dzień i widać to było po nim. - Więc powiadasz, że nie ma jej w domu? Wyszła w taką pogodę?

- Obawiam się, że tak. Buty, płaszcz od deszczu... wszystko zniknęło. Zrobiła to specjalnie, żebyś jej nie mógł powstrzymać.

- A po co miałbym ją zatrzymywać? Na pewno chciała przejść się po zagajniku, to jej nie zaszkodzi.

Emma spojrzała na niego ze zdumieniem. No jasne, on nic nie rozumie. Nie powiedziała mu, o co chodzi.

- Mad nie poszła na żaden spacer. Umówiła się z trzydziestoma farmerami na jakąś okropną wyprawę. Nazwali to „operacja Gnojownik”. I dlatego nie mogłam ci nic wyjaśnić przez telefon.

Tym razem z kolei doktor osłupiał. Po chwili wrzucił ramionami i sięgnął po dopiero co zdjęty płaszcz.

- W takim razie - rzekł - chodźmy jej poszukać. Ubierz się, czekam w samochodzie. Jeśli komandosi ruszyli do akcji, wszyscy możemy mieć kłopoty.

18

W wysoko położonym Trevalnal mgła znad morza zawsze najbardziej dawała się we znaki. Tuż za bramą, w najwyższym punkcie podjazdu, Bevil Summers przyhamował i zerknął na zegarek.

- Teraz słuchaj. Nie planowałem na koniec ciężkiego dnia udziału w nielegalnej ekspedycji. Po obsłużeniu twojej babki i Terry'ego miałem jeszcze ostatnią wizytę u pacjenta, który mieszka ze trzy kilometry od mojego domu, tuż za Pinnock Down. Leży w łóżku i nie mogę sprawić mu zawodu, więc najpierw tam podjedziemy, to nie potrwa długo.

- Jak sobie życzysz - zgodziła się Emma. - I tak czuję się okropnie, że fatyguję cię w taką pogodę, ale po prostu nie mogę ufać Mad, a tym bardziej obu starszym chłopcom.

- To nie twoja wina. Należysz po prostu do setek, a może tysięcy pechowców, którzy cierpią niewygodę z powodu tych przeklętych nowych przepisów. Spędziłem pół dnia na przekonywaniu zarządu szpitala okręgowego, że trzeba podjąć jakąś akcję, i chyba w końcu udało mi się ich poruszyć. Nie można odcinać ludziom wody i zabraniać im jeździć samochodami tylko dlatego, że jakiś Amerykanin spadł z klifu. Unia i wojskowa taktyka zastraszania ludności to dwie różne sprawy.

A więc i on się w to wplątał. Śniegowa kula nabierała rozpędu. Oni i my.

Samochód stanął w pobliżu kilku zabudowań.

- Postaram się szybko wrócić - obiecał doktor Summers i zabrawszy torbę, ruszył w stronę jednego z domków położonych centralnie.

Wszedł do środka, trzasnęły drzwi i nagle zrobiło się bardzo cicho. Mgła była gęsta jak zawsze, drobny kapuśniaczek osiadał na przedniej szybie, zasłaniając całkowicie widok. Emma przetarła boczną, ale zobaczyła tylko dwa wysokie drzewa, zwieszające nagie konary zza żywopłotu. W oddali pohukiwała sowa. Emma myślała o babce, bez obawy wędrującej polem na farmę w deszczu i mgle. Ona nigdy w życiu by się na to nie zdobyła, nawet w normalnych warunkach, chyba że towarzyszyłby jej któryś z chłopców. Bo kiedy zapada ciemność, wszystkie znajome rzeczy stają się tajemnicze, okrywa je czarny całun, nabierają odmiennego, wręcz złowieszczego wyglądu, jak gdyby pochodziły z innej, bardziej pierwotnej epoki, w której czas nie istnieje. Nawet teraz, tutaj, na spokojnej drodze w pobliżu ludzkich siedzib, Emma czuła się bezpieczna tylko dlatego, że siedziała w samochodzie Bevila Summersa, przesiąkniętym znajomym zapachem skóry. Tu ją chronił samochód, ale za polami i jeszcze dalej... O, tam nie było nic przyjaznego, tam pusta przestrzeń ziała grozą, podobnie jak Trevanal podczas spaceru w ciemnościach.

- Bzdura - mawiała Mad. - Kto się boi ciemności, ten boi się śmierci. Powinniśmy wszyscy brać przykład z niewidomych, oni jakoś z tym żyją.

Może w tamtym domku ktoś umiera? Na przykład przykuty do łóżka pacjent, do którego poszedł lekarz. Nagle pomyślała o swojej matce. Ledwie pamiętała tę bladą, eteryczną kobietę - ona także leżała, trawiona nieuleczalną chorobą. Czy się bała? Czy czuła, jak gęstnieją wokół niej cienie, jak z każdym dniem, z każdą godziną coraz bardziej ją osaczają?

Żeby ten Bevil już wrócił! Wyobraźnia zaczynała przejmować nad nią władzę. Emmie stanęła przed oczami staroświecka sypialnia z nierówną podłogą, zapłakana kobieta trzymająca starca za rękę, lekarz kręcący ze smutkiem głową. Przykro mu, nic się nie da zrobić. To okropne, jeśli rzeczywiście istnieje jakiś Anioł Śmierci, ciemny duch z ogromnymi skrzydłami, który czyha u wezgłowia w oczekiwaniu na duszę. Próbujesz mu się przeciwstawić i nie możesz, widzisz, jak się zbliża, jak rozkłada szeroko skrzydła, aż wreszcie cię wsysa, pochłania, toniesz jak... I tu pojawił się obraz żołnierza leżącego na polu ze strzałą między oczami.

Wzdrygnęła się, prawie krzyknęła. Ale to tylko Bevil Summers otwierał drzwi samochodu.

- Przepraszam - rzekł. - Trwało to trochę dłużej, niż przypuszczałem. Staruszek musiał mi koniecznie opowiedzieć o wszystkich swoich bólach.

- Więc nie był umierający?

- Umierający? Skądże znowu. Pociągnie jeszcze z dziesięć lat, jeśli będzie się pilnował, a jego żona przestanie gderać. No to jak się przedstawia plan naszej kampanii?

Ciąg chorobliwych myśli odwiódł ją daleko od krytycznej sytuacji. Co za idiotkę z siebie zrobiła! Jeszcze gorszą niż wtedy, kiedy zemdlała na widok zastrzyku.

- Myślę, że najlepiej będzie zawrócić i pojechać na farmę. Tam właśnie musiała iść Mad, kiedy Ben widział ją z okna biblioteki. Oprócz pana Trembatha powinniśmy też zastać u sąsiadów chłopców i pana Willisa.

Doktor przekręcił kluczyk.

- Więc on także w tym tkwi? To już cała organizacja. A do kąd oni się wybierają? Przecież wartownik zatrzyma ich zaraz u stóp wzgórza.

- Naprawdę? Nawet jeśli pojedą landroverem? To nie jest prywatny samochód.

Bevil Summers kręcił z powątpiewaniem głową.

- Według mnie oni zatrzymują wszystko, co ma koła, nawet wózek inwalidzki. Coś ci powiem. Pojedziemy skrótem przez Pinnock Lane i zaparkujemy pod żywoptotem z wyłączonymi światłami. Stamtąd posterunek drogowy widać jak na dłoni.

- A jeśli nas wyśledzą i zaczną wypytywać?

- Mam przepustkę lekarską.

- A ja?

- Ty jesteś moją sekretarką i pielęgniarką na godzinach. Zostaliśmy wezwani do nagłego przypadku.

Właściwie zabrzmiało to tak, jakby doktor dobrze się bawił. Po namyśle Emma uznała, że już się nie boi. Bevil Summers to pan w średnim wieku, jest godny zaufania, ma na wszystko odpowiedź jak Pa, a w razie czego zawsze się wyłga. Jego pokolenie nie ucierpiało tak jak jej od poczucia winy ani od nieczystego sumienia.

- Jak myślisz, na co się zanosi? - zapytała. - Nie chodzi mi o ten akurat wieczór, ale jutro, za tydzień, w przyszłości?

Nie odpowiedział od razu. Prowadził bardzo wolno z powodu gęściejszej niż zwykle mgły.

- Myślę - odezwał się wreszcie - że w końcu coś dotrze do umysłów milionów ludzi, którzy dotąd niczego nie pojmują, a wtedy wybuchnie takie powstanie, jakiego ten kraj nie widział... no, powiedzmy, od czasów Wilhelma Zdobywcy. To nie jest kwestia żadnej ideologii społecznej - prawicy, lewicy, faszyzmu, anarchii czy czego tam jeszcze, tylko po prostu czystej, niezmaconej, brytyjskiej buty. My nikomu nie pozwolimy rozstawić się po kątach.

- Nikomu - to znaczy USUK-owi?

- Oczywiście, a także żadnemu innemu układowi, który sięgnie po władzę. Sojusze z innymi państwami - zgoda. Dominacja, zwłaszcza jednostki - nigdy. Otwórz okno i wyteż wzrok, bo zaraz wyłączam światła. Silnik, zresztą, także.

Skręcił w pochyłą uliczkę Pinnock Lane, której koniec wychodził na drogę nad plażą. Emma opuściła szybę i wyjrzała, ale niczego nie zobaczyła ani nie usłyszała, bo mgła wciskała się jej do oczu, a w uszach szumiał deszcz. Dziwne to uczucie, kiedy się zjeżdża wolno po stromej, wyboistej drodze nieoświetlonym samochodem na luzie. Dziwne, ale ekscytujące. Doktor Summers pozwolił autu stoczyć się na sam dół, po czym skręcił w lewo pod żywopłot i zahamował. Emma nadal nic nie widziała.

- Chodź. Wsiądź moją stroną, tylko ani słowa. Pochyl głowę. - Wyciągnął do niej rękę i sam też się pochylił. - I trzymaj się blisko żywopłotu.

Posuwał się ostrożnie naprzód. Emma szła tuż za nim i mało brakowało, a parsknęłaby histerycznym śmiechem. To, co robili, było absurdalne, zupełnie niezwiązane ze zwykłą rolą Bevila Summersa, którego kojarzyła dotąd wyłącznie z wietrzną ospą czy grypą. Czasem, gdy ich odwiedzał, gawędzili sobie z Mad na przykład o Andym, synu jego przyjaciół, a teraz nagle zamiast lekarza zobaczyła szpiega ruchu oporu, rewolucjonistę, rebelianta. Po obu stronach uliczki ciągnęły się pola. Z lewej była furka. Doktor nacisnął klamkę i przepuścił Emmę, potem sam wszedł.

Do jej uszu docierał już szum rozbijających się na plaży fal. Po drugiej stronie drogi migotały światła Raju Żeglarza i pojedyncze - z posterunku przy blokadzie. Doktor Summers pociągnął ją pod osłonę żywopłotu. Przykucnęli obok siebie, obserwując wartownika, gospodę i wejście do obozu na plaży. Wartownik stał w budce, kryjąc się przed deszczem, ale od czasu do czasu rozglądał się na prawo i lewo. Nie było słychać żadnego pojazdu, pod Rajem Żeglarza też nie parkowały samochody. Zakaz postoju; klienci pana Libby'ego - zarówno miejscowi, jak i ci z obozu - siedzieli w domach. Dobrze mu tak, myślała Emma. Nie ma amatorów kalifornijskiego wina, podobnie zresztą jak tujszego piwa.

A jednak się myliła. Z ciemności za gospodą wychynał jakiś wyraźnie podpity maruder. Kimkolwiek był, zataczał się na nogach i śpiewał. Czujny wartownik wypadł z budki i krzyknął: „Stać!”, ale pijaczek pomachał mu tylko ręką i dalej sunął naprzód, śpiewając na całe gardło.

- Ucisz się, chłopie, i szoruj do chaty! - krzyknął żołnierz.

W tym momencie Emma rozpoznała z przerażeniem znajomy deszczowiec i czapkę z daszkiem.

- O Boże, Bevil! - szepnęła. - To Mad!

Doktor wciągnął powietrze i zacisnęła palce na jej ramieniu. Rzekomy pijaczyna czknął i zaśpiewał: *Ciało Johna Browna leży w ciemnym grooobie...* Potem chwiejnym krokiem ruszył w stronę wartownika i padł na ziemię u jego stóp. Żołnierz odruchowo przyklęknął, a wtedy zza budki ktoś wyskoczył i trzasnął go w kark ciosem podobnym do karate. Wartownik leżał nieruchomo, natomiast postać w deszczowcu i czapce z daszkiem zerwała się na równe nogi.

- Dobra robota, Taffy! Bałam się, że przeszarżuję, a jednak zadziało!

Doktor Summers puścił ramię Emmy.

- I tu się zaczyna nasza rola.

Mylił się jednak, przynajmniej do czasu. Na głównej drodze ukazał się sznur pojazdów. Sunęły w dół na wyłączonych silnikach, bez świateł, także uliczką Pinnock Lane, którą dopiero co i oni jechali.

- Landrovery! - szepnęła Emma. - I traktory! To farmerzy.
- Brawo - mruknął doktor. - Zostań tu, chyba mam pacjenta.

Emma patrzyła, jak podchodzi do bramki, zamienia kilka słów z kierowcą nadjeżdżającego traktora, po czym rusza w stronę własnego samochodu. Potem zniknęła jej z oczu, ale musiał zabrać torbę z auta, bo w chwilę później klęczał już przy wartowniku i coś z niej wyciągał. Następnie razem z panem Willisem zanieśli nieprzytomnego żołnierza do budki. Wszędzie panowała głucha cisza, zakłócana tylko szumem fal. Pojazdy farmerów nie wydawały żadnego dźwięku. Pan Libby, nieświadom zgromadzenia na swoim terenie, drzemał pewnie za barem, zmartwiony brakiem klientów. Przy barykadzie zrobiło się teraz tłoczno, i Emma nie mogła już odróżnić Mad ani żadnego z chłopców, ale wysoki mężczyzna, który zdawał się im przewodzić, był z pewnością Jackiem Trembathem. Niedobrze, myślała. Nie mogę tu tkwić, muszę się do nich przyłączyć. Wybiegła na drogę, ale nagle ktoś złapał ją za ramię i obrócił, próbując zajrzeć w twarz. Nie wiedziała, kto taki, ale na pewno ktoś obcy.

- To ja, Emma z Trevanal...

Mężczyzna puścił ją natychmiast i uśmiechnął się szeroko. Dopiero teraz zobaczyła, że podobnie jak inni miał twarz wysmarowaną przypalonym korkiem.

Pojęła też sens ich misji, tego, co zamierzali zrobić. Operacja Gnojownik - idealnie dobrana nazwa! Cały nawóz i inne odpadki ze wszystkich okolicznych farm załadowano na landrovery i ciągniki, a teraz zwalano to obok posterunku drogowego i przy wejściu do Raju Żeglarza, gdzie następnego dnia miały się odbyć obchody Święta Dziękczynienia. W ruch poszły wszelkiego rodzaju narzędzia - łopaty, widły, wiadra, a wszystko to w idealnej ciszy. Żadna przypływowa fala, niosząc zwały piasku, nie spowodowałaby takiego spustoszenia. Wilgotne powietrze wypełniał odór rozkładającego się nawozu. Nieprzytomny wartownik leżał pod kocem w swojej budce, nie mając o niczym pojęcia, i wyglądało, że po pomocy lekarskiej jego sen potrwa dość długo. Sam doktor nie zajmował się dłużej pacjentem, tylko złapał widły, podane czyjaś usługą rękę, i w najlepsze rozrzucił gnoj wraz z innymi.

- Masz - odezwał się Joe, który nagle pojawił się u boku Emmy. - Weź to.

Podał jej ogrodowy szpadel i już po chwili ona także z uśmiechem na ustach nabierała nawóz z ciągnika i rzucała na błyskawicznie wypiętrzoną górę, która znacznie skuteczniej blokowała drogę niż posterunek wojskowy. Po drugiej stronie jej babka z Terryem u boku zajmowała się dokładnie tym samym, a pan Willis miotał się od jednej grupki do drugiej z marynarską łopatką zdobytą Bóg wie gdzie.

Zabawa nie mogła jednak trwać wiecznie. Ktoś z Raju Żeglarsza musiał odebrać ostrzeżenie, bo nagle drzwi gospody się otworzyły i w progu stanął pan Libby. Rzucił się z wrzaskiem naprzód, wymachując rękami, ale zaraz stanął w pół kroku, bo dalszą drogę zagrażdzała ponadtrzymetrowa góra nawozu. W tej samej chwili pod nogi upadła mu pełna łopata gnoju, aż się zachwiały na nogach. Emma uchwyciła jego przerażony, pełen grozy wzrok. Nagle pan Libby zawrócił i pognął do gospody, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Do domu, chłopaki! - zawołał Jack Trembath. - Tylko każdy na własną rękę, żeby nam nie odcięli tyłów.

Cienie natychmiast się rozproszyły, farmerzy zaczęli wsiadać do pojazdów. Ciszę rozdarł nagły warkot silników i cała kawalkada ruszyła w drogę powrotną, tym razem pod górę. Doktor Summers z Mad u boku i kuśtykającym z tyłu Terryem szedł w stronę Emmy.

- Do samochodu! - wołał. - Szybko! Wyjedziemy tamtą uliczką prędzej niż farmerzy. Joemu nic nie będzie, pobiegnie polem na farmę, a stamtąd do domu.

Przeszli przez ulicę dosłownie w ostatniej chwili, bo zaraz ktoś - pewnie pan Libby - wszczął alarm. W obozie rozbłysły światła, żołnierze zaczęli się wysypywać na plażę, dowódcy wykrzykiwali rozkazy. Mimo to cała czwórka zdołała wcisnąć się do samochodu - Emma z babką z tyłu, Terry obok doktora. Ryknął silnik i auto na wstecznym biegu pomknęło pod górę. Z tyłu dobiegał warkot drapiących się wolniej landroverów i traktorów. Zwietrywszy niebezpieczeństwo, szturmowe siły operacji Gnojownik uruchomiły klaksony. Doktor także trąbił. Noc, tak dotąd

cicha, wypełniła się triumfalnymi, choć nieskoordynowanymi dźwiękami.

Dopiero kiedy wycofali się bezpiecznie z wąskiej uliczki i skręcili na główną drogę, Emma poczuła potworny odór wypełniający ciasną przestrzeń zadbanego auta doktora. Dostała lekkich mdłości.

- Rozumiecie chyba - odezwał się Bevil Summers - że wystawię wam rachunek za tę ekspedycję.

Mad strzepnęła grudkę nawozu z karku doktora.

- Bzdura! Pójdzie w koszty służby zdrowia. A jak spróbujesz mnie obciążyć, to się poskarżę w Izbie Lekarskiej.

- Wiem, kto oskarży doktora o napaść - rzekł Terry. Pan Libby z Raju Żeglarza. Widziałem, jak pan rzucił mu pod nogi ostatnią łopatę gnoju.

- Nic mi nie robi - mruknął tamten. - Ani on mój pacjent, ani ja jego klient.

- A szkoda - zauważyła Mad. - Może by ci przysłał skrzynkę kalifornijskiego wina.

Zatoczyli prawie pełne koło, zanim bezpiecznie skręcili do Trevanal. Kiedy stanęli u podnóża podjazdu, od głównej drogi dobiegł ich ryk flotylli farmerów zmierzających do domów. Bevil Summers obrócił się do Mad.

- I co? Mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

- Nie do końca. Ten wał powinien być o jakiś metr wyższy. Ale mimo wszystko... pan komendant będzie musiał wydać swój lunch gdzie indziej. Nie wyobrażam sobie, jak pani Hubbard przebrnęłaby przez tę naturalną barykadę, a ty? Chodź, Bevil, powinieneś się wykapać przed powrotem do domu. Wyciągniemy trochę wody ze studni i podgrzejemy.

Wysiadła z samochodu. Kurtkę i buty miała pobrudzone nawozem.

- Serdeczne dzięki - odparł lekarz. Raczej nie zaryzykuję. I bez względu na wszystko, nie pijcie tego paskudztwa, bo skończycie w szpitalu zakaźnym z tyfusem. Ty, mój chłopcze - zwrócił się do Terry'ego, który gramolił się z auta - powinieneś mieć jutro zdjęty gips, ale nie licz na to. Teraz wszystko może się zdarzyć.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Mad, zadzierając czapkę i opierając rękę na biodrach.

- Chyba ani przez chwilę nie sądziłaś, że komandosi puszcza płazem operację Gnojownik? Odpłacą wam jeszcze surowszymi restrykcjami, więc lepiej się pilnować i siedzieć cicho po domach.

- A co z tobą? - zapytała Emma, nagle dziwnie zaniepokojona jego bezpieczeństwem. Zupełnie jakby niezwykle nocne wydarzenia ukazały jej nagle w nowym świetle tego szorstkiego, trochę niecierpliwego medyka, którego znała od dzieciństwa.

- Dołożę swój kamyczek do ogródka i odmówię usług medycznych wszystkim poza rebeliantami. Farmerzy nie będą sprzedawać mleka i śmietany, a ja pigułek i innych lekarstw. Mogę nawet posunąć się do tego, że zamknę szpital i namówię wszystkich kolegów z okręgu do strajku. - Mrugnął do Mad i włączył silnik. - Gdyby telefonowali z domu, powiedz mojej rodzinie, że spędziłem tu kilka godzin, próbując zmusić cię do przyjęcia środka uspokajającego na nadwerżone serce.

Zawrócił samochód i wkrótce zniknął im z oczu.

- On jest do tego zdolny - powiedziała poważnie Mad, otwierając bramę.

- Do czego? - spytał Terry.

- Do zorganizowania strajku. Farmerzy, lekarze, pielęgniarki, nauczyciele, grabarze, kanalarze. Jeśli tylko wszyscy odmówią pracy i wywieszą na drzwiach napisy *Jankesi do domu*, USUK znacznie się rozpadać.

- Wszystko to bardzo pięknie - wtrąciła Emma - ale wtedy nastąpi ogólny chaos.

- Niekoniecznie.

Furtka przełazu trzasnęła i pojawił się Joe - zdyszany, przemoczony do nitki, z włosami opadającymi na twarz.

- Musiałem się drapać po klifach! Omal nie złamałem nogi, jak Terry. Pod Rajem Żeglarza jest niezła rozróba, wolałem się tam nie pokazywać.

- Czy wszystkim udało się uciec? - spytała Mad.

- Tak sądzę. Ale Trembathom na pewno. Aha, od jutra mamy u nich mleka ile dusza zapagnie, poza tym pan Trembath zarzyna świnie i coś nam z tego kapnie. W zamian mam ich

wspomóc drewnem. - Stał na ganku, uśmiechając się do Mad, potem odwrócił się do Emmy. - Widzisz? To działa! Rozumiesz, ta samopomoc sąsiadka. Oni pomogą nam, my im, nie trzeba żadnych pieniędzy. Gdyby wszyscy w całym kraju robili tak samo, obeszlibyśmy się bez handlu. Nie żylibyśmy bogato, to fakt, ale byłibyśmy szczęśliwi, wolni...

Urwał, bo niebo nad ich głowami nagle pojaśniało. Kiedy odruchowo spojrzeli w górę, rozległ się huk eksplozji, jakby gwiazdy się ze sobą zderzyły. Szyby w jadalni i na ganku zadrżały. Zszokowani, przycupnęli całą czwórką na stopniach, osłaniając twarze rękami. Echo stopniowo słabło, wibracje ustały, ziemia pod nogami już nie dygotała. Pierwszy poruszył się Terry. Nic nie mówił, tylko pokazał ręką niebo nad morzem. Było żółte niczym w słoneczny dzień. Chłopiec złapał kule, pokuśtykał do ogrodowej furki i otworzył ją na oścież. Przez wygięte gałęzie dębu widać było ciemne wody zatoki poprzecinane bruzdami czerwieni, a tam gdzie jeszcze wczoraj stał na kotwicy dumny okręt wojenny, z kałuży ognia wznosił się słup dymu.

19

Nikt wiele nie spał tej nocy. Maluchy, zbudzone hukiem eksplozji, przybiegły z płaczem do Dottie. Średniacy, którzy szykowali się dopiero do spania, też do niej poszli. Byli bardzo bladzi i poważni, chociaż powstrzymali się od łez. Sam kurczowo przyciskała wiewiórkę. Kiedy uczestnicy wyprawy otworzyli frontowe drzwi, biedna, roztrzęsiona Folly próbowała właśnie wepchnąć się pod kanapkę w holu. Wszyscy domownicy zgromadzili się w kuchni, gdzie na szczęście ocalały okna. Dottie, która - co dziwne - oprzytomniała pierwsza, stała w szlafroku przy kuchni i gotowała kakao.

- Wszyscy pocujemy się lepiej, gdy wypijemy coś gorącego.

Ben z buzią ukrytą na ramieniu Mad, ssał zawzięcie kciuk, nie spuszczać z oczu Dottie. Colin usadowił się na kolanach Emmy i już nie dygotał. Terry palił nerwowo papierosa, kołysząc się w przód i w tył na krześle. Sam klęczał przy wiewiórce i głaskał jej drżące uszka. Joe - jedyny brakujący domownik - wrócił, z nim ktokolwiek zauważył jego nieobecność.

- Obszedłem dom - rzekł krótko. - Szyby w jadalni poszły, w bibliotece tylko jedna pękła. U Madam w sypialni wyleciały dwie, w gościnnym i u Emmy wszystko w porządku. Nie sądzę, żeby w piwnicy coś się stało, ale zaraz tam zajrzę.

I zniknął znowu. Andy, który stał cicho, pogrążony w zadumie, nagle zerwał się do czynu.

- Idę z tobą. Nie chcę kakao.

Nikt więcej się nie odezwał. Czajnik szumiał, mleko zaczynało wrzeć i niebawem wszyscy sączyli gorący napój z biało-niebie-

skich kubków. Zrobiło się domowo, normalnie, a jednak w powietrzu zawisło coś groźnego. Gdybyśmy mogli pozostać tak na zawsze, myślała Emma, zatrzymać się w marszu...

- Wiecie co? - rzekł nagle Colin, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Kiedy się obudziłem i usłyszałem ten huk, pomyślałem sobie, że to Dzień Sądu i Jezus nadciąga w chmurach, żeby oddzielić owce od kozłów.

Sam podniósł głowę znad wiewiórki.

- Śmieszne! Ja też pomyślałem, że jest Dzień Sądu, ale nie wierzę, żeby Jezus oddzielał owce od kozłów, to byłoby za bardzo niesprawiedliwe. Mnie się wydaje, że raczej kazałby lwom leżeć obok jagniąt, przynajmniej ja tak bym zrobił, gdybym był Jezusem.

- Ja tam nic nie wiem o Dniu Sądu - wtrąciła się Dottie - ale jestem przekonana, że mali chłopcy, którzy biegają po domu bez kapci, ani chybi skaleczą sobie nogi odłamkami szkła, więc lepiej niech szorują do łóżek.

Do domu wracało normalne życie. Odłożono kubki, Mad podała Dottie uspiętego Bena, a sama wstała i przeciągnęła się. Emma odprowadziła ją do sypialni. Szczotka i śmietniczka szybko uporały się z rozbitym szkłem.

- Świeże powietrze dobrze mi robi - zauważyła Mad. - Przynajmniej wywietrzy się smród tego nawozu. Ciekawe, że nikt o tym w ogóle nie wspomniał ani nie zapytał, gdzieśmy byli. Nawet Dottie.

- Byli za bardzo wystraszeni - powiedziała Emma. - Muszę przyznać, że ja także.

Stały razem przy oknie i patrzyły na morze. Wszędzie paliły się światła, ratownicze statki przeszukiwały zatokę, w górze ryczały helikoptery, ogromne reflektory omiatały miejsce, w którym znajdował się okręt.

- Dzień Sądu - mruknęła Mad. - Ciekawe, dla ilu ludzi?

- Koszmar - szepnęła Emma. - Istny koszmar.

A jednak obie nie mogły oderwać oczu. Oślepiające promienie dęgały płamę oleju na wodzie, światła helikopterów krążyły nad nią niczym gigantyczne ćmy, to zniżając się, to nabierając wysokości.

- Biedne czorty! - westchnęła Mad, odwracając się od okna.
- Ale przynajmniej zginęli od razu.

Wiedzioną siłą nawyku, włączyła koc elektryczny i zaczęła ścielić łóżko.

Dlaczego zaraz „czorty”, oburzyła się w duchu Emma. Czy tego właśnie zwrotu używa się na określenie rannego lub poległego nieprzyjaciela? Gdyby w normalnych czasach brytyjski albo europejski statek stał w zatoce w oczekiwaniu na przypływ i nagle wyleciałby w powietrze, Mad pierwsza, mimo sędziwego wieku, pognałaby na plażę, a Emma i chłopcy za nią, w nadziei że ktoś jednak się uratował i próbuje dopłynąć do brzegu. Ale nie tym razem. Tym razem nikt z Trevalan nie kiwnie nawet palcem. Rozbitek, który zdołał ucześcić się kawałką wypalonego drewna albo próbuje płynąć, krztusząc się oleistą wodą, nie jest „swój”. To obcy, wróg. Oni i my...

- Mad, jak myślisz, co się właściwie stało? Może ktoś w maszynowni popełnił błąd, może to jakiś okropny wypadek?

Babka wyjęła szlafrok i ranne pantofle, zapaliła lampkę przy łóżku, nalała do szklanki wody.

- Chciałabym tak myśleć, ale to wątpliwe. Raczej ktoś przemycił na pokład ładunek wybuchowy. A jeśli potrafią to udowodnić, powiedzą, że nasza operacja Gnojownik miała na celu odwrócenie ich uwagi i była częścią kompleksowego planu.

- O mój Boże! - Emma złapała się za głowę.

- Tak, wiem, to straszne, ale co możemy poradzić? Więc biegnij teraz do siebie i spróbuj zasnąć. Znosi się, że nikomu z nas nie będzie łatwo.

Emma tak bardzo chciałyby zostać. Usiąść na końcu łóżka i wyrzucić z siebie wszystkie lęki przed przyszłością, przed jutrzejszym dniem. Wiedziała jednak, że nic z tego. Mad była zupełnie inna: u niej „dość” znaczyło „dość”. Wolała zostać sama. Emma pocałowała ją na dobranoc i wyszła, ale kiedy zatrzymała się na szczycie schodów, żeby zgasić światło, zobaczyła małą figurkę, patrzącą na nią z holu. Andy!

- Co się stało? - spytała. - Czemu nie jesteś w łóżku?

- Em... - Chłopiec postawił z wahaniem nogę na stopniu. - Mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście!
- Joe powiedział, że okręt wyleciał w powietrze. Pewnie stracili wielu ludzi.
- Tak, wiem.
- Ale jest taka sprawa. Powiedzmy, że wielu ludzi ginie za jednym zamachem, jak ci z okrętu... Czy wobec tego zabicie pojedynczego człowieka jest mniejszą zbrodnią?

Emma przyjrzała mu się uważnie. Był wciąż jeszcze blady po szoku - wybuch musiał wystraszyć go nie mniej niż maluchy. Ale to dziecko wciąż prześladowuje wspomnienie tamtego czynu... Nie miałam dotąd pojęcia, myślała, że świadomość popełnionej zbrodni nie opuszcza go ani w szkole, ani podczas zabawy. Nie zadawał żadnych pytań, nikomu nie pisał ani słowa, dopiero teraz... I co mam odpowiedzieć? Przecież sama nie wiem...

- Tak... Chyba tak jest.

Andy się uśmiechnął.

- To dobrze. Spodziewałem się, że tak powiesz.

- No to dobranoc. Szybko do łóżka!

Ale to nieprawda, myślała, idąc korytarzem do swojego pokoju. To wcale nie jest prawda.

Czwartkowe Święto Dziękczynienia miało stanowić początek nowej ery w życiu „anglojęzycznych narodów”, w związku z czym w całym kraju ogłoszono ów dzień wolnym od pracy, przygotowując huczne obchody z toastami za USUK. I tylko w Kornwalii wystąpiły trudności na starcie. Zresztą nie tylko na starcie; cały dzień upłynął w dalekim od świątecznego nastroju. Operację Gnojownik można by od biedy uznać za miejscowe naruszenie dobrych manier, incydent, który da się pominąć milczeniem, ale wysadzenie w powietrze okrętu Stanów Zjednoczonych, stojącego spokojnie na kotwicy z ludźmi na pokładzie - to już poważna afera, nie więc dziwnego, że zdominowała nagłówki prasowe, a w radiu i telewizji także poświęcono jej wiele miejsca. Święto celebrowano zgodnie z programem, ale bez rozgłosu, a po transmisji z ministerialnego lunchu USUK-u przemówił premier:

- Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób doszło do katastrofy. Jeśli znajdziemy konkretny dowód sabotażu, jeśli się okaże, iż zniszczenie tego wspaniałego okrętu i strata tak wielu lojalnych ludzi

są wynikiem umyślnego działania obcych, wrogich USUK-owi agentów, wtedy niech nikt nie ma wątpliwości. Sprawcy zostaną wykryci i ukarani - sprawiedliwość ich nie minie. Zwracam się szczególnie do rodaków z Zachodniego Kraju, którzy z racji swego miejsca urodzenia uważają się za ulepionych z innej gliny niż pozostali, a także do mieszkańców Szkocji i Walii, skąd również meldowano o zamachach bombowych. Ostrzegam was - nie dajcie się skusić złym ludziom, fałszywej propagandzie, nie myślcie, że uda się wam odwrócić bieg historii, zablokować unię postępowych, miłujących pokój narodów i narzucić ciasny, plemienny partykularyzm. Nic z tego!

Wystąpienie nagrodził ryk aplauzu. Premier powiódł dookoła błyszczącymi, lecz zmrużonymi oczami i zadarł arogancko głowę, co miało znamionować triumf. Mad, Emma i dwóch starszych chłopców wpatrywali się w niego w milczeniu.

- Czuję się jak Wellington - oznajmiła Mad po zakończeniu oracji. - On może nie przestraszy żadnego wroga, ale mnie tak!

- To zależy od wroga - zauważył Terry. - Czy premier miał na myśli garstkę kornwalijskich farmerów?

- Na pewno nawet o nich nie słyszał - powiedziała Emma. - Mówił o nieznanym agentach. Zupełnie jakby wszędzie czaili się zamaskowani szpiedzy w ciemnych pelerynach. Nie rozumiem, jak ktoś mógł wejść niepostrzeżenie na amerykański okręt.

- No nie wiem - rzekł z namysłem Joe. - Nie są zupełnie samowystarczalni, muszą odbierać jakieś dostawy. A przecież wiemy, że większość dokerów z Poldrea nie cierpi jankesów. Niektórzy stracili pracę i żaden nie wie, co go czeka w przyszłości. Ktoś musiał podrzucić ładunek.

- Na przykład Tom Bate - podsunął Terry. - Mógł nafaszerować laseczkami plastiku miejscowe płastugi.

Plastik... Emma przypomniała sobie laseczki, które Terry przekazał panu Willisowi. *Taffy to Walijczyk, Taffy jest złodziejem.* Żli ludzie, którzy odwracają bieg historii, narzucają ciasny partykularyzm...

- Co mnie zdumiewa - odezwała się nagle Mad - to milczenie Bevila. To nieprawdopodobne, żeby dotąd nie zatelefonował i nie zapytał, czy wszystko w porządku.

- Nie zapominaj, że telefony są na podsłuchu - przypomniała Emma.

- Tak, wiem. Ale tę eksplozję musiało być słychać w promieniu kilku kilometrów. Przecież na pewno każdy wydzwaniał do sąsiadów i przyjaciół. Joe... - spojrzała na niego. - Bevil musiał już skończyć lunch. Połącz się z nim, tylko uważaj, co mówisz.

Joe usłyszał, ale niemal natychmiast zjawił się z powrotem.

- Nic z tego, cisza na linii. Jak w tamten ranek po ich wylądowaniu.

- Święto Dziękczynienia? - zastanawiał się Terry.

- Dzień Pokuty - burknęła Mad.

I rzeczywiście wszystko wyglądało tak, jak dwa tygodnie temu. Jedyna różnica to cisza, nieobecność wojska w najbliższym sąsiedztwie. Wprawdzie nad zatoką krążyły helikoptery, a ku miejscu katastrofy sunął jakiś stateczek, ale z Trevanal nie było widać żadnych części wraku. Nikt nie mógł się zorientować, czy morze wyrzuciło szczątki na brzeg, czy marines przeszukiwali plażę, trzeba by się w tym celu przejść na klify, lecz Mad była nieugięta. Nikomu nie wolno wychodzić poza teren posiadłości, nawet na farmę. Jeśli Jack Trembath uzna za konieczne, sam znajdzie do nich drogę. Ale jedno trzeba wyraźnie powiedzieć: niezależnie od sukcesu operacji Gnojownik, uroczysty lunch w Raju Żeglarza i tak by się nie odbył.

Kolejny pilny rozkaz Mad zobowiązywał Joego i Terry'ego do umycia wszystkich butów i nieprzemakalnych płaszczy oraz wyprania innych sztuk garderoby, które wczorajszej nocy zostały zanieczyszczone nawozem. Drobinki gnoju przywarły także do skarpetek, kołnierzyków, koszul i slipków, więc studnia w piwnicy pracowała pełną parą, a stary cebrzyk do kąpieli Folly, odnaleziony na końcu garażu, okazał się świetną balią. Brukowana posadzka piwnicy szybko nasiąkła wodą, stara, nieużywana kuchnia i zmywalnia przypominały kryty basen.

- Wyciągnijmy więcej wody i zalejmy porządnie - darł się Colin. - Ben, leć do pokoju zabaw i przynieś łądkę, zobaczymy, czy popłynie! Nie, zaczekaj, rozbierzmy się i udawajmy, że jest lato!

- Wybicie to sobie z głowy - krzyknęła Emma. - Mad, na miłość boską...

Ale babka zbyła ją uśmiechem.

- Nie mogą wyjść na dwór, niech się bawią. Tylko, kochani, uważajcie, żeby nie zalać buraków ani jabłek. Musimy się nimi żywić aż do Bożego Narodzenia.

Zabawa - coraz bardziej dzika i szalona - trwała w najlepsze. Mad, która w miarę upływu czasu przejawiała coraz większą inwencję, zaproponowała, żeby wziąć kilka polan Joego i rozpalic ogień pod starym rusztem, a potem rozwiesić mokre rzeczy do suszenia.

- Błagam was, uważajcie - denerwowała się Emma na widok czarnego dymu kłębiącego się w nieużywanym od dawna kominie. - Pobrudzicie ubrania sadzą, a wtedy całe pranie na nic! Dom także może się łatwo zająć.

- Już wiem - zawołał Andy, który razem z Samem przyłączył się do reszty. - Zagotujmy wodę w imbryku i zrobmy herbatę jak w prawdziwym obozie. Za umywalnią jest czajnik. Ma urwany dziobek, ale to nic nie szkodzi.

Stopniowo przestało się dymić i pod zardzewiałym rusztem ogień buzował aż miło. Woda wkrótce zawrzała, a herbata podawana z rąk do rąk w starych kubeczkach po jogurcie została uznana za przepyszną nawet przez Colina, który w kuchni Dottie nigdy nie brał jej do ust. Sama Dottie zeszła do piwnicy po zapadnięciu zmierzchu, ale bynajmniej nie po to, żeby podziwiać efekty rodzinnego prania albo uczestniczyć w obozowym ognisku, tylko żeby zameldować, iż na podjeździe ukazał się samochód wypełniony marines.

- Och, doprawdy? - spytała Mad z podejrzanym spokojem. - Ciekawe, czego chcą.

- Może chodzi o elektryczność - odrzekła Dottie. - Bo nie mamy prądu, odcieśli nam tak jak telefon i teraz Joe z Terrym szukają w garażu awarii.

- A może - odezwał się Colin - znów chcą wynająć od nas garaż. Jeśli tak, to poprzebijam im opony.

Ben pokiwał z aprobatą główką, bijąc głośno brawo. Potem dla podkreślenia braterskich uczuć zaczął wszystkich ochlapywać mydlinami.

- Idź na górę, Dottie, i nasłuchuj. Gdyby zadzwonili i pytali o mnie, powiedz, że jestem w piwnicy.

Dottie wyglądała na wstrząśniętą.

- Och, Madam, przecież...

- A dlaczego nie? Nie mamy prądu ani wody, więc koniec z wysiadywaniem w salonach, im prędzej to zrozumieją, tym lepiej.

Komandosi nie zadzwonili. Część weszła frontowymi drzwiami, część od tyłu. Zgromadzeni wokół pieca chłopcy usłyszeli głośne krzyki i tupot butów na schodach. Andy skoczył na równe nogi.

- Zaraz, no co jest?! - wrzasnął i Emma zauważyła, że jego ręka odruchowo powędrowała do paska dzinsów, gdzie zawsze nosił nóż sprężynowy.

- Cicho! - upomniała go ostro Mad. - Zachowujcie się tak, jakby nic się nie stało, a gadanie zostawcie mnie.

Z licznych głosów wyróżniał się donośny protest Dottie, dobiegający z kuchni na górze.

- Dołóżcie no do ognia, będzie trochę jaśniej - poleciła Mad.
- Ale bez przesady.

Sam rzucił kilka mniejszych polan i garść wiórów, które Joe przygotował na podpałkę. Kiedy drewno się zajęło, cienie całej grupki na suficie przybrały monstrualne rozmiary. Głosy i tupot wyraźnie się zbliżyły i w końcu marines wpadli do piwnicznej kuchni.

- Hej, wy tam! Wstawać i ręce na karki! - wrzasnął jeden.

Miał ze sobą latarkę, którą oświetlał twarze zgromadzonych. Nikt się nie poruszył poza Benem, który położywszy rączki na głowie, chlapał nogami w stronę napastników.

- Niech ktoś zabierze tego bachora!

Emma przyciągnęła Bena do siebie. Nie wiedziała, ilu jest żołnierzy - czterech, może pięciu, ale przy ogniu nie było wiele widać, tym bardziej że świecili latarkami na ściany i okna. Zajrzeli nawet do starej zmywalni, gdzie leżały jabłka i buraki.

- Tylko parę dzieciaków i starucha - zdziwił się dowódca, wyraźnie zawiedziony. - Kto tu, u diabła, jest właścicielem?

- Ja - odparła Mad lodowatym tonem. - Jeśli przestanie pan oślepiac mnie latarką, może będę zdolna do rozmowy.

Emma nie wiedziała, czy mieli do czynienia z **oficerem**, sierżantem czy kapralem. W polowych mundurach wszyscy wyglą-

dali podobnie. Nie był to z pewnością kapitan Cockran, który rozmawiał z Pa, ani w ogóle nikt znajomy.

- No dobra, nazwisko?

Mad podała.

- To moja wnuczka - ciągnęła - a to adoptowani przeze mnie chłopcy. Ponieważ nie mamy światła ani wody poza tą ze studni, musieliśmy urządzić rodzinne pranie tu, gdzie nas pan widzi. Nie możemy pojechać do miasta, bo nie mamy transportu, więc żywimy się kapustą i burakami. Coś jeszcze chce pan wiedzieć?

- Jasne, paniusiu. - Dowódca trochę spuścił z tonu, ale nadal zachowywał się agresywnie. - Otrzymaliśmy informację, że ma pani u siebie dwóch chłopaków, którzy skończyli osiemnaście lat. Gdzie oni są?

- Nie mam pojęcia. Pewnie siedzą w garażu i próbują wykryć, dlaczego nie ma prądu. Zresztą młodszy ma dopiero siedemnaście.

- Dobra. Sprowadźcie ich tutaj - warknął do dwóch żołnierzy, którzy trzasnęli obcasami i wyszli.

- Czego od nich chcecie? - spytała Mad.

- Wszystkich pełnoletnich mężczyzn zabieramy na przesłuchanie. Sprawdzamy wszystkie domy w tym okręgu, a ten jest jednym z setek na liście. Im szybciej facet powie nam, co chcemy wiedzieć, tym krócej będziemy go trzymać.

Mówiąc, żuł oczywiście gumę. Po co oni to robią, myślała Emma, i dlaczego ten człowiek patrzy na nią tak pogardliwie, a zarazem protekcyjnie, jakby się spodziewał, że pójdzie z nim na pierwsze skinienie?

- Chce pan powiedzieć, że zabieracie z domów wszystkich zdatnych do służby mężczyzn z okręgu Poldrea?

- Zgadłaś, paniusiu. I macie kupę szczęścia, że na razie nie bierzemy młodszych. Czas, żeby co poniektórzy nauczyli się szacunku.

- Szacunku do kogo?

Dowódca nie odpowiedział. Przyglądał się rozwieszonym na sznurku rzeczom.

- Sporo tego prania - zauważył. - Co tydzień macie tyle brudów?

- Zależy od tych, co nam zanieczyszczają powietrze - odparła Mad.

Zza bocznych drzwi dobiegał głos Joego.

- Aha, już idą - rzekł komandos. - Jak będą grzeczni, to rano wrócą.

Ruszył wraz z innymi w stronę korytarza.

- Młodszy chłopiec ma nogę w gipsie - poinformowała go Mad. - Jest pod opieką lekarza. Leżał w szpitalu i powinien dziś tam wrócić na zdjęcie gipsu, ale nie było jak go dowieźć.

- Będzie musiał poczekać, aż wasi kornwalijscy medycy oprzytomnieją. Może nie wiecie, ale urządzili strajk, a szpitale są pozamykane. Zgraja nawiedzonych działaczy! Cóż to za przeklęty przez Boga półwysep!

W korytarzu ukazali się Joe i Terry w otoczeniu żołnierzy.

- Nie znaleźliśmy usterki, Madam - rzekł Joe. - Chyba odcięto nam prąd.

- Zgadza się, paniusiu - potwierdził drwiąco dowódca. - Brak wody, brak prądu, brak transportu. Jesteście znów w dawnych wiekach. Może dobrze wam zrobi, jeśli spróbujecie trochę twardego życia, jak my sto lat temu na granicy. Jazda, idziemy.

Poblady nagle Colin stanął naprzeciwko obu chłopców.

- Jak zabierzesz moich braci, to cię zabiję! - oświadczył.

- Nie mów? - Żołnierz podniósł malca za kołnierz swetra i wsadził go do cebrzyka. - Młodo zaczynają mordercy w tych stronach. Może jutro po ciebie wrócimy.

Pchnął Terry'ego do przodu tak, że aż chłopak się zachwiał i kula wypadła mu spod pachy. Emma zerwała się na nogi.

- Ostrożnie, na miłość boską! Nie widzi pan, że on nie może normalnie chodzić? A w ogóle po co ich zabieracie, skoro już byli przesłuchiwanii? Spytajcie kapitana Cockrana... nie, porucznika Shermana, on ich zna, zna także moją babkę i nas wszystkich.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz. W jego wzroku nie było już pogardy, tylko zimna zawziętość.

- Słuchaj, mała, może i znał, ale to już nieaktualne. Kapitan Cockran i porucznik Sherman razem z dwoma setkami naszych kumpli wylecieli wczoraj w powietrze i nawet nie odnaleźliśmy dotąd ich szczątków, toteż nie dziwcie się, że nie kochamy was specjalnie i nie mamy czego celebrować w dniu, który miał być

Świętem Dziękczynienia. Pomyślcie o tym, kiedy będziecie siedzieć w ciemnościach.

I wraz ze swymi podwładnymi poszedł korytarzem do wyjścia, popychając przed sobą Terry'ego i Joego. Trzasnęły drzwi, potem rozległ się warkot silnika i zgrzyt kół wycofywanej ciężarówki. Wyrwana ze snu Folly zobaczyła, że nikogo przy niej nie ma, więc zaczęła skowyczeć na szczycie schodów. Sam zostawił milczącą grupkę przy piecu i pobiegł ją uspokajać.

- Czemuśmy ich nie powstrzymali? - wykrzyknął z pasją Colin, kopiąc blaszaną wanienkę. - Czemu nikt nic nie zrobił?

Z początku nikt się nie odzywał. Mad dorzuciła polano do ognia.

- Bo ich było więcej - powiedziała w końcu.

Andy podszedł do przykucniętej przy ogniu postaci i położył jej rękę na ramieniu.

- Nie martw się - rzekł. - Teraz ja się wszystkim zajmę. Będę panem domu i razem z Samem będę piłował drewno, przynosił jarzyny i w ogóle robił to, co Joe i Terry. Przykro mi, że marines stracili tylu ludzi w tym wybuchu, ale przecież to nie znaczy, że mamy się poddawać, prawda?

- Nie. - Mad podniosła ku niemu mizerną w świetle ognia twarz. Teraz naprawdę wyglądała na osiemdziesiąt lat. - Nie, Andy, nigdy się nie poddamy. Nigdy... nigdy.

20

Mniejsza już o ciemność, myślała Emma, a nawet o obawy, czy nie zabraknie wody, chociaż rzeczywiście, kiedy zajrzała do studni, lustro wydawało się obniżone i pokryte warstwą piany. Mniejsza o nieuniknioną teraz zupełną buraków albo kapusty plus ziemniaki omaszczone resztkami konserw z zapasów Dottie, przy czym wszystko to gotowało się na starym ruszcie w piwnicy. Teraz na czoło wszystkich zmartwień wysuwał się niepokój o los chłopców. Dokąd ich zabrali? O co wypytyują? To żadna pociecha, że pana Trembatha także wzięli; rano przybiegł do Mad czternastoletni Mick i opowiedział o wszystkim.

- Wzięli też pana Hawkinsa z Pendover, Billa i Jacka Rundle'ów z Hilltown. Pan Willis obchodzi wszystkie farmy i proponuje pomoc przy dojeniu i innych robotach. Przepadlibyśmy bez niego, mało kto dziś umie ręcznie doić. Mama posyła wam jajka, ale tata nie zdążył zabić świni.

Komunikacja kompletnie ustała. Nie było ciężarówek, autobusów, po drogach krążyły wyłącznie wojskowe pojazdy. Sklepy w Poldrea pozamykano. Problem szkoły przestał istnieć, ponieważ nikt nie wiedział, czy są czynne, zresztą i tak autobus nie kursował. Łączność ze światem zewnętrznym w piątek i w sobotę była możliwa tylko dzięki pielęgniarce okręgowej, która przychodziła na farmę pocieszać siostrę, a potem z czystej dobroci serca odwiedzała Trevalan.

- Musiałam sprawdzić, czy u was wszystko w porządku, a jeśli chcecie komuś coś przekazać, chętnie się podejmę.

- Czy to prawda, że lekarze nie dyżurują, a szpital jest zamknięty? - spytała Mad.

Siostra Bennett pokręciła wolno głową.

- Po prostu nie wiem. Mój telefon także nie działa, nie mam ani kropli benzyny, a warsztaty wciąż są nieczynne. Nikt nic nie wie, ludzie mają istny mętlik w głowach. Poldrea jest kompletnie odcięte od świata, na drogach do St Austell i Liskeard stoją blokadą. A najgorzej, że marines chodzą od domu do domu i zabierają mężczyzn.

- Dokąd?

- Tego nikt nie wie. Ponoć za zagłębieniem kaolinu ogrodzili drutem kolczastym jakiś wielki obszar, sprowadzili psy, słowem, zrobili regularny obóz koncentracyjny. Ale może to nieprawda?

Joe, Terry, pan Trembath... To wykluczone, myślała Emma, żeby trzymano ich tam wraz z setkami innych w nieskończoność, bezczynnie, bez możliwości protestu czy dochodzenia należnych praw. Takie rzeczy człowiek sobie zwykle tylko wyobraża, naprawdę zaś zdarzały się dawno temu w Związku Radzieckim i w hitlerowskich Niemczech w latach trzydziestych, czyli na długo przed jej urodzeniem.

- Żeby chociaż w radiowym dzienniku można było usłyszeć jakieś sensowne informacje - narzekała siostra Bennett - ale baterie nam siadły, tak samo jak wielu mieszkańcom, a zresztą na temat naszej sytuacji nic się tam podobno nie mówi. Po prostu nas ignorują.

- A co robi policja? - spytała Mad.

- Nie widziałam na drodze ani jednego radiowozu. Miejscową komendę zamieniono w posterunek wojskowy, czy raczej posterunek marines. Wszystko przez tę eksplozję, obwiniają dosłownie wszystkich - mężczyzn, kobiety i dzieci, wszyscy mają ponieść karę. Gdyby nie to, nic by się nie stało.

- Nie byłabym taka pewna.

Emma wiedziała, co babce chodziło po głowie. Ta jej teoria, że środki zmierzające do zablokowania wszelkich informacji i wszelkich ruchów miejscowej ludności zastosowano by i tak, niezależnie od wysadzenia okrętu. Restrykcje wzmocniono przecież już po śmierci kaprala Wagga i nawet gdyby eksplozja nie

nastąpiła, pozostawały jeszcze skutki operacji Gnojownik. Z pewnością marines odpłaciliby się stosownymi karami i aresztowaniami, chociaż może nie na tak wielką skalę.

- To kwestia utraty twarzy i nerwów - zauważyła Mad. - Pamiętasz, co powiedział Vic? Marines nie zniosą ani jednego, ani drugiego. Podobnie jak nasz koalicyjny rząd, który popiera to całe przedsięwzięcie zwane USUK-iem. Ludność ma poprzeć ujęcie, trzeba ją do tego nakłonić pochlebstwem, przekupstwem, przymusem, zależy, co najlepiej podziała. Sabotaż będzie karany, jak powiedział premier. I śmiem twierdzić, że gdyby owa eksplozja miała miejsce na przykład w Suffolk, a nie u nas, zgodzilibyśmy się z jego stanowiskiem.

- Niektórzy na pewno, ale nie ty. Ty już pierwszego dnia miałś na ten temat określone zdanie. Pamiętam twoją minę, kiedy zastrzelili Spry'a. Czułabyś dokładnie to samo, gdyby chodziło o psa z wyspy Man.

Mad odwróciła się, nie zaprzeczając. Trzymała w ręku piłę, bo w piątkowe popołudnie miała się odbyć ścinka drzewek w zagajniku, do czego wyznaczono przedtem starszych chłopców. Pies zabity, człowiek zabity, okręt unicestwiony, małe miasteczko odcięte od świata, a mieszkańcy płci męskiej aresztowani... I po co? Po to, żeby coraz więcej takich ludzi jak Pa krążyło od rzutowcami po świecie i manipulowało walutą? Żeby coraz więcej rozgoryczonych, niespełnionych, bezrobotnych obywateli emigrowało w próżnej nadziei, iż gdzie indziej trawa jest zieleńsza, reszta zaś skakała sobie do gardeł, bez oglądania się na potrzeby innych? Musi być jakaś odpowiedź, myślała Emma, ale nikt jej nie zna. Nie ma sensu zagłębiać się w historię, opowiadać o upadku Rzymu, o chorym społeczeństwie sprzed dwóch tysięcy lat, które żłopało wino i przyglądało się walkom gladiatorów, podczas gdy chrześcijanie tłoczyli się w katakumbach. Ci sami chrześcijanie po dojściu do władzy palili przecież ludzi na stosach, łamali ich kołami. Nawet Kazanie na Górze prowadzi donikąd. Kiedy się czyta o „błogosławionych, którzy łakną i pragną sprawiedliwości”, nasuwa się obraz ludzi klęczących w mrocznych kościołach, modlących się rozpaczliwie, a jednocześnie patrzących z dezaprobatą, jeśli jakaś para choćby trzyma się za ręk-

ce czy obmacuje w ciemności. Nagle stanął jej przed oczami Wally Sherman, biedny, Bogu ducha winny Wally, który chciał tylko być miły i nawet wtedy, na plaży, szukał wyłącznie ciepła i bliskości, jak to mają w zwyczaju młodzi ludzie w obu krajach. Wally Sherman, który zadał sobie trud, może narażając się na niebezpieczeństwo, by ją ostrzec przed planowanymi restrykcjami, a teraz... teraz nic z niego nie zostało. W jednej chwili człowiek rozmawia, może się śmieje, może je obiad na pokładzie, cieszy się, że niedługo wyjdzie na ląd, a w następnej... rozsypuje się w kawałki, jak Spry. Czy śmierć jednego człowieka mniej obciąża sprawcę niż zabicie wielu ludzi w jednym wybuchu? Nie wiem, Andy, naprawdę nie wiem. Mam tylko dwadzieścia lat i podobno do takich jak ja należy dzisiaj świat, ale Pa też był kiedyś dwudziestolatkiem i też myślał, że świat należy do niego, a jeszcze dawniej Mad miała dwadzieścia lat, uśmiechała się do zachwyconej publiczności ze sceny, uśmiechała się z pocztówek... I kiedy ja będę taka stara jak ona teraz, także nic się nie zmieni...

Takie strzępki myśli przelatywały Emmie przez głowę przed wizytą siostry Bennett i po jej wyjściu. Odprowadziła pielęgniarkę przez pole, ale nie do samej farmy, za dużo miała roboty w domu. Patrząc potem, jak krępa postać w niebieskim płaszczu pnie się mozolnie po błotnistej dróżce, pokazuje pielęgniarską przepustkę naburmuszonemu wartownikowi, a wszystko to ze względu na rodzinne uczucia i zwykłą ludzką życzliwość, Emma zastanawiała się, czy to nie właśnie takim kobietom jej rodacy zawdzięczają przetrwanie. Ktoś przecież musi sprowadzać na świat dzieci i czuwać przy umierających. W całym kraju są tysiące tego rodzaju osób, znanych tylko najbliższym sąsiadom. Kiedy odchodzą, nikt o nich nie pamięta, nigdy się nie bogacą, nie zyskują sławy - oto prawdziwi „cisi, którzy posiadają ziemię”, ale nigdy po to, by ją zatrzymać dla siebie, tylko przekazać dalej niczym powierzono sobie dobro, sposób na życie.

- Ty też jesteś taka - powiedziała do Dottie, którą zastała przy zagniataniu chleba z resztek mąki. Kiedy ciasto już się upiecze w nieużywanym chyba od stu lat piwnicznym piecu, Dottie ułoży pewnie na wierzchu uduszone w garnku na ruszcie jabłka.

- Że niby jaka? - nie zrozumiała Dottie, która na pulchnej

twarzy miała bruzdy zmęczenia i troskę o to, jak dadzą sobie radę jutro, za tydzień, jeśli nadal nie będzie dostaw żywności, prądu i wody poza tą stojącą, ze studni, której każdą kroplę trzeba gotować, bez Joego i Terry'ego. Jak mają przetrwać?

- Błogosławiona. Błogosławiona, bo cicha.

Dottie popatrzyła na nią ze zdumieniem znad zagniatanego ciasta.

- Cicha? Błogosławiona? Co to ma wspólnego z torebką mąki na czterech chłopców o normalnym apetycie? Będę robić swoje, póki nie padnę, ale nie nazwałabym tego „cichością”. A co do błogosławionych, to tak się mówi o świętych, a ja tam nigdy nie byłam święta. - Otrzeпаła ręce z mąki i nagłe cała jej postać zwiotczała, a twarz się skurczyła. - Aż boję się myśleć, co oni tam robią mojemu chłopcu...

Mój chłopiec... To Terry, pierwszy z adoptowanych, rozpieszczany pupilek. Kto by się spodziewał, że droga staruszka tak nagle się załamie? Emma, sama czując łyzy pod powiekami, przytuliła ją mocno.

- Nic mu nie będzie. Wróci z nowym zapasem dowcipów i nauczy Colina paru nowych przekleństw, obiecuję ci to!

- Nie możesz obiecywać, bo nic nie wiesz. Nikt nic nie wie. Myślałam, że marines to nasi przyjaciele, że przysłano ich do pomocy, a tu proszę! Widziałas, jak na mnie krzyczeli, jak się wepchnęli do domu, wszędzie było ich pełno - od piwnicy po kuchnię, a potem załadowali naszych chłopców na ciężarówkę jak bydło... Ciekawam, co nasze własne wojsko robi, żeby nas chronić, gdzie jest policja, co się stało z rządem? Słyszało się o takich metodach w innych krajach, ale nie u nas!

Nie, u nas to się nie zdarzy, na pewno nie, myślała Emma. Tak zawsze mówiło się w Anglii, nawet podczas bombardowań wojennych, ponieważ wszyscy trwali razem na swojej ziemi. Ale już tak nie jest.

- Musimy być dzielni, a przynajmniej próbować - powiedziała głośno. - Nie wolno się poddawać. Trzeba brać życie - każdą chwilę, godzinę, każdy dzień - takim, jakie jest.

Minęły dopiero dwa dni, odkąd ich zabrali, a wydawałoby się, że co najmniej dwa lata! I ten okropny strach po przebudze-

niu: może zaraz wydarzy się coś jeszcze gorszego? Może marines zechcą z każdej dwunastki więźniów zastrzelić dwóch dla przykładu i padnie akurat na Joego i Terry'ego? Może Pa nie wróci, zostanie na zawsze w Brazyli, bo uzna swój kraj za skończony? Może któreś z dzieci zachoruje w nocy na zapalenie wyrostka i nie będzie można wezwać doktora Summersa, bo telefon nie działa? A może Bevila także gdzieś wywiozą i nikt, ale to nikt nie przyjdzie im na pomoc?

Przestań, powiedziała sobie, przestań natychmiast. To prosta droga do hysterii. Jeśli załamie się ona, silna dwudziestoletnia dziewczyna, co stanie się z dziećmi i staruszkami?

- Pokaż, jak ty to robisz - zwróciła się do Dottie, wkładając ręce do ciasta. - Jestem oferma, ale muszę się nauczyć. Jeśli nie umiem nawet upiec chleba, to co komu po mnie?

Dottie otarła oczy i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Przypomniałaś mi piosenkę z czasów dzieciństwa. „Biedna bogata dziewczynka”, chyba Noela Cowarda. A co z tymi eleganckimi kursami gotowania, na które ojciec cię posyłał parę lat temu?

- Suflety i *creme brulee*. Żadnych podstawowych dań.

- To połowa zmartwień tego świata. Wszystko zamrożone, do kupienia w supermarketach. Ludzie nie mają już czasu wyhodować czegoś czy ugotować w domu. Matka nauczyła mnie tego, co sama umiała, i nawet mi przez myśl nie przeszło, że kiedyś mi się to przyda. Przecież całe lata pracowałam w teatrze, przenosiłam się z miejsca na miejsce, no ale, dzięki Bogu, zapamiętałam, co trzeba, a resztę podpowie mi instynkt.

To właśnie jest to. Cokolwiek robimy, dyktuje nam instynkt, taki wewnętrzny impuls. Jedzenie, picie, miłość, nienawiść - oto podstawowe bodźce popychające ludzi do przodu, wszystko inne jest ulotne.

- Chodzi o to - powiedziała Emma trochę do siebie, a trochę do Dottie - że ludzie powinni żyć w małych wspólnotach. Razem pracować i zaspokajać nawzajem swoje potrzeby. Rolnicy uprawialiby zboże, młynarze męliby ziarno, jeszcze kto inny robiłby masło, hodował jarzyny i owoce. Każdy dzieliłby się z sąsiadami i nie byłyby potrzebne żadne pieniądze.

- Nie sędę, żeby to się sprawdziło - rzekł poważnie Sam, który niepostrzeżenie wcisnął się do kuchni. - Zawsze znalazłby się ktoś w sąsiedniej wspólnotce, kto miałby krowę lepszej rasy, dającą więcej mleka, albo lepszą glebę. Wtedy inni by mu zazdrościli i próbowali odebrać. I znów zaczęliby się tłuc.

- Chyba że znalazłby się dobry przywódca - wtrącił Andy. Kuchnia wypełniła się nagle głodnymi chłopcami, którym wyraźnie nie wystarczała dieta buraczano-jabłkowa. - Taki prawdziwy, z autorytetem. On by im zaraz powiedział: „Prześcieńcie gadać i róbcie, co wam każe”. I ludzie musieliby się z tym pogodzić i zadowolić się własnymi krowami na własnej ziemi.

- Nieprawda - rzekł Colin. - Nic by to nie pomogło, gdyby byli głodni i łakomi, jak na przykład Ben. Zobaczyliby lepsze krowy na cudzej farmie i tak bardzo by chcieli je mieć, że zabili by przywódcę, a jego miejsce zająłby ten łakomy. Ty byś tak zrobił, nie, Ben?

Ben kiwnął wyzywająco głową, po czym porwał kawał lepkiego ciasta ze stołu i wsadził go sobie do buzi.

- Nie rusz! - krzyknęła Dottie. - Musisz poczekać, aż chleb się upiecze i wtedy dostaniesz swój przydział. Wypluj to zaraz, bo się pochorujesz.

- Siostra Bennett przyniosła kilka jajek - mruknęła Emma. - Jeśli jest bardzo głodny...

- Jajka są na lunch. Jak zjedzą teraz, nic nie zostanie na później, prawda, Madam?

Mad, która z tego, co wiedziała jej wnuczka, nie jadła dotąd śniadania, stała w drzwiach.

- Bardzo ciężko pracowali, więc powinni coś zjeść. W spizarnianym kredensie jest mnóstwo psich ciasteczek, a wiesz, że Folly nie da rady ich pogryźć. Może je namoczymy?

Benowi zrzedła mina. Rzucił rozpaczliwe spojrzenie Colinowi, ale na próżno. Każda zmiana diety czy rozkładu dnia działała pobudzająco na starszego chłopczyka. Poza tym Colin nigdy nie bywał głodny.

- Można spróbować - wykrzyknął z zachwytem. - Udawajmy sfore psów! Będziemy chodzić na czworakach i szczekać, a Madam i Dottie nałożą nam ciasteczek do misek.

Benowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, a co dziwniejsze, starszym chłopcom także. Zaraz też kuchnia wypełniła się psim skowytom, tupotem czterech kompletów „łap”, gdy nagle Mad zastygła z rękami na uszach, a uśmiech znikł z jej twarzy. Emma, idąc za jej wzrokiem, spojrzała w okno.

- Co to za ludzie? - spytała Mad. - Co oni tam robią?

Szczekanie ustało. Wszyscy rzucili się do okna. Przez lasek graniczący z podjazdem szło dwóch mężczyzn. Jeden niósł siekierę, drugi piłę.

- To nie marines! Nie są w mundurach - zauważyła Mad. - Andy, idź się dowiedzieć, czego chcą.

Wysoka, krępa postać w skórzanej kurtce wydała się Emmie znajoma.

- Ależ to pan Libby! - wykrzyknęła ze zdziwieniem. - I ten jego pomocnik... Sama do nich pójde.

Wybiegła przez boczne drzwi na podwórze. Andy dotarł już do połowy podjazdu, ale na jej widok przystanął. On także rozpoznał właściciela Raju Żeglarza.

- Jest przy stosie drewna, które Joe przygotował dla Trembathów. Pamiętasz? Mieli je dostać za mleko i jajka.

Emma szła przez zagajnik, ale pan Libby nie zwracał na nią uwagi. Razem z pomocnikiem ładował w najlepsze drewno do worków.

- Przepraszam, ale moja babka pyta, co panowie tu robią.

Pan Libby spojrział na nią z góry. Wyglądał dość niechłujnie.

- Macie więcej drewna, niż zużywacie. Najwyższy czas podzielić się z innymi.

- Przykro mi, ale te kłody są już obiecane.

- Ach tak? No cóż, kto pierwszy, ten lepszy. Dziś każdy pilnuje swego. Czemu wam ma być ciepło, a nam zimno? Jazda, Harry, ładuj do pełna, potem wrócimy po następną partię.

- Panie Libby, powiedziałam, że to drewno jest obiecane - upierała się Emma. - Czekamy tylko na Joego i Terry'ego, żeby zanieśli je na farmę.

Właściciel gospody wybuchnął śmiechem. Nie był to przyjemny śmiech - raczej urągliwy rechot. Znikły gładkie maniere i przymiłny ton, jakim zachwalał kalifornijskie wino.

- Coś nie bardzo im się śpieszy. Peggy Trembath też nieprędko doczeka się mężusia. Ludzie, którzy utrudniają przejazd drogami Jej Królewskiej Mości, muszą ponieść karę, a za sabotaż można nawet dostać kulkę w łeb. - Urwał na chwilę, skupiając uwagę na wycinanym drzewku. - Cierpimy na tym my - uderzył się w pierś - uczciwi, praworzadni obywatele. Tracimy klientów, odcinają nam wodę i prąd, pada nam bydło, wszystko przez takich jak wy! Dobrze jak ktoś ma tyle forsy w banku co szanowna babcia. A co ze mną? Ani śladu klientów, odkąd zaczęły się restrykcje!

- Pieniądze w zamkniętym banku na nic się nie zdadzą. Nie powodzi się nam lepiej niż panu. A pan może przynajmniej upić się kalifornijskim winem - odczęła się Emma.

Co było błędem. Pan Libby poczerwieniał ze złości.

- Uważaj, co mówisz, panienko, bo ci z nas, którzy poczują się urażeni, gotowi zabrać nie tylko drewno. My nie dostajemy za darmo mleka i jajek od Trembathów, tak jak podobno wy, a jeśli ci, którzy zasłużyli na karę za sabotaż, wywiną się prawu, weźmiemy je w swoje ręce i urządzimy najazd na farmy pod nieobecność ich właścicieli. Będziemy wiedzieli, co zrobić z ich świniami, owcami i bydłem, żeby uchronić nasze rodziny przed głodową śmiercią. Powiedz to Peggy Trembath przy najbliższej okazji.

I zaatakował siekierą drzewko, które padło pod ciosem. Emma położyła Andy'emu rękę na ramieniu, bo chłopiec czaił się do skoku.

- Nie - szepnęła. - Nie...

Jeden fałszywy ruch i pan Libby zrealizuje swą groźbę. Pójdzie na farmę i weźmie każde zwierzę, które mu się spodoba, tak jak teraz to drewno. I nikt go nie powstrzyma, bo Mick jest niewiele większy od Andy'ego. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że na podjeździe stoi babka z piłą w ręku.

- Dzień dobry, panie Libby - zawołała. - Tuż przed panem jest jeszcze jeden młody jesion. Może panu pomóc?

Właściciel Raju Żeglarza potknął się o korzeń i wolno obrócił. Na jego twarzy walczyły o pierwszeństwo zakłopotanie, niechęć i faryzejskie oburzenie. A także pamięć o jabłeczniku - tym

sprzedawanym dawniej i tym, który może da się sprzedać w przyszłości.

- I po co ten sarkazm? Nie wszyscy mają tyle szczęścia, co poniektórzy. Żyjemy w ciężkich czasach.

- Wiem i jestem daleka od sarkazmu. Pomogę panu ściąć pierwsze drzewko, jeśli pan sobie życzy. Pytanie tylko, jak pan je ściągnie z tego wzgórza, bez samochodu? Ma pan jakiś sznur?

Pan Libby milczał. Jego pomocnik rozgarniał zeschnięte liście z korzeni.

- Powiem panu, jak będzie sprawiedliwie. Weźmie pan sobie tyle drewna, ile pan udźwignie, a kiedy sprawy wrócą do normy, jeśli to w ogóle nastąpi, da mi pan za to baryłkę jabłecznika.

Łagodna odpowiedź odwraca gniew, ale czy i tym razem? Nieproszony gość nadal patrzył spode łba, jak zwykle czyni to człowiek złapany na gorącym uczynku.

- Dobrze pani mówić o powrocie do normalności - rzekł z urazą. - Temu krajowi przydałaby się dyktatura, powtarzam to od lat, a przy wsparciu Amerykanów byłoby to możliwe. Nie pragnąłem wysadzenia tego okrętu, marines nigdy nie zrobili mi nic złego, przeciwnie, miałem dzięki nim więcej klientów, których teraz straciłem.

- Ależ zgadzam się z panem. Wszyscy stanęliśmy w obliczu strat, natomiast co do dyktatury, to wszystko zależy od tego, kto ma bicz w rękę. Teraz z pewnością oni. No więc mam panu pomóc, czy da pan radę sam?

Długoletnia praktyka za barem w kilku eleganckich pubach dała wreszcie o sobie znać. Klient ma zawsze rację.

- Damy radę, dziękuję - burknął. - Weźmiemy tylko to drzewko i worek polan.

- Doskonale, wobec tego oczekuję tylko małej baryłki jabłecznika.

Odwróciła się i poszła naprzód, pogwizdując, a Emma i Andy podążyli za nią. Kiedy dotarli do garażu, Andy zatrzymał się i zapytał:

- Jak Madam mogła im pozwolić?! Wszystko się we mnie gotuje ze złości. Wystarczyło szepnąć słowo, a popędziłbym do mojej kryjówki w kominie i obu załatwił... Madam wie czym.

- Tak, wiem. Ale tym razem nie na wiele by się to zdało, prawda? Pomyślałam więc, że odwołam się do dobrosąsiedzkich stosunków, chociaż wątpię, czy to coś pomoże; nie z panem Libbym. Poza tym... - umilkła na chwilę. - Poza tym tak naprawdę powinnam dać mu to drewno bez wyłudzenia jabłecznika.

- Dlaczego?

- Bo to uczciwe zadośćuczynienie za to, cośmy mu zrobili wczorajszej nocy.

Andy zmarszczył brwi.

- Nie wiem, o czym Madam mówi. Pan Libby przyszedł tu chyba po raz pierwszy?

- Tak, ale nie ostatni, jeśli się dowie, że Emma, ja i twój ojciec chrzestny pomagaliśmy farmerom zrzucić gnój przed Rajem Żeglarza i to na pół godziny przed eksplozją. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Widzisz więc, że wszyscy jesteśmy na swój sposób winni i nie chcemy dać się złapać.

W oczach Andy'ego widać było walkę sprzecznych uczuć, podobnie jak przedtem w oczach pana Libby'ego. Ale tym razem chodziło o emocje innego rodzaju: zdumienie i zazdrość.

- Czy właśnie to robiliście - spytał wolno - kiedy myśleliśmy, że rozmawiasz z doktorem Summersem w pokoju muzycznym? Dottie nie pozwoliła wam przeszkadzać, tylko kazała nam iść na kolację, a potem prosto do łóżek.

- Tak.

Andy westchnął, ramiona mu opadły.

- Że też nie zabraliście mnie ze sobą! Ach, gdybym tam był!
- Zaraz jednak przypomniał sobie, że jest teraz panem domu w zastępstwie Joego i Terry'ego, więc podniósł wzrok i wyprostował się dumnie. - Następnym razem musicie mnie wziąć. Inaczej nie dacie sobie rady.

Mad roześmiała się i objęła go przez plecy, jak dawniej Terry'ego, po czym poszli razem w stronę bocznych drzwi. Pan Libby ze swym kompanem załadowali sobie na ramiona drzewko oraz worek polan i ruszyli w swoją drogę. Jak ona to robi, dziwiła się Emma, jak jej się udaje lawirować wśród tyłu trudności, wybuchów antagonizmu i unikać wpadek? Mad nie jest z tych cichych, jak siostra Bennett czy Dottie, nie przemyka się przez

życie niepostrzeżenie, wygładzając chorym poduszki czy piekąc chleb. Ona jest jak buldożer rozgarniający oporną ziemię, spychający wszystko z drogi. Skoro mowa o dyktatorach, to Mad jest najlepszym przykładem. Wydaje rozkazy, wymusza posłuszeństwo, ale nie czyni tego otwarcie, nie tak, żebyś od razu się zorientował; w gruncie rzeczy ludzie często myślą, że robią coś, bo sami tego chcą, a tymczasem zostali podpuszczeni, zmanipulowani. Och, Pa, wracaj i ratuj nas, powstrzymaj to, co się dzieje, nie zostawaj w Brazylii...

Włączenie radia na wiadomości należało do rutyny, ale niewiele pomogło. O niczym ważnym nie wspomniano. W różnych stolicach toczą się rozmowy na temat układu walutowego. Towarzystwo Integracji Kulturalnej założyło swoje oddziały w każdej stolicy hrabstwa i ściśle współdziała z Ministerstwem Edukacji. Data wizyty prezydenta Stanów Zjednoczonych, czyli wiceprezydenta USUK-u, nie została jeszcze ustalona, ale plany są mocno zaawansowane, a tymczasem pałacu Buckingham pilnują jednostki amerykańskich sił zbrojnych.

- Zauważyliście? - spytała Mad. - W kolejnych serwisach coraz więcej mówi się o Stanach, a coraz mniej o Zjednoczonym Królestwie. Przypuszczam, że tak samo jest w telewizji i prasie, ale ponieważ nie mamy do nich dostępu, po prostu nic nie wiemy. Mówiąc serio, ta bateria słabnie, tak samo jak w moim odbiorniku na górze. Musimy ograniczyć słuchanie do jednego serwisu dziennie.

- To nic nie da - orzekł Andy. - Baterie siadają, nawet kiedy się ich nie używa.

- Pan Willis sam sobie robi radia - rzekł Sam. - To jego hobby oprócz zbierania tego, co wyrzuci morze. Założę się, o co chcecie, że jemu baterie nie wysiadają.

- No i mamy wyjście! - Mad powiedziała po nich triumfującym wzrokiem. - Dzięki Taffy'emu będziemy na bieżąco. To będzie nasz łącznik ze światem zewnętrznym.

Emmie zamarło serce. Miała nadzieję, że skończyli już z panem Willisem. To oczywiście bardzo uprzejmie z jego strony, że chodzi po farmach i pomaga doić krowy, ale niechby na tym poprzestał. Nie można dopuścić do powtórzenia tego koszmarnego lunchu.

Myślała, że babka zapomni o tym, co powiedział Sam. Próżne nadzieje! Przez całe popołudnie zajmowali się pilnie zbieraniem i piłowaniem drewna, gdyż Dottie gotowała teraz większość posiłków na ruszcie kominka w pokoju muzycznym. Nie była tym zachwycona, bo płytki zaczynały odpadać, wędrując w niewyjaśniony sposób do starego paleniska w piwnicy, a poza tym kominek pochłaniał opał niczym wygłodniały smok. Musiało być koło piątej; chłopcy usadowili się w kuchni, chrupiąc domowy chleb, a w bibliotece niezmordowana Mad powiedziała do Emmy:

— Jak myślisz, skończyli już doić?

Emma, która niedawno klapnęła ciężko na sofę, nie od razu pojęła, o co chodzi.

- O tak, zwykle doją około czwartej. Przynajmniej u Trembathów.

- Wobec tego wymknijmy się we dwie do domku Taffy'ego. Jeśli go zastaniemy, będziemy mogły posłuchać wiadomości o szóstej.

Emma osłupiała.

- Po ciemku, przez las, do tej obrzydliwej budy? O nie, kochanie, nigdy w życiu.

- A to dlaczego? Weźmiemy latarki, a zresztą wieczór jest pogodny. W ciągu dnia na pewno nie zastałybyśmy Taffy'ego, ma mnóstwo pracy na farmach. Kto wie, jakie on plotki zbiera, chodząc cały dzień po okolicy. Może nawet słyszał, dokąd zabrano chłopców?

Emma przyjrzała się babce uważnie. Wcale jej nie chodziło o wiadomości radiowe. Tak naprawdę dostrzegła cień szansy, że panu Willisowi coś się obilo o uszy, że dzięki niemu zyska chociaż promyczek nadziei. Świetny humor, energia, żarty z młodszymi, to wszystko jeden wielki blef. Naprawdę Mad zamartwiała się losem chłopców znacznie bardziej niż Emma czy Dottie.

- No dobrze. Wezmę, co trzeba, i idę z tobą.

Nie musiały iść przez pole i pastwisko. Znacznie szybsza, bardziej osłonięta droga do lasu prowadziła przez dziurę w żywopłocie przy padoku, chociaż trzeba było uważać na przerosnięte jeżyny, bluszcz i zwalone pniaki. Nie podoba mi się to,

myślała Emma. Nie powinniśmy tam iść, ktoś może wyskoczyć i nas udusić, nikt nie jest bezpieczny po tym, co się stało... Pan Libby z tym drugim mężczyzną przedostali się na nasz teren z siekierami, co będzie, jeśli innym to samo przyjdzie do głowy? W końcu jest ciemno, a ta ziemia nie ma właściciela...

Mad dziarsko kroczyła naprzód, promień latarki błyskał tajemniczo wśród drzew. Ona chyba w ogóle nie ma nerwów! A może zna się na czarach? Emma modliła się w duchu, żeby panna Willis nie było w domu, a one mogły od razu wrócić po własnych śladach, ale niestety! Kiedy podeszły bliżej, poczuły dym. Cienka smużka unosiła się z kawałka rury, która służyła za komin, a co więcej, w oknie migotała świeca czy też lampa naftowa. Kiedy Emma ostatni raz tu była, towarzyszył jej Wally Sherman, biedny Wally, który cały czas trzymał ją za rękę na tej krętej ścieżce. Pamięć owej wyprawy oraz tego, że Wally nie żyje i że nie umarł naturalną śmiercią, tylko został rozerwany na strzępki, zmieniła spacer przez las w istny koszmar. Biedak nie miał wtedy pojęcia, że jego czas się kończy, podobnie jak kapral Wagg...

- Jest! - oznajmiła Mad. - Widać światło! Zajrzymy przez okno?

- Uważaj - ostrzegła ją Emma. - Ostatnim razem przyłapałam go w kąpieli prawie zupełnie gołego. Raczej okropny widok.

- Co w tym okropnego? Dobrze wiedzieć, że przynajmniej od czasu do czasu zdejmuję z siebie ubranie. Niektórzy samotnicy nie myją się latami.

Ścieżka rozszerzyła się w polankę przed drewnianą chałupką. Podeszły cicho do okna i zjrzały przez nieosłoniętą szybę.

- Tam jest - szepnęła Mad. - Siedzi w kącie pod ścianą i coś pisze w notatniku. I patrz, na uszach ma słuchawki! Naprawdę ma radio, Sam wiedział, co mówi. Przyszliśmy w samą porę.

Zastukała mocno w szybę, co wywołało błyskawiczny skutek, jeszcze szybszy niż tydzień temu, kiedy pan Willis stał, wyciskając gąbkę na brzuch. Rzucił na ziemię słuchawki, chwycił leżącą przy nodze strzelbę i okręciwszy się w kółko, zgasił lampkę. Wnętrze pogrążyło się w ciemności i zapadła cisza.

- Chodźmy stąd - szepnęła Emma. - Proszę, Mad, chodźmy!

- Bzdura. - Babka ruszyła energicznie do drzwi. - Wystraszyliśmy go, ja też trzymałabym strzelbę w pogotowiu, gdybym mieszkała na tym odludziu. - Zapukała, a gdy zobaczyła wiszący na gwoździu ręczny dzwonek, poruszyła nim, aż zabrzączał przeraźliwie. - Taffy? Taffy! Nie bój się, to tylko my!

Emma miała dziwne wrażenie, że Walińczyk obserwuje je przez jakiś niewidoczny otwór. Może w ścianie jest deska, którą łatwo po cichu przesunąć, a potem włożyć na miejsce. Czekwały, aż wreszcie usłyszały zgrzyt zasuw i drzwi się otworzyły. Stał w progu i nie miał już strzelby.

- Panie wybaczą, ale jestem kompletnie zdruzgotany. Gdybym wiedział, że się wybieracie, na pewno lepiej bym się przygotował. Czy macie w domu kłopoty? Przyszłyście po pomoc?

- Nie - odparła Mad. - Dajemy sobie radę. Chciałyśmy tylko złożyć ci wizytę i posłuchać wiadomości. Nasze baterie się wyczerpują, więc z oszczędności prawie nie włączamy radia i nie wiemy, co się dzieje. Sam mówił, że znasz się na radiu i masz aparat własnej roboty...

Urwała, bo wciągnąwszy do płuc powietrze, poczuła dobrze znany zapach. Walińczyk nie odpowiedział, tylko grzebał w kieszeni. Trzasnęła zapałka i po chwili zaświeciła się lampka na stole. Podniósł ją wysoko i oświetlił twarze przybyłych, ale sam pozostawał w cieniu. Potem się skłonił i zaśmiał cichutko.

- Pozwoli pani na moje salony, jak powiedział pajak do muchy? Ale tym razem dwie muchy przypadają na jednego pajaka. Proszę do środka, bardzo proszę!

Usunął się na bok, wpuścił je do izby i zamknął drzwi na zasuwę.

21

Pan Willis umieścił lampkę na półce, gdzie dawała więcej światła. Dwa postawione na sztorc bierwiona dopalały się już w kominku, więc szybko zebrał pełne naręcze szczapek i dorzucił do ognia, który znów strzelił w górę. Emma rozejrzała się po izbie, ale nie dostrzegła ani śladu słuchawek czy broni. Zwykłe, starego typu radio na baterie stało na stole, dość daleko od zydła, na którym gospodarz siedział przedtem ze słuchawkami na uszach i notesem na kolanach.

- Siadajcie, panie, siadajcie - zapraszał, wyciągając rachityczne krzesło i stołek. - Nie ma tu takiego komfortu, do jakiego przywykłyście w Trevanal, ale przynajmniej jest czysto. Dwa razy w tygodniu urządzam porządne sprzątanie. Czego się panie napiją na pokrzepienie? Niestety nie mogę służyć winem gronowym, ale mam napitek pędzony w domu z ziemniaków. W sam raz na zimowy wieczór.

Mad uhonorowała go swym słynnym uśmiechem i pokręciła głową.

- Nie, naprawdę dziękujemy za wszystko. Wpadłyśmy tylko na chwilę. - Przez grzeczność opadła na rozklekotane krzesło, Emma przysiadła na stołku. - Jesteś takim dobrym sąsiadem dla Trembathów i innych, więc może przy okazji obiło ci się to i owo o uszy? Bo my, w Trevanal, jesteśmy kompletnie odcięte od świata.

- A! - Uśmiechnął się po raz pierwszy i to z wyraźną ulgą. - Owszem, słyszałem różne plotki, w tej sprawie możecie na mnie liczyć. Czy wszystkie są prawdziwe, to co innego, nie? W spo-

łeczności farmerskiej panuje wielka solidarność, tyle wiadomo na pewno, a każda wiadomość jest przekazywana z ust do ust.

Usiadł na końcu łóżka ze skrzyżowanymi nogami, obejmując rękami kolana. Wygląda jak gnom, pomyślała Emma, ale nie taki dobroduszny krasnalek z bajek dla dzieci, tylko raczej złowrogi goblin ze starych mitów i legend.

- Czy to znaczy, że farmerzy spoza naszego okręgu wiedzą, co tu się dzieje? - spytała Mad. - Pomimo blokady dróg i odcięcia źródeł informacji?

- Jak mogliby się nie zorientować? Skoro mleko nie trafia do punktów skupu, a komunikacja z Poldrea zamarła, ktoś musiał podjąć jakieś działania. Ale nie Narodowy Związek Farmerów - oni się wykręcają, czekają na instrukcje ze strony jakiegoś nowego gremium w ramach USUK-u. To sami farmerzy postanowili wstrzymać dostawy i rozprawdzają swoje produkty z ręki do ręki między sąsiadami, zgodnie z pomysłem naszego przyjaciela Trembatha.

Znów się uśmiechnął, czy raczej wyszczerzył zęby, jeszcze bardziej podobny do gнома niż dotąd.

- Możemy z dumą zauważyć, że coś się zaczęło dziać na naszym półwyspie. Podobno nie ma w Kornwalii farmera, który by nie zaprotestował przeciwko przetrzymywaniu naszych mężczyzn w areszcie. Nie miną dwa dni, a wieść rozniesie się także w Devonie i Dorset. Lekarze robią to samo. Żądają przywrócenia komunikacji, prądu, wody i telefonów, bo inaczej odmówią praktyki, nie będą odwiedzać pacjentów, operować i tak dalej. To nie jest strajk o pieniądze, to właściwie w ogóle nie jest strajk. To protest przeciw dominacji obcych nad częścią naszej małej społeczności.

Wychylił się z łóżka i włożył do ognia kawałek wyrzuconej przez morze deski. Płomień plunął iskrami i buchnął wysoko, połyskując niebieskim światłem. Nie, ten człowiek nie jest gnomem, prędzej czarodziejem, myślała Emma. A Mad to wiedźma i za chwilę razem zaintonują swoje zaklęcia, zaczną odprawiać czary.

- Nie ma cienia wątpliwości - ciągnął pan Willis. - Wszystko jest rozkręcone. Wystarczy rozdmuchać płomień, a w komi-

nie zacznie huczeć. Wilgotne drewno ledwie się tli, ale prawdziwa sól ziemi płonie.

- Masz na myśli marines? Amerykańskie wojsko? - drążyła Mad.

- Oddziały stacjonujące tutaj i wszędzie indziej. Rząd koalicyjny w Whitehall będzie musiał ponownie przemyśleć sprawę albo nagle odkryje, że nastąpiło rozbitcie dzielnicowe. Ale to już chyba kwestia emocji, prawda? Mówiłaś, że chcesz posłuchać wiadomości. Wątpię, czy od pierwszej pojawiło się coś nowego.

Wstał z łóżka i uruchomił odbiornik. Dochodziła szósta. Wysłuchali informacji o pogodzie i sygnału czasu. Potem lokalny spiker oznajmił z pewnym wahaniem, że w Zachodnim Kraju występują drobne zakłócenia, głównie w środowisku farmerów, ale władze panują nad sytuacją. Na koniec powtórzył wiadomości z poprzedniego serwisu.

- Tak jak się spodziewałem - powiedział pan Willis i znowu się uśmiechnął. - Nie mogli tego nie zauważyć, ale to załedwie początek. Drobne zakłócenia, sytuacja opanowana... No cóż, to nie ostatnia aluzja na temat naszej działalności. - Zdjął okulary, nie przestając się uśmiechać. - Byłbym szczęśliwy, gdyby panie zechciały uczcić ze mną ten fakt kieliszeczką ziemniaczanego bimberku.

Emma zerknęła na babkę, która bacznie obserwowała gospodarza.

- Taffy - odezwała się nagle - kiedy zajrzałyśmy przez okno, miałeś na głowie słuchawki. Czy to znaczy, że masz gdzieś drugie radio, które działa na innych falach?

Pan Willis przerwał polerowanie okularów. Nadal się uśmiechał i wyglądał przez to jeszcze bardziej złowieszczo.

- Za moich chłopięcych lat mieliśmy takie powiedzonko: Żeby złapać podglądacza Toma, potrzebna jest podglądaczka Jenny. Nauczyłaś się tego w teatrze, kiedy zerkałaś zza kurtyny, co? Patrzyłaś sobie na ludzi w krzesłach i zapuszczałaś żurawia w loże. Zadawałaś sobie pytanie, czy będą się śmiać czy płakać. I dostosowywałaś do tego swój występ.

- Czasami - przyznała Mad. - Takie były teatralne zwyczaje za dawnych lat, ale głównie na prowincji.

- Tak myślałem. Ja też czasem daję przedstawienia, ale na mniejszą skalę. Słucham i czasem sam zaczynam gadać. Co właściwie chcecie ode mnie usłyszeć?

- Tylko to, czego dotąd nie powiedziałaś. Może masz choćby drobny strzęp informacji o naszych chłopcach?

Podniósł się z łóżka i poszedł wolno do kąta, w którym zobaczyły go przez okno.

- Mogę powiedzieć tyle, że nie są źle traktowani. Trochę burczy im w brzuchach, ale żadnych rękoczynów. Chyba nie sądzicie, że tak łatwo zmienić turystyczny raj w Diabelską Wyspę?

Zupełnie, jakby prowadził z nimi jakąś grę, myślała Emma. Porównanie z pajakiem było bardzo adekwatne. Macka się wyciąga, ale zaraz cofa.

- Lundy? - spytała Mad. - St Michel Mount?

Pokręcił przecząco głową.

- To proste, naprawdę. Próbuje dalej na zachód, wśród oceanicznych fal. Jeśli powiesz Wyspy Scilly, to zgadniesz. Ale nie panikuj, przy takim biegu spraw niedługo ich wypuszczą. Nawiasem mówiąc, tam są nie tylko wasi chłopcy, ale wszyscy zatrzymani na przesłuchanie. Uzbierało się ich całkiem sporo od dnia wylądowania wojska.

Wyspy Scilly... Joe, Terry, pan Trembath i inni farmerzy, niezadowoleni dokerzy z Poldrea i Falmouth, robotnicy z kopalni kaolinu, którzy stracili pracę, może każdy, kogo przesłuchiowano, kto się sprzeciwiał - czy to możliwe, żeby brać każdego, kto się nawinie i po prostu wywozić?

- Taffy - rzekła łagodnie Mad - skąd masz te informacje?

Przyłożył palec do nosa i mrugnął.

- Może o tym mówiono, co? Powietrze wypełnione jest słowami, tylko trzeba nasłuchiwać. Uważaj, coś ci pokażę. - Usunął deskę z podłogi tuż pod swoimi nogami. Leżał tam podłużny przedmiot, jakby pudełko, a obok słuchawki, kable i gałki. - To moja czarodziejska skrzynka. Bo jestem pełen czarów, jak Prospero w swojej celi. Zaczęło się od miłości do muzyki, po prostu słuchałem sobie oper z Wiednia i Mediolanu. Potem krok po kroku zacząłem słuchać także gadania. - Kiwnął na Emmę. - Pani pozwoli, że ją ukoronuję. - Potrząsnęła głową, kiedy podniósł

słuchawki. - Nie ma powodu do obaw - uspokoił ją. - Usłyszysz pani tylko ludzkie głosy, z gwiazdami nie nawiązałem jeszcze kontaktu.

Igrał z nią, żartował sobie, a jednak nawet teraz było coś odpychającego w skurczonej postaci, grzywie siwych włosów, oczach błyskających zza okularów.

- Mnie ukoronuj, Taffy - powiedziała Mad. - Cela Prospera nie przestraszy postarzałej aktorki. Poza tym chcę się przekonać, czy czar podziała.

Odwrócił się od Emmy. Kiedy Mad wstała, przysunął jej krzesło bliżej dziury w podłodze i z namaszczeniem umocował na głowie słuchawki, jakby rzeczywiście był kapłanem, który wkłada na czoło pomazańca koronę lub wieniec. Potem pochylił się nad pudełkiem i przekręcił gałkę. Emma obserwowała twarz Mad i nagle poraziła ją myśl, że pan Willis to szaleniec, że nie ma nic wspólnego z krótkofalowcami, natomiast jest specjalistą od ultradźwięków i Mad zaraz padnie z uszkodzonym mózgiem.

Nic straszego jednak się nie stało. Mad słuchała z wyraźnym zainteresowaniem, potem uśmiechnęła się i zdjęła słuchawki.

- To po walijsku, prawda? Szkoda, że nic nie rozumiem. Co oni mówią?

Wziął od niej słuchawki i sam je założył. Kiwnął głową raz i drugi, po czym się do niej uśmiechnął.

- Może i dobrze, że nie zrozumiałaś. To, co mówią o Anglikach, jest dalekie od komplementów. Poczekaj, zaraz przetłumaczę.

Wyjął spod podłogi notatnik i zaczął pisać. Emma przysunęła stołek bliżej i wzięła babkę za rękę. Mad ucisnęła ją ze zrozumieniem.

- Mówiłam ci, istny Owen Glendower - szepnęła. - Co za szkoda, że nie zmusiłam go do przeczytania tej sceny z „Henryka IV”! Następnym razem nie wypuszczę go tak łatwo. No i „Burza”, koniecznie. Ten człowiek to urodzony aktor.

Pan Willis, nieświadom przypisywanych sobie ról, odłożył słuchawki i wyłączył czarodziejską skrzynkę.

- Niesubordynacja cywilów w Szkocji i Walii - oznajmił. - Żadne tam strajki czy przemoc, po prostu nikt nie pracuje. Męż-

czyżni siedzą po domach, sklepy mają popuszczane żaluzje. Przecież za to ich nie aresztują? Minie trochę czasu, zanim to się rozniesie na oba kraje, ale gdzie jeden zacznie, drugi zaraz go naśladuje i tylko patrzeć, jak w każdym hrabstwie powstanie komórka ruchu oporu.

Uśmiechnął się znowu i zaczął układać słuchawki obok radia.

- Czy to działa w obie strony? - spytała Mad. - Czy możesz nie tylko słuchać, ale i przekazywać informacje?

- Owszem, mogę i tak właśnie robię. Dopiero co skończyłem, kiedy zaczęłaś odgrywać Jenny podglądaczkę. Jedna lokalna wiadomość, choćby drobna, mało ważna, może stać się ogniwem w całym łańcuchu. Nadaję w dwóch językach, po walijsku i po kornwalijsku.

- Po kornwalijsku? - zdziwiła się Emma.

Skinał potakująco głową.

- Nie ma się czemu dziwić. Kiedy się przyjrzeć celtyckim językom, widać, że mają ze sobą wiele wspólnego, podobnie jak celtyckie narody. Nacjonalizm Szkotów i Walijszczyków od lat wnerwia pewne koła rządowe, ale Kornwalijszczyki są bardziej dyskretni i nie ujawniają tak swoich uczuć. Mają za to silne podziemie, naprawdę bardzo silne. Chociaż w górniczych stronach to chyba oczywiste?

Mad pogrążyła się w zadumie. Chyba nie bierze go na serio?

- Nigdy nie mogłam sprecyzować swoich poglądów na temat nacjonalizmu. Często przeradza się w fanatyzm, a fanatycy przywiązują wielką wagę do miejsca urodzenia... Ja urodziłam się w Wimbledonie i chociaż dawniej uwielbiałam chodzić na mecze tenisowe, nie oddałabym życia za to miejsce. W gruncie rzeczy nie przejąłabym się wcale, gdyby Wimbledon ze wszystkimi domami zniknął z powierzchni ziemi. Ale ten akurat zakątek tego konkretnego półwyspu był moim domem na tyle długo, że na pewno chętnie bym za niego umarła, gdyby to się miało na coś przydać.

Pan Willis przestał grzebać pod podłogą.

- A ja nie - rzekł. - Ofiara z własnego życia to źle pojęty idealizm. O takich cierpiętnikach zapomną i współcześni, i ich sukcesorzy. Może za sto lat zmartwychwstaną jako bohaterowie i męczennicy, ale to trochę za późno. Z drugiej strony, ty jako ak-

torka masz dobre ucho na intonację. Po paru próbach będziesz gadać po kornwalijsku, walijsku, galijsku jak własnym językiem. Kobięcy głos robi duże wrażenie, a twój w szczególności.

Przysiadł na piętach i patrzył jej w oczy. Och nie, myślała Emma, nie wolno jej ulec, Bóg wie, co on każe jej mówić — zachęcać do podpaień, anarchii, wysadzania mostów... Ktoś rozpozna głos znanej aktorki i naprowadzi na jej ślad.

- Hm... - mruknęła Mad. - *My, mówiący językiem Shakespearowym mężu, będziemy wolni — lub zginiem...* Kto to napisał?

- Wordsworth - odpowiedziała szybko Emma - ale doprawdy, kochanie...

- W związku z czym?

- To jeden z sonetów do niepodległości: „Milton! Tyś być powinien żywy w tej godzinie”*.

Mad zadrżała do dziury, z której pan Willis po raz drugi pośpiesznie wyciągał zestaw radiowy.

- Mogę zadeklamować ten wiersz - rzekła - ale czy to nie głupio mówić w języku Szekspira, skoro wszystkie twoje kontakty domagają się walijskiego czy kornwalijskiego?

Pan Willis skwitował uwagę niedbałym gestem.

- Oni wychwytyują ukryte znaczenie. To mi się podoba: *Będziem wolni lub zginiem*. Tak, bardzo mi się podoba, uderza we właściwy ton.

Założył słuchawki na uszy i zaczął manipulować gaikami. Mad jeszcze raz przepowiadała sobie po cichu usłyszane wersy:

- *My, mówiący językiem Shakespearowym mężu,
Będziem wolni - lub zginiem...*

- Mad - odezwała się Emma - nie wolno ci tego robić! Możesz wpaść w straszne kłopoty. Wiemy przecież, że krótkie fale z łatwością są odbierane w obozie. Prawdopodobnie wojsko cały czas prowadzi nasłuch, to część ich obowiązków.

- Problem w tym - ciągnęła Mad, nie zwracając najmniejszej

*Naprawdę cytata pochodzi z innego sonetu: „I pomyśleć nie sposób, by nurt niewstrzymany”. Pełny tytuł cyklu brzmi: „Sonety poświęcone niepodległości i wolności narodowej”. Wszystkie cytaty z utworów Williama Wordswortha pochodzą z przekładów Stanisława Kryńskiego.

uwagi na wnuczkę - że Amerykanie także posługują się językiem Szekspira i w ten sposób umyka nam pointa. Chyba że oczywiście powie się to z pewną ironią, udając Marthę Hubbard na zebraniu Towarzystwa Integracji Kulturalnej. Ale nawet wtedy nie podziała to na mieszkańców walijskich dolin.

Pan Willis zdjął słuchawki i kiwnął na Mad, żeby przy nim usiadła.

- Jeśli sądzisz, że przemawiałabyś tylko do mieszkańców Walii, to się grubo mylisz. Może cię to zdziwi, ale wielu słuchaczy zajmuje wysokie stanowiska, są wśród nich członkowie rady hrabstwa, profesorowie, studenci, powiedziałbym, że reprezentują całą społeczność Szkocji, Walii i Zachodniego Kraju. Czekają tylko na wezwanie, a kto lepiej od ciebie roznieci płomień?

Pan Willis w ferworze własnej elokwencji pomieszał trochę metafory, ale Mad to nie przeszkadzało. Wydawała się ubawiona nowym doświadczeniem i wyraźnie nie mogła się doczekać, kiedy usłyszy swój głos przemawiający w nieznanym języku do niewidzialnej publiczności, która nie nagrodzi jej brawami.

Uśmiechała się do pana Willisa z wysokości swego rozchwianego krzesła. To nie on się nią bawi, tylko ona nim, pomyślała nagle Emma. Każde z nich tylko patrzy, kto kogo dłużej będzie kołował i żadne nie wierzy ani jednemu słowu tego drugiego.

- Chwileczkę. - Taffy podniósł rękę. - Najlepiej będzie zacytować cały wiersz. - Zerknął na Emmę, potem sięgnął po ołówek i notatnik. - Pani zapisze tu to, co pamięta, a babcia potem odczyta.

- Nic z tego - wzruszyła ramionami Mad. - Nie mam okularów.

- Weź moje, paniusiu, weź moje. - Przetarł jeszcze raz szkła i wręczył jej z ukłonem. Niebieskie oczy wydawały się teraz nagie i wyblakłe.

Mad umieściła je na nosie, skrzywiła się i nagle przeobraziła się w zupełnie inną istotę - starszą, złą, obcą. Tak dzieje się z ludźmi, myślała oszołomiona Emma, kiedy tracą własną tożsamość, przestają być sobą. Na przykład kiedy ktoś zakocha się w niewłaściwej osobie, nie rozwija już swej osobowości, wpada w bagno. To samo może się przytrafić całym społeczeń-

stwom, miejscowościom, okupowanym krajom, mimo najlepszych intencji, mimo najbardziej szlachetnego ostatecznego celu...

- Zdejmij to! - powiedziała. - Wyglądasz upiornie.

Mad zwróciła ku niej twarz z cudzymi okularami i Emma poczuła się znów jak dziecko w wieku mniej więcej Bena. Ukochana babcia po nałożeniu szminki teatralnej i peruki stawała się kimś zupełnie obcym, narażając na szwank lub nawet doszczętnie niszcząc swoją dotychczasową jaźń.

Roześmiała się, zdjęła okulary i oddała je właścicielowi.

- Wszystko mi jedno, jak wyglądam. Gorzej, że nic w nich nie widzę. Mam kompletnie zamazany obraz.

A jednak, myślała Emma, patrząc, jak pan Willis je nakłada, do jego twarzy te szkła pasują, stanowią pewną osłonę, bez nich jego oczy były jak u złapanego w potrzask zwierzęcia.

- Musisz mnie nauczyć tego wiersza - zażądała Mad. - Długi jest?

- Zdecydowanie za długi - odparła Emma - i niezbyt odpowiedni. Przerabialiśmy go w podstawówce i pamiętam tylko niektóre linijki.

- Na przykład jakie?

Jakie? Emma próbowała się skupić. Wiersz powstał w Londynie w roku 1802. Co Wordsworth tam robił? Czy to miało coś wspólnego z pokojem w Amiens czy z wybuchem nowej wojny? Wersy pomieszały jej się w pamięci. W końcu zaczęła:

- ...*Musim biec, lśnić w słonecznej wstędze,
Jak strumień - albo nam się brak szczęścia uroi;
Najlepszym wśród nas - bogacz ufny w złocie swoim;
Nie zachwyca nas wzniosłość, w przyrodzie ni w księdze.
Chciwość, rozrzutność, zbytek i grabież bezbożna
Są bałwochwalstwem; myśmy do czczenia ich przyszli;
Nikt już prosto nie żyje, szlachetnie nie myśli;
Swojskie piękno prastarej, zacnej naszej Sprawy
Znikło...**

Urwała. Kompletna pustka w głowie. Zaraz, zaraz...

- ... *Pełne samolubstwa wszystko.*

* „Pisane w Londynie, we wrześniu 1802’

*O! dźwignij nas, wróć do nas, zostań z nami blisko;
Niech kraj z cnót, obyczajów, swobód, siły słynie*.*

Było coś jeszcze, w innym sonecie... Coś o tyranach, jak to szło?

*- Gorzej, daleko gorzej jest znosić niewolę -
Nie temu, kogo więzi strop, podłoga, ściana,
Kto zamknięty samotnie, jest rabem tyrana -
A temu, kto ogląda i niebo, i rolę,
Podczas gdy jego naród znosi ciężką dolę:
Na duszy ma kajdany. Bo któż byłby zdolny -
Choćby najlepszy - w takich warunkach być wolny... ***

Wolny... Tak, ale kawałek o wolności pochodzi z wcześniejszego sonetu.

*- My, mówiący językiem Shakespearowym mężę,
Będziem wolni - lub zginem; naszych zasad bytu
I wiary strzegł sam Milton. Nasz naród się leże
Z pierwszej krwi Ziemi, mnogi ma do sławy tytuł****

Musiało to mieć coś wspólnego z wojnami napoleońskimi, tak, bo przecież jest ten późniejszy sonet o przeczuciu:

*- Wzniescie okrzyk - kraj odniósł zwycięstwo wspaniałe!
Tu, na ziemi brytyjskiej, najeżdźcy runęli;
Dech Niebios ich rozproszył na kształt śnieżnej bieli,
I już w słońcu milczącym leżą, martwym ciałem,
By nie wstać nigdy - dzieło dokonane całe.
Hej, w pochód pokojowy, starcy osiwieeli!
Cześć synom! Dźwięk niech zabrzmi bębnów, trąb, kapeli!
Cieszcie się, żony! Wy zaś głuszcie, dzieci małe,
Radosną wrzawą uszy babki, co was słucha!
Niemowłeta, klaskajcie w rączki! Boski szale
Tryumfu, sprawiasz, że i ostry bólu kolec,
I to nawet, że braciom naszym przyszło polec,
Ma takiego coś w sobie, co cieszy nam ducha:
Spać będą w nieskończonej świętości i chwale****.*

* „Milton! Tyś być powinien żywy w tej godzinie”.

** „Gorzej, daleko gorzej jest znosić niewolę”.

*** „I pomyśleć nie sposób, by nurt niewstrzymany”.

**** „Przeczucie. Październik 1803”.

Tak, to właśnie ten kawałek, który z taką radością recytowała w klasie, ponieważ zdanie o dzieciach, które napełniają wrzawą uszy babki zawsze przypominało jej Mad śmiejącą się z chłopców.

- *To dobrze! Od dziś wiemy, że jedna jest rada
Bezpieczeństwa własnego szukać trzeba w sobie,
Muszą w trudzie je wykuć własne ręce obie,
A kto stać bez podpory nie umie - ten pada*.*

Ba, to wcale nie jest dobrze. Cała rzecz beznadziejnie się poplątała. Nic dziwnego, że pan Willis wymieniał z Mad porozumiewawcze spojrzenia i próbował ukryć uśmiezek.

- Przykro mi - wyznała Emma. - Po prostu cytowałam na wrywki różne sonety. - Obróciła się do babki. - Lepiej daj sobie spokój.

- Dałam. Odwaliłaś za mnie całą robotę.

- Jak to?

Mad spojrzała na pana Willisa.

- Pokaż jej, Taffy.

Waliczek odsłonił najbliższą deskę. Wśród innych przyrzędów leżał tam mały magnetofon. Taśma wciąż jeszcze się kręciła, więc ją wyłączył.

- Może pani widziała się znowu w szkolnej ławce, ale ze mną tak nie było. W takim skupieniu wpatrywała się pani w sufit, że nie zauważyła, jak dałem znak babci, wskazując moją czarodziejską skrzynkę, a ona milcząco przytaknęła. I teraz mamy zapis pani głosu. Nikt nie będzie na tyle cwany, żeby dosłuchać się czegoś poza tym, że głos należy do młodej osoby i że przekazuje bulwersujące wezwanie. Puszczę to w eter w późniejszych godzinach.

Czarodziej i wiedźma patrzyli na nią i śmiali się serdecznie.

- Nie może pan tego zrobić - wybuchnęła Emma. - To nieuczciwe. Nie wyraziłam zgody, poza tym wersy są pomieszane, to bez sensu.

- Przeciwnie, to ma wielki sens. To bardzo inspirujące utwory. Mam puścić jeszcze raz?

- Nie. - Emma wstała i zaczęła krążyć po izbie. - Mad, musisz się sprzeciwić. Powiedz panu, żeby oddał ci taśmę i zniszczył ją!

*„Listopad 1806”

- Bzdura! Taffy ma rację, to bardzo inspirujące wiersze i nawet lepiej dla naszych celów, że cytowałaś je nie po kolei. - Podniosła się z krzesła i poprawiła czapkę przewodniczącego Mao. - Byłaś świetna, kotku - przyznała wspaniałomyślnie - znacznie lepsza niż ja. Nigdy nie umiałam mówić wierszy. Musisz dać nam znać, Taffy, jaki skutek wywarła ta deklamacja na celtyckich masach i innych ludziach podziemia. Chodź, Em, Dottie pewnie zachodzi w głowę, gdzieśmy się podziały.

Zrobiła krok w stronę wyjścia, ale pan Willis znów miał na uszach słuchawki i nasłuchiwał pilnie z poważną miną.

- Zaczekajcie chwilę - rzekł pośpiesznie. - Coś słyszę... To trochę pogmatwane...

Na jego twarzy ukazał się wyraz zdumienia. Odsunął trochę słuchawki i Emma usłyszała stłumiony głos. Ktoś mówił bardzo szybko, z wyraźnym podnieceniem, a potem nagle przycichł i wszystko umilkło. Pan Willis odwrócił się do swych gości z niekłamany zaskoczeniem w ukrytych za okularami oczach.

- Kto by się spodziewał... Nikogo nie ostrzeżono. Ale zważywszy na wszystko, to powinno wyjść nam na dobre. Zależy nam przecież na zaskakiwaniu nieprzyjaciela, prawda?

- Gdybyśmy wiedziały, o czym mówisz, może przyznałybyśmy ci rację - odparła Mad.

Pan Willis wytrzeszczył oczy. W osłupieniu zapomniał, że nie podzielił się dotąd informacją.

- No przecież chłopaki wylądowały! Jeden w Szkocji, drugi w Walii.

Teraz Emma i jej babka wytrzeszczyły oczy - najpierw na swego gospodarza, potem na siebie nawzajem. Jak Joe i Terry mogli uciec z Wysp Scilly i wylądować na zachodzie i północy? Czy to znaczy, że doszło do jakiejś masowej ucieczki i ich towarzysze także są na wolności?

- Kto im pomógł? Jak do tego doszło? - spytała Emma.

Pan Willis potrząsnął głową.

- Żadnych szczegółów. Może później. Na razie gołe fakty - że obaj chłopcy wylądowali i nie chcą nic dla siebie - żadnych tytułów, zaszczytów, nie pchają się do przodu, chcą tylko służyć i połączyć się z innymi młodymi ludźmi, którym zależy na wolności

kraju. Zresztą już pora, żeby wykazali trochę aktywności i pozwolili spocząć starszym. - Spojrzał na Emmę. - Twojej taśmy mogą słuchać książęta, pomyśl o tym, panienko. Młody Andrew w Szkocji, a Charlie w Walii. Musisz przyznać, że to wyjątkowa zachęta, żeby nie powiedzieć nic więcej. To ich rozpali od środka, ot, co!

Pan Willis uparł się, że odprowadzi je przez lasek. Nie przyjął odmowy Wziął starą okrętową latarnię i poszedł przodem, wymachując nią w prawo i lewo. Migoczący płomyk towarzyszył im aż do granicy posiadłości, po czym pan Willis zawrócił.

- Transmisja zacznie się o dwudziestej pierwszej trzydzieści - powiedział Emmie. - Najpierw pani własny głos, potem tłumaczenie, które przygotuję w dwóch językach, szkoda, że nie mogę nadawać we wszystkich trzech. Czekaj mnie pracowity wieczór. Spijcie dobrze, moje panie.

Obejrawszy się do tyłu, Emma patrzyła, jak płomyk latarni znikną, wessany nagle przez upiorną linię drzew. Przywarła do ramienia babki.

- To prawda? - szepnęła.

- Co?

- Wszystko. Transmisje radiowe, głosy w eterze, lądowanie książąt... A może po prostu chciał się przed nami popisać?

Mad otworzyła furtkę i weszły do ogrodu.

- Nie wiem - przyznała. - Ale kiedy zajrzałam przez okno, naprawdę miał na uszach słuchawki, a obok leżała strzelba. Nie spodziewał się nas, to nie mogło być przygotowane.

Z ciemności wynurzył się dom - niezawodny, solidny. Wszystko wokół było znajome i bezpieczne, brakowało tylko Joe'go i Terry'ego.

- Więc mu uwierzyłaś?

- Ani tak, ani nie. Taffy to szarlatan, podobnie jak ja. Wydrwigrosze, wagabundy, wędrowni gajkowie - wszyscy jesteśmy z jednej paczki, politycy także. Pierwszym hochsztaplerem był Pied Piper, ten, co to wywiódł z miasta najpierw szczury, a potem dzieci. Kto jeszcze pójdzie, zależy od melodii.

Pchnęła drzwi na ganek i po chwili znalazły się w holu. Od ich wyjścia nic się tu nie zmieniło. Folly się poruszyła i czekała

na macie, machając od niechcenia ogonem, z jęzorem zwisającym z zaślinionego pyska.

- Uważam, że to najbardziej niemoralna rzecz, jaką od ciebie usłyszałam. Próbujesz mi wmówić, że nic nie jest prawdziwe, że wszyscy dajemy się zwodzić, że każdy z nas, winny czy niewinny, idzie za jakimś błędnym ognikiem, a potem znika na zawsze z powierzchni ziemi?

- Tak jest - odrzekła Mad, klepiąc smukły łeb suki i poddając się mokrym czułościom.

- W takim razie... - Emma rozejrzała się po holu, w którym samotna świeczka, pozostawiona przez wierną Dottie, rzucała słabe światło na znajome przedmioty - w takim razie, czemu wszyscy zastanawiamy się nad celem w życiu, czemu... - Rozpaczliwie szukała odpowiedzi na pytania, jakich nigdy dotąd nie zadawała - czemu nie zdecydowałaś się grać do samego końca? Dlaczego wołałaś przejść na emeryturę i adoptować sześciu chłopców?

- Ach - westchnęła Mad, zrzucając buty z nóg - to po prostu łapówka dla mojego ego. Czyżbym ci nie mówiła, że zawsze chciałam mieć siedmiu synów? Słuchaj...

Podniosła głowę. W ciszę, której od kilku dni nic nie zakłócało, wdarł się nagle huk samolotu.

22

Coś się działo. W powietrzu, nad ich głowami, i na morzu. Strzały, eksplozje, detonacje głębinowe, wszystko i nic, trudno się zorientować. Błyski na horyzoncie, błyski na niebie. Odór chemikaliów, oleju. Żadnego parzenia kakao, żadnego przesiadywania przy kuchennym stole. Przenieśli materace do piwnicy i rozłożyli je wprost na kamieniach, nie próbując rozpalać na nowo ognia. Dym zwraca uwagę, a jedyną rzeczą, jakiej sobie teraz życzyli, było pozostawanie w ukryciu. Dottie, oparta o ścianę, z poduszką za plecami, kołysała Bena do snu. Colin z początku trząsał się jak w gorączce, a uspokoił się, dopiero kiedy Sam znalazł właściwe rozwiązanie: zatkał mu uszy watą i zawiązał na oczach szalik.

- To dobry sposób na zwierzęta - tłumaczył. - Jeśli w stajni wybuchą pożar, zawiązuje się koniom oczy, więc można spróbować i z człowiekiem.

Na jakiś czas pomogło; później wyobraźnia znalazła własny sposób na grozę za oknem.

- Jestem staruszką - oznajmił Colin. - W mieście było trzęsienie ziemi, a ja konam z głodu.

Uśmiechnął się do Emmy, która narzuciła mu koc na ramiona, zdjął przepaskę z oczu, ale watę w uszach zostawił. Sam miał pełne ręce roboty - zajmował się Folly, wiewiórką, gołębiem i na dodatek bardzo starym i kłótlwym gawronem, który wpadł przez komin do jego pokoju. Andy z łukiem w ręku i wiązką strzała na ramieniu objął wartę przy drzwiach piwnicznych. Mad dała mu pozwolenie.

- W razie ataku będę walczyć u twego boku - zapowiedziała.
- Tak czy inaczej, jesteśmy tu wszyscy razem. Swoją drogą, co za wspaniały moment, by odejść...

Huk lecących nisko samolotów, wybuchy na morzu i występujące czasem wstrząsy ścian stanowiły zagrożenie nie tylko dla dachu i górnego piętra, ale nawet dla fundamentów. Ben poruszał się wtedy niespokojnie przez sen i mocniej wtulał w Dottie, Colin znowu dygotał, a Andy zgrzytał zębami i z ciężkim westchnieniem zakładał strzałę, celując w drzwi i nieistniejącą ofiarę. Tranzystorowe radio nie podawało niczego nowego. Baterie wprawdzie nie wyczerpały się do cna, ale ani z regionalnych stacji, ani innych nie dobiegał żaden głos. Ktoś przemawiał po niemiecku, więc nikt nie rozumiał ani słowa, udało się też złapać urywek francuskiego zdania: *On dit que les associés de USUK sont maintenant...*

- Państwa stowarzyszone w USUK-u są teraz... I co dalej?

Emma spojrzała na babkę. Mad spała. Noc wlokła się bez końca, dzieci tuliły się do dorosłych, dorośli do siebie nawzajem i nawet Andy opadł w końcu na kolana i legł z łukiem u boku, podłożywszy pod głowę wiązkę strzał zamiast poduszki.

Pierwszy ocknął się Ben. Pusty brzusek domagał się jedzenia. To dziecko też nie należy do cichych, tacy jak on nie posiadają ziemi, myślała Emma, otwierając z wysiłkiem oczy. I rzeczywiście. Ben jako jedyny rozglądał się dokoła z pewną siebie, wesołą minką. Wyspał się do syta, a na czarnej buzi nie było widać ani śladu zmęczenia czy zdenerwowania, podczas gdy jego biali koledzy wyglądali jak mali staruszkowie, szarzy z wycieńczenia, z workami pod oczami. Co do dorosłych... Biedna Dottie, biedna Mad. Stare kobiety bez przyszłości, zgarbione, z obwisłymi podbródkami. Ja także wiem, jak wyglądam i jak się czuję, myślała Emma. Pożółkła cera, włosy w strąkach, obłożony język i żołądek ciągle skurczony ze strachu.

Zerknęła na zegarek. Zatrzymał się tuż po trzeciej, zapomniała go nakręcić. Przez małe okienka sączyło się szare światło. Pewnie jest koło siódmej, może trochę później. Ben spojrzał na nią pytająco, gmerając przy spodenkach. Emma przyłożyła palec do ust. Mniejsza o chłopców, ale Mad i Dottie muszą jeszcze po-

spać. Ben uśmiechnął się szeroko, podreptał w drugi koniec piwnicy i wysusiał się na stertę polan.

Co nam innego pozostanie, myślała Emma, jeśli to dłużej potrwa, jeśli nie ucichnie ten huk? Bo chociaż dom już się nie trząsał, gdzieś wysoko - wyżej niż w nocy - wciąż przelatywały samoloty. Nie wiadomo tylko w jakim kierunku.

Ben kręcił się tu i tam, żuł jabłko, które znalazł na półce, ale zachowywał się cicho. Może intuicja podpowiedziała mu, że nie jest to zwykły poranek, kiedy to mógł bawić się i dokazywać z Colinem, dodając nowe wyrazy do swego słownika.

Gdyby nikt z nas się nie obudził, Ben najadłby się jabłek i surowych buraków, bawiłby się na własną rękę i jakoś przetrwałby dzień aż do chwili, kiedy poczułby się śpiący. Wtedy by ziewnął i znów zwinął się w kłębek koło Dottie, bo to ona zapewniała mu bezpieczeństwo. Patrząc na postacie śpiących domowników w świetle poranka, które z wolna wypełniało mroczne pomieszczenie, Emma wyobrażała sobie komory grobowców, odkryte po wielu wiekach przez archeologów. Różniły się chyba tylko tym, że tamci - zmarli w starożytnych czasach kapłani, królowie i królowe - obwieszani byli klejnotami, gdyby natomiast ktoś wszedł po tysiącu lat do piwnicy Trevalan, pomyślałby, że leżą tam szkielety prostych wieśniaków. Także i Folly z pyskiem między łapami mogłaby uchodzić za psa stróża, takiego jak ten odlany w złocie, który strzegł egipskich grobów.

Dziwny zapach - jakby chemiczny, ale i oleisty - stawał się coraz bardziej natrętny. Emma podniosła się po cichu i wyrzała na wąskie podwórko. W zimie nikt tam nie chodził, bo nie było słońca, ale latem Dottie wieszała pranie. Na kamieniach brukowych leżał martwy rudzik. Sam miałby kogo pochować, pomyślała z żalem i nagle... Przecież noc nie była specjalnie zimna, więc dlaczego ptaszek zdechł? Świt stawał się coraz bardziej szary, coraz bledszy. Po przetarciu brudnego okienka Emma zobaczyła, że mgła znad morza wciska się na podwórko, okrywając rosnące wyżej drzewa, a z każdym kolejnym podmuchem odór staje się intensywniejszy i ostrzejszy, wyraźnie nawiewany w głąb ładu. Czyżby TO nastąpiło? Zaczęło się naprawdę? Czy to ta broń chemiczna, przed którą ludzie ostrzegali się od lat? Czy ru-

dzik był jedną z ofiar? Czemu Mad, Dottie i chłopcy śpią tak mocno? Czemu powietrze w piwnicy jest znacznie cięższe niż wczoraj, kiedy tam zesli?

Tak, to było to. Nie potęga nuklearna, tylko coś o wiele cichszego, podstępnego przedostało się do atmosfery z bezzałogowych samolotów i opadało na ziemię w formie mgły, wciskało się w szpary okienne, w szczeliny murów, spływało przez kominy, rury, aż wreszcie na dobre uniemożliwi oddychanie, zmieni powietrze w trujący opar, serca rozsada im piersi...

- Mad! - krzyknęła z paniką w głosie, nie panując nad sobą, aż Ben, który wcinał już drugie jabłko, odwrócił się i wlepił w nią zdumione oczy.

Wszyscy się poruszyli. Colin poderwał się do pozycji siedzącej, odrzucając koc. Andy chwycił łuk. Dottie otworzyła usta, ale nie do krzyku, tylko po prostu do gigantycznego ziewnięcia. Sam wyciągnął rękę do Folly, która stała na trzech drżących łapach, podwijając czwartą pod siebie, bo jej zdrętwiała po godzinach bezruchu. Tylko Mad spała dalej, obojętna na budzący się świat, spokojna i szczęśliwa z płaszczem od deszczu pod głową, z nadjedzonym przez mole pledem na kolanach.

- Madam jest wykończona - szepnęła Dottie - i nic dziwnego. Niech sobie śpi.

Chłopcy także ziewali, przeciągali się, wstawali, popatrując ciekawie, z pewnym lekceważeniem na Emmę, która narobiła tyle wrzasku.

- Przepraszam - rzekła. - To przez ten smród oleju czy chemikaliów. Nie czujecie? Przez chwilę myślałam...

Nie skończyła zdania. Zapach zniknął, a w każdym razie znacznie osłabł. Chłopcy wciągnęli powietrze i wrzucyli ramionami. Andy otworzył drzwi. Opar wciąż oblepiał drzewa i dryfował w stronę domu, ale powietrze było świeże.

- Nie słychać samolotów - oznajmił. - W ogóle nic nie słychać. Pewnie już po wszystkim. Chodźmy na górę i zobaczymy.

- Uważajcie - ostrzegła ich Emma. - Nie otwierajcie drzwi ani okien. Nie wiemy, co się dzieje, może to coś niebezpiecznego.

Pobiegła za nimi po schodach, ale okazali się szybsi. Wpadli do kuchni i holu, otworzyli z impetem drzwi na ganek. Poranny

humor wziął górę nad dyscypliną. Chłopczy, ściśnięci przez noc w piwnicy, głodni, zeszywniali ze strachu, rankiem odetchnęli pełną piersią. Nadszedł dzień, i to normalny, taki jak każdy inny - mglisty, cichy, bez wybuchów, huków, trzasków i innych złowieszczych odgłosów.

- Wracajcie! - nawoływała Emma. - Wracajcie!

W ogóle jej nie słuchali. Pobiegli do ogrodu i zaśmiewając się, otworzyli furtkę.

- Lećmy do przelazu! - darł się Andy. - Zobaczymy, czy po tych wybuchach zostały jakieś wraki.

Emma szła za nimi. Łudziła się, że gdyby na polu rozpylono jakieś chemikalia, gleba by poczerniała, co przekonałoby chłopców do jej obaw. Kiedy jednak dotarli do muru i spojrzeli na zatokę, nie zobaczyli nic poza ścielącą się mgłą, nieszkodliwą, bezwoną, wilgotną jak żdźbła trawy pod stopami. Przez pole zbliżał się do nich jakiś pojazd. Emma złapała za ramiona najbliższego stojącego chłopca, gotowa rzucić się do ucieczki. Kto wie, czy to nie pierwsza z dziesięciu, dwudziestu czy Bóg wie ilu zmotoryzowanych nieprzyjacielskich jednostek, nawet czołgów. Ale w odgłosie silnika i kształcie wozu było coś dziwnie znajomego...

- Landrover! - wrzasnął Andy. - Landrover z farmy, pan Trembath do nas jedzie!

Ulga, zdumienie, koniec z nieznośnym napięciem! Chłopczy zeskakują z muru, śmieją się, wrzeszczą... Z auta wysiada pan Trembath, wynosi skrzynkę butelek z mlekiem i wielki koszyk jajek. Chłopczy skaczą z radości, on śmieje się razem z nimi, chociaż przybyło mu siwych włosów, wychudł i ma zarośniętą brodę. Emma przebrnęła przez bruzdy ziemi i rzuciła mu się na szyję, jak Myrtle.

- No, no, moja droga - powiedział. - Przeżyliście ciężkie chwile, jak my wszyscy, ale najgorsze już za nami, sprawy idą ku lepszemu. Wyleciały wam szyby? Poodpadały dachówki?

Tyle pytań naraz, ale najpierw trzeba dowiedzieć się najważniejszego.

- Kiedy pan wróci? Uciekł pan? Czy znów pana nie aresztują?

- Ucieczka? - Pokręcił głową. - Nie, to nie żadna ucieczka, normalnie nas wypuścili - partiami po czterdziestu czy pięćdzie-

sięciu. Nie podali żadnego powodu, po prostu wyrzucili na drogę i kazali się wynosić.

- Więc przywieźli was na ląd helikopterami?

Popatrzył ze zdumieniem.

- Jak to na ląd? Wcałeśmy go nie opuszczali. Wpakowali nas w Lanhydrock jak śledzie w beczce, oczywiście pod strażą. Ciekawe, co powiedzą ci z National Trust*, kiedy przyjdą tam po nas sprzątać. - Uśmiechnął się szeroko i zaczął rozdzielać między chłopców butelki z mlekiem. - Siedzieliśmy wszyscy na kupie, powiadam wam. Farmerzy, dokerzy, kilku dziwnych pastorów, lekarze - tak, doktor Summers także. Każdego po kolei wzywano na przesłuchanie i żaden nic nie powiedział. Tych wszarzy złamał nasz dobry humor, nic innego. Gdybyśmy uprzykrzali im życie, pewnie dotąd byśmy tam siedzieli.

Chłopcy pili mleko, rozlewając połowę. Po brodzie Bena spływała biała strużka.

- Nic nie rozumiem - rzekła oszołomiona Emma. - Słyszeliśmy, że wszystkich więźniów wywieziono na Wyspy Scilly.

- Nie nas, kochana, nie nas. Może innych, chociaż nic o tym nie wiem. W każdym razie puścili nas wczoraj wieczorem, a wasi chłopcy są w dobrej formie. Doktor czeka tylko na transport, żeby przewieźć Terry'ego do szpitala na zdjęcie gipsu. Chce też znaleźć mu coś do podłożenia pod piętę. Jeszcze dziś wrócą do domu. - Podał Emmie butelkę mleka. - No jazda, pij. Z tego, co słyszałem od Peggy i Myrtle, cienko przędliście przez ostatnie dni. Stary Willis też szepnął mi parę słów, kiedy rano zjawił się do pomocy, nie wiedząc, że wróciłem. Ach, byłbym zapomniiał. - Pogrzebał w kieszeni i wyjął mały przedmiot zapakowany w kopertę. - To dla ciebie, z pozdrowieniami. Zdaje się, że staruszek ma na razie dość wszystkiego i właśnie się pakuje. Nie mówił, dokąd się wynosi, ale nie zdziwiłbym się, gdyby rano bu-da była pusta. Peggy twierdzi, że bardzo jej pomagał, bez niego nie daliby sobie rady, a jednak... Cóż, może nie wypada tak mówić, ale czuła się trochę skrępowana.

*** National Trust - organizacja zajmująca się konserwacją zabytków i miejsc o znaczeniu historycznym.**

Skrepowana, no tak. Ale bez niego nie dalibyśmy rady... Emma zerknęła na Andy'ego, który odchylił w tył głowę i podobnie jak Benowi mleko ciekło mu po brodzie. Stał w wyoranej bruździe, w tym samym miejscu, gdzie leżał kapral Wagg.

- Panie Trembath - powiedziała, zaciskając jedną rękę na pakieczku, a drugą obejmując butelkę mleka - skoro komandosi wszystkich wypuścili, to co właściwie działo się w nocy? Skąd te strzały, huk, eksplozje?

- Łódź podwodna w zatoce, tak mówi pan Willis. Niezidentyfikowana. Podobno jankesi przypuścili atak głębinowy, stary dowiedział się tego przez swój domowy odbiornik.

Emma podała butelkę Benowi, który porwał ją łapczywie.

- Wątpię, czy można wierzyć we wszystko, co mówi pan Willis.

- Raczej traktować z przymrużeniem oka, co? Chyba masz rację. Marines zwinęli obóz i wynieśli się do St Mawgan, gdzie czekają na dalsze rozkazy. Zdaje się, że to, co rozpętaliśmy w Kornwalii, rozniosło się na cały kraj, także do miast. Zwykli ludzie szykują się do walki, mają dość jankesów i rządu, więc te jednostki przydadzą się gdzie indziej, nie zdziwiłbym się, gdyby nawet w Londynie i Midlandzie. Może to, co dzieje się tu, na zachodzie, to dla nich za małe piwo i na razie nie chcą zawracać sobie nami głowy. Tak czy inaczej, już ich nie ma. Koniec z blokadami, drutem kolczastym, przepisami i restrykcjami. Jest już woda, prąd, telefony także działają. Na jak długo - trudno powiedzieć, ale przynajmniej trochę odetchniemy. Powiedz, co z babcią? Jak to wszystko zniosła?

- Cudownie, ale dziś jest zmęczona. Wszyscy spędziliśmy noc w piwnicy, a kiedy wyszliśmy, ona jeszcze spała.

- To pięknie. Pozdrów ją ode mnie, niedługo do niej wpadnę.

Wdrapał się za kierownicę. Mgła ustępowała i słońce usiłowało się przebić. Wody zatoki zaczęły już się szklić.

- Koniec! - powiedziała do chłopców. - Aż trudno uwierzyć. Ale dlaczego? Co sprawiło, że tak nagle odeszli?

- Strach ich obleciał - rzekł Andy. - Jak wtedy, w czasie wihury, kiedy okręt popłynął do Falmouth. A teraz ta niezidentyfikowana łódź przegnała ich na dobre.

- Nie - odezwał się Sam. - Według mnie oni wszystko sobie

przemysleli i uznali, że lądowanie tutaj było błędem. Ani im się to nie podobało, ani nam. To tak, jakby ktoś wpuścił na nasze pastwisko nowe stado owiec, zwłaszcza innej rasy. Nie wytrzymałyby z naszymi.

- Albo po prostu za dużo ludzi z nich drwiło - dodał Colin.
- Jak wtedy, kiedy paliliśmy kukłę na plaży, albo kiedy puściłem temu oficerkowi węża w nos.

- Ach, to w końcu wszystko jedno - zauważyła Emma. - Ważne, że życie zaczyna się od nowa.

Szli w stronę domu - chłopcy przodem z koszykiem jajek i mlekiem. Kiedy zniknęli Emmie z oczu, otworzyła pakiecik. W środku była kasetka magnetofonowa z karteczką zapisaną dziwnym, pajęczym pismem.

Obiecujący debiut. Pomimo nocnych zakłóceń wiele osób wysłuchało i doceniło. Wysyłają mnie gdzie indziej, więc się wyprowadzam, ale ufam, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Uniżone ukłony dla obu pań

Taffy

A więc przypadło. Już nigdy się nie dowie, czy pan Willis naprawdę pracował dla nacjonalistów celtyckich albo innego ugrupowania. Czy rzeczywiście puścił w eter nagranie dla setek słuchaczy w Kornwalii, Szkocji i Walii, czy też to wszystko jest fantazją, mistyfikacją, próbą pocieszenia samego siebie. Pocieszenia - po czym? Po nieciekawym, chybionym życiu? Łapówka dla ego, jak Mad powiedziała o sobie? Może pan Willis marzył o roli przywódcy i nagle dostrzegł także u Emmy chęć do popisywania się, recytowania wierszy?

Gdy tylko znalazła się w holu, powitały ją dwa dźwięki - normalne odgłosy zwykłego, powszedniego dnia, tak długo nieobecne w ich życiu. Jeden - to głos z telewizora, włączonego w bibliotecę przez chłopców, drugi - dzwonek telefonu. Zdecydowała się dać pierwszeństwo telewizorowi, ponieważ była punkt ósma i można było spodziewać się wiadomości.

- Szybko - darł się Andy. - Naprawdę była tu łódź podwodna, pan Willis miał rację!

Weszła do biblioteki i przede wszystkim odsunęła zasłony, żeby wpuścić światło i powietrze. Potem stanęła obok chłopców. Młody spiker, w okropnym fioletowym krawacie, z nieco pobladłą twarzą czytał:

- ...Zrzucono bomby głębinowe i połączone siły USUK-u zostały postawione w stan gotowości, ale dowództwo nie wydało dotąd żadnego komunikatu. Nie wiadomo, czy rzeczywiście chodziło o łódź podwodną, a jeśli tak, to czy ją zidentyfikowano. Z doniesień - także niepotwierdzonych - wynika, że eksplozja, która zniszczyła okręt wojenny wraz z całą załogą w zatoce Poldrea, mogła również być spowodowana przez torpedę. W każdym razie przepisy dotyczące bezpieczeństwa, które tak mocno dały się we znaki miejscowej ludności, zostały rozluźnione. Jednostki piechoty morskiej opuściły port i plażę Poldrea, przekazując te tereny pod zarząd lokalnych władz, które oświadczyły, że za parę dni sytuacja wróci do normy. - Zerknął na kartkę, którą trzymał w ręku. - Dziś rano przy Downing Street odbędzie się posiedzenie gabinetu. Jest zrozumiałe, że między jego członkami istnieje pewna sprzeczność opinii co do ogólnej polityki i przyszłości USUK-u. Następny biuletyn wydamy o dziewiątej.

Telefon wciąż dzwonił. Emma pobiegła do szatni.

- W porządku - krzyknęła do Dottie, która wyjrzała z kuchni. - Już odbieram.

- Chwała Bogu - rzekła Dottie - że jest prąd. Robię dla wszystkich jajecznicę, Sam właśnie przyniósł jajka.

Emma porwała słuchawkę.

- Halo? Kto mówi? O co chodzi?

Czemu, na miłość boską, słyszeć jakiś obcy język, a przynajmniej obcy akcent w tym ciągłym „Jeden moment, proszę”? Potem, po przerwie... Niewiarygodne, a jednak po zastanowieniu oczywiście, potok telegraficznych zdań Pa:

- To ty? Czy to Emma? Czemu nikt nie odbiera? Dzwonią godzinami, nie mogą się połączyć. Za pięć minut mam konferencję, okropne napięcie. Co się dzieje, co porabiacie?

- Słuchaj... Nie wiem, jak zacząć - jąkała się Emma. - Skąd dzwonicz?

- Jestem w Zurychu. Wczoraj wieczorem przyleciałem z Nowego Jorku. Dopiero po zakończeniu konferencji będę wiedział, czy łapać samolot do Londynu, czy lecieć do Tokio. Zamieszanie... rozgardiasz... Ważą się losy całego USUK-u. Wszyscy w kraju potracili głowy, podobno zaczęły się bunty, jakieś głąby z waszych stron nie wiedzą, co jest dla nich dobre. Rozumiem, że zaraza roznosi się po całym cholernym kraju jak epidemia ospy, jeszcze Amerykanie gotowi zostawić nas na lodzie. A to oznacza bankructwo, tak jest, bankructwo, ale kogo to obchodzi? Dali nam szansę, a teraz może dojść do zamachu stanu i wojskowych rządów. To was nauczy... A przy okazji chciałbym życzyć naszej kochanej staruszcze wielu szczęśliwych lat.

Wielu szczęśliwych lat. O Boże, na śmierć zapomniała! Wszyscy zapomnieli! Dziś urodziny Mad!

- Pa - powiedziała do ojca. - To straszne, ale nikt z nas nie pamiętał, a przede wszystkim sama Mad. Tyle się wydarzyło! Pa...

Nie rozumiał. Nic go to nie obeszło.

- Ucałuj ją ode mnie i powiedz, że jej przywiozę krwi dzwonek. Możecie sobie dzwonić po kolei, żeby nie zapaść w sen. Wy w tym Zachodnim Kraju umiecie tylko spać, a przynajmniej tak było, dopóki upór nie padł wam na mózg. Całą dobę nie spałem, jestem wykończony. Niezależnie od wszystkiego, co słyszycie w radiu czy telewizji albo czytacie w gazetach, te zamieszki muszą być zdławione. Ale najwyraźniej prawdą jest, że młodzi zwiali. Wylądowali w Walii i Szkocji, żeby podburzać ludzi i walczyć u ich boku, jeśli oczywiście przyjdzie do walki. Lekceważą wszystkie przepisy konstytucyjne, narobili starym kupę kłopotów, teraz trzeba będzie coś z tym zrobić... Muszę już kończyć... Emmo, kochanie, muszę iść... Uważaj na siebie i wszystkiego dobrego.

Rozłączył się. Jedyne łączenie z normalnością okazał się szaleńcem. Pa był tak samo niespełna rozumu jak pan Willis. I nawet teraz niepodobna określić, po której stronie się opowiadał, jakich wydarzeń oczekiwał. Czy nadal popierał USUK? Czy wręcz przeciwnie? Co robi w Zurychu? Po co ma jechać do Tokio?

Odkładając słuchawkę, Emma wyjrzała z okna na podjazd. Co znowu? Wszystko dzieje się jednocześnie. Ach! To samochód Bevila Summersa, na przednim siedzeniu Terry, a z tyłu Joe!

- Dottie! - krzyknęła radośnie! - Dottie! Wrócili, są w domu! Musisz pójść do piwnicy i obudzić Mad. Masz pojęcie, jacy jesteśmy wstrętni? Zapomnieliśmy o jej urodzinach. Właśnie dzwonił Pa, żeby jej życzyć wielu szczęśliwych lat.

Dottie z rondelkiem w ręku i opadniętą szczęką stała w kuchennych drzwiach.

- Nigdy sobie nie wybaczę - rzekła. -I na dodatek nie ma soku pomarańczowego. Co ona powie?

Chłopcy byli już przy bramie. Terry bez kul, Joe, a z nimi Bevil Summers. Emma rzuciła się na powitanie.

- Moje chłopaki! Moje chłopaki! - wołała, choć doprawdy była to przesada zupełnie nie na miejscu. - Gdybyście wiedzieli, gdybyście tylko wiedzieli, przez co przeszliśmy...

- Było super, po prostu nie do przebiccia! - wykrzykiwał Terry, całując ją w oba policzki. - Upchali nas w tym cholernym Lanhydrock, grozili nam chłostą, torturami, a wszystko za nasze kobiety, wszystko dla miłości...

- Wszystko na nic - dokończył Joe. - Poza tym, że jesteśmy znów w domu i podejrzewam, że nie został ani jeden burak.

Wyciągnął ręce i pocałował ją po raz pierwszy bez oporów, bez rezerwy.

- Dokonaliśmy tego! Dokonaliśmy - cieszył się Bevil Summers. - Odkąd zdałem pierwszy medyczny egzamin, nie byłem z siebie taki dumny. Obywatelskie nieposłuszeństwo! Te mędrki, które mówiły, że to się nie uda, są uziemione. Wiem, że nie było nas wielu, ale pchnęliśmy kulę i dalej już toczyła się sama. A jeśli trzeba ci dowodu, to spójrz na tych maruderów, co z Kornwalii lecą do Devonu. Jestem pewien, że zostaną tak samo potraktowani.

Helikoptery nadlatywały z północy i zmierzały na wschód. Jeden po drugim, w szyku, który potem rozsuwał się na kształt wachlarza. Silniki ryczały, śmigła wirowały.

- Wiesz, że mogą wrócić - rzekła Emma z wahaniem.

- Nie kracz! - zawołał Terry. - Na następną wizytę będziemy

lepiej przygotowani. Zresztą mamy nowy dzień, życie jest dla życia, nie? Jak się miewa Madam?

- To jej urodziny, ale jeszcze śpi w piwnicy, a przynajmniej spała, jak wychodziłam. Nikt z nas nie kładł się tej nocy. - Odwróciła się do Bevila. - To rzeczywiście był duży wysiłek, ale wiesz, jaka ona jest: nigdy nie popuści. Teraz, kiedy Joe i Terry wrócili, wszystko będzie dobrze. O, już się obudziła. Co za wspaniałe urodziny!

Mad stała na szczycie schodków koło ganku. Wyciągała do obu chłopców ręce, ale oni, zajęci rozmową i żartami, wcale jej nie zauważyli. Minęli ją o włos i weszli do holu. Zrobili to umyślnie czy sobie zażartowali? Mad nadal stała z rozłożonymi ramionami, uśmiechając się do Emmy. I nagle już jej nie było.

- O co chodzi? - spytał Bevil Summers.

Emma przez chwilę milczała. Co to babka powiedziała wczoraj do Andy'ego, kiedy stał na swoim posterunku przy drzwiach do piwnicy? „Tak czy inaczej, jesteśmy tu wszyscy razem. A swoją drogą, co za wspaniały moment, by odejść”. No i proszę: teraz naprawdę są wszyscy razem, bo Joe i Terry wrócili.

Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał zupełnie spokojnie:

- Lepiej zejdź do piwnicy. Mad śpi od bardzo dawna.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, a potem pognał do domu, minawszy w drzwiach Sama. Chłopczyk niósł coś w ramionach. Stał przez chwilę na ścieżce i nagle podniósł ręce.

- Pomyślałem, że wypuszczę gołębia. Mam przecucie, że chce być wolny.

Ptaka jednak nie odfrunął daleko. Krążył przez moment w powietrzu, po czym usiadł na gałęzi dębu, mając przed sobą zaorne pole. Mgła rozproszyła się zupełnie. Helikoptery wciąż ciągnęły na wschód, ku słońcu.